









JULIUSZ SŁOWACKI

LISTY

PRZEKAZAŁ DO DROKU  
LEON PIWŃSKI



ks. alc. 1932

11.5.2  
12

7/111

60



TOM PIERWSZY

JULJUSZ SŁOWACKI

L I S T Y

PRZYGOTOWAŁ DO DRUKU  
LEON PIWIŃSKI

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63



WARSZAWA 1952  
BIBLIOTEKA ARCYDZIEŁ LITERATURY

JULIUSZ SŁOWACKI

LISTY

PRZYGOTOWAŁ DO DRAKU  
LEON PIWIŃSKI

WYDAWCA  
BIBLIOTEKA  
KRAJOWA



612/1

CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie

BIBLIOTEKA ARCHEWALNEJ LITERATURY



**T O M   P I E R W S Z Y**

T O M P I E R W S Z Y

# LISTY DO MATKI

## CZEŚĆ PIERWSZA (1830—1835)

[Wyjątki z listów Słowackiego do matki, Salomei z Januszewskich 1-o voto Euzebjuszowej Słowackiej 2-o voto Augustowej de Bécu (1791—1855), ogłoszone były po raz pierwszy w monografii Antoniego Małeckiego: *Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki*, Lwów 1866. Małeczki korzystał nie z oryginałów, lecz z odpisów, które p. Bécu poleciła sporządzić dla Karola Szajnochy. Na podstawie tych odpisów wyszło pierwsze wydanie listów w *Ruchu Literackim*, Lwów 1875 i osobno w dwóch tomach, Lwów 1875—1876. Na tej samej podstawie opracowane było drugie wydanie rozszerzone, również dwutomowe, Lwów 1883. Oryginały listów, przechowywane przez Wiktora Sobieszczańskiego, przyjaciela rodziny Januszewskich, nabył po jego śmierci (w r. 1891) Leopold Méyet i sporządził pierwsze wydanie na podstawie autografów, znacznie w stosunku do poprzednich wydań pomnożone, uzupełnione ustępami przedtem opuszczanymi i zaopatrzone w obszernie komentarze: *Listy Juliusza Słowackiego*. Z autografów poety wydał po raz pierwszy Leopold Méyet. 2 tomy. Lwów 1899. Obecnie autografy tej korespondencji (z wyjątkiem czterech listów i zakończenia jednego listu) znajdują się w Bibliotece Ord. Krasieńskich w Warszawie (Rękopis Nr. 5210).

Wydanie niniejsze opiera się na autografach. (W tomie I wyjątek stanowi zakończenie listu 15, — od słów: „Podczaszyński wydaje pisemko“, str. 64 w. 8 od dołu, do końca listu na str. 66, — które dajemy podług wydania Méyeta, gdzie było wydrukowane na podstawie autografu znajdującego się w zbiorach Zakładu Narod. im. Ossolińskich we Lwowie.)

W stosunku do wydania Méyeta wydanie nasze wykazuje w wielu miejscach znaczne różnice. Pochodzą one stąd, że wydanie Méyeta, pomimo wielkiej staranności wydawcy, zawiera sporo błędnych lekcji i zbyt licznych korektur tekstu oryginalnego, a przez całkowicie dowolną interpunkcję zmienia niejednokrotnie sens oryginału. Przez porównanie tekstu Méyeta z autografami niedokładności te zostały usunięte.

Co do pisowni i interpunkcji, stosujemy naogół zasady przyjęte w naszym wydaniu *Dzieł Słowackiego* (Biblioteka Arcydział Literatury, Warszawa 1930—1931; por. tom I, str. XXIV—XXVII). Modernizując pisownię, zachowujemy wszystko, co ma lub może mieć znaczenie jako właściwość języka i wymowy autora. W interpunkcji staramy się wprowadzać zmian jak najmniej. Myślnik, panujący wszechwładnie w przestankowaniu Słowackiego, zamieniamy na inne znaki pisarskie tylko w takich razach, kiedy to w niczem nie przesądza o konstrukcji zdania. Zresztą trzymamy się jak najbliżej autografu.

Poprawki i skreślenia w autografach, o ile wskazują na jakiś zaniechany, ale dający się odtworzyć zamiar autorski, zaznaczamy w przypiskach pod tekstem; poprawki zwykłych przypadkowych lapsusów pióra pozostawiamy bez omówienia. Wszystkie przypisy wydawcy ujęte są w nawiasy prostokątne i znaczone odnośnikami cyfrowymi. Przypiski z gwiazdką pochodzą od autora. Przypiski z gwiazdką i z dodaniem na końcu przypisku liter *S. B.* w nawiasie okrągłym pochodzą od p. Bécu. Temiż literami w nawiasie oznaczamy objaśnienia i dodatki p. Bécu wprowadzane do tekstu listów. Miejsca w autografach uszkodzone i odczytane hipotetycznie ujmujemy w nawias prostokątny. Punkty ujęte w takich nawias oznaczają miejsca, których nie udało się odczytać. Rozwiązania skrótów, częstych zwłaszcza przy imionach i nazwiskach osób wspomnianych w listach, ujmujemy również w nawiasy prostokątne.]

(1.)

Warszawa, d. 15. Września 1830 r. Środa.

Kochana Mamo!

Miałem pisać do was w przeszłą niedzielę, ale odebrany list z Krzemięcia, w którym Teofil wypytuje się o okolicznościach, potrzebnych do naprawy języka, skłonił mnie, iż zatrzymałem się trzy dni z listem, żeby Mu co pewniejszego donieść—ale napróżno. Kaczkowski dopióro jutro będzie miał o tem pewną wiadomość; na przyszłą więc pocztę odkładałem list do Pana Pawła Jarkowskiego o introlligatorze i list do Teofila o sztuce wymowy podług prawideł Lahnsena. Dzięki, tysiąc razy dzięki Kochanym Państwu za list ostatni, gdzie tyle osób pismo postrzegłem, tyle miłych, przychylnych a nawet pochlebnych dla mnie wyrazów wyczytałem. Chciałbym wszystkim poosobno wyrazić przyjemność i wdzięczność, jaką dla wszystkich przejęty jestem. Kochana Mamo, ucałuj ode mnie po tysiąc razy rączki kochanej Pani Michalskiej—i powiedz, że już teraz zazdrośnem okiem nie patrzyłbym na Mniszeczkę, bo wczoraj jedna nieznanajoma dama wszystkie Mniszeczki wyrugowała mi z głowy . . .

W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz, kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin—wymówiłem się z tym przed jednym z moich znajomych—i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach—przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przepijała do mnie Szampanem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stoła—zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejscu. Winogrona, kawony, melony Wołyń mnie przypominały i jeszcze bardziej dopomagały illuzyi.

W kilka dni potem jednego poranku przyjechał do mnie Po-

tockki, prosząc, żebym z nim jechał do Ursynowa, maleńkiej wioseczki Niemcewicza—muszę więc Mamie opisać obszernie tę wizytę. Ursynów leży o maleńką milę od Warszawy za Mokotowem. Śliczny był ranek, trochę zimny, mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo—nadto, niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz, przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśnym. Nareszcie stanęliśmy u celu podróży. Pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której zdaleka widać już było dóm Poety—nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed ganikiem. Podobnie więc jak Lubańska do Częstochowy, zbliżyliśmy się pieszo z sercem sk[r]uszonem. Przywitał nas dosyć obojętnie—ułożyłem mu jakiś naprędce komplement, którego przyjął z uśmiechem—zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, natoż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał; szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła. „Panie Hrabio — rzekł do Potockiego — wszak znasz mój Ursynów, oprowadź Pana Słowackiego po piękniejszych miejscach—ja się muszę tym czasem przebrać.“ To mówiąc, uklonił się nam i wszedł do Domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie.

Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny—w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza; z tej krowy, jak mi sam mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do malej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek żdzierać kazał przez skromność. Usiadłem w altanie. Potocki stał nade mną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, spytał mnie o przyczynę. „Myślę—odpowiedziałem Mu—iż szczęśliwy, kto może tak pisać jak Niemcewicz słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem; szczęśliwy odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas, gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie.“

Wtem lokaj, przysłany od starego, zaprosił nas na śniadanie; właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń. Usie-

dliśmy po obu bokach Niemcewicza i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samej tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie maleńkie dziewczynki. Są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: „Pan jesteś tak głupi jak ja.“ A stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robot, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę—kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: kto jesteś?—odpowiedziała: *zona Panowa*. Potem kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedji *Mindowe*; na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku, siedząc bokiem odwrócony—gdy przyszło do drugiej sceny, w której *Mindowe* zrywa z krzyżakami, obrócił się nagle, czoło jego pomarszczyło się, widać było znacznie natężoną uwagę—patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć; a oczy ma szare, przenikliwe i z wielkimi najeżonemi brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno: „Ach czemuż tej Tragedji grać nie można!“ Ten wykrzyknik bardziej mnie pochlebił niż wszystkie potym dawane pochwały... Czytałem dalej—słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „Cieszę się, iż przed<sup>1</sup> śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce Poeta, co ma tak wielki talent—i duch obywatelski utrzyma.“ Potem dodał: „Przepisz Pan tę Tragedję na kilka rąk—warto; niech czeka szczęśliwszych czasów... Chciałbym ją całą czytać...“ Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: „Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.“ Prawda, jak to po staropolsku... Otóż cała wizyta—nie gniewaj się, kochana Mamo, że ją tak obszernie opisywałem. Tego dnia, przyjechawszy do domu, zastałem przyjemny list Olesi—tegoż dnia odebrałem wiadomość o śmierci Hrehorowicza, którego na rozszerzenie serca w Litwie zakończył życie. Dziwny to był dzień dla mnie.

Mieszka teraz ze mną przybyły z zagranicy Januskiewicz, ten

---

<sup>1</sup> [Przekreślono: *skonani*]

sam, którego Mama zaraz po przyjeździe do Karlsbadu na ulicy spotkała, a z miny poznawszy, że Polak, prosiłaś go po francusku, żeby Mamie dopomógł w wyszukaniu mieszkania. Opowiadał mi o Mamie anegdotkę, która krąży w Karlsbadzie, że kiedy chłopiec w oberży pytał się, czy Mama chcesz ze śmietanką pić kawę, omylona podobieństwem wyrazu śmietanka z wyrazem innym, który znaczył pólkownika, odpowiedziałaś chłopcowi po niemiecku: „Nie, ja bez pólkownika chcę pić kawę, ja sama chcę pić kawę!“ Czy to prawda? Podziękowałem Januszkiewiczowi, że na wstępie do obcego miasta Mamie usłużył i obiecałem mu, że od niego klaniać się będą Mamie w tym liście...

Chciałbym wiele jeszcze pisać, ale list ten kończę w Biórze—nie staję mi więc czasu ani na podziękowanie kochanej Julce i Jasiowi za ich przypiski, ani do dłuższego pogawędzenia z wami...

Kochanej Babuni za karteczkę po tysiący razy rączki całuję... Czy wyczytacie ten list?... wyczytajcie, jeżeli możecie i jeżeli was w połowie nie znudzi. Adieu, kochana Mamo, adieu... uściskaj wszystkich ode mnie.

*Julek*

Do Teofila i Hersylki pod P. Pawła kopertą na przyszlą pocztę napiszę.

(2.)

*Wrocław, d. 17 Marca 1831 r.*

Kochana Mamo! Zadziwisz się zapewna, odbierając ode mnie list datowany z Wrocławia. Dopełniając woli kochanej Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałem zagranicę, i teraz z wielkim strachem oczekuję listu od kochanej Mamy, nie wiedząc, czy mój wyjazd podoba się Mamie, czy nie. Ale niestety, podróż moja nie zaczyna się przyjemnie. Mając wexel przysłany sobie na Drezno, musiałem jechać na Prusy—a w Prusach odebrano mi mój paszport i zatrzymano mnie we Wrocławiu, obiecując dać nowy paszport pruski. Siedzę więc już od kilku dni w tém nudnem mieście, a co gorzej, że mi pobyt w nim drogo kosztuje. Kochana Mamo, nie jest to miejsce, abym ci tu moją wdzięczność [wyrażał]



za dobroć, z jaką moje chęci przewidziałaś. Gdybym ci, kochana mamó, [chciał] opisywać, jak mnie rozczuliło odebranie wexlu na Drezno, ten sp[osób] delikatny oddalenia mnie od niebezpieczeństwa, wzięłabyś może, [kocha]na Mamó, wyrazy wdzięczności za przypochlebiania się [synala, który] wyjeżdżając zagranicę, chce od dobrej Matki pieniędzy dostać.

[Wyje]chałem w podróż 8. tego miesiąca; nudną miałem drogę, czas [dosyć] brzydki, wyjechałem w noc—smutno mi było—zdało mi się, że uciekam, [i teraz] jeszcze często się kłócę z mojem sumnieniem. Mamó moja kochana, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł [po]wrócić. W drodze nic mi się jeszcze szczególnego nie przytrafiło, ale przykrości wiele. Szczęśliwy będę, kiedy do Drezna paszport dostanę, a dostać spodziewam się, bo otrzymałem świadectwo jednego z pierwszych tutejszych doktorów, jako wyjeżdżam dla poratowania zdrowia. Mamó moja, nie lękaj się tego świadectwa.

Do Wrocławia jechałem przez Zulau, gdzie widziałem piękny Zwierzyniec napełniony jeleniami—przez Kremnitz, gdzie pokazywano mi plac batalii, gdzie Prusacy zbili kiedyś na głowę Austryaków. Samo miasto Wrocław jest dosyć ładne, niezmiernie stare, wszystkie domy podobne do siebie, tak, że dla kierowania się w tem mieście kompas bardzoby się przydał. Kilka ślicznych gotyckich kościołów, dwa place, z tych jeden nazywa się placem Blüchera, na którym stoi statua tego pruskiego bohatera—drugi plac wielki jest to rynek, pośród którego stoi jeden z gotyckich kościołów, a naokoło mnóstwo bud [i szop] ogromnych; przybyłem tu albowiem w czas jarmarku. We [Wrocławiu] szczęście tak zdarzyło, że znalazłem Kubusia Gaya; jadąc z wiel[kiemi] pieniędzmi, został także we Wrocławiu zatrzymany i już [od tygodni] 7-miu tutaj siedzi. Zrobił się z niego teraz bardzo dobry [chłopak], we wszystkim mi służy i wszystko ułatwia. Jest tu jeszcze [kilku] Polaków, z którymi zabrałem znajomość—wszyscy zatrzymani i dręczeni. W drodze także poznałem się z jednym pruskim oficerem—bardzo dobry chłopiec. Cały pierwszy wieczór, gdyśmy się z nim poznali, prawił mi różne awantury, z których, chociaż ja bardzo mało rozumiałem, umiałem jednak tak zręcznie uśmiechać się, wtenczas, gdy z miny jego wyczytałem, że mi coś śmiesznego opowiadał, iż

przez kilka dni byliśmy z sobą w najlepszej harmonii i sądził o mnie, iż daleko więcej po niemiecku umiém niż jest w istocie. Nie lękajcie się jednak o mnie—mówię już i ja trochę tym językiem, i nie jestem przymuszony, chcąc jeść, zaglądać do rozmówek jak Klębowski. A propos rozmówek: książeczka, którąś mi, kochana Mamo, przy mojem odjeździe z Krzemieńca do tłómoka włożyła, nieraz mi tu usługuje, ale uczę się pierwszej frazessu, a potem go recytuję, w książeczkę nie patrząc—to jest bardziej honorowo.

We Wrocławiu bardzo jednostajne prowadzę życie—mieszkam z Gayem w jednym hotelu, pod Złotą Gęsią—mam na drugim piętrze mały od dziedzińca pokoik. Wyjeżdżając, rzeczy moje w tłómok upakowane i fortepian zostawiłem u Lapiarów. Jeżeliby kiedy w waszych stronach ucichło, Teofil może go sobie kazać sprowadzić, a mnie podług słuszności pieniążki zagranicę przysłać. Zresztą wszystko moje z sobą niosę, to jest mały tłómoczek, a w tłómoczku trochę bielizny i mnóstwo wierszy. Szkaradne wiersze, wagę mego tłómoka do 46 funtów podniosły. Kochana Mamo, nie pisz do mnie do Wrocławia, bo spodziewam się, iż tu nie[długo] zabawię, ale jak tylko przyjadę do Drezna, napiszę do kochanej Mamy i czekać będę z niecierpliwością listu od was dłuższego niż te, którem dotąd odbierał. Kaczkowscy kłaniają się wszystkim w Krzemieńcu. Starszy się ożenił, jest naczelnym lekarzem. Młodszy także w wojsku. Ja musiałbym być na tém skończyć.

Mamo droga, żegnam Ciebie. Nie wiem, kiedy się teraz zobaczymy. W Dreźnie znajdę Odyńca—Mickiewicz jest w Rzymie. Kochanych Dziadunia i Babuni Dobrodziejstwa rączki całuję. Teofil nabawił mnie niegdyś strachu—uboczną drogą dowiedziałem się, że się wszystko dobrze skończyło. Adieu, wszyscy moi mili. Przygotuj się, Hersylko, iż kiedyś jak wrócę, Melankę twoją po niemiecku uczyć będę, bo to ładny w ustach dam język. [Adieu, jeszcze] raz całuję was serdecznie.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

par Leopold, Brody à Krzemieniec en Russie.

[Stemple pocztowe:] Breslau, 18 Mart. 14 Marta 1831.

Drezno, d. 12 m. Kwietnia 1831 r.

Kochana Mamo! Co za szczęście! Wyrwałem się z nudnego Wrocławia, gdzie po długich korespondencych odebrano z Berlina odpowiedź, żeby mnie puścić w dalszą drogę. Dano mi więc paszport do Francyi—ja zaś przyjechałem do Drezna i myślę tu czas niejaki posiedzieć. Bardzo mi się to miasto podobało, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony byłem po pięknych okolicach—tutaj zaś są prześliczne. Czy doszedł rąk Mamy kochanej list mój z Wrocławia? Byłem tam pod ścisłą obserwacją i dlatego się o ten list pytam. Niegodziwy Wrocław—w *Goldene Gans* zdarli mnie okropnie, bo za dni 16 zapłaciłem 30 talarów, i miałem tylko tę przyjemność, że mieszkałem w zupełnie starożytnej kamienicy, której dachy wyższe są niż trzypiętrowe ściany, a pod dachami pieje kogut i krzyczą koty. Do Drezna przyjechawszy w Wielki piątek, stanąłem w hotelu pod *Złotą koroną*; zdaje mi się, że tam i Mama kiedyś mieszkała. Zaraz wyszedłem na miasto, albowiem mówiono mi, iż w katolickim kościele ma być ładna muzyka i słyszałem śpiewy—trafiłem właśnie na psalm, śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nótę. Pierwszy raz słyszany głos tego rodzaju, wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednej trójkąt obstawiony palącami się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie. Słyszałem potem podczas mszy głos tego samego Tarquiniego; ale sztuczne wywodząc arye, nie tyle na mnie zrobił wrażenia. Po obiedzie, w dzień mego przyjazdu, wyszedłem na miasto w nadziei, iż chodząc po ulicach, napotkam gdzie Odyńca. Błądząc różnemi drogami, zachodzę na wielki rynek, spostrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię (Baldyniego) i nad drzwiami napisane: *Café de l'Europe*. Ha, myślę sobie, Odyniec musi być w Europie—wchodzę na pewno i za pierwszym rzutem oka postrzegam naszego poetę, który mi zaraz na moje zapytanie: to Czatyrdach? ... odpowiedział: Aa!... i nie przez jedno tylko Aa! wyraził niepospolite zadziwienie; przeprowadzał je przez wszystkie tony jak Karp, marszałek wileński. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania i zaraz, wzięwszy się za ręce, poszliśmy do Odyńca kwatery.

Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez swojego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancją, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, iż tu zadarmo mi przychodzi. Za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o 5 oknach (a przez każde okno, jak powiada Odyniec, inną widzę panienkę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, podobną do téj, jaka jest u Hersylki, tylko troche zapyłoną—słowem, że mogę wieczorami lampę zapalać i bayronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach mieszkania dać wam wyobrażenie, donieść muszę, iż oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność, patrząc na ładną córkę mojej gospodyni. Panienska mówi po francusku—i ładnie gra na fortepiano. Waryacye Czernego zawsze mi Wilno i [was] wszystkich przypominają. Przez jedno okno mego salonu (najmniej przyjemne) mogę rozmawiać z Odyńcem—przez drugie okno (przyjemniejsze) mogę rozmawiać i rozmawiam z ładną sąsiadką, która *vis-à-vis* mieszka; tylko ten język niemiecki zawsze mi stoi na zawadzie, a jak na nieszczęście w rozmówkach, danych mi przez kochaną Mamę, nie znajduję stosownych do okoliczności wyrażień....

Znalazłem w Dreźnie wielu Polaków z Warszawy. Pozawczoraj z trzema z pomiędzy nich, z Platerem, bratem Ludwika, z Chwalibogiem i z Mikuliczem byłem w *Grüne Gewölbe*, to jest w skarbcu tutejszego króla. Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu, tak, że nic nie zostaje w pamięci—ostatnia tylko sala mocno mnie zajęła. Widok tyłu brylantów razem zgromadzonych nosi na sobie cechę jakiejś wielkości, jako szczególny w swoim rodzaju. Przepyszne brylanty! Widziałem brylant 7-my na świecie, zielony.—Zrobiłem już w Dreźnie jedną znajomość u Pani Dobrzyckiej—podściwa starszka Polka, jej córka jest pierwszą damą dworu. Ta, oddawna zachwycona hymnem *Bogarodzica*, przyjęła mnie z otwartymi rękoma, a nad moim *Kulikiem*, którego nie znacie, płakała—teraz często mnie na herbatę zaprasza. Jest tu także Panna Czacka, zdaje mi się, iż to Mamy znajoma; mam jeszcze być u Komarów i u Jenerałowej Dąbrowskiej. Z Polakami tu będącemi wybieram się do Szwajcaryi Saskiej.—Urodził się tu teraz nowy królewicz. Szczególna rzecz, iż w chwili jego narodzenia, kiedy harmaty strzelały,

grzmoty pierwszy raz dały się słyszeć. Z powodu jego narodzin wczoraj była wielka parada—z drugiej strony Elby dawano ognia z harmat, cała publiczność patrzyła na to z wielkiego bulewaru. Te strzały harmat, ten tłum publiczności wiele mi przypominał—ale tamte były okropniejsze. X

Kochana Mamo, pisz do mnie do Drezna *poste restante*; jeszcze dotąd wexlu Mamy nie zmieniłem. Dotąd żyję i jeszcze żyć będę z miesiąc z 40-tą dukatami, z którymi wyjechałem z Warszawy. Pieniądze więc mi dosyć dotrzymują placu, lecz kiedy wyjechałem na wojaż, chciałbym dalej jechać, wszystko to jednak od woli kochanej Mamy zależy. Dobrzeby było jednak, żeby na przypadek jakiej przerwy w naszych źródłach zabezpieczyć się przynajmniej na lat 2. Jeżeli możecie gdzie podnieść z 5000, to mi je przyslijcie w wexlu na Paryż lub Genewę. Kochana Mamo, nie uwierzysz, ile na tém czuję, że ciebie tak ogałacam, że tyle wymagam, nie mając nawet nadziei kiedyś wywdzięczenia się za to. W Biórze nie było żadnych widoków, nawet to bióro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane z powodu . . . . Trzeba było iść do wojska—miałem aż nadto do tego chęci. Los jakiś rządzi moją karierą i widzę, iż zawsze będzie mi na przeszkodzie stawał. Kochana Mamo, całuję ciebie serdecznie w rączki i w nóżki, Babunię i Dziadzia Dobrodzieja o błogosławieństwo proszę—z dalekich gór Krzemieńca spłynie ono na moją głowę . . . Ściskam was, Hersylko, Teofilu i Melanko . . . Adieu. S.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

En Russie, En Volhynie

par Brody

à Krzemieniec. X dube

[Stemple pocztowe:] Dresden 13 Apr.: 1831. 21 Aprila 1831.

(4.)

Drezno, d. 23 Maja 1831 r.

Kochana Mamo! Od trzech miesięcy jestem zagranicą—z Wrocławia i z Drezna pisałem do kochanej Mamy, lecz próżno codzień chodzę na pocztę, żadnego do mnie nie znajduję listu.

Zdaje mi się, iż moje listy nie muszą rąk Mamy dochodzić, bo inaczej znaleźlibyście sposobność przesłania mi odpowiedzi. Ten więc list piszę przez ręce bankiera Hausnera w Brodach, prosząc go osobnym listem, aby znalazł sposobność przesłania go Mamie.— Kochana Mamo, jeżeli obchodzi Mamę moja spokojność, napisz mi jak najprędzej *poste restante* do Drezna, gdzie dopóty siedzieć będę, póki listu od kochanej Mamy nie odbiorę. Gdyby nie ta niepokojność, która mnie dręczy o was, kochani moi, byłoby [mnie] bardzo dobrze w Dreźnie—poznałem wiele polskich [domów] i żyję w dobrym towarzystwie. Czy przypomina sobie Mama dóm Poniatowskich, u których był niegdyś mój Ojciec? Jedna z Poniatowskich, będąca teraz za Szymanowskim i bawiąca w Dreźnie, dowiedziała się, że przyjechałem tu i oświadczyła mi przez jednego z bywających u niej Polaków, iż mnie koniecznie chce poznać. Nie wiem z jakich przyczyn przez kilka dni odwlokłem moją wizytę. Pani Szymanowska znów się wypytywała swego znajomego, dlaczego u niej nie byłem; ten, chcąc mnie uniewinnić, powiedział, że od kilku dni jestem chory... Na to Szymanowska z żywą troskliwością oświadczyła, iż mi pošle swego doktora i będzie mnie sama doglądać jak brata. Doniesiono mi te słowa. Tknięty niemi i razem bojąc się wizyty Doktora, gdy byłem zdrów, poszedłem do Szymanowskiej. Bardzo przyjemna osoba. Przypominała mi bardzo Balińską. Teraz przyjechały jej siostry, Grocholska i Bobrowa. Dóm, gdzie najczęściej bywam, jest to dóm Pani Dobrzyckiej. Godna bardzo staruszka—tak mnie polubiła, że gdy raz wyliczała swoich przyjaciół przy Odyńcu i wyliczyła ich 4-ch, potem przypomniała sobie: „A jeszcze Pan Słowacki“.—Jej córka jest pierwszą damą dworu; u tej także jestem w łaskach—sama mnie zaprowadziła do Biblioteki Japońskiego pałacu, gdzie widziałem wszystkie osobliwości, jak naprzykład listy oryginalne Lutra, Wiklefa, Koran Bajazeta i [tym] podobne.—Z Panną Dobrzycką byłem w Dolinie [Pla]uen—śliczne miejsce, skały przypominają mi Krzemieniec... Widziałem już wszystkie prawie osobliwości drezdeńskie, oprócz Galeryi Obrazów, którą w tych dniach widzieć będę... *Grüne Gewölbe* nie podobał mi się; oprócz będących tam brylantów nic mnie nie zachwyliło. Ciekawszym jest daleko zbiór zbroi starożytnej; znajduje się w nim dwóch rycerzy na koniach,

doskonale dających wyobrażenie o ówczesnych walkach—widzieć to dla poety i malarza bardzo potrzebne.—Opera włoska wyjechała teraz do Lipska na jarmark—póki była w mieście, zawsze prawie na niej bywałem, a najczęściej assistując Jenerałowej Dąbrowskiej, żonie sławnego Jenerała, której córka jest dosyć ładna, i gdyby teraz myśl nie była zajęta innego rodzaju sprawami, mogłaby zajechać głowę.

Przez jakiś czas miałem zamiar do was powrócić; teraz już o tém nie myślę—wreszcie napiszcie mi, co ja mam robić, gdzie się obrócić, jaki jest stan naszych interessów? . . . Z jakąż radością odebrałbym list od kochanej Mamy . . . Żle jest trochę, zem wyjechał zagranicę—ale już się stało . . . Teofilu kochany, często myślę o tobie i o naszych ostatnich przygodach, często myślę, ale nie wiem, jak myśleć . . . Co tam twoja Melanka porabia? Zapach tutejszej Biblioteki przypomniał mi krzemieniecką i o Panu Pawle Jarkowskim ciągle myślałem. Bibliotekarz tutejszy powiedział mi, iż Pana Pawła widział w Dreźnie trzy lata temu. Domyśliłem się, że mówił o Panu Matematyku Jarkowskim.—Kochani Babuniu i Dziaduniu dobrodzieju—wierzcie mi, iż często o was myślę i z niespokojnością czekam o waszym zdrowiu wiadomości. Hersylkę ściskając, proszę jej, ażeby do Olesi kilka słów ode mnie grzecznych napisała—bo ja nie mogę jej dać znać o sobie . . . Mamo! Mamo droga! co się tam z tobą dzieje? O gdyby ten list mógł przynajmniej dojść do rąk twoich . . . Adieu, Mamo kochana—

Twój syn

*Juliusz.*

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

à Krzemieniec.

(5.)

*D. 6 Lipca 1831 r. D r e z n o.*

Kochana Mamo!

Z jakąż radością odebrałem nareszcie list od kochanej Mamy, datowany z dnia 28. Maja. Dzięki ci, dzięki, kochana Mamo, za

wszystko co robisz dla syna, który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał. O Mamo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie—oby mnie teraz zapomniano—może potem znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju... Kochana Mamo! w przytomności Odyńca czytałem list twój—nie mogłem się wstrzymać od płaczu, czytając myśl o twoim nagrobku. Ponieważ lzy te miały świadka, nie chcę je zataić, tak jak wiele innych łez wylewanych samotnie. Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyrte—ale przyjdzie chwila!—Kochany Teofilu, jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebija taka ironia jak w ostatnim przypisku. Chciałem—nie mogłem być użytecznym; o [fiarow]ałem moje usługi w Biórze dyplomatycznym. Mój wielki [niegdyś] protektor X. zaraz mi chciał dać pensją, nie przyjąłem jej. Cóż... byli tam Hrabiowie—ja przepisywałem... Nie zostawiono mi nawet prze[konania], że byłem użyteczny lub że nim kiedyś być mogłem. Mamo kochana, [ty] jedna przynajmniej wiem, że mną zupełnie pogardzać nie będziesz. Interesa nasze tyle mnie tylko obchodzą, ile to kochanej Mamy wygod dotyczy się—ja przestałem już myśleć o wszystkim, byłem mógł ochronić kilka tysięcy, żeby z temi zacząć kiedyś mój pracowity zawód—a wtenczas będę się zupełnie do moich przychodów stosował. Teraz to, co od kochanej Mamy dostałem, wystarczy mi aż do Marca. Wyjadę przez Szwajcaryą do Neapolu, tam znajdę w jakim klasztorze, jak mi mówił Heryng, za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszym obchodzić się będę się starał. Przyjemność zaciszy wszystkie mi przyjemności zastąpi. Czuję, że mi jej potrzeba...

Niech was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem—albo wiem pisałem to wieczorem, a w wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie te myśli, bardzo by mi było dobrze w Dreźnie—przez cały dzień czytam, w południe kąpię się w Elbie co dnia, co mi bardzo służy, bo woda tej rzeki ma w sobie z gór części żelazne, a zatem jest wzmacniająca, czego na sobie bardzo doświadczam.—Ileż razy, chodząc po ulicach, starałem się domyślić, w jakim Mama mieszkałaś Hotelu, i zdaje mi się, że pod *Goldene Kröne*—złotą koroną—czy zgadłem? O Mamo, jaki czas teraz prześliczny na naszym horyzoncie—na chwilę zachmurzyło



się niebó—było to skutkiem stosu galwanicznego (niech to świadomi elektryczności Mamie wytłómaczą), stosu złożonego z krążków srebrnych i złotych, przekładanych sinym papierem. Odkryto stos — Fizycy od butelek leydejskich poginą... bo tak byli nieroztropni, że robiąc doświadczenia z elektrycznością, na ramionach nosili metalowe przewodniki... Otóż znów wpadłem na fizykę, jestem jak student z klasy 3-ciej; to zdarzyło się w Uniwersytecie Getyngi.

Śliczne są okolice Drezna—wczoraj Panna Dobrzycka i Pa[ni] Asthon Angielka zaprowadziły mnie do Bryńnitz nad Elbą. [Nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół [godziny] na płaskim szczycie świątyni, podobnej do Chłodnika Tetydy w Zofiówce; byliśmy jak zawieszani nad Elbą. Z drugiej strony rzeki śliczne równiny, z prawej strony w odległości ładne Drezno, a okna domów przy zachodzącym słońcu paliły się jak tysiączne lampy. Kilka statków z rozpiętymi żaglami płynęło po wodzie—i kilka czółen rybackich. Oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyślenie, że przez cały czas, pomimo etykiety, słowa do Dam nie przemówiłem.—Znajomy wam zapewne dobry nasz plenipotent, co to nazywał się Książ, chociaż jego imię, tak jak nasze szlacheckie, na wicz się kończyło, jest teraz w Paryżu. Pisał do nas, że dobrze jego pana idą interessa, że wkrótce ma być uznany jako główny plenipotent, że tamci Adwokaci pomagają mu w sprawie—\* ale cóż nas teraz interessa mogą obchodzić? nudzę was niemi—może wolelibyście mieć nowiny polityczne, ale o tych nie wiem.

Dziwnie się musi teraz wydawać Krzemieniec, tak spokojny między górami, po których wiatr świszcze; opiszcie mi więcej ze szczegółami te okolice, bo bardzobym chciał poznać miejsce, gdzie mieszkacie. [Prz]erażiła mnie cholera, która atakowała kochaną Babunię; wszystkie się na was biedy zwały. Kochana Mamo, kazałem dla Ciebie zrobić mój portret, już jest prawie skończony, w bardzo ładnym guście—przed wyjazdem z Drezna przysługę go Mamie, jeżeli pisząc do Hauznera, zobowiązecie go, żeby się małą

\* Są ludzie, co dla wiadomej wam rodziny pieniędzy starają się i będą je mieli; a tego jej potrzeba.

X  
paczka nie przeraził. Jak mi miło będzie, jeżeli to kochanej Mamie zrobi jaką przyjemność.—Najczęściej chodźmy z Odyńcem do Wielkiego ogrodu na spacer, dziwimy się tam często, jak Niemcy mogą cały dzień przepędzać nad szklanką piwa z cygarem w gębie. Gdzie się tylko zbliżyć do tłumu, wszędzie o *Nas* gadają i lubią nas.—Galerya Obrazów w Dreźnie wkrótce będzie otwartą—będę w niej całe poranki przepędzał i wielką stąd obiecuję sobie przyjemność.—Gospodyni, u której mieszkam, i córka gospodyni bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, iż chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domu—druga, iż jeżeliby chciała [mieć brata,] to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem [ideą] doskonałości—bardzo mi się podobała naiwność ładnej Saxonki; [po]chlebiła mi. Nigdzie nie widziałem tyle ładnych kobiet, jak tutaj.—Niech teraz wasza Melanka wije laurowe wieńce i na turniejach [rozdaje] nagrody—niech zrobi podobne wiersze, jak zrobiła sześćioletnia dziewczynka właściciela Nieświeża:

„Czy na tęgim rumaku, czy na chudej szkapie,  
Ten mą rękę pozyska, co [m] . . .<sup>1</sup> złapie.“

Chyba teraz pójdzie za mąż za cholere . . . Ciekawy jestem, co się dzieje z Olesią, z Zenonem—czy wiecie co o tym ostatnim?—Wielu moich znajomych opuściło Drezno—Dąbrowska pojechała do wód z ładną swoją córką—Komarowie wyjechali do Karlsbadu—kilku z mężczyzn wróciło do swoich majątków. Towarzystwo więc moje znacznie się umniejszyło. Nic teraz nie piszę—to mój zwyczaj w lecie . . .

X  
Przeczytałem wiele ważnych dzieł.—Teraz czytam pamiętniki *d'une Contemporaine*—nie podobają mi się.—

Kochana Mamo, całuję serdecznie twoje rączki i nóżki.—Kochanym Babuni i Dziaduniowi dziękuję z uszanowaniem za kilka słów, któremi mnie w liście obdarzyli.—Hersylko, bądź szczęśliwa i ty, Teofilu, nie gniewaj [się na] mnie, bo ja Ciebie szczerze kocham.—Adieu! Panu P[awłowi Jarkowskiemu] pełne uszanowania

---

<sup>1</sup> [W autografie zamazana litera (*m?*) i pięć kropek. Zapewne wiersz należy uzupełnić wyrazem: *Moskala*.]

ukłony.—Pisałem do Hauznera, żeby mi te 300 r. sr. przesłał wexlem do Drezna na Genewę.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

à Krzemieniec.

[Stempel pocztowy:]

No. 5. Radziwiłow, 7 Ijula.

(6.)

d. 6 Sierpnia<sup>1</sup> 1831 r. Londyn.

Kochana Mamo! otóż jestem w Londynie—jakim się to stało sposobem, do zagadek policzyć potrzeba. — Dnia 25. Lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie i z rana zapijałem niemiecką kawę, wtem drzwi się otwierają, wchodzi nieznajomy jegomość i powiada mi, że przywiózł listy od siostry mojej, z którymi jak najprędzej do Paryża i do Londynu mam jechać. Siostrzyczka moja była trochę chora i chciała, żeby ją tamtejsi doktorowie ratowali. Nadto przywiózł mi od siostry na drogę pieniądze—zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą—i tak we trzy godziny po odebraniu listów extra pocztą ruszyłem do Paryża.—Wszystko koło mnie mijało jak cienie latarni czarnoksięskiej—podróżowałem dzień i noc jak Gryzomir Krassickiego i nie wiele więcej od niego widziałem.—Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem. Płaciłem po królewsku.—O godzinie 12. w południe wyjechałem z Drezna. Nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26. byłem w Weimarze. Interessowało mnie to miasto jako będące miejscem pobytu Götego—bardzo ma ładną postać... Przez noc przejechałem przez Erfurt—Saxgota—a nad rankiem piłem kawę w Eisenach... śliczne miasteczko, a jeszcze piękniejsza droga, która z niego dalej prowadzi między ogromnemi górami.—W Fuldzie zatrzymałem się godzinę dla naprawy powozu—znalazłem tam w oberży chłopca, co pisze historią terażniejszej wojny czyli biografią Jenerałów... bardzo dobrze... Dnia 28.

<sup>1</sup> [Przekreślono: Lipca.]

z rana byłem w Frankfurcie, tam bawiłem godzinę dla zmienienia moich wexłów.—O południu byłem w Moguncyi—śliczny Ren—jaka szkoda, że na niego dłużej popatrzeć nie mogę!... Potem przeleciałem śliczne prowincye Reńskie, dnia zaś 29. wieczorem wyjechałem do Metz—co za przepyszny widok!—Miasto uiluminowane—jako rocznica rewolucyi francuskiej—lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes do Prefekta Departamentu—był na balu. Zabłocony i bez koszuli prawie, bo kołnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zdziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którém byłem przyjęty. Krótki interes, jaki miałem do Prefekta, odbywszy, pojechałem dalej.

X Szkaradna Francya—miasteczka gorsze od naszych miasteczek—nędza. W południe minąłem Verdun, wieczorem w Chalons-sur-Marne złamał mi się powóz—zostawiłem go tam i kazałem sprzedać na zysk składek zbieranych... 31. Lipca o godzinie 12 w południe wjeżdżałem do Paryża.—Postyilon mój wiózł mnie najpiękniejszymi ulicami i jemu winienem, że widział Paryż.—Zajechałem do Platerowej Ludwikowej—prosiła mnie, żebym poszedł spać; usłuchałem jej rady i przespawszy cztery godziny, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal i na posilenie żołądka—co uskuteczniłem w pierwszym paryskim trakterze. Prawda, że z pożytkiem wojażuję?...

O godzinie 5-tej wieczorem już siedziałem w chaise de poste i leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem uiluminowane miasta i miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety... Nic mi się szczególnego nie zdarzyło, oprócz (jak mówił świętej pamięci Strzelecki), oprócz, powtarzam, że tylko co się nie spaliłem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał pod mną i zupełnie spłonął—na pole od surduta i na kawalku kołnierza od płaszcza. Wszystkiemu temu winne cigaro—odtąd też ani cigarów ani lulki nie palę, a to nie tak z bojaźni jak dla nadzwyczajnej tego drogości w Londynie... Ale wróćmy do podróży.

Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, to jest 1. Sierpnia, przejeżdżałem przez Boulogne sur mer—widziałem morze—przyjemne przypomnienie Odesy. O godzinie 12 w nocy wjeżdżam do Calais—z Paryża mil 37. Śliczny widok latarni morskich, bo

każda inaczej się pali dla rozróżnienia. Stałem w Hotel de Bourbon. Okropnego mi wyplatał figla *Paquetbot à vapeur*—odszedł beze mnie. Nająłem więc statek, co mnie niezmiernie kosztowało—ale zato byłem panem okrętu—i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecznie nająć statek, bo czekać do jutra było niepodobna. Wjeżdżając do Dover, kazałem zatknąć francuski pawillon—i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebrany na brzegu Anglikom majtkowie odpowiadali—kto i skąd jedzie.—Śliczna Anglia!—murawa zieleńsza, a piasek czerwieńszej farby, co pejzażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona—śliczne miasteczka—Kanterbury jak mały Londynik wygląda.

O godzinie 5-tej z rana dnia 3. Sierpnia stanąłem w Londynie. Zajechałem do hotelu Royal na ulicy St. Jermyn.—Przeczytajcie Szyrmę o hotelu londyńskim, a wystawicie sobie moje zachwycenie. Ci lokaje, co wystrojeni na głos dzwonka jak duchy po wysłanych dywanem schodach wchodzą—te wykwintne śniadania—wszystko mi się podobało—żeby nie droga cena. Znów odsyłam was do Szyrmy.—*Je me suis mis en pension* w bardzo pięknym i umyślnie na to urządzonym domu—u Państwa Gordon. Pani sama bardzo dobra—prosi mnie, żebym, ile razy co jeść zechcę w dzień, żebym się do niej udał jako członek familii—i istotnie jestem jakby w własnym domu. Płacę na tydzień półtrzecia gwinei—to jest naszych 105 złotych. Mam ładny pokój, z rana angielskie śniadanie, o godzinie 1-szej drugie śniadanie bardzo pięknie zastawione, o godzinie 6-stej obiad wykwintny—wino osobno kupuję... Po obiedzie pijemy my mężczyźni aż do 8. ale pijemy bardzo skromnie, nigdy więcej nad pół butelki... o godzinie 8-mej proszą nas na herbatę do salonu, gdzie są damy; wieczorem panienki grają na fortepiano i śpiewają... rozmowa. Jeden Anglik bardzo się do mnie przywiązał i uczy mnie po angielsku... Słowem, bardzo mi tu dobrze. Anglicy [.....] Londyn przepyszny—Paryż ani w porównanie iść nie może.

Oj Teofilu, ty błędziłeś w Warszawie, a ja w Londynie nie błędzę, choć wystawić sobie nie możecie ogromu tego miasta—z jednej części do drugiej jeżdżą dylizansami. Lokaj dylizansu takiego wystawia palec, dos[łyć] mu jest palec nawzajem pokazać,

Wimc.  
X  
X  
a już jesteś na drugiej stronie miasta za [jeden] szyling, to jest 2 złote.—Miesiąc zabawię w Londynie. Nie troszczcie się o mnie. Potem wracam do Paryża. Znalazłem tu Doktora Heymana z Wilna—ów to ładny Heyman, Hersylko—bardzo dobry chłopiec.—Poznałem jednego ze sławniejszych literatów, Pana Leitch Ritchie—mam wyobrażenie życia literatów londyńskich—bardzo z nim dobrze jestem. Pierwszy wieczór przepędziłem u niego *en famille*, bo jest żonaty—byłem na herbacie, a potem zatrzymał mnie na ostrygi i whisky szkockie to jest wódkę z cukrem i z wodą, o której tak często Walter Skot wspomina. Prosił mnie na obiad; bardzo mi u niego dobrze. Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiej wagi—to, co było w mojej mocy—i szczęściem, że tylko fluxyi dostałem po tylu trudach—dwa dni prawie spałem w Londynie. O moi mili, wierzcie mi, że o was nie zapomniałem, że mi tu bez was tęskno; ale dobrze jest, że widzę Londyn—rodzina nasza będzie zdrowa . . . Mamo! Mamo kochana, nie zapominaj o mnie i kochaj przywiązanego syna.

[Adres:]

Pour la maison de Commerce de  
Hausner et Violland

à Brody en Autriche

priant humblement de renvoyer cette lettre à Madame de Becu.

[Stempel pocztowy:] 3. O. 3. F. 31.

(7.)

Paryż, d. 10 Września 1831 r.

Kochana Mamo!

Otóż jestem w Paryżu po 5-ciu tygodniach pobytu w Anglii.—Ach Londyn! co za miasto! Zaraz po przybyciu do Londynu pisałem do kochanej Mamy, jeżeli więc ten list mój doszedł, wiedzieć będziecie o powodach moich nadzwyczajnych przejażdżek po świecie.

Pobyt w Londynie kosztował mnie dukatów 50, lecz mogę powiedzieć, iż nie mnie nie kosztował, bo tyleż pieniędzy wziąłem za małą broszurkę po francusku napisaną, a którą Anglik ma tłómaczyć i pod swoim imieniem wydać. Żartujcie sobie teraz z mojej

literatury. Podróż, chociaż wprawdzie utrudzająca, nie mnie także nie kosztowała—przyjechałem więc do Paryża z mojami pieniędzmi nietkniętymi i te mi do miesiąca Czerwca wystarczą.—Myślę siedzieć w Paryżu przez zimę—nie dla zabaw, lecz dla łatwości, z jaką tu dostaję książek i dla dogodzenia potrzebie cichego życia, która się mnie czuć daje. Co za dziwna myśl, w Paryżu siedzieć dla cichego życia!—Ale wracam do Londynu. Wiele miałem w nim chwil zachwycających; [przyjem]ne miasto—wszedłszy na samą kulę wieży St. Pawła, rzuciłem okiem [woko]ło i pomimo niezmierniej wysokości wieży, z żadnej strony koń[ca] nie było widać—domy aż za horyzont się rozciągały—i pyszna Tam[iza] z ogromnymi mostami, i za ostatnim mostem las ogromny masztów, i nad brzegami Tamizy do obelisków podobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu—wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiadałem także, ale dla przygotowań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć *kąta poetów*, który mnie najbardziej interessował. Dziwny ma pozor dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowymi kamieniami—i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem zastanawiają się, czytając je pod nogami. Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliższej sławnych ludzi spoczywać. Pyszny także, choć jeszcze nieskończony<sup>1</sup> most podziemny—ogromna enfilada filarów—w każdym filarze lichtarz brązowy, z którego gaz się pali—ten rząd świateł i filarów niknący w oddaleniu, myśl wręście o ogromie przedsięwzięcia bardzo wielkie sprawia wrażenie.

Przez jeden dzień w Londynie byłem szczególnie szczęśliwy. Zszedłszy z rana do salonu na herbatę, odebrałem uwiadomienie, żebym się udał do jednego z londyńskich bankierów, który odebrał adresowany do mnie list z Paryża. Tegóż samego rana spostrzegłem w gazecie, iż Kean, sławny aktor, występuje w najświetniejszej swojej roli, to jest w *Ryszardzie III*. Co za radość!—nie spodziewałem się widzieć Keana, bo przez lato wielkie teatru londyńskie zamknięte, dopióro za dwa miesiące otworzyć się miały.

<sup>1</sup> [Przekreślono: widok mostu.]

Poszedłem do Bankiera odebrać list i znalazłem list od kochanej Mamy—wychodzę na ulicę koło St. Pawła katedry i czytam list, potrącany od przechodzących—list tak miły i tak uspokajający moje sumnienie. Dziękuję ci, kochana Mamo, dziękuję ci, kochany Teofilu, i proszę, abyście nie pamiętali moich dziwactw. Uszczęśliwiony listami, z pogodną myślą, [za]siadłem do długiej angielskiej tragedyi (odsylam was do wojażu Szyrmy), to tylko powiem, iż Kean nieporównany i gra jego zupełnie [jest w] moim guście. Anglicy dobrze wystawiają tragedye.—Byłem także [w V]aux halu—jest to ogród pysznie iluminowany trzy razy na tydzień—[w] dzień, w którym byłem, iluminacya była piękniejsza niż zazwyczaj, albowiem były to imieniny króla; śliczny fajerwerk—i ballon, w którym dwóch ludzi poleciało w napowietrzne krainy.—Przy końcu mego pobytu w Londynie przyjechał tam Niemcewicz—widywałem się ze staruszką, mile od niego przyjmowany. Wyrzucał mi, że mojej tragedyi litewskiej grać nie kazałem. Staruszek troche chory—smutny—i niepewny przyszłości—ale Bóg czuwa nad nami.

nie możecie sobie wystawić z jakim wylaniem się, z jaką czułością zegnali mnie Anglicy; ręka mnie bolała od ściskania się. Wszyscy wstali od stołu (co u Anglików jest niesłychaną rzeczą), aby mnie odprowadzić do powozu. W nocy wyjechałem z Londynu—nad rankiem stanąłem w Dover—tam cały dzień czekać musiałem na odejście statku parowego—o 4-tej po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze—im dalej płynęliśmy, tym było okropniej. Calais, choć miała cisaśnina, ale niezmiernie burzliwa. O godzinie 10. w nocy ciemność była okropna—i fale tak wzburzone, że przelatywały przez pokład. Znużony—i dręczony morską słabością, poszedłem do kabiny czyli do salonu. Dziwny widok: ze 40 osób leżało na sofach i na podłodze—szczęściem miejsce maleńkie na sofie znalazłem—skurczyłem się i zasnąłem—a jednak pomyślałem sobie przed snem, iż może się gdzieindziej obudzę.—O godzinie 12. w nocy obudzono mię rozmową—dowiedziałem się z rozpaczą prawie, że do portu Calais wpłynąć było niepodobieństwem, bo tegoż ranka przy wejściu do portu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go. Znów więc kilka godzin morskiej słabości—wracamy napowrót do Dover. Posępny był widok portu Calais—latarnie morskie pogaszone dla ostrzeżenia okrętów, żeby



nie wchodziły nocą—i szum okropny wzburzonej fali. Wracamy do Dover—lecz nimeśmy wrócili, wiatr ustał i napowrót kapitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8-mej z rana przybyliśmy. Śliczne było słońce wschodzące na morzu. Miałem [więc] wyobrażenie burzy.—Po tych przeprawach szczęśliwie dyl[izans]em dos[tałem się] do Paryża. W Paryżu piękne pałace. Ogród Tuilleries z swemi drze]wami bardzo piękny—ale cóż za podobieństwo do ogromnego [parku Ja]mes w Londynie—gdzie po obszernej murawie rozrzucone ogromne drzewa—i pasą się najpiękniejsze trzody—i naokoło ogromne pałace [za] drzewami pokazują się wpół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielko[ści] i nieskończoności widokom angielskim.—Paryż podobny jest do innych miast, do Warszawy—Londyn jest zupełnie oryginalnym.—W Paryżu nie zastałem tych, których widziéć chciałem. Gorecki i Mickiewicz w kilka dni przed moim przyjazdem pierwszym do Paryża wyjechali do Drezna—Odyniec, który w kilka dni przed moim wyjazdem z Drezna wyjechał do Litwy, dla zaszytych zmian, jak się dowiaduję, znów do Drezna powrócił. W Paryżu mało jeszcze mam znajomości, a salonowych żadnych. Lecz dobrze mi z tym, mam śliczny mały pokój z mahoniowemi meblami i z marmurowym kominkiem—co za przyjemność w zimie!

Dzięki ci, kochana Mamo moja, że mi nawet w tych okolicznościach trudnych nie dajesz nawet uczuć żadnych niewygód—o, żebyś Mama mogła czytać w moich myślach, zobaczyłabyś, ile tam jest wdzięczności i przywiązania. Myśląc o Mamie [....] przychodzi mi na myśl Heryngowa—o synu tylko wiem, że jest w Warszawie i potrzebuje pomocy. Braknie mi miejsca na wyrażenie wam wszystkim mojego przywiązania. Ściskam ciebie, kochana Mamo, Babuniu, Dziaduniu, Teofilu, Hersylko, Melanko etc.

[Adres:]

Pour la maison de Commerce  
de Hausner et Violland en Autriche à Brody

Priant de renvoyer cette lettre à Madame de Becu et de m'adresser les réponses à Paris.

[Stempel pocztowy:] 14 Sept. 1831.

Paryż, d. 20 Października, 1831 roku.

Kochana Mamo!

Od dwóch prawie miesięcy jestem w Paryżu i nie odbieram od was żadnego listu. W takich czasach możecie sobie wystawić, jaka niespokojność dręczy mnie o was. Jeszcze do tego Mamy zdrowie z nadejściem zimy... Wszystko to, wszystko okropnie mnie przeraża—a ja tak daleko—ani mogę, tak jak niegdyś, zlecieć do Krzemieńca—w nocy odbić waszą fórtkę—obudzić Dziadunia—uchodzić przez chwilę za złodzieja, co się wkrada do domu—i z rankiem być przyjętym ze łzami od Mamy.—Cóżbym dał za taką chwilę!—Zdaje mi się, iż widzę i tę górę zamkową oświeconą księżycem, i słyszę mój dzwonek pocztowy. A my mieliśmy się kiedyś zobaczyć szczęśliwi—i wszystko to być by mogło...

Czyście odebrali mój list z Londynu i drugi z Paryża? Wiele zbiegłem świata—żyłem z Anglikami, bo mi się podobali; z Francuzami nie żyję—mam do nich jakąś nieprzezwyctęzoną odrazę—taka nieszczerość—i tak wiele gadają.—Samotny prawie przepędzam dzień cały. Brałem lekcye hiszpańskiego języka i teraz już doskonale rozumiem Donkiszota—nie równego jak Donkihote (notabene uczę Teofila, że jeżeli chce uchodzić za Hiszpana, niechaj to *h* wyrwie z głębi brzucha). Uczyłem się po hiszpańsku jedynie dla Kalderona Tragedyi, ale dotąd ich nie skosztowałem—co to dla mnie będzie za źródło! jest ich kilkaset.

Wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje mniej pięknym niż było w imaginacyi—i potem zostaje w pamięci dwa obrazy—jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany; drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginacyą. Kiedyś utworzy się trzeci najpiękniejszy z imaginacyi i z sennego przypomnienia—i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z tych trzech obrazów.—Nie pojmuję, jak Bayron mógł pisać na miejscu.

Jeden najmiłszy z wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu *Père la Chaise*. Nic nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju—za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z tru-

dnością przedrzyć się można—różne drogi krzyżują się w tym le-  
sie—w cyprysach mnóstwo róży miesięcznych—bladych, ale kwi-  
tnących wiecznie—czasem ognistym kwiatem błysnie geranium—  
groby wszystkie podobne do siebie, najczęściej małe kolumny  
z marmuru białego—we środku na górze jest mała kaplica—stam-  
tąd wzrok po murawie, z wierszchołków cyprysowych utworzonej,  
spada na dół, i zdala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż  
ze swojemi gmachami—nad nim gdy byłem, zachodziło słońce.—  
Czarne wozy ciągle tam przez pryncypalną ulicę przejeżdżają, ale  
pogrzeby tu bardzo ciche—u nas tak żydów chowają.—Dochodząc  
do cmentarza, pełno ogródków i sklepików obwieszonych wian-  
kami ze świeżych i artyficyjalnych kwiatów. To charakteryzuje  
Francuzów—każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoją bo-  
leść, a kiedy da kilkanaście, to kwiaty z płótna aż po roku trzeba  
będzie odmienić.

Byłem na kilku Teatrach; nie możecie sobie wystawić, jak  
Francuzi szkaradnie grają Tragedyą—każdy wiersz przez nadprzy-  
rodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu—  
na piękne kawalki świszczą—nie nie lubią, tylko małe komedyjki—  
w każdej musi być Dej algierski; tego wiecznie dręczą—i zdaje im  
się, że to jest sława narodowa. Byłem na takim wodewillu; zupeł-  
nie podobny do siedem razy jeden—Francuzi rozplywali się.—  
Nie tak drogie życie w Paryżu, jak nam wojażerowie opowiadali—  
zapewne, iż bywać po balach i po domach gry to kosztuje, ale żyć  
można spokojnie i po kawalersku za 2000 franków. Za 2 franki  
mam w Palais Royal obiad bardzo dobry—zupa, trzy lub cztery  
potrawy i desser—z pół butelką wina. Potrawy wybierają się  
z karty, na której ze sto jest do wyboru—i można kazać dawać  
najwykwintniejsze. Wino zwyczajne szkaradne.—Zenon był w W.—  
Gazety czytam zawsze w ogrodzie Tuilleries, gdzie za jedną gazetę  
płaci się sous—to jest dwa i pół grosza—za tak małą liczbę można  
się dowiedzieć, co się dzieje na świecie—nie szczęśliwego.

Odyniec siedzi w Dreźnie na nowo—nie miałem od niego  
listu—pisuje tylko do Tedwena, z którym bardzo się dobrze po-  
znaliśmy—jest to Szambelan Dworu Saskiego, Polak—dawniej  
wojskowy.—Ja się bawię jak mogę—w sztambuchu jednym napi-

salem następujące wiersze po angielsku. Ale wiersze białe—bezry-  
mowe—niech tam kto nie upatruje rymu między *made a reward*.

It is probable to us — the bargain will be made.  
France shall deliver the Africanean shores  
To the English people, — and take in reward  
The country of the Rhine, perhaps the part of them;  
And from another will be made a kingdom,  
And given to the prince of orangean house. —  
And we shall be not free, — but theutonian slaves,  
And shall have our laws, given, but unobserved.  
The fair land of Miaulis shall suffer, — and sold  
This bargain; — and take king with a snowy crown...  
It is but uncertain — I have no but dreamed  
If the dream is true — you will gain nothing there.

Taka to jest diabelna poezya, że nie umiejąc złożyć dwóch  
wyrazów, a już składam wiersze—i dziwić się temu będziecie; tak  
ja się dziwiłem w Anglii dzieciom, które pięciu lat nie mając, a już  
po angielsku gadają.—Śliczny tu czas mamy, chociaż na drzewach  
mało już liści—czasem nawet bywa gorąco—dotąd nie widać żad-  
nego płaszcza ani wotowanego surduta—gdy ten list odbierzecie,  
zapewne już będę sobie rozkładał ogień na kominku.—Jeżeli kto  
będzie oddawał pieniądze, to weźcie—za kilka tysięcy wdzięczny  
wam będę. Widzicie sami, iż dla mnie niema innego widoku, jak  
te nieszczęśliwe poezye—czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja  
w moim życiu zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem,  
innej nie spodziewałem się karyery. Kiedy z małego ułamku \*  
znany byłem wszystkim Polakom w Paryżu i w Dreźnie, kiedy jesz-  
cze dotąd każdy, poznając się ze mną, wykrzyka: a, to autor B—  
czegoż spodziewać się mogę na przyszłość? Przynajmniej nie za-  
pomnienia. Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego, co mi naj-  
więcej w życiu zrobiło przyjemności. — Jeżeliby mi się szczęśliwie  
z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpa-  
nii, a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym i Wenecją, Try-  
jest, Wiedeń wrócić kiedyś do was, jeżeli będzie można.—Jakbym  
był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały! — Wiecie, iż teraz  
snom wierzę i mam przekonanie, powzięte z doświadczenia, iż

\* Hymn Boga Rodzica. (S. B.)

niektóre są prawdziwe. W domu, gdzie mieszkałem w Anglii, jednej nocy obudził mnie sen okropny—było to 16. Augusta. Zdało mi się, że należę do zaburzeń. Kiedym zszedł na herbatę, wszyscy spostrzegli zmęczenie na mojej twarzy—wyznałem im ze wstydem sen nocy—i przepowiedziałem na ten dzień coś ważnego. Anglicy potem mieli mnie za obdarzonego drugim widzeniem.— Dowiedziałem się, iż teraz do domu, gdzie ja mieszkałem, przeniósł się Niemcewicz—bardzo mi miło, że tam jakiś Polak mnie przypomina—zwłaszcza, iż tam dobre po sobie zostawiłem wspomnienie.— Widziałem tu Rymgajłę—tego to, który w domu Podczaszyńskiego<sup>1</sup> w Wilnie był jak domowy, i teraz tu się uczy architektury.—Ale z Podczaszyńskim Michałem, co mówi, iż mnie na rękę nosił, dotąd się nie poznałem, nie wiem dlaczego.—Często chodzę patrzeć, jak sztychuje Oleszczyński, jeden z najpierwszych sztycharzy w Europie, młody Polak—z ojczystej historii bierze przedmioty—i wydaje album rysunków różnych czynów i pomników. Sowiński wydaje pieśni ukraińskie i polskie ludu, z tłumaczeniem w francuskim, w którym się na sentymentalną muzykę zamieniają. Kobietom tutejszym niezmiernie się *Hryć* podoba—także pieśń o Potockim, ale ja znajduję, że ją Mama lepiej ułożyła. Jeżeli macie jakie dumki z muzyką ładne a mało znane, to mi przyslijcie.

Ciągle tu wychodzą karykatury—król nawet nie jest oszczędzany i wszędzie doskonale podobny. Widziałem go wczoraj—jechał pod baldakinem, ubrany w mundurze bogatym, iskrzyła się czerwona liberya, srebrzyste koni chomąty, a za nim oddział konnicy—a potem w karytach postrojoni ministrowie.—Napiszcie mi co o cholery—tutaj jej jeszcze niema—i nie prędko spodziewana—zupełnie o nią nie myślę. Szkoda Urbańskiego—czerwone jabłko zjadła.—Zdrów jestem zupełnie. Choroba morska posłużyła mi, ale co to za niegodziwa choroba—będzie mnie zawsze odstraszać od przydłuższych wojażów morskich.

Bardzo tanio można tu kupować książki—i byłaby to dla mnie przyjemność mieć niektóre, ale ponieważ nie wiem, gdzie się obrócić, więc nie chcę się obciążać nielatającym tłumakiem. Nie chcę, ażeby mnie nic wstrzymywało daleko od was. Mamu kochana!

<sup>1</sup> [Przekreślono: Mich.]

X  
Y  
takbym chciał ciebie widzieć—takbym chciał przywiązaniem moim wynagrodzić ci, Matko, tyle cierpień, któreś poniosła z mojej przyczyny... Potrzeba mi spokojności—nieraz sobie myślę, iż nawet w Krzemieńcu mógłbym mieszkać szczęśliwy—i powiadam sobie nieraz z Chateaubrianem: *si j'avais encore la folie de croire au bonheur, je le chercherais dans l'habitude*.—Francuzi piszą teraz mnóstwo romansów w różnym rodzaju—niekiedy używają starożardzawiałego stylu, wprowadzając starych czasów osoby, tak właśnie jak gdyby na teatrze Neron powinien po łacinie jak student trzepać. Najlepszy z tych romansów jest *Les mauvais garçons*, bezimiennie wydany. Przeczytaj go, kochana Mamo, jeżeli dostaniesz.—Strasznie zdrobnieli we wszystkiém Francuzi—nie mogę sobie wystawić, żeby to był ten sam Paryż, tak świetny niegdyś za Ludwika XIV—i nie powiem, jak Trembecki, żem widział:

X  
..... W dalekiej krainie  
Ateńczyki w Paryżu — Rzymiany w Londynie.

Adieu, droga Mamo, zaklinam ciebie, żebyś mi jak najprędzej choć kilka słów napisała i prosiła bankiera, aby je przesłał do Paryża. Adres mój: *Rue Neuve de St. Eustache N. 5*. Taki list niezawodnie do mnie dojdzie. Adieu, droga Mamo. Uściskaj ode mnie rączki Babuni i Dziadunia. Nie, pocałunek ten składam na Melankę—ona już mnie musiała zupełnie z serca Dziadostwa wyrugować. A Teofil cieszy się—i schudnie z zazdrości, kiedy ja powrócę i jednym słowem hiszpańskim serce Babuni i Dziadunia na powrót odbiję... Oj, tak będzie.—Hersylko, Teofilu, bądźcie zdrowi.—

Wasz.—

X  
Kłaniajcie się ode mnie jak najpiękniej Olesi. O, ta umie żyć na świecie! Dobrze się baba wybrała. Napiszcie mi, czy prawda, że Ludwisia ma pomieszanie zmysłów—nieszczęśliwa!—Panu P[awłowi] Jarkowskiemu moje ukłony. Często chciałbym być na jego miejscu i siedzieć spokojnie w murach Jezuickich. A P. Paweł dla cholery możeby się ze mną na Paryż pomieniał.—Powiedzcie także Mackdonaldowi, iż znałem w Anglii i mieszkałem w jednym domu<sup>1</sup>

<sup>1</sup> [Przekreślono dopisany nad wierszem wyraz: *Anglik*]

[z człowiekiem], którego imie irlandzkie zawsze mi go przypominało. Nazywał się: Mac Donell.—

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

p. Adresse de MMrs.

Hausner et Violland,

Banquiers

à Brody en Autriche.

[Stempel pocztowy:] Paris. 21. Octo. 1831.

(9.)

*Par y ż, d. 10 Grudnia 1831 r.—*

Kochana Mamo! Doczekałem się był jednego od was listu—i z niewypowiedzianą radością dowiedziałem się, żeście zdrowi i spokojni; lecz teraz znów od was nie mam wiadomości, chociaż na mój list ostatni odpowiedź nadejść by była powinna. Więcej o was mam przyczyn niespokoić się, niż wy o mnie—stąd i częstszych listów od was koniecznie wymagam; z mojej strony częstsze być listy nie mogą—kto wie, czy i te nie będą wam powodem do jakich nieprzyjemności lub do fałszywych tłumaczeń nie dadzą powodu.—Kochana Matko, bądź zupełnie spokojna o mnie—byłoby mi dobrze, gdybym wiedział, iż wy za mnie gorzej nie będziecie. Ty, kochana Mamo, mogłabyś przede mną co ukrywać i to mnie właśnie dręczy—bo nawet listy wasze nie mogą mi tego wybić z głowy.—Wielu mam teraz znajomych, ale żadnego miłego, żadnego z którym by mi było żyć przyjemnie—i chciałbym jak najprędzej wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojej imaginacji—bo Paryż bardzo prozaiczny—szkaradny—ani tak świetny jak był kiedyś dawniej. Trzyma mię w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować—ale już tyle moich nadziei na niczem speszło—Często dnie całe przepędzam w sławnej galeryi posągów i obrazów w Luwrze—i już znam się nieco na malowidłach; często, spojrzawszy na obraz, zgaduję autora. Szkoła francuska zupełnie mi się nie podoba—figury nienaturalne i wykrzywione, koloryt to nadto ciemny, to nadto światły. Ulubiony mój malarz jest Paul Ver[onese].

X  
Bardzo się ucieszyłem raz u jednego, spostrzegłszy oryginał obrazu ulubionego Babuni—oryginał tego obrzezania w pysznym kościele z kręconymi kolumnami. A więc, abyście wiedzieli, przez kogo ten obraz został skomponowany, donoszę wam, iż go w tu-tejszej galerii przyznają Giulio Romano. Niektórzy jednak sądzą, iż należy do jego współzawodnika, Bartłomieja Ramenghi, nazwanego inaczej Bagnacavallo; powodem do twierdzenia jest człowiek, po prawej stronie widza przy brzegu obrazu stojący, w którym niektórzy widzą portret tego ostatniego malarza.—Pyszna galeria Luwru blisko tysiąca kroków ma długości, cała zapelniona najpiękniejszymi obrazami—lecz czy uwierzycie, spojrzawszy na dwa małe obrazki Rafaela, nie wiedząc, że były przez niego malowane, myślałbym, że je jakieś dziecko nabazgrało; trzeba znać się na nich, żeby rysunek ocenić. Pomyślałem wtenczas, iż tak często nieznającym się na głębi poezji Szekspir wydaje się dzieckiem albo waryatem wtenczas, kiedy każda jego scena odkrywa głęboką znajomość serca ludzkiego i napiętnowana jest wielkością poetyckiego geniuszu.

X  
Obchodziliśmy rocznicę urodzin naszej kuzynki. Jedynie oglądając się na was, nie przyłożyłem się do tego obchodu tak, jakiem to sobie wprzód, nie rozważywszy dobrze, zamierzył. Rej\* wodził na wieczorze znajomy niegdyś w Krzemieńcu tancerz—dzisiaj zjedzony przez mole biblioteczne, chudy, z dwoma czerwonymi plamami na policzkach, któremu do ozdoby jeszcze wąsy przybyły.

Proponują tu nam różne literackie zatrudnienia; myślałem nad tem, ażeby jaki romans po francusku napisać z naszej historyi—ale za pieniądze pisać nie mogę—zupełnie; ile razy o tém myślę, imaginacją mam zupełnie skrzeplą. Poznałem się także z kilką literatami mniej sławnymi, którzy proponowali mi wiersze moje po francusku tłómaczyć—zamówiłem sobie ich, aby to po wydrukowaniu moich wierszy uczynili.

Z poetami tutejszemi nie śmiem i nie chcę się poznawać, bo teraz nieznajomy cierpiałbym, nie mogąc sobie należnego między nimi zająć miejsca. Widziałem zdaleka Wiktora Hugo na imieni-

---

\* Lelewel (S. B.).



nach kuzynki. Wcale z jego postawy geniuszu nie widać—patapuf  
zupelny; w życiu prywatném szczęśliwy—ma żonę, dzieci troje,  
a to wcale nie na rękę dla romantycznej poezyi.—Lamartine mie-  
szka we Florencyi; klassycy francuscy uważają go za pierwszego  
poetę, co mnie nieskończenie gniewa. Jest w Paryżu Cooper, Ame-  
rykanin—tego będę się starał poznać; wydał on nowy romans,  
już nie w Ameryce ale w Wenecyi odbywający się, pod tytułem:  
*Le bravo*; śliczny romans. Bravo nie znaczy tu oklasku, ale czło-  
wieka, który zabija za zapłatę sztyletem. *Bravo* Coopera, tak jak  
jego *Szpieg*, jest to człowiek niewinny zupełnie, który rządowi się  
zaprzedał dla uwolnienia z więzień stanu od kilkunastu lat jęczą-  
cego w nich ojca—a rząd, sekretnie ludzi podejrzanych zabija-  
jąc, składa to na sztylet niewinnego bravo; widząc nareście, że się  
wszystko odkryje, oddaje go pod miecz katowski. Nic piękniej-  
szego, jak widzenie się bravo ze starym uwięzionym ojcem. Nie  
mogłem się od łez wstrzymać, tak mocno i z taką prostotą odma-  
lowane.

Chodząc raz po Palais Royal, słyszę, iż ktoś mnie po nazwi-  
sku woła—zgadnijcie kto? Oto Hłuszniewicz, doktor, który mnie  
raz widział, przychodząc do chorej Mamy... Dziwiłem się, że  
mnie po tylu latach poznał—winien to jestem zapewne memu  
nosowi.

O Jasiu nie się dowiedzieć nie mogę. Zenon i Henryk bliżej  
was niż ja. Miałem teraz przyjemny obowiązek wybrania dla  
Tedwena, w Dreźnie będącego szambelanem dworu, guwernantki  
dla dzieci—stąd widziałem wiele panienek, examinowałem je i na-  
uczyłem się metody Jacottot, która teraz jest bardzo używaną we  
Francyi. Dzieci tą metodą uczone bardzo się prędko wprawiają do  
czytania i pisania, z rezonowaniem uczą się historyi i jeografii;  
wyszły już o tem książki—i te kiedyś, posyłając wam moje wiersze,  
dla Melanki przysłać nie omieszkać. Metoda ta zastósowaną  
jest i do muzyki i do rysunków, ale czytanie i pisanie najlepiej mi  
się podoba: nie dręczy dzieci uczeniem się abecadła, ani długim  
syllabizowaniem, ale pokazując dziecku na książce frazes, czyta  
go póty, póki się go dziecko na pamięć nie nauczy; a potem każe  
mu zgadywać, gdzie każda litera... a w następujących słowach po-  
wtórzzone drugi raz litery, każe dziecku zgadywać, gdzie je już

widziało. Tak, kiedy się dziecko czytać jeden frazes nauczy, już drugi idzie łatwiej—i widziałem, że postępy dzieci są zadziwiający. Sprobujcie uczyć takim sposobem Melankę, obracajcie jeden frazes tysiącnymi sposobami, rozdrabiając go na słowa, na litery, na sylaby—nie porzucajcie tego frazesu, póki się go doskonale nie nauczy—a upewniam wam, iż po kilku miesiącach czytać będzie doskonale.

Kilka dni temu byłem na sławnej nowej operze romantycznej: *Robert le diable*. W całej Europie tej opery nigdzie nie wystawiają—tak jest pyszną; trochę w guście *Freüszitza*—prześliczna muzyka. W życiu moim nie widziałem tak wielkiego kościoła, jak tu przez złudzenie na teatrze. Piękny jest nadewszystko widok kolumnady przy świetle księżycowym, zrobionej zupełnie *à jour*—za kolumnami widać cmentarz oświecony księżycem—z grobów między kolumnami wymykają się błękitne płomyki i te, tańcząc w powietrzu, potem rozchodzą się i każdego ożywia jedną marmurową mniszkę, leżącą na grobie—te się zwolna podnoszą—z całego cmentarza schodzą się mniszki i zaczynają śliczny balet—za wybiciem zegaru wszystkie upadają—jest to śmieszne, ale wykonanie prześliczne. Wir mniszek okręcających się na cmentarzu przy natężonym błękitnym świetle księżycy—uderzył silnie moją imaginacją. W orkiestrze po pierwszy raz użyto bębnow, kotłów, dzwonek—i wszystkiego, co tylko sobie [można] wystawić. Autorem muzyki jest Meyerber. Słowem: *l'opéra a fait un pas*. Kochana Mamo, jakbyś się ty rozplywała nad tą muzyką. Często sobie myślę—marzę, [jeśli] mi Bóg w moim zawodzie poszczęści, jeżeli złączywszy kiedyś nasze (jeżeli będę miał jakie) przychody, a te wynosić będą z 5000 franków na rok—wtenczas, kochana Matko, przyjedziesz do Drezna, tam życie bardzo tanie—widziałem jak Panna Czacka mieszkała—najmiemy sobie taki wiejski domek—i może będzie nam dobrze... Drezno bardzo lubię—i radbym tam wrócić. Mama będziesz zupełnie kontenta z domu Dobrzyckiej, gdzie mnie tak dobrze przyjmowano—wreszcie znajdziemy tam więcej domów naszych. Ten projekt koniecznie wykonać potrzeba, bo inaczej straciłem nadzieję, żebym mógł kiedy ciebie, kochana Mamo, zobaczyć—a chciałbym ci dowieść, że wszystkie moje uchybienia teraz z dojrzałą rozwagą, ze zmienionymi mojami wyobrażeniami, już

miejsca mieć nie będą... Okropnie mi nawet myśleć, że ty, kochana Matko, wspominając o mnie, możesz powiedzieć: „on mi za moje przywiązanie nie odwdzieczył.“—Matko moja, widzę wszystkie twoje dobrodziejstwa, widzę delikatność twoją i umiem odgadnąć, że przedanie kocza,<sup>1</sup> pozbycie się tej przyjemności—jest nowym twoim dowodem przywiązania dla niewdzięcznego syna, dla którego wystarczyć nie możesz. Stąd nie dziw się, że ja będąc w Paryżu, nie puszczam się na świat wielki, gdzie teraz albo ogromne wydatki, albo poniżenie mojej miłości własnej spotkać by mnie mogło—ale jeszcze ja żyć muszę, choćby rok tylko.—Bądźcie zdrowi. Wszystkich, wszystkich was całuję i ściskam.—Kochana Mamo, całuję ciebie serdecznie.

*Juliusz.*

[Adres:] Pour la maison de Commerce  
de Hausner et Violland

à Brody en Autriche

priant de faire parvenir cette lettre à Madame de Becu.

[Stempel pocztowy:] 11 Dec. 1831.

(10.)

*Paryż, d. 24. Stycznia 1832 r.*

Kochana Mamo! Odebrałem drugi wasz list zaraz po oddaniu na pocztę mego poprzedniego do was listu; nie możecie sobie wystawić, ile mię każdy z waszych listów uszczęśliwia—tego tylko nie mogę darować, że mi do Paryża na jednej ćwiartce piszecie. Jabym chciał wiedzieć o wszystkim. Wasz kraj tak mi się pięknym teraz wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy—o powrocie ani myśleć, bo powiedzcie: cobym ja teraz robił? Różnica kosztów życia bardzo mała, czy tam, czy zagranicą—a mniejsza jeszcze będzie jak się wyrwę z Paryża i pojedę do jakiego włoskiego miasta—gdzie, jak mówią wojażerowie, dukat tak się zdaje długi, że jego końca doczekać się nie można.—Biedni wy teraz—myśleć o was spokojnie nie mogę.

Towarzystwo moje w Paryżu bardzo się powiększyło—wielu

---

<sup>1</sup> [Przekreślono: *nie jest*]

mam nawet szkolnych kolegów, ale wszystko nie ci, którychbym sobie życzył—słowem, że nie mam prawie towarzystwa. Życie moje bardzo jednostajne i gdybym go sobie litteraturą nie urozmaicał, nudne by było. Najlepiej jestem z jednym Anglikiem, z którym często wieczory przepędzam i chodzę na spacer; temu winienem, iż po angielsku już trzepię—a rozumiem wszystko doskonale. Jedną więc z moich największych przyjemności jest to, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Walterskota pokaże. Ten ostatni wydał teraz romans pod tytułem: *Le comte Robert de Paris*, z czasów pierwszej krucjaty, którego scena w Konstantynopolu. Jedną z najdoskonalszych osób jest Anna Comnena, córka Cesarza greckiego, sawantka; drugą doskonałą osobą jest małpa, która czasem gra rolę diabła i właśnie w takim ostatnim charakterze dusi filozofa.

Życie moje, jak mówiłem, jest bardzo jednostajne. Z rana wstaję, o godzinie 10. piję herbatę w domu, potem piszę, potem idę czytać gazety. O czwartej idę na obiad, gdzie się schodzi wielu Polaków—tam się zawsze widuję i gawędzę z godzinę z Antonim Gor[eckim (S. B.)], dawniej pierwszym poetą. Jest on teraz w Paryżu, przyjechał z Drezna—i zrobił mi wielką przyjemność, przywołując mi ukłony od ładnej Saxonki, córki mojej gospodyni. Trzeba wam wiedzieć, iż Gor[eckim] mieszkał w tem samem co ja mieszkaniu—i ta panienka, zamiast odpowiadania mu na jego sentymenta, o mnie mu ciągle robiła pytania—znużony tém, powiedział jej, że ja się żenię w Paryżu. Bojąc się zatem, aby ta plotka do was nie doszła i nie przeraziła was, muszę jej tu zaprzeczyć.

Dobrowolski Doktor, któren tu jest także, wczoraj na obiedzie powiedział mi, iż odebrał list ze stron waszych, w którym mu donoszą, iż Jaś\* u was został—i przez sąd Erazma Rakowskiego przechodzić będzie. Wiadomość ta, pierwsza jaką o Jasiu powziąłem, napół mnie ucieszyła, napół zasmuciła. Spodziewam się, iż to, co piszę, już nie będzie dla was nowiną.

Między nami tutaj głupstwa się dzieją—ciągle pojedynki. Najlepszy był w tych dniach, bo<sup>1</sup> oba pistolety pistonowe nie wy-

\* Januszewski. (S. B.)

<sup>1</sup> [Przekreślono: opo]

pały—widać, że proch był z węgla— i pojedynkujący się spokojnie rozeszli. Nie lękajcie się jednak o mnie zupełnie, nie jestem w tym kole, w którym tak kule latają—gdyby nawet i nie pojedynki, tobym w nim żadnej nie znalazł przyjemności.

Odebrałem teraz list od Odyńca z Drezna—wyborny list; wszyscy moi znajomi kolejają na wiersze się zdobywali, a Odyniec wierszami pisał nad tą poezją komentarze. On sam tłómaczy teraz wierszem *Lalla Rook Moora*—tę dziwną mozaikę; nie wiem skąd ma do niej upodobanie.

Mickiewicz jest w Poznańskim.—Michała Podczaszyńskiego niema tu teraz—jest w jednym z miasteczek francuskich. Wielką mi raz zrobił przyjemność, opowiadając mi o mojem dzieciństwie. Mówił mi, iż raz strasznie zacząłem kaprysić. Ojciec więc kazał mi rozesłać dywan na podłodze, posadził mnie na tym dywanie i kazał, żeby nikt do mnie nie gadał. Powiada Podczaszyński, iż dziwna była moja mina, kiedym tak na dywanie siedział; potem ochłonawszy z gniewu, przeprosiłem ojca, mamę i wszystko było dobrze.

Muszę wam jeszcze donieść, iż we Francyi napotkałem raz w traktyerze soczewicę, której od śmierci Ojca nigdy nie jadłem; jedząc teraz, smak mi się jej przypomniał, jak sen jaki mego dzieciństwa. I prawdziwe dzieciństwa piszę wam w tym liście—lepiej-bym zrobił, pisząc wam o kolumnie Wendome: cała lana z harmat zdobytych przez Napoleona—pomnik na ślicznym placu i najpiękniejszy w całym świecie, ale braknie mu głowy—to jest statuy Napoleona. Zobaczymy, jak pójdą rzeczy: może na niej ta statua stanie, może, jak na starych ruinach, lilie porosną. Teraz jednak już nie lilie, ale gruszka jest herbem Francyi, a to z następującego powodu—Malarz jeden skazany za zrobienie karykatury na pięć miesięcy więzienia i zapłacenie 5.000 franków, wymalował następującą zemstę: na jednej ćwiartce wymalowana głowa Ludwika F[ilipa (S. B.)], potem ta głowa zwężona u góry a szersza u spodu, potem trzecia jeszcze bardziej podobna do gruszki, a nakoniec czwarta zupełna gruszka—i podpisał: że ponieważ gruszka jest podobna do poprzedniej figury, ta do poprzedniej, a ta do króla— a zatem za wymalowanie gruszki mogą być skazany na... Z tej karykatury urodziła się druga daleko lepsza. *Un crieur public*,

jak u nas licytant woźny, trzyma wyniesiony *sur une estrade* gruszkę—pod spodem siedzi wiele osób z orderami—(a ponieważ król domagał się w budżecie 14,000.000 franków dla siebie, których mu nie dano), więc podpisał malarz pod karykaturą: licytant krzyczy: „à quatorze millions! . . . à quatorze millions! C'est pour rien . . . à quatorze millions . . . personne ne dit mot . . . à quatorze millions — adjudgé . . . Przynajcie, że to doskonała karykatura, sprzedają gruszkę za czternaście milionów.

Jedną także z największych nowości we Francyi jest wystawienie historyi romansowej naszej kuzynki na teatrze *Cirque [Olympique]*; byłem na nim—wielkie głupstwo. Nie możecie sobie wystawić, jak są głupi Francuzi—jak chcąc coś wydać wielkiego, właśnie z prostoty wpadają w deklamacyą śmieszłą. Dosyć powiedzieć, iż figura \* blada, która nosi buty z kutasami, siedziała przy mnie na krześle podczas reprezentacyi—i ta sama figura w czerwonym płaszczu cuda na scenie wyrabiała. Smutne to było dla nas—i czasem lzy się kręciły w oczach, czasem śmieliśmy się do rozpuku. Teofilu, w życiu naszym nigdy nie podobnie pięknego nie zobaczymy\*\*, jak wtenczas, kiedyś ty się zachwycał—i tylko machinka pod językiem zachwycenia wydać ci nie pozwalała.

Był tu teraz bal na dochód ubogich, na którym wielu z moich znajomych było, ale tylko głowy w tłumie widzieli—taki był ścisk; między temi była i gruszka. Nie byłem wcale ciekawy tej osobliwości. Są tu Władysław i Cezary, z którymi w Wilnie do szkół chodziłem—pierwszy jest nieznośną nudną figurą, drugi bigot, tak jak Gorec[ki].

Mąż Wysogierdowy czeka z niecierpliwością żony. Napiszcie do Olesi, że o niej zawsze pamiętam i często tu z osobami znającymi ją gadam o niej. Napiszcie mi także, jak się im powodzi—jeżeli będą mieli syna, niechaj nazwą Februiarius; nie wiem skąd ta anekdota Güntera przyszła mi na myśl. Kręcą mi się po głowie teraz wszystkie anekdoty, bo powiem wam pod sekretem, iż piszę romans po francusku—z naszych oryginałów. Scena na Ukrainie—głównymi osobami są: ś. p. szlachcic, co obchodził święta Cerery

\* Lelewel. (S. B.)

\*\* 29 Listp. 1829. (S. B.)

i drugi, co podróż do Turcyi czy do Arabii odbywał—a trzeci jeometra Zszantyr, znajomy wam ze sztuki śpiewu i innych doskonałości. Wszystko sprzężone z wielu fikcyami—i długimi rozmowami w guście Walterskota—i z długimi obiadami w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków. Słowem, będzie to *chef d'oeuvre*, za które mi powinni jak za takie zapłacić. Mam już 5 rozdziałów i tylko mi 25 nie staje—to bardzo nie wiele. Ale nie mówcie o tém nikomu, bo wystawiając żywe oryginały, można się kiedy z nimi spotkać—*j'ai cependant la précaution de faire périr mes personnages à la fin de la pièce, pour qu'on ne puisse plus les retrouver dans le monde*. Stąd możecie sobie wystawić, że będzie wiele krwi rozlewu—bardzo przepraszam—uniknę tego, półowę osób wieszając...

Mamo kochana, Matko moja, odbieram list twój w tym momencie o godzinie 11. wieczór—tak rozdzierający, tak okropny. Mamo droga, ty mi życzysz, aby mi dobrze i długo dobrze było. Nie, to niepodobna, ja tyle cierpię, ile razy wspomnę o tobie, ile razy odczytuję który z twoich listów. O Matko moja, jak ty dobra jesteś! Wierz mi, Mamo, że gorzko płaczę, kiedy to piszę—chciałbym się tobie do nóg rzucić. O Matko moja, gdybyś ty była bogata, gdyby tobie było dobrze, jakby mi było miło mieć wszystko z twojej dobroci—ale teraz to mi serce rozdziera.... Spokojniejszy byłbym prawie, gdybym musiał tak jak inni pochlebstwem lub różnemi sposobami datki na rodzicach wyciskać... A ty mi wszystko dajesz... czyż będziesz mnie jeszcze tak podłym sądzić, abyś myślała, iż te wyrazy ze łzami pisane są nieszczerze.... Matko moja, jakżeś mogła twój list zakończyć słowami, iż mi nie wiele dobrego zrobiłaś na tym świecie—czymże ja byłbym, gdyby nie ty, Mamo moja... Wszystko dobre mam od ciebie—wszystkiemu złemu sam jestem winien. Wszystko mnie znudziło—musiałem wszystko porzucić—i jak waryat gonię za [jakąś tam] urojoną nieśmiertelnością—nieszczęśliwe jest to skierowanie moich myśli w dzieciństwie... Ale [cóż zrobić! już tak być musi—tylko ty, Mamo, nie uważaj tego za dzieciństwo, tego stanu, w jakim [...]] jestem. Wiesz, Mamo kochana, powiem ci to, czego nikomu nie mówił—w dzieciństwie, kiedy byłem exaltowanie nabożny, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie najnędziejšie—żebym

był pogardzony przez cały wiek mój—i tylko żeby mi zato dał nieśmiertelną sławę po śmierci. Widząc teraz, jak się skierowały wszystkie okoliczności i uczucia moje, widzę wyraźnie—i czasem przekonany jestem, że jakaś nadprzyrodzona moc pochwyciła moje dziecinne prośby i dotrzymuje mi układu. Straciłem nawet nadzieję być kiedyś szczęśliwym—i przysięgam ci, Mamo, że nigdy nawet o żadnym szczęściu, o żadnej przyszłości nie myślę . . . . . Piszecie mi, iż Jaś zginął; list, o którym wam wspomniałem, donosi tylko, iż „został w kraju“—ale nie wiadomo czy żywy, czy umarły—nie chcę więc robić żadnej nadziei; jeżeli umarł—zazdroścę mu.

*D[nia] 25.*—Dziś rano odczytuję ten list i zły jestem na siebie—równie mnie gniewa wesołość pierwszej połowy, jak koniec. Teraz kiedy wiem, że moje listy nic nie szkodzą, częściej pisywać będę. Hauzner mi przysłał rachunek kosztów za listy, wynoszący 12 franków—cieszy mnie to, bo teraz śmielej jego pomocy używać będę.—Babuniu Droga i Dziaduniu, wdzięczny wam jestem, że mnie jeszcze trochę kochacie—teraz możecie być dumni z waszego syna, który tak skończył, jakbym ja kiedyś życie chciał zakończyć—i przyjdzie jeszcze chwila. Adieu, moja Mamo droga.—Twój . . . Teofilów całuję.—

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

à Krzemieniec.

(11.)

*D. 7. Marca 1832 r. P a r y ż.*—

Kochana Mamo! Nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy, i tobie, Matko moja, winienem jedyne szczęście, jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi; za dwa miesiące będziesz je Mama miała. To tak samo, jakbyś mnie zobaczyła—bo ja nie jestem niczém inném, jak mojemi poezyami. Od jakiegoś czasu piszę dziennik umyślnie dlatego, abym tobie, Mamo, szczegóły i wyjątki z niego mógł posyłać. Życie moje teraz jest daleko rozmaitsze—a przyczyną tego jest Skibicki, który tu przyjechał z Ameryki i z którym wzajemnie tak po-



kochaliśmy się, iż teraz wszędzie razem chodzimy. Chłopiec to co się nazywa do rzeczy—wrócił, chcąc walczyć—porzuciwszy drugą swoją Ojczyznę, która dla niego rajem była. Na drugi dzień po poznaniu się (wyjątki z dziennika) jedliśmy razem obiad, gadałiśmy o was, o naszym przypadku w Czernolówce, który nas do Korczówki zaprowadził. Pamiętasz, Matko kochana, jak cię ten przypadek martwił, a teraz musi ci się tak blahym wydawać; otóż to nauka, żeby się niczém nie martwić, bo wszystko złe i dobre przemija—ale to coś wpadłem w styl homeryczny.—Dalej pokrótce szczegółły mego życia. Napisałem po francusku Ode, która mi ogromną sławę, ale tylko między rodakami zrobiła, bom jej nie drukował. Za drugą ode, w naszym języku napisaną, 200 Polaków publicznie uradziło, aby mi dać pierścień jako poecie przeszłorocznych wypadków. Dotychczas nie dali mi go jeszcze—ale to jest bardzo korzystnem dla mnie, bo z niecierpliwością dzieł moich czekają. Nie przyszłę wam wiele exemplarzy tych dzieł, bo się lękam—do kraju zupełnie posyłać nie będę. Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem na zawsze, tak jak Murray Byrona, i będzie mnie oszukiwał. Byłem dwa razy na teatrze na przedstawieniu nowój dramy Dumasa pod tyt.: *Térésa*. Śliczna! Jest to pierwszy pisarz tragiczny francuski. Byłem na wielkiej operze: *Niema z Portici*, która tak jest ładną, iż oprócz *Freüzitza*, nic podobnego nie znam. Najpierwszą tancerką baletu jest Taglioni. Nieladna ale tak zgrabna, iż mówią wszyscy, że na świecie nie podobnego widzieć nie można—wszystkim Polakóm, oprócz mnie, głowy pozawracała.—Ale największe wrażenie zrobiła na mnie owertura, którą mi w Dreźnie moja panienska grała, kiedy po obiedzie leżałem w gorąco wyciągnięty na kanapie i przerzuciłem, drzemiąc, książki.

Skibicki oświadczył mi, iż mnie annonsował bez mojej wiedzy u Xiężny naszój Cz[artoryskiej (S. B.)] Kazałem więc na łeb na szyję, żeby mnie krawiec stroił, tak jak można kij ustroić i nadać mu nieco z osą przeciętą podobieństwa. Krawiec, jeden z pierwszych krawców, Polak, wysilił się i prawdziwie zadziwiającym sposobem jestem zgrabny—ale te trzewiki, te mnie zabijają, a bez nich ani się pokazać. Przed poniedziałkiem, który jest dniem wieczorów u Xiężny, byliśmy z wizytą—i nie zastawszy w domu, zo-

stawiliśmy bilety (które są u mnie sztychowane pierwszy raz w życiu). Wystawcież sobie, co za grzeczność: Xiężna, chociaż mnie przez Skibickiego na wieczory zaprosiła, kazała Błotnickiemu list do Skibickiego napisać, prosząc mnie raz jeszcze.—Dzień poniedziałku, 20 Luty, nadszedł. Tego samego dnia siedzę rano u siebie, aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 fr. i natychmiast składa mi na stole całą sumę w biletach razem z listem od Mamy. Od tej chwili inne zaczęło się dla mnie życie—ułożyłem zaraz na zajutrz pójść do drukarza—sam zaś w najlepszym humorze poszedłem na wieczór. Skibicki prezentował mnie—przerwaliśmy czytanie wierszy przez Pana Julien de Paris, sławnego wydawcę *Revue Encyclopédique* i znanego z przyjaźni ku nam.—Potem znów rozpoczęło się czytanie, podczas którego przybyło wiele osób, kłaniając się zdaleka gospodyni i nie przerywając deklamacyi. Gdy się ta skończyła, xiężna przyszła do mnie i przez kilka chwil gadaliśmy, ale na nieszczęście Skibicki wmieszał się do konwersacyi i powiedział, że Polska mnie mając, nie będzie Anglii Byrona zazdrościć—te i tym podobne pochwały zmusiły mnie, iż się w tłum wmieszałem. Gdy błądzę w labiryncie osób, przychodzi do mnie Lud[wik] Plater i oświadcza, że żona jego życzy sobie mnie poznać—poszliśmy więc do niej. Sama Pl[aterow]ła bardzo grzeczna—gadała o moim ojcu, ale zwyczajnie jak to pańska pamięć, nie wiedziała, że umarł—potém zaprosiła mnie na Czwartki.

Po tych prezentacyach nastąpiła nowa. Skibicki przedstawił mnie Panu Julien. Jest to człowiek bardzo stary—przyjął mnie jak najgrzeczniej i zaczął rozmowę o literaturze. Krytykowałem mu trochę literaturę francuską, nie oszczędzając nawet wierszy, które czytał, bo te były nie jego. Pan Julien zaprosił mnie do siebie. Dzień Czwartek jest u niego przeznaczony na przyjmowanie wizyt—i dał mi swój adres. Potém zaczął się mazur maleńki, bo bardzo mało dam polskich młodych. Xiężna wybrała mnie nie tańczącego w pierwszej figurze jako gościa. Potem walcowałem z nią i z innemi damami. Pierwszą tu polską pięknoscią jest Panna Mierzyńska, której matce byłem prezentowany.—Potem wróciliśmy ze Skibickim do domu. Noc była śliczna, i przechodząc przez mosty, widzieliśmy księżyc odbijający się w Sekwanie.—Otóż, ko-

chana Matko, masz obszernie opisanie mego wstąpienia na świat—tyle zaproszeń razem—dziwne to na mnie wrażenie zrobiło, i przychodząc do domu, powtarzałem sobie mimowolnie smutne wiersze z *Raju utraconego* Milтона—cztery ostatnie wiersze, które zaczynają się: „Świat był cały otwarty przed nimi“, a kończą się: „tak oni spokojnym i powolnym krokiem przez Eden rozpoczęli samotną drogę.“

Nazajutrz rano poszedłem do drukarza Pinnard o druk się układać i tam zastałem bardzo ładną Pannę Pinnard, której narzeczony zawiaduje drukarnią. Ten narzeczony był bardzo grzecznym dla mnie, ułożyłem się o druk i dwa tomy będą mnie kosztowały nie tak wiele, jakem się spodziewał. Potem zostałem z Panną Pinnard i z tą długo gadaliśmy—biedny narzeczony musi panienki słuchać—musiał ze łzami w oczach na obiad mnie zaprosić. Pewny jestem, iż mnie na niczém nie oszukają. Chodźko mówił mi, iż ode mnie o trzecią część biorą taniej niż brali za dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze się poznawać z panienkami—dobrze się zostać przy kominku i o czém inném niż o interesach pogadać.

We czwartek poszedłem na wieczór do Platerów L. Ci, jak wiecie, są aż do zbytku uprzejmi—widziałem tam Pannę Komar, o której wam już pisałem, bo bywałem u Komarów w Dreźnie. Ładna to marmurowa osóбка. Znów była herbata—znów mazur. Dla Francuzów jeden kontredans, jeden, bo i Francuzów nie wiele. Tam miałem przyjemność widzieć Jenerała Umińskiego tańczącego.—Ale cóż pisać o tych wieczorach, które tak są do siebie podobne. Otóż teraz z rana jestem literatem—poprawiam korekty, piszę, przepisuję, a wieczorem od godziny pół do dziesiątej staję się *un Dandy*, angielski *petit-maitre*—i przyznam się wam, że to lubię; staram się, żeby nikt wieczorem nie odgadł, czem ja jestem z rana—a z rana, żeby nic mi z wieczornej *fatuité* nie zostało. Nie zawsze mi się jednak to udaje—bo na drugim wieczorze u Xiężny przyszedł do mnie Ludwik Pl[ater] z pochwałami o tryumfach, jakie moje ody odniosły i prosił mnie o wiersze—odpowiedziałem mu, że drukuję. Widać, że ta prośba pochodziła i od żony Jego, bo ta, słyszałem, jak się pytała męża, kiedy wyjdą moje poezye. Potem Lud[wik] Pl[ater] zaparł mnie do kąta i musiałem z nim półgodziną o literaturze i o Anglii odbyć roz-

mowę; widziałem, że mnie polubił, bo mnie usilnie na przyszły czwartek zaprosił.

To dotąd o mnie, teraz cokolwiek o Paryżu. Jest to ostatni dzień zapust. Przez te całe dni maski jeżdżą w kabrioletach otwartych po ulicach—ale to nie osoby pierwszego tonu. Najwięcej arlekinów—i pajaców. Dziś jednak spotkałem widok bardziej interessujący—jest to processya wołu. Rzeźnicy wybierają najtłustszego woła, ubierają go w złociste szaty, złocą rogi—i sami przebierają się za dawnych rycerzy średnich wieków—i tak naprzód konno muzyka, potem tłum rzeźników na koniach w zbroi, potem dwa rzędy bogato przybranych rycerzy, majstrów cechowych—potem wół, który, jak mówią, trzy tysiące funtów waży, rzecz niepodobna do uwierzenia, choć prawdziwie wół ten zdawał mi się olbrzymim—po wole jedzie wóz przybrany, powożony przez woźnicę ubranego za Saturna, na tym wozie na przodzie trzech rycerzy, a na ostatniej ławce dziecko między dwoma ładnie przybranymi rzeźniczkami. To dziecko dawniej siedziało na wole, lecz raz się jedno z dzieci zaabiło i od tego czasu na wozie je sadzają. Wół oddaje naprzód wizytę królowi, a potem wszystkim ministerjalnym wołom. Wszędzie rzeźnicy dostają podarunki—nazajutrz zaś, to jest w popielec, zabijają wołu i wszędzie, gdzie był z wizytą, sztuki z niego rozsyłają. Smutnie patrzałem na stworzenie, które jutro głowę pod topór odda. Czy mogliście sobie wystawić, aby wśród ucywilizowanego Paryża takie były farsy niezgrabne? Kiedy to piszę, pod moimi oknami dwie karyty odkryte, napełnione maskami, przejeżdżają. Jest poco do Paryża jeździć—gdyby przynajmniej te maskarady miały koloryt romantyczny, jak weneckie—do tego potrzeba sztyletów. A tu proza—ulice napełnione żandarmami. Piszesz mi, Mamo kochana, abym co doniósł o mojej kuzynce—biedna ona—nic ją dobrego nie czeka—a przynajmniej jeszcze tego dobrego przewidzieć nie można. Teraz żałuję, że nie jestem bogaty: tyle tu nędzy, że sobie wystawić nie możecie. Niektórzy w mieście nieco odległym od P[aryża] mieszkać przymuszeni, po złotemu na dzień biorą i bez butów prawie chodzą.—Przeklęty to naród.

Piszecie mi, żebym książkę Mianowskiemu przysłał; nie wiem, jakiej chce, bom listu od niego nie odebrał. Posyłając wier-

sze, napiszę do Olesi—i do Ludwisi; wątpię, ażeby na tej moje rady co wymogły—przykro mi będzie pisać.—Ze Skibiękim robimy projekta wojażu po Włoszech piechotą—ale nie wiem jak to będzie, bo mi dzieła teraz trochę wyciągną groszów, a te z początku bardzo będą wracać powoli. Zawsze jednak mam zamiar mieszkać w Neapolu dla taniości życia—w Paryżu zaś zamówię i uproszę Chodźkę, aby nadal dzieła moje po umówionej już cenie drukował, bo żeby mieć czém przypomnieć się publiczności, nie drukuję teraz napisanego już poematu *Lambro*.

Kochana Mamo! Zawsze powtarzam twoje: „jakoś to będzie“—i może nieraz w jednej mówimy je chwili. Nie dziwcie się, że teraz używam *j*, jota—bo drukując, musiałem się ortografii nauczyć.

U nas wiosna, u was śnieg być musi. Wiele za moje listy płacicie? Czy dzieła moje dojdą? Wiele chcesz Mama exemplarzy?—Kochana [Mamo,] całuję cię serdecznie. Napisz mi, gdzie mieszka kuzyn Mamy w Galicyi, co fortepian sprowadzał i jak się nazywa? Adieu. B[abunię, Dziadunia], Hersylkę, Teofila, Mel[ankę] serdecznie ściskam.<sup>1</sup>

Kochana Mamo! Posyłam Ci list Skibiękiego, który z wszelkiem uszanowaniem na pół arkusza był napisany—ja pozwoliłem sobie pół listowego czystego papieru odciąć i tylko uwiadomić Mamę o tej formie uszanowania—i sam zabazgrzę jeszcze tę stronicę. Ale prawdziwie, że nie mam czym, bo nie spodziewając się takowego przybytku w papierze, wszystko, co miałem na sercu, to w poprzedzającym liście wypisałem. Spodziewam się, że mi Teofil w następnym liście pobyt swój w Wierszchówce opisze, bo mnie to bardzo interesuje, jak oni biedacy znoszą nieszczęście. Chciałbym być kiedyś w takiem położeniu, abym mógł Stasia małego zagranicą wychować i tym sposobem dać poznać ceniom Jasia, iż go po śmierci więcej nierównie kocham niż za życia. Co porabia Zenonek?—Henryk?—Jaki u was karnawał? Bo w Paryżu był bardzo świetny. Rząd płacił ludowi, aby przybierał postać wesolą—i wielu teraz z pajaców odbiera za śmiech pozawczo-

<sup>1</sup> [Następujący dalej tekst mieści się na odwrotnej stronie listu Michała Skibiękiego].

X rajszy pieniądze—tak to się tutaj bawią. Maskarady wszystkie w najgorszym guście, uczciwe damy prawie nie bywają. Nie miałem tu wcale ochoty, tak jak niegdyś w Wilnie, przebierać się za Hiszpana—bo pewny jestem, iżbym nic podobnego jak Porcankowa w ubiorze Westalki nie zobaczył.

X Odyniec pisał do mnie z Drezna wyborny list z wierszami wszystkich moich znajomych, nad którymi Odyniec pisze komentarze. Jest on, a przynajmniej był niedawno w Lipsku.—Do Drezna wyjeżdża stąd Gorlecki, poeta—nie żałuję go, bo ze swoją bigoterją nudny człowiek. Na wiosnę będzie spokojnie... Żle...  
X W Tuilleries ogrodzie postawiono śliczną statwę. Jest to Spartakus rwący kajdany. Statua ta patrzy na pałac królewski; ciągle otacza ją tłum ludu i mówi: „gdyby nasze były z gipsu!“... Wąrują Francuzi dla nowej tragedyi Kazimierza Delavigne, pod tytułem *Louis XI*. Nie widziałem jej jeszcze, bo przed Teatrem zawsze tłum ludu, który tu się ogonem nazywa—i każdy przychodzący musi na końcu ogona stawać, tak, że nim się docisnąć, już biletów niéma. Nie możecie sobie wystawić, jak Paryż nie jest nic osobliwego.—Jeszcze raz całuję rączki kochanej Mamy... Wszyscy! wszyscy! bądźcie zdrowi i kochajcie mnie trochę—Tak mi miło zagranicą myśleć, iż mam przecie kogo, co mnie kocha, choć daleko ode mnie.—Adieu.—

Jul—

[Adres:]

Pour M<sup>l</sup>l<sup>l</sup>rs. Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody en Autriche.

Les priant d'avoir la complaisance de renvoyer cette lettre à Madame de Becu.  
[Stempel pocztowy:] P. Payé. Paris. 9 Mars, 1832.

[List Michała Skibickiego.]

Paris, 8 Mars 1832.

Madame!

J'ai eu l'avantage de rencontrer ici Mr. votre fils, que j'ai vu naître; vous concevrez aisément combien j'ai du plaisir à être avec lui, jouir de sa conversation, admirers es talens, qui relèvent encor le mérite de son père, dont la mémoire est tellement révéree, enfin cette foule de souvenirs qui se pressent, après une absence de tant d'années...

Il m'a permis de vous adresser quelques lignes afin de vous rappeler un ancien ami, qui réclame la faveur d'envoyer la ci-jointe à Berchy où demeurent Mrs. Jules et Vincent Denisko. Peut-être par cette entremise ils parviendront enfin à recevoir de mes nouvelles et les communiquer à ma mère, ma soeur et autres personnes de ma famille.

Il est aisé de vous figurer combien j'y tiens, et comme vous ajouterez aux faveurs que je dois à votre famille depuis mon enfance.

Veillez bien, Madame, excuser la liberté que je prends et croire aux sentimens de la considération la plus distinguée

de votre dévoué serviteur

*Michel Skibicki.*

P. S. Daignez me rappeler au souvenir de Mme votre Mère, qui m'a toujours comblé de faveurs, et dont je conserve le souvenir le plus reconnaissant, ainsi que de tous mes amis de Krzemieniec.

(12.)

*Pa rly ż, d. 13 Kwietnia, 1832/ r. <sup>1</sup>*

Najukochańsza Mamo! Nie śmiem ci napisać, że mi [te]raz lepiej na świecie niż kiedykolwiek było—bo sobie sam wyrzucam, że ja mogę być bez ciebie, kochana Matko, szczęśliwy. Jakoż to uczucie, którego teraz doznaję, nie jest zupełne—was mi potrzeba. Potrzeba mi cię widzieć, kochana Mamo, kiedy będziesz moje wiersze czytała—potrzebaby mi było, abym ci je sam mógł przeczytać. Matko kochana, widząc jak tu wiele teraz ludzi lubi mnie i kocha, i mogę powiedzieć, uwielbia, nie wstydziłabyś się twego syna. Czuję to i to dumne uczucie sprawia mi przyjemność—widzisz, kochana Matko, że wiele myśli robiących mi przyjemność do ciebie odnoszę. Odebrałem list twój dnia 14. Lutego datowany. O, jakie śliczne wspomnienie téj chwili, kiedyś mnie Mama prosiła, abym ci słońca nie zaciemniał. Jaka śliczna Modlitwa Melanki—Płakałem, czytając ją—i potem list czytałem Skibickiemu, który także, słysząc modlitwę Melanki, łzę z oczu otarł. Ta łza na jego posępnéj twarzy dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Jak Stern chciałbym być mieć wówczas pod ręką tabakierkę Bernardyna. Kłaniałem się ku-

---

<sup>1</sup> [Rękopis uszkodzony; data dopisana obcą ręką.]

tasom\* u bótów, które mile to przyjęły; wy je uwielbiacie—szczęśliwi! Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi; jest to *le prophète voilé de Korashan*, tak go nazywamy ze Skiblickim]. Manuskrypta Jasia są tam, gdzie fortepian—w tłómoku, razem z mojými rzeczami. Starajcie się ten tłómok sprowadzić, bo i mnie miłoby było, żeby moich rzeczy obcy nie przetrząsali ludzie.—Otóż są odpowiedzi na wasz list. Teraz zaczynam wam dziennik moich czynności—tak jak go z mojego po angielsku pisanego dziennika tłómaczę, skracając nieco. Tylko ty, kochana Mamo, nie czytaj tego listu nikomu, bo ja inaczej szczerze pisać bym nie mógł—sama tylko rodzina ma prawo w moje czynności zaglądać.

*Dnia 12. Marca, Poniedziałek.* Panny Pinard, córki drukarza mego, który przed kilką miesiącami umarł, zaprosiły mnie na obiad. Znalazłem tam Chodźkę. Średnia z panien nazywa się Kora. Śliczna, zupełnie taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę *Mohikanów*. Dziewczynka młoda, ma lat 15-cie i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja, jak zawsze nieszczęśliwy, więcej daleko podobalem się pannie Pinard najstarszej, która coś na sawantkę zakrawa—a ponieważ mam dobre uszy, podsłuchałem jęj rozmowę z Chodźką. Mówiła jemu, iż mnie znajduje bardzo do rzeczy i z dowcipem, a on jęj na to odpowiedział: „*Mais, les Polonais ne sont pas bêtes.*“ Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, że zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupcami.—Po obiedzie zostałem sam z pannami—i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypomniały mi się ciche domowe wieczory w Wilnie. Nazajutrz posłałem Korze kilka ładnych romanśów, które na teatrze słyszałem. Po obiedzie, a raczej po wieczorze u Panien, poszedłem na wieczór Xiężny Czar[toryskiej]. Jaki kontrast!—tak mi było nudno—gadałem cały wieczór z hrabią Ludwikiem Platerem], z którym bardzo jestem dobrze. Żona jego prosiła mnie [abym przyszedł do] nich którego wieczora i co przeczytał—śliczna propozycja! Właśnie teraz więcej niż kiedykolwiek uciekam od salonowej reputacyi.

\* Lelewel. (S. B.)



Pisał do mnie Odyniec. Tłomaczy *Lalla Rook Moora*.—Byłem na obiedzie, dawanym na imieniny kutasów u bótów.

Przez cały czas bardzo się dobrze prowadzę—żadnych zbyteków i wyboczeń. Nie mam czasu nic czytać. Nic nie piszę—to dowodzi, że zdrow i silny, przynajmniej taki jest barometr mego zdrowia. Dodałem kilka scen do *Mindowy*. Spodziewam się, iż wkrótce ze sprzedaży dzieła zbiorę dosyć na wydrukowanie *Lambra*, a wtenczas ruszam do Neapolu; tam siedzę i patrzę na morze. Oto są do końca Marca szczegóły mego życia.—...

*Dnia 25 Marca, Niedziela.* Był to dzień przeznaczony na obchód uroczysty urodzin naszêj wileńskiej kuzynki. Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między którymi znajdował się podpis Julliena starego—list zaklinający mnie, abym na posiedzeniu literackim czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem ody, w której umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszła wieczór—ogromne zgromadzenie—mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Laffayette przydywał—wszyscy czytali po francusku—kutas także. Czytano wiersze francuskie—potem na końcu Vice prezes, obracając się do zgromadzenia, rzekł—że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich, aby po polsku deklamował—a stąd wzywa P[ana] S.; aby zasiadł miejsce. Pan S. nie zasiadł, lecz stojąc, mówił—Cóż... trudno opisać—rzuciłem całym zgromadzeniem—potem rozlałem wiersz ody i powiedziałem jedną śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, znów wróciłem do ody—i zakończyłem myślą z *Lambra* wyjętą. Wypiszę ją tu:—

Ja będę śpiewał i dążył do kresu,  
Ożywię ogień, jeśli jest w iskiecie...  
Tak Egipcyanin w liście z aloesu  
Obwija zwiedłe umarłego serce —  
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa —  
Chociaż tym liściem serce nie ożyje,  
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,  
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,  
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie,  
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

Po skończeniu prezes ścisnął mnie za rękę—i gadałem z nim przez chwilę. Starzec interesujący.—Francuzi mówili, iż z taką

duszą deklamowałem, że wszystko zrozumieli prawie. Kiedy po skonczeniu spojrzałem na tłum dam, obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić i znów spojrzałem, i jeszcze to samo spojrzenie—żeby tak długo, tobym zwarzjował.—Potem słyszę głos jednej damy, po polsku<sup>1</sup> pytającej się wszystkich o mnie. Była to pani Białopiotrowicz, którą w Dreźnie znalazłem. Ta skoro mnie postrzegła, przyleciała z krzykiem: „Ach, serce pana!...“ Odpowiedziałem, że się cieszę, jeżeli się jej moje serce podoba. Potem wymawiała mi, że u niej nie byłem—potem zapytała, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce zapisać swój adres. Gdybym go był miał, to ręczę, że w pugilaresie znalazłbym coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka. Ale ja z najzimniejszą krwią wziąłem ze stołu pióro i kawałek papieru i dałem te materiały nie romantyczne, co znacznie wenię jej osłabiło, tak, że tylko o mieszkaniu samém dowiedziałem się.

Potem w kilka dni byłem na wieczorze u Plat[erów], gdzie znów nowe od obojój płci zbierałem pochwały—gdzie Pan Jullien znów się do mnie przysiadł i upewniał, że odę zrozumiał. Dowiedziałem się, że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezyi pisać.—Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął do tłómaczenia mego *Mnicha* i *Araba*. Skibicki pisze artykuł do *Revue Encyclopédique* o moich poezyach i tam będą umieszczone dwa Lemaitra tłómaczenia.

5 Kwietnia, Czwartek. Cholera w Paryżu. Z rana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną. Chłopiec mały 15-letni umarł na cholere. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały.—Wystawcie sobie, że kiedy chłopiec konał—kiedy wszyscy rzemieślnicy stali wokoło bladzi i przeżarci, tak, że nikt się tknąć chorego nie ważył—moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała lekarstwo; gdy się o tém dowiedziałem, chciałem gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i pocałować—szczęściem, że rozwaga przybyła mi w porę.—

Dnia 6 Kwiet[nia], Piątek. Z rana byłem na mszy żałobnej, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za zmarłego ojca.

<sup>1</sup> [Przekreślono: wol]

Celebrował Xiądz Praniewicz, Polak, źmudzin, który aż po Ameryce wałęsał się i od 5 lat w Paryżu usługę ołtarzową pełni. Wielki oryginał. Potem Xiądz zaprosił nas na śniadanie do siebie—ale fraszka śniadanie.—Xiądz jest poetą—pisze, drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze—i te nam śpiewał przy fortepianie—nic dziwniejszego jak ta melodia. Najwięcej mi się podobała strofa, w której Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom Marszałek francuski,  
Narodowi temu wierny,  
Z mojemim szedł na kraj pruski  
Przez Sassy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki otrzymaliśmy po egzemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Xiądz sądzi, iż jest wielkim poetą—pochwały nasze utwierdziły go w tém mniemaniu. Była to jednak dla mnie scena nauczająca mnie, aby mniej ufać miłości własnej, mniej pochwałam cudzym—scena bardzo potrzebna—bo czy uwierzycie, że dowiedziawszy się o śmierci Götego, pomyślałem sobie, iż Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie, wydającego poezye, miejsce zrobił na świecie... Matko moja, widzisz, jak szczerze piszę ten dziennik, piszę nawet głupie moje marzenia.—Niech ci przynajmniej, kochana Matko, te listy dowiodą, jak ciebie kocham, jakbym chciał, abym się do szczęścia twego mógł przyczynić. Ale lękam się mówić częścię o Korze, bo bym was znudził—a jednak, szczerze pisząc, i o nię mówić muszę.

D. 7 *Kwiet[nia], Sobota*. Ze Skibickim chodziliśmy do Szkoły gimnastycznej, gdzie znaleźliśmy Błotnickiego z jego pupillem,\* który się tam uczy.—Sienkiewicz, dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Błotnickiego] z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzej poezye moje przysłał, bo je chce na angielski język tłómaczyć. Widzisz, kochana Matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze, i pewny jestem, że wszyscy moi tłómacze lepiej niż ja wyjdą. Miło mi wreszcie, że to Sienkiewicz tłómaczyć będzie—i mimowolnie przypomniałem sobie Mikulskiego, który mi radził niegdyś poezyi zaniechać, mówiąc, że Sien-

\* Witold X. Czartoryski. (S. B.)

kiewicz daleko większym ode mnie był poetą, a przecież tego błędnego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykołę kiedyś oczy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłómaczone moje poezye.

D. 8 *Kwiet[nia], Niedziela*. Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć—dziwne prawdziwie moje lekcye. Starsza siostra bardzo z tego kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy jej mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny bardzo się wykształcają—chce więc zapewne, aby się panna Kora uformowała. Bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób. Panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem—dziwna dziewczyna, mówiłem wam, że Hiszpanki ma zakrój. Wczorze ze Skibickim na włoskiej operze. Pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków, a jednak nudziłem się—i ze Skibickim kłócieliśmy się przez cały ciąg sztuki o włoską i niemiecką operę—ja byłem za ostatnią. Grano *Il Pirata* Belliniego—i *Othello*, operę Rossiniego. Rubini, pierwszy śpiewak, nieporównany.

D. 9 *Kwiet[nia], Poniedziałek*. Skibicki po wczorajszej kłótni przyszedł do mnie o 12. w południe i pociągnął mnie na koncert historyczny w konserwatorium muzyczném. Dziwne to jest zjawisko—koncert historyczny. Pan Fétis, professor, czytał rozprawę o sztuce oper od najdawniejszych czasów, a po każdój z trzech rozpraw następowały przykłady—przez pierwszych śpiewaków—i stare sztuki śpiewane były przy tych instrumentach, których dawniej używano. Nic piękniejszego dla mnie, jak słyszeć Rubiniego, naśladowującego starego jakiegoś śpiewaka przy akompaniamencie klawicymbału, harf i wioll. Wystawić sobie nie możecie, jak to interesujące, jak miło wpada w ucho postęp sztuki, jak widać każdy przeskoczyć do doskonałości, jak się wreszcie ładnie wydawały arje Webera i Rossiniego, na końcu śpiewane. Ścisnąłem Skibickiego za sprawioną mi przyjemność. Nie możecie sobie wystawić, jakim on jest dla mnie, jak mnie w świat prowadzi, jak sam pomaga do tego, abym tam był dobrze przyjęty... Otóż to koniec życia dawnego Julka Słowackiego.

D. 12 *Kwiet[nia], Czwartek*. Mam Poezye moje—i pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem nieskończonych przyjemności.

Matko moja, cóż ty, cóż wy wszyscy o waszym Julku powiecie?

Matko moja, zdaje mi się, że ciebie te poezye nie zmartwią—chyba zasmucisz się temi kilką błędów drukarskich, których twój szalony Julek uniknąć nie mógł. Zwłaszcza pod koniec *Żmii* błyszczą te omyłki straszliwym blaskiem. Dziś obaczyłem u Pinnard registr ludzi sławnych, zawarty w biografii *Contemporains*—z pod S. litery taki porządek: Skrzynecki Jan.—Słowacki Euzebiusz.—Słowacki Juliusz.—Smuglewicz Franciszek.—Śniadecki Jan.—Śniadecki Jędrzej.—etc. Widzicie, że w dobrym jestem towarzystwie. Ucieszyło to mnie bardzo. Jest to najslawniejsza biografija—ciekawym jestem, co o mnie piszą—będę się starać dostać jój. To dziwniejsza, że ta biografija wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye; a stąd nie wiem, z czego mnie tam sławnym zrobili. Niezadługo wyjdzie o mnie artykuł w *Revue Encyclopédique*, przyszłę wam go—na końcu rozbioru moich dzieł będzie umieszczony poemat *Arab*, tłómaczony przez Lemaitre. Posyłam wam exemplarze z podpisami—nie wielu osobom posyłam, a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować—aby te osoby, które ode mnie dzieło otrzymają, wiedziały, że ja je szczególnie szanuję i kocham.—Na drugi dzień po wyjściu dzieł Oleszczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu portret mój zrobić pozwolił—jak wyjdzie, przyszłę go wam. Wierz, kochana Mamo, że tyle tu mam uwielbienia od moich rodaków, że mnie już krytyki nic nie obchodzą; martwię się tylko błędami druku—ale spodziewam się, że będę mógł prędko drugą edycją wydać i te błędy zginą.—Posyłam exemplarz Cioci Franusi i Paluskiój—spodziewam się, że dla nich nie będą obojętne podpisy. A ty, kochana Matko, jakimże sposobem mógłbym ci dać poznać, że ciebie jeszcze [z] pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam? Czy ty nie odgadniesz, Matko moja, [co] ja czułem, podpisując dla ciebie exemplarz?—Wiém, kochana Mamo, że tobie to zrobi przyjemność, że kiedy będą chwalić Julka, to wreszcie uwierzysz, że to nie czynią osoby dla oszukania łatwomiernie kochającej Matki. Teofilu, Hersy[lko], widzę stąd mój exemplarz naprzód na waszym stoliku, a potem w szafce, w pokoju, gdzie ja kiedyś mieszkałem. Widzę czasem Dziadunia i Babunię, kiedy w swoim pokoju, przy oknie, czytają fatalachy przez Julka przysłane. Teofilu, gdybyś ty malował miniatury, prosiłbym cię, abys mi teraz Mamę, Dziadunia, Babunię, siebie, Hersylkę

i Melankę przysłał. Teraz, kiedy jestem oddalony od was, byłoby to dla mnie największą przyjemnością. Byłbym czasem pośród was... Posyłam ci, kochana Matko, 50 exemplarzy na sprzedaż i 13 exemp. z podpisami dla różnych osób.

Dwa tomy kosztują złotych 18 czyli dukata. Pamiętajcie ani groszem taniej nie sprzedawać, bo na tym będzie cierpiał mój honor—nie miłość własna, ale honor—bo księgarze, dowiedziawszy się, że kto inny taniej sprzedaje, powiedzą, że mój oszukał. Bądźcie zdrowi i szczęśliwi—ja jestem szczęśliwy i gdyby nawet 2000 franków wydane na<sup>1</sup> druk dzieła nie wróciły się, to powiem, że nie drogo szczęście kupił. Wreszcie, kochana Mamo, weź tyle exemplarzy, ile ci potrzeba dla rozdania osobom, które kocham. Adieu—Adieu! Proście pana Będzińskiego, aby sprowadzenie paki z książkami, którą dziś przez dyliżans wysyłam, ułatwił.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

à Krzemieniec

przy tem paka zawierająca 124 tomów książek. —

(13.)

Par y ż, 26. Maja 1832 r.

Kochana Mamo!—Już miesiąc upłynął, jak posłałem kochanej Mamie 62 exemplarzy mego dziełka. Będę bardzo szczęśliwy, kiedy się dowiem, że już go otrzymaliście—ale to tak prędko być nie może, bo *roulage* francuskie, które przewozi książki, idzie bardzo pomalu, nie tak jak poczta. Bankier trochę się gniewa na mnie za komiss—starajcie się go przeprosić, bo dał mi to uczuć w liście, który do mnie napisał. Zaraz po oddaniu tamtego listu na pocztę, odebrałem wasz list. A naprzód odpisuję na niektóre w nim punkta. Zasmuciła mnie bardzo śmierć Cioci Franusi. Właśnie posyłając wam poezye, na jednym exemplarzu, dla niej przeznaczonym, napisałem słów kilka—więc pierwsza moja pamiątka już jej

<sup>1</sup> [Przekreślono: prze(?)]

nie zastanie; wszystko mi za późno przychodzi. Ofiaruj, Mamo kochana, Beaupremu jeden exemplarz ode mnie—ciekawym jestem, czy przeczytawszy go, nie domyśli się, że się kiedyś kochał namiętnie. Ja ciebie, Mamo, upewniam, że już dosyć kochałem się—i nie prosicie Boga, żeby wasz Julek był kiedy drugi raz takim wariatem, jak wtenczas, kiedy miał lat 17, bo nie wiem, czyby wyszedł z tego paroxyzmu. Wiecie, że po tamtej słabości teraz jeszcze jestem *en convalescence*. Heryngowa niech się dowiaduje o syna swego w Królestwie Polskim—ja go zostawiłem w Warszawie i w niedostatku, któremu póki z nim byłem, jak mogłem, dopomagałem.<sup>1</sup> Mieszkał u mnie, prawie bez grosza będąc. Po moim wyjeździe nie wiem co się z nim stało, ale tam go Matka znajdzie—niech go szuka i niech stara się wyrwać z nieszczęścia. Ona jest jeszcze jednym przykładem, jak Bóg karze matki, nierówno kochające dzieci swoje.

Kochana Mamo, wszak tybyś mnie zawsze kochała?—A kto wie jednak, gdyby jaka panna Sł[owacka] na wydaniu teraz była przy tobie, to możebyś Mama i nie bardzo myślała o tym biednym Julku!—Jak mnie zasmucił frazes: „Matka chciałaby do Ludia dostać Francuza, i mieć go nie można.“ Więc jeszcze u was trwa systemat powierzenia dzieci włóczęgom Francuzom, z których tu najuczciwsi nie wiele warci—a dopióroż ta klasa, co się włóczy po świecie, na końcu języka szukając chleba.—

Od czasu, jak pisałem po raz ostatni do was, miałem kilka dni dość interesujących, a przynajmniej dni te odbijały od monotonnego życia w Paryżu. Pierwszego dnia Wielkanocy odebrałem zaproszenie od Xiężny C[zartoryskiej] na święcone. Święcone w Paryżu!!! Bardzo mi to było miło—znalazłem tam piękny świat, ale nasz—wszystko, co tylko jest znacznego, było zebrane koło stoła, na którym między potrawami francuskimi świeciły się—nasze kołduny—barszcz—nieznane tu naleśniki z konfiturami. Ale nasze baby, o! baby—tych już na całym świecie nie znajdę. Bab nie było—bo tutejszym biszkoptowym ciastom tego nazwiska dać nie mogę. I było to raczej polskie śniadanie, do czego jeszcze illuzji przydawały zawijane zrazy, od których zacząłem—zrazy zupełnie

<sup>1</sup> [Przekreślono: *po moi*]

takie jak u Babuni. I powtarzam, niepodobne to było do święconego—bo nie było nawet w salonie tego zapachu, który jest właściwy naszemu święconemu, a który ja tak lubię—ten zapach nieopisany, niepojęty—rzekłbyś, że zapach święconej wody, pomieszany z emanacją bab, barwinku, jajek, baranków—zapach, który mnie ściga jak sen dzieciennych lat. Xiądz Praniewicz, o którym już pisałem—ów kaznodzieja-wojazer, muzyk i poeta—święcił stół i w towarzystwie dziwnie się wydawał w swojej sutannie—bo tu xiądzka na ulicach nie spostrzec—kilka tylko mniszek widziałem.

Otóż tak przepędziłem ranek pierwszego dnia Wielkanocy, a w wieczór rozmyślałem o 22 Świątach, które przebiegły przez 22 lata mego życia. Przyszłe święta może w Rzymie obchodzić będą.—W tydzień potem miałem scenę innego rodzaju—musiałem być sekundantem jednego z moich znajomych—jednego z posłów. Pojedynek miał być śmiertelny—i muszę wam się przyznać, że chciałem koniecznie, aby się na niczém nie skończył. O godzinie 4tej rano wyjechałem z moim protegowanym do lasku bulońskiego—wszak musicie znać ten las, bo jest sławny z pojedynków—śliczny las, zupełnie mi wieś przypomniał. Ranek był taki piękny. Widzieliście mnie czasem, kiedy wzburzony chodzę prędkim krokiem; otóż właśnie miałem taką minę, chodząc po alejach ocienionych krzakami leszczyny, wtenczas, kiedy mój towarzysz leżał pod drzewem i myślał—zapewne o Litwie i o rodzicach. W godzinę przyjechali nasi przeciwnicy, a z niemi Hłuszniewicz, jako doktor. Oznaczyliśmy plac—aż tu strażnicy lasów pokazują się, i widząc plac rozmierzony, oświadczają nam, że w lasku od niejakiego czasu strzelać się nie wolno. Wsiadliśmy do karet, i ujechawszy z wiorstwą, zastanawiamy się, obieramy nowy plac, nabijamy pistolety—aż tu znów ci sami strażnicy, już serio na nas rozgniewani, że za nic ważymy ich ostrzeżenia. Znów więc siedliśmy do powozów i wyjechaliśmy z lasku aż do St. Cloud. Tam zwierzywszy się woźnicom z naszego zamiaru, ci zawieźli nas dalej o milę od Paryża, do lasku ogrodzonego jak ogród, i tam oświadczyli, że możemy się strzelać, bo nam nikt nie przeszkodzi. W tym lasku odbył się pojedynek—okropny, bo z taką zimną krwią się odbywał że trwał półtorej godziny—a trzy razy strzelali się. Właśnie kiedy ja komenderowałem schodzenie się do barjer—kiedy oba przeciwnicy



przybliżali się, mierząc do siebie i przybliżali się złotym krokiem—zegar jakiś z bliskiego miasteczka uderzył godzinę 10tą, ale tak pomału, tak donośnie, że my sekundanci, oparci o drzewa, spojrzeliśmy na siebie i zadrżeliśmy. Przyznali się nam potem dwaj przeciwnicy, że i na nich zegar ten okropne uczynił wrażenie. Za trzecim strzałem mój towarzysz w rękę raniony został—i dalszego strzelania się nie dopuściliśmy—to jest oni nie dopuścili, bo ja z najzimniejszą krwią nabijałem pistolety. Aby się tu przed wami uniewinnić, muszę tu dodać, że mój towarzysz był obrażony tak, że widziałem, iż tylko przez domaganie się coraz nowych strzałów aż do śmierci honor jego mogłem ocalić—jakoż mam w nim teraz wdzięcznego przyjaciela. Po pojedynku przywitałem się z jego przeciwnikiem—i odwieźliśmy obu zwaśnionych do Paryża. Nie pogodzili się z sobą, ale są grzeczni nawzajem i w towarzystwie witają się zdaleka.

Przeszłej niedzieli wyczytaliśmy w gazetach rzecz bardzo interesującą, że w Wersalu, o dwie mile od Paryża, mają być puszczone wody—byłem—widziałem. Nic na świecie podobnego. Prawdziwie jest to cud świata; jeszcze nic tak ogromnego nie widziałem. Byłem kilką tygodniami wprzód w Wersalu i widziałem pałac—pokoje—widziałem mały i wielki Trianon—nie potrzebuję go wam opisywać, bo go znacie z memoarów rozwiązłego wieku Ludwika XIV i XV. Pokoje, gdzie pani Maintenon mieszkała, malutkie i takie jak u nas pokoje ładnej szlachcianki; pokoje, gdzie przyjmowała gości, wielkie, ale bez żadnych bogactw. Ogród ogromny w guście francuskim—ale ogromny. Ostatniej niedzieli, zdawało się, że wody były duszą tego ogrodu. Wszędzie widać było brylantowe kolumny—najpiękniejsze myśli z mitologii zrealizowane—tu wpośród okrągłej sadzawki wznosi się kilkostopniowa podstawa, na której szczycie stoi Latona, zamieniająca jakiś tam ród człowieczy w żaby i żaby te tryskają na nią kolumnami wody—tak, że ona cała jest nakryta brylantowym sklepieniem. W innym miejscu jest ogromna sala pod czystym niebem, otoczona kolumnami z marmuru i między kolumnami stoi tyleż wazonów, a z każdego wytryska fontanna tak, że sala ta jest otoczona ścianami z marmuru i wody. Dalej ogromny Tytan, rzucony przez Jowisza w skały, ciska do nieba z gęby ogromny słup wody na kilkadziesiąt stóp

w górę. Ale największe wody są do nieopisania—tysiące ludu otacza je. Na ogromnej przestrzeni kilkadziesiąt fonta[nn] strzela w różne strony—a wiecie, że fontanny wersalskie są najwyższe na całym świecie. Po każdym puszczeniu wód skarb musi łożyć 13000 franków na ich naprawę i dlatego bardzo je rzadko puszcza— a kiedy ten dzień nadejdzie, to cały Paryż wylewa swoich mieszkańców do Wersalu. Wtenczas to miasto ożywać się zdaje. Ale widziałem je w inne dni—wtenczas żadne jeszcze miasteczko nie wydało mi się tak smutne. Pałac ogromny i pusty, przed pałacem ogromny plac, otoczony domami dosyć nędznymi—i po całym placu ledwo gdzie można ujrzeć żywą duszę—wyjąwszy dragonów, którzy zajmują będące naprzeciwko pałacu i taką samą architekturą stawiane koszary.—Kochana Mamo, będziesz mi zazdrościć, że widziałem Wersal—bo wiem, że ciebie by bardziej interesował niż mnie, który pań i dam Ludwika XIV nie znam, ani na miniatury ich nigdy nie patrzałem z ubóstwieniem; dla dam—damy są bohaterami przeszłości.—Kochana Matko, otóż to są szczególności mego życia w Paryżu—jeżeli się nad nim zastanowicie, to żałować mnie będziecie, że nie mam żadnych *przyjemności uczuć*, tylko *przyjemności wrażeń*.

✓ Nie miałbym wam co pisać o obiedzie danym dla nas przez Francuzów—ani o śmierci Perier, pierwszego ministra i naszego nieprzyjaciela. Umarł nieżałowany przez nikogo.—Kochana Mamo, o nic teraz nie proszę Boga, tylko, aby mnie doszła od was wiadomość, żeście już odebrali moje poezye—chciałbym koniecznie, aby was doszły.—Księgarze posłali je do Polski.—Kochana Mamo, ściskam ciebie serdecznie i całuję—powtarzam sobie często twoje przysłowie: „Jakoś to będzie“ i czasem wierzę w nie.—Babuni i Dziadunia rączki całują. Przypiski kochanej Babuni zawsze mnie do łez rozczulają—i słowa jej napisane w moim sztambuchu są często prawidłem mego życia—staram się od ludzi jak najmniej oczekiwać i jak najmniej wymagać.—Hersylko, Teofilu, wy nie gniewajcie się na mnie, jeżeli do was osobno nie piszę—bo uważam, że w ostatnim liście ukaraliście mnie, nie pisząc mi ani słowa o sobie. Ja was zawsze szczerze kocham i wspominam często. P[anul]

Okraszewskiemu moje ukłony, jako też P[anu] Pawłowi J[arkowskiemu] i Beaupremu.—Adieu—Matko kochana—Adieu.—

Jul.

[Adres:]           à Madame

Madame de Becu

à Krzemieniec.

(14.)

*Paryż, d. 4. Lipca 1832 r.*

Najdroższa Mamo! Odbieram już trzy listy od Mamy w przeciągu tego miesiąca. W ostatnim lękasz się Mama o mnie i posądzasz mnie, że może chorował—otóż upewniam Ciebie, że zdrow, zdrow bardzo jestem—od wyjazdu zagranicę nigdy mi na myśl żadna choroba nie przyszła. Co zaś do cholery, bądź spokojną, kochana Mamo; słabość ta, straszna z początku, dawno już opuściła Paryż. Że listy moje nie są bardzo częste, temu przypisać należy: że widząc, jak wszyscy koło mnie nie mogą mieć od swoich żadnej wiadomości—patrzac na nich, mam się za szczęśliwego, że od was regularnie listy odbieram—a boję się częstemi listami nadwerężyć jakimkolwiek sposobem tej drogi, przez którą się wzajemnie znośimy z sobą. Każdy mój list może być nieszczęśliwszym od innych. Ach Mamo! Olesia—jakie nieszczęście! Długo, długo myślałem o niej—czemu mi nie opiszecie jój śmierci—jój ostatnich słów? chciałbym wiedzieć o wszystkim—ja, co ją przez całe życie widziałem. Ja będę miał także smutną chwilę—ten, któremu byłem sekundantem—i który mi za to najszczęśliwszą wdzięczność chowa—także ma suchoty, i Hłuszniewicz powiada, że tego miesiąca nie przeżyje. Powiedzcie, że Henryczek w Dreźnie, i jak słyszałem, ma tu przyjechać—niech będą spokojni o niego... Kuzynka moja, jak się zdaje, może przyjdzie do zdrowia—choć zawsze ślady słabości zostać muszą; doktorowie, a między innymi John,<sup>1</sup> zrobili wielkie konsylium i zdaje się, że przedsięwzją skuteczne lekarstwa—wszyscy, co ją kochamy, mamy nadzieję—kiedyś więc może przy-

---

<sup>1</sup> [Przekreślono zo lub za]

wiozę do was tę kochaną dziewczynę. Skibicki listy odbiera przeze mnie.—Co do mnie, gdybym chciał pisać wam dziennik, ten zawarłby się w trzech słowach: czytam, czytam i czytam—to jest całe moje zatrudnienie. Jest jeszcze drugie—nudne: oto dwóch ubogich chłopców uczę po francusku—i nie uwierzcie, jaka to dla mnie męka, bo oba mają tak ciasne głowy, że od miesiąca jak bakalarz uczę ich syllabizować. Pytasz się, kochana Mamo, czy nie potrzebuję pieniędzy—otóż muszę tu napisać stan mojej kassy. Z początku roku odebrałem od was 3,000 franków—przeżyłem już sześć miesięcy—2,000 równo zapłaciłem drukarzowi—teraz mam w biurku 1,300; te mi wystarczą aż do Lutego, jak się spodziewam—bo mi się do tego jeszcze coś wróci z książek—a zatem aż po Bożem narodzeniu będę ciebie, kochana Matko moja, o jakiś sukurs prosił. Kochana Matko, jaki ja niedołązny, że zawsze dla Ciebie ciężarem być muszę.—

W tym miesiącu Pan Jullien, o którym już wam pisałem, przysłał mi zaproszenie na obiad uczony. Jest to obiad *Revue Encyclopedique*, na który wydawcy tego pisma zapraszają wszystkich sławnych i znacznych cudzoziemców. Byłem więc na uczonym obiedzie. Wiedziałem zawsze, że uczeni ludzie są nudni, ale nigdy nie sądziłem, aby ich obiady takie złe były; i nie myślcie, żeby każdy zaproszony był darmo—każdy musi płacić 7 franków, i za to ma prawo słuchać i mieszać się do nudnej rozmowy. Na obiedzie przydował Pan Jullien i sławny Admirał Smith, który niegdyś Jean d'Acre twierdząc od Napoleona obronił i za to zyskał od Anglików wiele pieniędzy i sławy. Dzisiaj już stary—siedzi w Paryżu i bawi się mechaniką, różne wynajdując maszyny do ulepszenia sztuki wojennej—ale te maszyny, jak zwykle marzenia starców, w modelach tylko dobrze się wydają.—Z Polaków było kilku Jenerałów, kilku sławnych i wygnanych Włochów, Cooper Fenimore i t. d. Po obiedzie Jullien pił zdrowia, wznosił toasty—i między innymi mój toast—jako nowo przybyłego do grona—i poety—na co mu podziękowaniem odpowiedziałem. A podczas tych toastów wzniosła się burza i piorunami towarzyszyła mowom—a potem towarzyszyła mi deszczem do domu, tak, że ledwie fiakra znalazłem. I wróciłem w złym humorze, bo się spodziewałem, że obiad uczonych będzie to coś większego i bardziej wspaniałego. Niedogodnością

tego obiadu jest to sprzeczność pomieszanych ludzi sławnych wojskowością ze sławnymi nauką. Przed obiadem wszyscy zapisują się w księgę—i tam można widzieć szereg wszystkich nazwisk uczęszczających od początku na złe literackie obiady. Nie zrobiłem tam żadnej ciekawej dla mnie znajomości, bo siedziałem pośród dwóch moich kompatryotów, którzy nic mi ciekawego powiedzieć nie mogli.

Gniewasz się na mnie, kochana Mamo, że nic o Pannie Korze nie piszę—milczenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zakochał—nie—wszystko jak było wiernie opiszę, choć może śmieszniejszym się wam wydaję.—Przez grzeczność kiedyś powiedziałem Pannie Korze, że ją kocham—ona mi się przyznała, że mnie także kocha—a wtedy zapytałem ją, co zrobi, jak ja ją kochać przestanę—odpowiedziała mi, że się otruje albo się utopi, a z téj odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jéj, że się ani zabije ani utopi, chociaż ja kochać przestanę. I zacząłem kaprysić—przyprawdzałem ją do gniewu, dawałem uczuć, że jeszcze dziecko—słowem, mściłem się na niéj za wszystko, co kiedykolwiek od wietrznicy, jak mówi Bohdan Zalewski, ucierpiałem. Nie wiem z jakiej przyczyny, ale wpadła w gorączkę—w gorączce miała *délire*, a z tego siostry musiały się tajemnicy jej serca dowiedzieć—widząc, że nadto zły byłem w mojem postępowaniu, postanowiłem, aby mnie zapomniała—powiedziałem jéj to—i przez miesiąc nie poszedłem do nich.

Pozapraszłej niedzieli, przechodząc przez modną aleję Tuilleries ogrodu, wśród tłumu wyelegantowanych dam ujrzałem znów Panię Korę z siostrami. Ukłoniłem się zdaleka—i przeszedłem. Ale pani Barateau, jéj siostra, posłała swego kuzyna, żeby mnie szukał i przyprowadził. Wróciłem więc do miejsca, gdzie damy siedziały—z bardzo wesołą twarzą—siadłem przy nich na krzesła (a muszę wam tu dla wiadomości dodać, że krzesła w ogrodzie są płatne, niewiele, bo 2 sous—naszych 5 groszy), gadałem przez godzinę. Panna Kora czerwienila się i bladła. Potem damy wstały—musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała siostry: „Z którego to mostu *la duchesse de Guiche* rzuciła się w Sekwanę?“ Uczulem, że to zapytanie było

delikatnym przypomnieniem mojej niestałości—i uśmiechnąłem się, kiedy pani Bar[ateau], która kiedyś знаła Duchesse de Guiche, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać... Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie—siadam przy nich czasem na kwadrans...

Ale dosyć o tem, już i tak czuję, że się wy ze mnie śmiać będziecie... Miałem teraz wielką przyjemność. Pan Zawierski, który bawi w Montpellier, dowiedziawszy się z moich Poezyi, że jestem w Paryżu, pisał do mnie—i prawdziwie przyjacielski list. Dopytuje się o was, o Olesię—odpisałem mu nawzajem. Winielem moim Poezyom, że ze wszystkich końców Francyi znajomi moi przypominają się mi—wielu od skończenia szkół nie widziałem.

1-ego tego miesiąca wielu wieszowało mi imienin—i odebrałem kilka bukietów róż—bo wiedzą, że ja kwiaty lubię, widząc często bukiety w moim pokoju. Ten, który miał pojedynek, przygotowywał dla mnie fetę w Wersalu, ale kilką dniami przedtem tak zaślabł, że na moje imieniny w łóżku leżał.

Przychodzi mi często gorąca chęć porzucić Paryż i jechać nad morze, przynajmniej do Marsylii, żeby się w morzu kąpać. Jedyne wstrzymuje mnie od tego bojaźń, abym przez zmianę miejsca pobytu nie utrudnił sobie komunikacyi z wami i nie stracił jakiego listu. Południowa Francya mocno mnie wabi—a nadewszystko morze, morze—Wy nie możecie sobie wystawić, jaka to piękna rzecz te morze—jaki szum r[zewny] i smutny—tylko byle nie jechać na paquetbocie, bo wtenczas słabość morską zabija mnie.

Jakby mi kiedyś dobrze było, gdybym siadłszy między wami, mógł opowiadać moje zdarzenia—choć wszystkie dosyć polspolite.

Wychodzi tu pismo perjodyczne po polsku—może kiedyś dojdzie i do was—wydawcą jest Podczaszyński.

Zwiedzałem niedawno ogród botaniczny—i gabineta—widziałem w ogrodzie żywe, ogromne lwy z Algieru—i żyrafa, która tak niegdyś zwracała głowę damom francuskim. Nie znalazłem, aby żyrafa mogła damom głowę zawrócić—strasznie niezgrabna, ale ogromnie wysoka.

Dobrze Zenon zrobił, że powrócił—jeżeli... Czekał niecierpliwie listu zapowiedzianego, w którym może i od kochanej Julki

kilka słów znajde. Dalibóg, ja może i wart jestem, żebyście mnie trochę kochali—dosyć dobry jestem chłopiec.

Posyłam<sup>1</sup> list Skibickiego, który kilka słów grzecznych do mamy pisał, ale na tak wielkim papierze—i z takim uszanowaniem, że bez wahania się listu tego nie posyłam, boby to uszanowanie i wdzięczność nadto wiele ważyły—i ja cierpię na listach, które do niego posyłacie, bo list Mamy zawsze taki krótki! . . .

Kochany Dziaduniu! Babuniu kochana! wdzięczny wam jestem, ile razy przysyłacie mi wasze błogosławieństwo—jemu to może winienem, że dotąd w życiu ciężkie nieszczęścia ode mnie odwraca. Mamo kochana! bądź zdrowa. Wierszów Melanki na imieniny Mamy nie miałem—przyslijcie mi je. Teofilu, Julko, Hersylko, Adieu! Adieu! Adieu!

[Adres:] Pour M<sup>me</sup> Hausner et Violland

à Brody en Autriche.

Les priant de renvoyer la présente à Mme de Becu à Krzemieniec.

[Stempel pocztowy:] P. Payé Paris. L. F. 7 Jul. 1832.

(15.)

Par y ż, d. 30 Lipca 1832 r.

Najdroższa Mamo! Trudno, trudno mi opisać mojej radości, jaką miałem z ostatniego listu—więc czytacie już moje książeczki! Ty, matko, może masz czasem jaką chwilę, w której uczucie dumy jest pocięką sieroctwa. Jest to najprawdziwszy wiersz Mickiewicza . . . Ale czemuż w liście, tak dla mnie interessującym, znalazłem kartkę czystego papieru—czemuś mi, Mamo, nie powiedziała, którąś nazaczyła kartkę ołówkiem? Jakby mi było miło szukać u siebie téj saméj kartki. Zdanie Mamy o nich jest zupełnie słuszne—ale przeczuwam, że postrzegany przez Mamę brak w całościach jest skutkiem rozpierszonych pieśni *Żmii*—muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym—że *Żmija* zdaniem moim i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najslawniejszych naszych krytyków powiedział o mnie, przeczytawszy *Żmiję*, że cały naród ożył w pieśni—że tam, gdzie inni z murów cegielki<sup>2</sup> dobywali, ja całe mury wzniosłem . . .

<sup>1</sup> [Tak w autografie. Miało być zapewne: *Posłałbym*]

<sup>2</sup> [W autografie: *cegielki*]

X Cieszy mnie, że *Żmiję* wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat—widać więc, że postępuję i kształcę się... Książeczka chory ozdrowiał, przeczytawszy pieśń pierwszą, i skoczył z łóżka do czytającego—a Jenerał Umiń[ski] pytał się raz na wczorze Skibickiego, jak po francusku Sumak, bo chciał jechać do *Jardin des Plantes*, aby to zwierze widzieć...

X Poezyom moim winienem pierwszą wizytę Jenerała,<sup>1</sup> który kościół antokolski stawiał, i miło mi było, że ten człowiek najwięcej szanowany zrobił mi tę grzeczność... Piszę tu te blahe okoliczności, ale je piszę tylko dla Mamy....

X Tragedya *Mindowe* wiem, że bardzo słaba oprócz kilku scen... Znajdują tu, że nie mam dramatycznego usposobienia—ale to przypisuję ich nieobeznaniu się z nowym dramatycznym rodzajem; oni przywykli do wiersza *Barbary* i nie wiedzą, jak wiele jest sztuki w wierszu przekładanym *Maryi Stuart*—lecz kiedyś dobry aktor da uczuć słowa wyrrywające się z duszy—powiąże dusz[ą] te rozmowy, które teraz zdają się połamane....

X Początek *Jana Bieleckiego* jest nie do rzeczy.... Je[dnak] *Bielecki* jest najbardziej chwalony przez wielką liczbę, której takić cichęj poezji potrzeba... Ludwik P[later], Hrabia, przerażony jest bezbożnością *Mindowy*—bigot!!! Równie krzyczy na moją bezbożność Włodzimierzowa Potocka—spodziewam się, że taki sąd wszystkich dam nie będzie...

X Exemplarze rozpraszać tak, aby latały z rąk do rąk—a nade wszystko do Lit[wy] i W[ilna].—Mamo moja, choćbyś miała dwa exemplarze, to jeden poszlij Ludwisi—koniecznie! koniecznie!

X Nagrobki będę się starał w przyszłym liście umieścić, ale nic tu ciekawego niema w nagrobkach—wszystkie na jeden kopyt z białego marmuru, jak małe kapliczki... cóż więc po nich, kiedy białego marmuru nie macie! A wreszcie żądanie nagrobków to mnie przeraża—czyż myślicie uciec z téj ziemi wprzód, nim ja do was powrócę? Czekajcie! ja wrócę—i razem pójdziemy...

X Piszcie mi o Julce... nieszczęśliwa! Porównywał ją z Olesią—szczęście i nieszczęście jednakowym dla nich było ciosem, ale

<sup>1</sup> [W tem miejscu p. Bécu dopisała u góry: *Paca*, a następujące cztery wyrazy silnie przekreśliła.]



szczęśliwa umierała z boleścią, gdy nieszczęśliwa skona z pociechą, że wszystko zakończy... Myśląc o Jasiu, napisałem ukraińską dumę o Emirze Rzlewuskim (S. B.) i zbieram wiersze do następnego tomu...

Teraz, kochana Matko, będę ci pisał wyjątki z mego dziennika—tylko nie zdradź Mama mego zaufania i nie dawaj czytać obcym tego listu.

12 t. m. Od spotkania się w ogrodzie zaczynam znów widywać się z Korą... bawi mnie bardzo jój otwartość—wszystko mi gada jak pacierz—bywam więc często z rana u tych panienek i często przez długie siedzę godziny... Młodsza siostra, Nelly, powiedziała mi, że czytając *Korynnę* wyobrażała sobie, że ja muszę być podobny do Oswalda... toż samo mówiła mi kiedyś Kora... widzicie więc, że temu zgodnemu sądowi muszę trochę wierzyć... Po przeczytaniu romansu *Pelham* przez Pana Bulwer, z zamyślenia Oswaldowskiego przeszedłem trochę do Dandyzmu—i dziś właśnie udała mi się moja rola w ogrodzie Tuilleries: pierwszy raz ubiorem zwróciłem oczy dam—bo miałem białe szarawarki, kamizelkę białą kaszmirową, w ogromne różnokolorowe kwiaty, tak jak dawne suknie damskie, i kołnierz od koszuli odłożony—do tego dodajcie laseczkę z pozłacaną główką i glansowane rękawiczki, a będziecie mieli Julka... Jeden z moich kolegów słyszał nawet damę mówiącą: „Jaki ładny kostum.“ I tak przybliżyłem się do kompanii Ludwików Pl[aterów]—i kilka słów powiedziawszy, odszedłem, pewny, że powiedzieli o mnie: *Quel fât insupportable!*... I zapytasz zapewne Mama, dlaczego to robię? Oto dlatego, iż raz zostawszy poetą, chcę ująć powszechnej nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały... i nie chcę, aby mię, tak jak Mickiewicza, do domu gry nie wpuszczono—bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę... Choć tu użyłem takiego przykładu, winienem dodać, że nigdy do domów gry nie chodzę—byłem tylko dwa razy w nich z uczciwym towarzyszem, i dla próby przegrałem raz 30, drugi raz 10 franków...

16 Lipca. Zienkowicz, o którym wam pisałem, że ma suchoty—ten sam co miał pojedynek—wyjechał na mieszkanie do Wersalu dla czystszeo powietrza. Pisuje do mnie codnia, ja też mu odpo-

X  
wiadam i często wierszami robię gryzące obrazy naszych tu ziomków... Nie uwierzycie, jakie zebranie głupców—zwłaszcza litewskie posły są nieporównani... i to mnie trochę zaczyna zrażać od Litwy, którą dotąd bardzo kochałem... Poeta Gor[lecki] siedzi w Ems—Mickiew[iczu] blisko jest Paryża i o paszport się stara, bo tu nas do stolicy puszcząć nie kazano... Chodząc na spacer ze Skibickim, wymyślaliśmy różne bajki czyli kłamstwa wojażerskie, któremi będziemy kiedyś bawić naszych rodaków za przyjazdem do kraju.

20 Lip. Byłem na wieczorze muzycznym u pańien Pinard.—Widziałem, że Kora uprzedziła dobrze o mnie panienki, bo patrzyły na mnie z ciekawością... Anaïs, najstarsza, uprzedziła mnie, żebym ściśle strzegł mego serca, bo mi go jedna z pańienek spiewaniem ukradnie. Nieszczęściem panienka owa była zakatrzona i z sercem nieprzeszytém strzałą uszedłem, a może dlatego, że była nieładna... Zły byłem na Korę, że się koło mnie ciągle kręciła—i kiedy mnie prosiła, abym przyszedł we czwartek, odpowiedziałem: „zobaczę“—z najzimniejszą krwią... Odebrałem znów list z Wersalu. Wspominam o nim dlatego, że słowa napisane na końcu „*twój do śmierci*“, przez człowieka, który wie sam, że jest jój tak bliskim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie... Skąd ten człowiek mógł zawrzeć w dwóch słowach tyle poezyi!... Znów mi przybyło 250 franków za moje Poezye, i już robię projekt jechać do Marsylii nad morze. Tu muszę wypisać słowo w słowo z dziennika dzień przepędzony w Wersalu—dlatego, bo różni się kolorytem od innych, bo ci, kochana Mamo, da najlepší mnie poznać... Gwałt sobie zadając, nie opuszczę w dzienniku żadnego słowa—ty pojdziesz, Mamo, jak wielką z mojej skrytości robię ofiarę...

X  
Dnia 23 Lipca. O godzinie 11. z rana wyjechałem do Wersalu, który leży o 2 nasze mile od Paryża. Zienkowicz wyszedł na moje spotkanie, ale w drodze ominął się ze mną—przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu, lecz wkrótce nadszedł. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie. Za domem ma niewielki ogródek, trochę dzikimi chwastami zarosły i opuszczony, ale bardzo miły dla mnie, bo właśnie w tych dniach, pisząc moje pamiętniki dzieciństwa, tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie dzień jeden musiałem

przepędzić w wiejskim cichym domu. I ogródek pięknym mi się wydawał. Było tam kilka winogradów rozpiętych na murze—morel owocem okryty—kilka kwitnących róż, groszki pachnące i wokoło mur szary—a w kącie ławka z drzewa szara i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi codnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże blade i już osypujące się z liści. Na tej ławce usiedliśmy, i często przerywając rozmowę, zastanawiałem się, słuchając tej wiejskiej ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą, nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko—blady—i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. O piątej godzinie siedliśmy z nim do domowego obiadu—jak zwykle u chłopców, było dobre wino, porter angielski—a wtenczas rozmowa zaczęła się weselsza. Do stołu posługiwała nam córka gospodyni, 13stoletnia dziewczynka, bardzo do Hersylki podobna. Stawałem w jej obronie, ile razy mój towarzysz, jak zwykle cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia w potrawach popełnione—bo często widział, że nie dopełnili jego rozkazów, gdy chciał, aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę zmieszana wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachnący różowy groszek, zatknięty w jej pelerynce. Wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukiecie poznałem groszek, który zniknął z jej pelerynki, bo wszystkie inne, może umyślnie, przez nią były zerwane ciemniejszego koloru . . . „Ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem.“ Uśmiechnęła się, zarumieniła i odpowiedziała, pokazując na bukiet: „*il est là, oh! vous le reconnaissez bien.*“ Bardzo mi się podobała ta delikatna scena—i bądź pewną, moja Mamo, że żadnym słowem nie zniszczyłem jej uroku.

Potém Zienk[owicz] sporządził litewski kalisz, taki, jakeśmy go w Wilnie pijali—było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna, i grzanki—słowem, było wszystko, co tylko się mogło w wazie pomieścić . . . A t[ak] był dobry, że się nawet mojej dziewczynce podobał . . . Po obiedzie poszliśmy do królewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę—i patrzyła długo. Odwróciłem się [do niej] zdaleka—uśmiechnąłem się i lekko schyliłem głowę . . . Chodziliśmy długo po parku—i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami—

tak, że nań patrzeć można było . . . O godzinie 9-tej wsiałem do dyliżansu—i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem . . . Jeżeli chcesz, Mamo, wiedzieć o czém, to o dziewczynce . . . i wkrótce ujrzałem coraz gęściejsze latarnie—potém Elizejskie pola—a potém ogłuszył mnie huk miasta. O godzinie 11-tej wysiałem na oświeconej gazem ulicy Rivoli. Wracając do domu, ujrzałem w jednéj bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarzy dojrzec nie można było . . . W obu rękach trzymał kapelusz—ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Wrzuciłem mu do kapelusza pieniądz miedziany, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzając się nędzy postać . . . Stał nieporuszony—milczał. Odszedłem, wstyd mi było myśli krzywdzającój starca—wróciłem więc i rzuciłem do kapelusza pieniądz srebrny. Milczał . . . to milczenie tak mnie zastanowiło, że gdybym miał pieniądz złoty przy sobie, wróciłbym . . . i chciałbym był, żeby jeszcze raz milczał . . . Kochana Mamo, nie czytaj nikomu tego listu, bo mnie wezmą za głupca, że będąc w Paryżu, piszę o dziewczynce, co mi dała groszek—i o żebraku, który milcząc przyjął jałmużnę . . .

D. 28 Lipca, Sobota. Właśnie kiedy wychodziłem rano z domu do panny Kory, portier mój oddał mi list od Mamy, w którym wiadomość o dojściu moich Poezyi. Czytałem go, idąc ulicą—i z twarzą wesołą wszedłem do panienek. Opowiedziałem im o mojej radości i cieszyły się ze mną. Kora bardzo często wypytuje się o Mamę. Anaïs zawsze mi donosi, co o mnie Polacy, drukujący tam różne dzieła, mówią—i tą razą powiedziała mi, że Podczaszyński chwalił się jój, że mu dałem moje Poezye—że mówił jój, jak mnie kiedyś na rękę nosił, jak mnie kobiety i panienki psuły—na co mu Anaïs odpowiedziała, że nie widać po mnie, abym był zepsuty, bo jestem bardzo *aimable*. Podczaszyński wydaje pisemko po polsku, co tydzień wychodzące.

Odebrałem list od Zawierskiego drugi, w którym tak mi źle Francją południową wystawia, że mój projekt jechania do Marsylii upadł. Kiedym o tym panienkom powiedział, Kora zarumieniła się, bo myślała, że jej prośby mnie zatrzymują w Paryżu . . .

Dziś i jutro obchodzą tu rocznicę rew[olucyi]. Są fety dla ludu; chodziłem po obiedzie na pola Elizejskie i widziałem, jak się

lud francuski bawi, jeździ na drewnianych koniach, i na maszty oblane mydłem pnie się po zawieszony na nich zegarek, albo łyżkę srebrną! Wieczorem chodziłem po iluminowanym Tuilleries ogrodzie . . .

D. 29 Lipca. Na czołnie przypatrywałem się fajerwerkowi pyśnemu; cały jeden most w chwili okrył się sztuczno-ogniowymi gmachami, i z pod tych gmachów ognista jak most długa spadała do Sekwany kaskada . . . Potem wszystko ściemniało i znów wybuchnął bukiet olbrzymi: chyba Wezuwiusz będzie piękniejszy . . . Fajerwerk aż do krawędzi czołna, na którym siedziałem, w wodzie odbijał się i złościł Sekwanę. Potem przez kilka ulic, wiodących do Sekwany, przebiec się nie można było, tak były zapełnione powracającym ludem. Przez całą noc spać mi nie dawały wysadzone po ulicy petardy . . . bo tu takim sposobem lud radość okazuje. Były tu także dla ludu wyścigi konne, wyścigi pieszych żołnierzy i jeleni, ale tych nie widziałem, nie chciało mi się mieszać w tłum ludu, którego ta wolność uczyniła nieznośnie grubiańskim. Przez niegrzeczność starają się próbować, czy równość trwa zawsze . . .

Dziś zaledwo wstałem z łóżka, ujrzałem z wielkim zadziwieniem wchodzącego do mnie Henryczka Ch[łońskiego]. Przez kilka godzin opowiadał mi o swoich przygodach . . . Mówił mi, że pisze w tych dniach do rodziców. Dobrze wygląda, zdrow, wesół, i teraz nie mogę go w domu zastać, tak się włóczy po Paryżu.

Przyjechał tu także Bohdan Zalewski poeta i wielu innych z waszych stron. Czyście odebrali mój list ostatni, przed miesiącem pisany, z listem do siostry Sk[ibickiego]? Mój portret jest źle zrobiony, ale podobny bardzo; zdaje mi się nawet, że mu niewłaściwie Teofil wadę w oczach zarzuca.

31 Lipca. Spotkałem dziś rano Bohdana Zalewskiego, zaszedł mi drogę i poznał zdaleka, choć bardzośmy się mało znali przedtem . . . Zaproszony dziś byłem przez jednego z moich kolegów na angielski obiad, który mi zupełnie Anglią przypomniał, tylko pani Gordon nie było . . . Właśnie rok temu przejeżdżałem przez Paryż, nie, raczej wczoraj rok. Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża, ale nie pójdę pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze . . .

Kochana Mamo, napisałem list do Ludwisi Ś[niadeckiej]. Ode-

ślij ten list, moja Mamo, ale tak, żeby pewnie doszedł, i żeby go przeczytała . . . . O gdyby ona odpisała do mnie! . . . Ale nie spodziewam się . . . tylko co napisałem ten list, i dlatego widzisz tu; Mamo, tak przerywane frazesa, pióro rozkołysało się. Smutno mi, ale co robić.

Jutro pójdę do Kory. Może kiedy mi zacznie patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy, choć dalibóg nie kocham jej . . . Przyszedszy do domu, zastałem bilety wizytowe Skibickiego i Sienkiewicza; z tych się dowiaduję, że Sienkiewicz przyjechał do Paryża. O kuzynce nic nowego, nic dobrego, zawsze chora. Jak wiecie o tem lepiej ode mnie, a ja wiem lepiej od was, że na jej słabość niema lekarstwa. List chorego niegdyś w karczmie oddałem Skibickiemu, do którego na moje ręce był przysłany. Czy Skibicki odpisał? nie wiem.

Matko moja, kochaj mnie, kochaj—ja się często będę starał poezjami nowymi przypominać się tobie, bo mam zamiar ciągłym szturmem dzieł zdobywać sławę. Teofilu kochany, nie piszę do ciebie osobno, bo ty, czytając listy moje, pomyśl, że to, co do Mamy mówię, i do ciebie chciałbym powiedzieć. Chciałbym ci zastąpić choć w części Jasia . . .

Mamo moja, całuję ciebie, rączki twoje i rączki Babuni, Dzianunia. Jul.

[Adres:]

Pour MMeurs Hausner et Violland  
Banquiers

en Autriche à Brody.

Les priant de renvoyer la présente lettre à Madame de Becu.

[Stempel pocztowy:] P. Payé. Paris. 1 Août 1832.

(16.)

*Paryż, d. 3 Września 1832 r.*

Kochana Mamo! Jak wam teraz dobrze być musi tak wszystkim razem—w spokojnym Krzemieńcu! Wystawiam sobie wasze koło domowe—i Panią Michalską z wami—i Ludia—i Melankę małeńką, kręcącą się koło smutnego Stasia. Jak wam teraz dobrze być musi!—Kołó moich znajomych także się trochę powiększyło.

ale zawsze dosyć nudne... Jak mi okropnie myśleć, że kiedyś, powróciwszy do was, nie zastanę tylu osób—a tak często marzyłem, jak to będę kiedyś w domu Olesi—jak będę z Julką odwiedzał podrosłe Julinki—Nie możecie sobie wystawić, jak to jest trudno oddalonemu o mil kilkaset wystawić sobie, że to wszystko snem nie jest... Wilna bez Olesi, Wierszchówki bez Julki często wystawić sobie nie mogę.—Cieszę się, że mój portret przypomina mnie Mamie—ale muszę tu napisać, że teraz nie mam ani ciężkiego odetchnienia, ani obłąkanych oczu—mam tylko jakąś myśl ciągłą i ponurą, która mi zawsze marszczy lekko czoło i zdaje się wisić nad oczyma. Przypomnij także sobie Mama, że panienska w Dreźnie, kiedy mój portret zobaczyła, powiedziała, że piękniejszy jestem od niego—i dodała, że to jest zdanie jój matki.

D. 3 Sierpnia. Pojechałem na dwa dni do Wersalu, gdzie były różne fety—i wielkie wody puszczano. Dobrze się przez te dwa dni zabawiłem—o wschodzie słońca wychodziłem na spacer do lasu, bo już się stęskniłem w Paryżu do drzew—i murawy—zwłaszcza do murawy rosą okrytej i pachnącej dziką wonią. O wodach wersalskich nie pisać nie będę, bo chyba bym powtórzył to, co w dawniejszym liście pisałem. Zawsze mi się najwięcej podoba sala marmurowa, której ściany *à jour* zapelniają tryskające fontanny z marmurowych wazonów. Możecie wszystkim mówić, że w tej sali wiszą pająki z fontann brylantowych utworzone, a w tych nadpowietrznych pająkach wieczorem woskowe świece się palą. Jeżeli kto nie uwierzy, będzie miał ze mną sprawę, gdy wrócę, ale dla czegożby nie miano temu dać wiary? Wszakże dziwniejszą są rzeczą w Anglii powozy, do których z pary uwiane zakładają konie, konie, które zamiast owsa, węgle ziemne jedzą.

Chodząc wieczorem po parku między tysiącem ludu, przypatrzącym się fontanom, spotkałem Antoniego Gor[leckiego], poetę, świeżo przybyłego z Drezna. Ten mi dwie bardzo różne powiedział wiadomości: Stara Dobrzycka umarła—ze smutku; żal mi dobrą staruszkę, u której tyle wieczorów przesiedziałem. Drugą wiadomością jest ożenienie się Odyńca. Napisał do swojej kochanki w Litwie, aby przyjechała do Prus, sam pojechał do Królewca, i pobrali się—niechaj więc im Pan Bóg dopomaga. Słysząc, że Odyniec ma osiąść w Poznaniu i utrzymywać się tam, wydając pismo perjo-

dyczne. Mówią, że bardzo ładnie przetłómaczył wierszem *Czcieli Ognia z Lalla Rook* Moora i *Korsarza* Byrona. Od Gor[eckiego] dowiedziałem się, że mnie panienka w Dreźnie zawsze czule wspomina. Mickiewicz mieszkał w tém samém, co ja, mieszkaniu, ale na próżno starał się zdobyć serce téj panienki—ja, czyli pamięć o mnie, jest jak Horacyusz Kokles, który broni mostu wiodącego do jéj serca—jak uschłe drzewo zawałiłem drogę i nikt przestąpić zawady nie może—i mógłbym tu jeszcze wiele takich napisać porównań... Widziałem się także z Sienkiewiczem, któremu stary nasz Patriarcha poetów kazał mi podziękować za przysłane mu Poezye... Mówił, że wdzięczny mi jest za dar piękny, który wiele mu przyjemnych chwil sprawił—zawsze mu się podoba bardzo akt 3-ci *Mindowy*—musiał sobie przypomnieć staruszek ów ranek, kiedy w małej wioseczce, przy stole pijąc herbatę, słuchał téj sceny bezbożnej ze zmarszczonými brwiami.

*Dnia 7 Sierpnia.* Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania się kroku—a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć—starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać... Dziś zesłiśmy się na wielkim obiedzie... Mickiewicz improwizował—ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa... Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... przypominałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeck[im]. Śmiał się z przypomnienia—potém przypomniał mi, że mu Maleski moje wiersze zagranicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę... jeden z Polaków, stojący za mną i podchmielony zapewna, powtarzał jak echo: „nadto jesteś skromny“ i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę.—Podczas obiadu Cezary biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie—był to wieczór z mężczyzn samych złożony... Szopen, sławny fortepianista, grał nam... gadaliśmy różne poezye, słowem, że dobrze nam zszedł wieczór. Wielu było Wołyniaków—wiele wypiliśmy szampana... Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy—na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury



i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek—wojażerowie opowiadają swoje podróże, uczeni swoje odkrycia i t. d. Pani Tastu jest teraz najslawniejszą poetessą francuską... Pani Allart wydała romans w guście *Korynny*—pod tytułem: *le Romain des Marèmmes*—dosyć chwalony. W kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór—ale jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak i na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10 do drugiejj w nocy—pod koniec jednak Szopin upił się i przesłiczne rzeczy improwizował na fortepiano.

D. 12 *Sierp.* Anaïs, Kora i Nelly zaprosiły mnie na obiad—potem musiałem z panienkami pójść na spacer—i znów Kora mnóstwo mi rzeczy nagadała—przy księżycu, pod pomarańczowemi drzewami Tuilleries ogrodu.

Muszę się przyznać Mamie, że darowałem jój przesłiczny sztambuch—dziwiłem się, że jój siostry nic w nim nie napisały, i dowiedziałem się, że w Paryżu nie znają sztambuchów, tak jak u nas dla przyjaciół poświęconych—starają się tylko o napisy ludzi sławnych, imie w świecie mających. Nawet rysunki powinny być szkicami, przez sławnych malarzów robionemi. Jak to doskonale maluje próżność Francuzów—ten brak czucia nawet w kobietach. Ponieważ u tych panien mam opinią niepospolitego poety, którą winienem kilku bywającym w ich domu Polakom, stąd silnie napierały się, abym co napisał po polsku w sztambuchu—w kilka dni odniosłem im sztambuch, ale z wierszami francuskimi. Nie mogły panienki same zgadnąć, czy te wiersze są dobre lub nie—dopióro kiedy je pokazały jednemu z francuskich poetów, gdy ten je pochwalił, i bardzo pochwalił, więc i panny tysiąc komplementów, tysiąc extazyi z powodu wierszy powiedziały mi... Może Mamę będą te wiersze interessować, więc je posyłam w tym liście<sup>1</sup>. Teraz dopióro, kiedym się nauczył reguł wierszowania francuskiego, powiedziałbym naszym sawantkom, aby nigdy nie śmiały dwóch wierszy po francusku napisać—bo nie uwierzycie, ile w wierszach francuskich jest kaprysów i trudności, o których u nas ani się nie śniło...

<sup>1</sup> [Zachował się tylko końcowy fragment tych wierszy. Por. *Dziela* J. Słowackiego w wydaniu Biblioteki Arcydzieł Literatury, tom 3, str. 31.]

Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach... powiedział, że moja poezya jest śliczna, że jest to gmach piękną architekturą stawiony, jak wzniosły kościół—ale w kościele Boga niema... Prawda, że śliczne i poetyczne zdanie?—podobne do jego sonetu pod tytułem *Rezygnacya*.—Żęgałowicz jest w jedném z tutejszych miasteczek...

*D. 25 Sierpnia.* Wyjechałem znów do Wersalu—i chodząc sam jeden po ciemnych alejach Parku, myślałem o Litwie—bo dziś dzień imienin niegdyś... Czy Mama odesłałaś list mój do Wilna... koniecznie chcę odpowiedzi... Pakę z książkami z przeciwniej strony odbić musiano, bo inaczej znalazłyby się owe 13 exemplarzy z napisami—dla wszystkich miłych i kochanych—teraz—lub dawniej.

*D. 27 Sierp.* Odebrałem list od was... Cieszy mnie bardzo *Żmija* w gazecie umieszczony—chcę więcej o tem detalów... Jeżeli co jeszcze będzie nowego—nawet krytyki<sup>1</sup> nie wahajcie się pisać, bo prawdziwie, że na nią jestem obojętny—dziwnie się w tém przemienił mój charakter.—Henryczek zdrów—cieszy się emeryturą; nic jeszcze z sobą nie zrobił, ale podobno ma zamiar wejść do szkoły handlowej—kto wie, czy Rotszyldem nowym nie będzie.

A propos—wyborne są brzoskwinie, o których Jan Śniadecki zawsze wspominał. Kiedyś i ja na starość kiedy z wami zasiądę do stołu—jak Jan z siwym włosem i z białemi, najeżonemi brwiami (bo brwi mi teraz trochę się zgęściły)—wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach, bo wyborne—jak lody się rozplývają. Najpiękniejsze po cztery lub pięć groszy naszych się przedają, to jest po 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> lub 2 sous. Wydaje się to nam bardzo tanio, bo mimowolnie sous przywykliśmy za grosz uważać—a frank za złoty... mało co więcej... Co niezmiernie jest niedogodnem dla nas cudzoziemców... I tak dawniej jadłem obiady po dwa franki—wyborne napozór—ale przekonałem się, że mi szkodzą—bo w tych traktyerach skupują potrawy z innych drogich traktyerów i różnemi sposobami chronią je od zepsucia—tak, że na stół podane, pięknie się wydają—i są smaczne, ale przez długi czas używane, niszczą zdrowie.

<sup>1</sup> [Przekreślono: pi lub po]

Ponieważ zaś nie życzę sobie otruć się obiadami, chodzę więc do<sup>1</sup> traktyerów, gdzie *à la carte* jeść dają... bifszyk tam sam franka bez dwóch sous kosztuje, ale przynajmniej zdrowy i posilny, a zjadłszy zupę, dwie potrawy i *desser*, można być sytym—obiad zaś taki dwa franki i pół—albo<sup>2</sup> trzy franki kosztuje... Są Polacy, którzy po 18 sous jedzą obiad i mają trzy potrawy, *desser*—pół butelki wina. Boże, zmiłuj się nad nimi! W menażerji królewskiej, gdzie dawniej co miesiąc dla zwierząt dostarczano z pewnego okręgu miasta 15 zdechłych koni, teraz tylko dwa przysłano... więc trzynaście musiało dwużoźne żywić zwierzęta.

D. 3 Września. Pojechałem na cmentarz *Père la Chaise*, aby Teofilowi rysować nagrobki—ale prawdziwie, że napróżno czegoś pięknego szukałem. Jedne są nadto kosztowne, i całą ich zaletą są statuy z białego marmuru, po 100.000 fr. płacone, mniejsze zaś są zupełnie pospolite—małe kolumny z urną na wierzchu, małe piramidy. Bo ten cmentarz, jest to las cyprysów i nagrobków tak gęsty, że z trudnością między nie wejść można. Są jednak szersze drogi, któremi publiczność się przechadza. Odmienny nieco od innych jest grób wynalazcy telegrafów—jest to skała malańka z kamieni, na której mały telegraf żelazny. Grób wynalazcy oświecania miast gazem jest to piramida kamienna, na szczycie zaś świecznik marmurowy i z niego ogień jasno pozłocony... Groby marszałków francuskich są z białego marmuru, wielkie i piękne, ale nie mają nic nadzwyczajnego—oprócz napisów... Massena... Cambaceres i t. d. Najpiękniejszy grób jest pani Demidof, z domu Strogonof. Między kolumnami z kararskiego marmuru stoi trumna marmurowa, a na niej poduszka i hrabiowska korona... Chcąc widzieć wszystkie groby, byłem w Pantheonie... jest to budowa w mieście—nakszałt katedry wileńskiej z kopułą podobną do kopuły St. Piotra w Rzymie. W tym kościele mają Francuzi składać swoich wielkich ludzi—mają, powiadam, bo dotąd oprócz Woltera, Russa, nic niema... tylko na ścianach cztery tablice w złotych ramach, na których są imiona poległych w Rewolucyi... Z szczytu kopuły, która jest najwyższą z wszystkich gmachów w Paryżu, wi-

<sup>1</sup> [Przekreślono: *obi*]

<sup>2</sup> [Przekreślono dwie nieczytelne litery.]

działem śliczne panorama całego miasta—mrowisko ludzi—gdzie sobie gwarzą—rodzą się i umierają... Kiedy chodziłem po grobach *Père la Chaise*, spotkałem śliczną pannę, w czarnym ubraną kolorze—ale na kulach, bo jedną stopę miała skrzywioną—a jednak kształt nogi bardzo piękny. Lekko i wesoło chodziła pomiędzy grobami i tłómaczyła napisy idącej za nią staruszce, *duguenie*—bardzo mnie zainteresowała... Wesołość przy tej ułomności pięknie się wydawała—jakby przymuszona. Zdawało się, że pod nią smutne musiała ukrywać myśli, bo czegożby przyszła na groby... Zdaje mi się że ją musiałem trochę zainteresować, bo także w czarnym byłem ubrany tużurku—i byłem sam—i częstośmy się spotykali, choć jój nie szukałem... Bardzo była ładna, kiedy schodziła do mnie cyprysową aleją i czasem podnosiła głowę, a wtenczas słońca promień, obłąkany w cyprysowym lesie, padał na jój twarz białą.—Śmiać się ze mnie będziecie...

Michaś odebrał list od siostry.—Kochany Teofilu, dziękuję ci, że mi w swoim domku pokoik na wschód masz wybudować... nie uwierzysz, jakbym chciał kiedyś wrócić—przynajmniej mieć nadzieję, że wrócę... Kochana Mamo! każdy twój list jest tak dla mnie miły, że ci tego wyrazić nie mogę... staram się nawzajem wszystko pisać—i dlatego może śmiesznym jestem w moich listach... Adieu—Adieu!... J.

[Adres:]

Pour MMurs Hausner et Violland

Banquiers

à Brody en Autriche.

Les priant de renvoyer cette lettre à Mme de Becu.

[Stempel pocztowy:] P. Payé, Paris. L. F., 5 Sept. 1832.

(17.)

Par y ż, d. 4 Paździer. 1832 r.

Mamo! Teofilu!

Łączę was w tym liście, bo wiem, że potrzebujecie pociechy. Ale ja nie mam słów, abym trafić mógł do waszego serca. Okropne! prawdziwie okropne były te dwa dni dla mnie—zdaje mi się, że mnie rokiem w przyszłość posunęły. Słuchajcie—opowiem wam

wiernie te dwa dni mego życia—choć może uszanowanie dla Mamy kazałoby mi o niektórych rzeczach zamilcząć... Oszałam był dla jednej młodej Francuzki, która, jak zdaje mi się, dla mnie także oszałała... Nowa ta Fornarina oczarowała mnie—bo nigdy o podobnie pięknej nie marzyłem w snach gorączkowych... Wczoraj rano o godzinie 9-tój położyłem się, aby zasnąć... Zaledwo zamykałem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi... List od was... Senny siadłem do czytania—list ten spadł całym ciężarem na rozigrane i drzące prawie zmysły... O, bo też nigdy nie podobnego nie czytałem jak list Mamy—w nim tak ogromna poezja smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niej się nawet nie zbliżył. Matko moja! tyle w liście twoim prawdziwej bolesti—tak wiernej, że płakałem—czytałem—i znów płakałem. Potem na kawałku papieru,<sup>1</sup> leżącym na stoliku, napisałem trzy nagrobki—i posyłam je—nieprzemienne... A potem zeszło się do mnie wiele osób—i musiałem gadać przez dwie godziny o obojętnych rzeczach. A twarz moja była tak zmienioną, że pierwszy, co wszedł, powiedział: „ty musiałeś dziś noc waryacką przepędzić!”—a potem drugi raz spojrzawszy na mnie, rzekł: „przepraszam ciebie za moje słowa—ty musisz mieć smutną jakąś wiadomość.”—Tak twarz moja zdradza mnie przed ludźmi. Darujcie mi, że tak jak były pomieszane w życiu mojem uczucia i zdarzenia, tak je w tym liście piszę... Nie dawajcie mi napomnień—bo zbieg okoliczności przerażającą był dla mnie nauką... Ale jeszcze nie wszystko... Teofilu! znoś nieszczęście a Bóg ci pobłogosławi—ty będziesz kiedyś tak jak twoi rodzice widział trzecie z dzieci twoich dzieci. Bo nasza rodzina nie popełniła zbrodni, za którą by ją mógł Bóg karać... A spojrzysz na twoich rodziców, wszak i oni dziecko małe niegdyś stracili, a czyż kiedy o nim wspominają, zaleją się łzami? Wszak nawet nie wspominają o nim,<sup>2</sup> a ja, wnuk ich, który z niemi przepędziłem lata, nie wiem nawet, jak się to dziecko nazywało... Teofilu! wierzaj [mi], my będziemy szczęśliwi, zostanie nas mało, ale będziemy siebie kochać przywiązaniem, z wielu osób przeniesioném na jedną—dwie—lub trzy osoby... Żebym ja był szczęśliwszym, tobym wam może przywiązaniem dzieci zastąpił... Ale ja złym jestem kaznodzieją szczę-

<sup>1</sup> [Przekreślono: łączącym (?).]

<sup>2</sup> [Przekreślono: sercem(?).]

ścia—te dwa dni mną całym zatrzęsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami . . . I czuję, że uczucia moje są skrzywione—bo wtrąśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią poetyczną exaltowaną rozkosz . . . Darujcie mi—bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi— a teraz dopióro pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka.

Zmęczony porankiem dnia tego, poszedłem na obiad—jadłem gwałtem wiele—i piłem, aż póki mi się w głowie nie zakręciło—i wróciłem do domu. A wieczorem przyszedł do mnie Michał po list—i gadaliśmy długo. Musiałem mu przeczytać list Mamy—i gdy przyszedłem do miejsca gdzie Mama o naszych portretach piszesz, rozplakałem się—i on łzy miał w oczach—a potem wspólnym rozjechaliśmy się śmiechem i powiedzieliśmy sobie: „*Cette vie c'est une farce un peu trop lourde.*”—Tak młodzi ludzie tego wieku kończą smutne uczucia bluźnierstwem.—W dziwnym byliśmy oba usposobieniu i może dlatego napis dla Jasia straszne na nim sprawił wrażenie—i powiedział, że chciałby umrzeć dla takiego nagrobku . . .

Na drugi dzień, to jest dzisiaj, wstałem rano i skomponowałem rysunek, który posyłam. Wierzcie mi, że z cmentarza *Père la Chaise* żadnego nagrobku przenosić do was nie warto. Ten zaś, który tu wyrysowałem, zdaje mi się pięknym. Macie kariery kamieni, będzie więc może nie nazbyt trudnym do zrobienia. Chciałbym, ażeby w ściany wmieszać kilka ułamków naśladowanych z kolumn—żeby się ten grób wydawał jakby z gruzów i z kamieni ułożony. Jeślibyście tego nagrobku nie zrobili, to go dla mnie zachowajcie. Jeżelibym zaś umarł zagranicą, to wtenczas każę testamentem zrobić sobie krzyż ogromny, z jednego kamienia chropowato wyciosany, i nad nim cyprys posadzić—i po łacinie imię moje na krzyżu napisać.

Kiedy grób rysowałem, przyszło do mnie dwóch znajomych—odwiedzają mię teraz często, bo w założonem towarzystwie, w wydziale Literackim, Mickiewicz jest prezesem, a ja radcą wydziału . . . Właśnie mi w porę przyszła praca, kiedy nic robić nie mogę. I tak Pan Radca siedział, gadając o zajęciach się literackich . . . Wtém przynoszą mi list . . . spojrzalem na kopertę—list był zdaleka—ze stron gdzie się wychowałem . . . z czarną pieczętką,

na której cyfra L. S. Nie możecie sobie wystawić, jak się przera-  
ziłem—Mimowolnie przy obecnych gościach list konwulsyjne zgnio-  
tłem, tak, że się pieczętka rozsypała—a potem położyłem go na  
stoliku—i patrzałem pomieszany na moich gości... zrozumieli mię  
i wyszli...

Wtenczas otworzyłem list... Okropny! okropny! Płakałem  
z takim łkaniem, jak dawniej, kiedy byłem dzieckiem—bo też list  
ten na nowo dzieckiem mnie zrobił.—Smutne nadzwyczaj wrażenie  
uczyniło na mnie opisanie jednej sceny... Antosia czytała *Mnicha*  
i *Araba* dla Zośi B[alińskiej]—Julka patrzała, jak Ludwisia wyszy-  
wała kwiaty do ołtarza na grób matki. Lu[dwisia] spytała Julki,  
czy pamięta Julka Słowackiego? Powiedziała, że pamięta, że on X  
był błydy, miał czarne włosy—i bawił się z dziećmi...

Świat ten, w którym starsi zapominają, a dzieci pamiętają,  
*c'est une farce un peu trop lourde*.—Te dwa dni były dla mnie  
prawdziwą szkołą uczuć i smutku—a kiedy wychodziłem z domu,  
to mnie coś tak koczyło wrócić do tych dwóch listów, jak gdyby  
czekał na mnie w domu przyjaciel, co zwykł gorzkie ale zbawienne  
mówić prawdy.—I tak całe dni były zapełnione odczytywaniem  
tych listów, że nie przeczytałem słowa z książek interessujących,  
które leżą na moim stoliku. Te dwa dni tak daleko odepchnęły  
wszystkie inne, że nie wiem, co o nich mam pisać. Posyłam list do  
Ludwisi—ostatni to będzie—i już dosyć tego...

Piszesz mi Mama w poprzedzającym liście, abym trzeci tom  
drukował. Muszę się wprzód z kassą porachować, bo tu pieniądze  
lecą—a lecą—wasze zaś milczenie o interesach przeraża mnie. Mo-  
że ty, Mamo, cierpisz niedostatek? A wtenczas pomyśl, jakby to  
okropnie było, gdybyś to kryła przede mną—gdybym sobie wyrzu-  
cał każdą uciechę. Teraz już nawet po ostatnim liście Ludwisi  
i sławy mi się nie chce. Nie wiem, jak ja bez tego ostatniego uczu-  
cia na świecie zostanę—może powróci. Z Korą także rozstaliśmy  
się—nie gada do mnie. Nie kochałem jej—spozrzęła to—i widać,  
że dumna dziewczyna—ale widzę ją czasami—a zawsze coraz bar-  
dziej błada... Szczęściem że zima nadchodzi, będzie [więc] tańco-  
wać, a ma lat tylko 16 i ładna, więc zapomni...

Pan Barateau, poeta, kuzyn ich, po przeczytaniu moich fran-  
cuskich wierszy między innymi komplementami powiedział: *Ah! si*

*je savais écrire des vers français comme vous!*—Powiedział to wobec koteryi, która go przywykła uważać jako wyrocznią, a zatem to wyznanie musi być prawdziwe...

Przyjechał X. Cz[artoryski] do Paryża—byłem u niego z ranną wizytą. Przyjął mnie nadzwyczaj grzecznie, bo się wprzód kilku osób pytał o mnie. Wiersze moje czytał u wód nad morzem, w Anglii. W ciągu rozmowy pytał się o Mamę—zaprosił mnie nakoniec na niedzielę na wieczór. Byłem na tym wieczorze—było tylko kilkanaście osób płci męskiej—i kilka dam francuskich... Na wieczorze miałem z samą X[ieźną] bardzo pochlebną dla mnie rozmowę—zaczęła się od Anglii—potem powiedziała mi: „Winniśmy Panu wiele przyjemnych wieczorów. Dawny Pana przyjaciel, P[an] Błot[nicki], czytał nam z całym swoim talentem Pana poezye—choć te poezye nie potrzebowały talentu czytającego, aby się podobać mogły“... Skibickiemu mówiła Xieźna zaraz po przyjeździe, że długo nie czytała moich poezyi, bo jój P[later] Lud[wik] Hr. powiedział, iż bezbożne i brak w nich czucia—że potem, kiedy jój przeczytano *Mnicha* i *Araba*, dziwiła się, że pan Ludwik może tak źle o rzeczach sądzić. Ja się temu wcale nie dziwię, bo stary i bigot.

Przyjechał do Paryża Stefan Witwicki—widziałem się z nim. Zawsze głupia figura...<sup>1</sup> Na wieczorze był Mickiewicz—nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichowsku wygląda z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym... Zbliżywszy się do mnie, powiedział: „Jeżeli teraz co porodzę, to będzie coś zapewne o oku dziecięcia, którego dziś widziałem—na oku tém jest napis: Napoléon Empereur—i to oko ciągle tkwi w mojej pamięci.“ Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego imaginacya tak tym okiem, zapewne udaném a może szklanném, dla wyludzenia pieniędzy wsadzoném, zapaliła... Wolałbym, żeby pisał o dziecku ze złotymi zębami.—Strasznie mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie—resztę wieczoru przegadałem z dwóma panienkami francuskimi—i panienki francuskie znudziły mnie; więc nie wiem, z kim mam teraz żyć, a przynajmniej gadać....

<sup>1</sup> [Te trzy wyrazy w autografie przekreślone — prawdopodobnie przez p. Bécu.]



D. 5, godzina 11. wieczorem. W tej chwili Michał przyniósł mi list do siostry. Gawędziliśmy sobie dosyć wesoło, a potem wpadliśmy na smutną strunę... Sama X. Czar[toryska] wyjechała dziś do Galicyi, więc nie będzie już wieczorów—więcej to mego towarzysza niż mnie zasmuca. List do Alex. Mickiewicza (?) trochę u mnie zależał, więc powiedźcie, że się cały ten list w drodze zatrzymał—bo ja czasem nie mogę przełamać lenistwa, a potem częstych listów lękam się dla was. U nas tu nic nowego—nic dla was. Mój przyjaciel w Wersalu wyzdrowiał prawie—cud to, bo miał suchoty i bardzo posunięte daleko...

Zaglądamy do mego dziennika, patrzałem com robił w dniu 28. w niedzielę, kiedyście tracili Melankę—i znalazłem słowa: „Smutno mi, jak gdybym miał jakie przecucie.“ Prawdziwie, że to jest coś niepojętego, ta magnetyczna władza przecucia—tak przecułem był przeszłego roku w Anglii dzień okropny dla nas—kiedy rzeź była. Śniło mi się o téj rzezi—i gdy zszedłem na herbatę, Anglicy mnie dopytywali się o przyczynę pomięszania... odpowiedziałem im, że musiało się coś stać dziwnego w mojem domostwie—i<sup>1</sup> Anglicy śmieli się ze mnie, a ja tryumfowałem, kiedy w dni 15 nadeszły gazety—i Anglicy patrzali na mnie jak na człowieka obdarzonego władzą drugiego widzenia Szkotów.

Sen był d. 15., miesiąc przypomnijcie z listu z Anglii pisanego.—Od tego czasu wierzę więc w przecucia, jest to jedną z niespokojności w życiu więcej. Teraz zła dygiestja albo za późne wstanie może mi tysiąc przecuć utworzyć. Co do projektu krakowskiego, bardzo dobry—ale niezupełnie bezpieczny.

Teofilu! Zdaje mi się, że tobie by dobrze było w Klijowie—miasto tanie i przyjemne; ja kiedyś także bym tam rad z Mamą mieszkał, tylko żeby mi to nie krępowało mojego zawodu—bo *Lambro* straszny... Ale nareszcie trzeba myśleć o punkcie zjechania się—bo tak błąkać się po zagranicy, to okropnie, kiedy długo pociągnie. Zwłaszcza radbym być w takim położeniu, żebym mojami sumkami nie odpowiadał za grzechy, ani oczy stryja zwracał—on mnie zawsze lęka... Lękam się także o egzemplarze [z napisami—i dla stryja tam były... Chciałbym, żeby mogły być wszystkie

<sup>1</sup> [Przekreślono wyraz: *dopióro*]

X  
X  
X  
wszystkim rozesłane— i teraz widzę, że [pani] Bal[ie]ńska jest trochę może obrażona, posądżając mnie o zapomnienie—bo choć była tam, gdzie list pisano, a przecież ani słowa nie napisała, ani słowa nie kazała mi napisać . . . . Jeżeli możesz, Teofilu, to się dowiedz w Mińsku o Hrehorowiczu, dawniej w Warszawie ze mną mieszkającym, i poszlij mu jeden exemplarz, pisząc, że ja o to prosiłem—bo to godny człowiek. Że zaś moje wiersze nie mogą was skompromitować, to się przekonuję z tego, że teraz je Glicksberg do Warszawy sprowadza—niewiele wprowadzie exemplarzy, ale zawsze pisał otwarcie o nie. W tych czasach otwartość ta nie jest moją zaletą i dlatego muszę koniecznie przed Nowym Rokiem zacząć drukować *Lambra*, ale osobno, nie jako tom III-ci, bo nie chcę, aby tym tomom przeszkadzał.

X  
Ale nie czas tu pisać o błahych interessach moich, kiedy wy przyciśnięci jesteście boleścią. I znów na wasz list spojrzalem i znów mnie przeraża—i wiersz napisany przez kochanego Dziadunia zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje jak jakiś Anioł—duch z tamtego już nawpół świata wyglądający, który wśród płaczących, zawsze jedno i znane mi napisał słowa: „Ja ciebie, mój kochany wnuku, pozdrawiam i powodzenia życzę.“ Ta jednotonność słów robi te słowa tak uroczystymi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga . . . . Więc, Dziaduniu kochany, klękam przed tobą, a przyrzekam ci, że wnuk twój będzie umiał kiedyś jak twój syn starszy dług wypłacić, którego ty dla starości wypłacić nie mogłeś . . . . I ty, kochana Babuniu, nie wstydź się wnuka wierszoklety—bo on oprócz wierszy ma jeszcze do rozrządzenia życie—a może Bóg mu pozwoli skonać jak skonali . . . .

X  
Teofilu! Hersylko . . . . Nie, do was nic nie napiszę . . . . Płakałem. Mamo kochana! Czuję, jak tobie teraz smutno być musi—List twój, kochana Mamo, zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem—i list ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że jeżeli miałem jaką poezję w sercu, to ją od ciebie wzięłem. Zwłaszcza to wyrażenie: Mama powtarza niech się dzieje wola Boga—ja zaś, wspomniawszy na ciebie, nie zdolna do wyrzeczenia słów tych . . . . etc. jest ogromnym obrazem Matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa—i Bogu nawet, jeżeli by go miał zabić, broni. Te

słowa miłości i przywiązania twego do mnie, z duszy wyrwane, słowami mojemi zapłacone być nie mogą—lecz całym życiem.

*Julo.*

[Adres:]

Pour MMeurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody en Autriche.

Les priant de vouloir faire parvenir cette lettre à Madame de Becu.

[Stempel pocztowy:] P. Payé, Paris, 8 Oct. 1832.

Brody 22 Oct. 832.

(18.)

*Paryż, d. 9 Listop. 1832 r.*

Kochana Mamo! Siadam z przerażeniem do tego ogromnego papieru, bo prawdziwie, że przez cały ten miesiąc tak siedziałem w domu, że przebiegając mój dziennik, nic nie znajduję, tylko wasze listy, które mi jednobrzmienność czasu przerwały. Jesień, nudna jesień jest tego przyczyną. Ciągłe sloty, mgły angielskie przeniosły się do Paryża—i często wieczorem nie można znaleźć dobrze znanej ulicy. Dziwnie się wtenczas miasto wydaje—słychać huk i turkot niewidomych powozów—i tylko latarnie kabrioletów czyli fiaków we mgle płyną i migają.

Mamo moja! przysłany mi przez ciebie list Ludwisi przykrość mi zrobił, bo ona do mnie zupełnie inaczej pisała. Szalona! chciałaby być poetyczną istotą i jest śmieszna—smutek ją pewnie nie zabije. Zdaje mi się, że się trochę gniewa, że w moich poezjach nie o sobie, a zatém o niej nie pisałem. Poznała mnie jednak czasem—pisze to sama—a ja się domyślam, że poznać musiała w scenach między Rizzio i Marją Stuart—zwłaszcza w ostatniej scenie aktu drugiego. Po odebraniu listu do Mamy pisanego, żałowałem, że do niej drugi raz pisał—choć wprowadzie dosyć dumnie.

Zdanie mojego stryja, czyli raczej nowa jego wymówka bynajmniej mnie nie dotknęła. Chciałbym był jednak, żeby brat mego Ojca był rozsądniejszym, a nadewszystko uczciwszym<sup>1</sup> człowie-

<sup>1</sup> [a nadewszystko uczciwym w autografie silnie zamazane.]

X  
kiem— odtąd nigdy dla niego egzemplarza nie poszlę i ty, Mamo, nie posylaj mu—jeżeli chce, niech skądinnąd stara się. Cieszę się nieskończenie, że Fortunat do matki wrócił—oby mu się tylko nie zamarzyło znów po świecie wędrować...

Żebyście wiedzieli, jak ten świat nudny—zupełnie inny niż nam się wydaje—zwłaszcza Paryż jest to prawdziwe więzienie dla człowieka bez wielu pieniędzy—bo w inném miasteczku a nawet mieście cudzoziemiec wchodzi zaraz do dobrych towarzystw. Tutaj zamknięte są domy—trzeba mieć kabriolet własny, żeby się otworzyły—zwłaszcza teraz *la Noblesse* wyniosła się prawie z Paryża, *la bourgeoisie*, ta brylantowa poczwara, która zajęła ję miejsce, nie przypuszcza do siebie, tylko bogatych. Chcąc zainteresować jaką damę, trzeba po angielsku gadać—udawać Anglika—bo wiedzą, że Polacy nie mają pieniędzy; udawać zaś Anglika, trzeba udawać głupca i oryginała—bo takimi są Anglicy. W jednym tylko względzie Paryż lepszym mi się wydał niż o nim marzyłem—gdy bowiem do nas kto z Paryża przyjedzie, zaraz ma dziwny jakiś szpiczasty kapelusz, jakiś frak wywrócony i t. d. W Paryżu zaś przeciwnie—nie widziałem tu elegantów, tak jak u nas, z polkniętym kijem, z nakrochmalonym halsztuchem; wszyscy skromnie i zgrabnie ubrani. Ubierać się zaś można, jak się komu podoba—śmiałobym tu wyszedł na ulicę w dziadowskiej lisiurze, którą niegdyś jak syn marnotrawny dziadkowi zarwałem.

Widziałem tu niegdyś ludzi trochę podstarzałych na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w błękitnym, jasno wato-  
wym szlafroku, na frak zamiast płaszczu wdzianym. Jeżeli chcesz sobie Julka wystawić, chodzi on w dnie mniej zimne w długim aż po kostki, ciemno ceglстым surducie, krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy—w dnie zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowym futrem, które mam od kochanej Mamy—a w dnie ciepłe w czarnym tużurku krótkim.

W tym miesiącu byłem sześć razy na tragediach francuskich, na teatrze Porte St. Martin, który romantyczność wprowadził na scenę, i na Theatre français—dawny sławny teatr klasyczny. Chodziłem na tragedye dla poznania się lepiej z Francuzami terazniejszymi i z grą aktorek, albowiem pod sekretem powiem ci, Mamo,

że piszę tragedya dla pierwszego z tych teatrów—nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą—i zechcą wystawić—i czy zechcą zapłacić. Dobrze by to było, żeby mi się w tych wszystkich zamiarach powiodło. Żebyście mieli wyobrażenie o smaku i obyczajach terażniejszej publiczności, doniosę wam, że najbardziej tłum paryski na teatr St. Martin ściąga tragedia z następującego ułożona podania: W dawnych wiekach królowa francuska Marguerite miała w Paryżu wieżę nad Sekwaną, gdzie teraz jest Louvre, i wieża ta nazywała się Tour de Nesle. Tam królowa udawała się potajemnie w nocy—i dawała rendez-vous młodym chłopcom—dzieciom, które potem do rzeki u stóp wieży płynącej rzucano—dla pokrycia wieczną tajemnicą postępów królowy . . . *La tour de Nesle* jest tytuł zrobionej z tego tragedyi. Panna George, sławna tutejsza aktorka, gra przewybornie. Zawsze biorę miejsce w jednej z pierwszych łóż, żeby widzieć grę jej twarzy—śliczna jest—ona sama już stara—otyła—i<sup>1</sup> nieraz wpada w zadyszenie kiedy mówi. Przenoszę ją nad pannę Mars, najslawniejszą z tutejszych aktorek—najslawniejszą teraz na świecie. Panna Mars ma lat około 50, dosyć brzydka, grywa na Theatre français—z figury bardzo mi Mamę przypomina. Sceny najsmutniejsze mówi zawsze cienkim, jedno-brzmiennym i przerywanym co kilka wyrazów głosem, ale głos ma jakiś czarujący—zdaje się, że najpiękniejszą muzykę słyszę kiedy mówi. Nie zaczyna ona tak jak nasze aktorki w tragedyi pierwszego zaraz wiersza płaczącym głosem—ani niesie ciągle do oczu chustki—ale chowa lzy i smutek na najsmutniejsze sceny. Ona zdradza to przysłowie Horacyusza: „jeżeli chcesz do płaczu pobudzić, powinieneś sam najprzód płakać.“ Przysłowie te jest fałszywe—smutek zdradzający się tylko mimowolnie, a nie smutek okazywany, lzy wyciska—dowodem tego jest list Ludwisi—Po większej części wszystkie kobiety dobrze grają, ale mężczyźni są szkaradnemi aktorami.

Teofilu kochany! Dzięki ci po tysiąc razy za wypisy twoje, tak starannie zrobione—wierz mi, że umiem czuć wszystko dobre, które od ludzi odbieram . . . Przedziwne wyrażenie: „chcesz wiedzieć, co o tobie mówią gazety?“ Tak znarowiony jestem, bo ja

<sup>1</sup> [Przekreślono: czysto]

X  
X  
od dzieciństwa przywykłem w gazetach figurować, i gniewa mnie to, że mnie teraz minusculami drukują, kiedy dawniej drukowali wielkimi jak woły literami. Cóż to dalej będzie, jeżeli tak zmniejszać będą? . . . Prawda, że głupi dosyć ten, co wyjątki umieszczał—nie położył np. pierwszej części pojedynku *Żmii*—i zaczął od wiersza: „Daleko słyhać szczęki pałaszy“. Nie położył łowów na sumaka—ani opisanie pożaru okrętu w trzcinach. Niech mu Bóg przebaczy, że mnie tak obciął . . .

Odyniec nie w porę sprzeczki o romantyczność wznowił. Ma on szczególną chęć wiązania swego imienia z innymi imionami. Dziwię się, że nie położył w przypisku, że ja mu do *Izory* cztery wiersze dorobiłem. Artykuł o balladzie: *Czy to pies, czy to bies* bardzo dobry . . . zrobiliśmy tę balladę w Dreźnie, powracając wieczorem z Grossen Garten, pięknego ogrodu . . . Zaczyna się od słów:

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,

Wtém pies czarny bieży drogą:

Czy to pies? czy to bies?

Rzecz jeden do drugiego:

Czy ty widzisz psa czarnego?

Czy to pies? czy to bies?

A obudwom z wielkiej trwogi

Włos się jeży, drgają nogi:

Czy to pies? czy to bies?

Tak dalej ciągnie się ballada, pies bieży ciągle przez kilka strof, nareszcie sobie pobiegł—a poeci kończą:

Oni stali i myśleli,

Lecz się nic nie dowiedzieli:

Czy to pies? czy to bies? —

X  
X  
Nie spodziewałem się, żeby Odyniec umieścił tę balladę jako epilog do swoich poezyi.

X  
W tych dniach wychodzi z pod pras Panien Pinard tom czwarty Mickiewicza, zawierający trzecią część *Dziadów*. Jeszcze jęj nie znam—ale Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religią na plac wyprowadza—uniewinnia Papieża, nawet bullę—słowem, że mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba. Nie mówcie tego jednak nikomu—bo ja teraz z professyi chwaleę wszystkich poetów i poezye. Odyniec z żoną w Dreźnie sie-

dzi i ta go namawia do powrotu; zdaje się, że ulegnie Armidzie. Jest tu Panna niegdyś Tańska, i pisze, jak słyhać, opisanie Paryża dla dzieci. Może to być bardzo ładne. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła—to jest literatura młoda—literatura kobieca, garbata trochę—literatura klótliva—pazskwilowa—a została się tylko u siebie literatura klassyczna czyli niema.

Jeżelibyś mogła, kochana Mamo, to mi przez jadącą siostrę Michała przyslij dzieła Jana Kochanowskiego, które masz w swojej szafce—a jeżeli można, to dostańcie także przekładu *Jerozolimy* przez Piotra, bo mi tu te dwa dzieła dla języka bardzo są potrzebne—teraz albowiem nie mam jak tylko Trembeckiego—i uważam, że mój styl twardnieje nieznacznie. Napisz, kochana Mamo, także od siebie, prosząc H[ausnera], aby posłane ci znów 63 exempl. przyjął—i złożył gdzie potrzeba. Jak ja się lękam o nie . . . . Dzieła medycznego dla Beaupré szukałem u bukunistów, ale znaleźć nie mogłem czwartego tomu osobno, a dzieło ogromne in 4-to, nie wiem więc, czy mam całe kupować?

Pamiętam ja dobrze, że [29] (17/29. S. B.) [tego] [miesiąca] kochanej Mamy imieniny—oby ci, kochana Mamo, od tego dnia lepiej było na świecie—żeby się już Bóg znudził zabierać od ciebie wszystkich tych, których kochasz. Dzień Mamy imienin wszyscy obchodzić będziemy—wielki będzie obiad—tam cicho kieliszek jeden za ciebie, Mamo, wypiję. Może w przyszłe imieniny lepiej nam będzie. Kto wie, czy kuzynka nie ozdrowieje . . .

Zdaje się, że będzie wojna i dlatego proszę ciebie, kochana Mamo, o cokolwiek pieniędzy po Nowym Roku—co możesz, Mamo kochana, byle tylko tobie na niczym nie zbywało—ja się będę starał do wszystkiego zastosować . . . Mów ze mną szczerze, kochana Matko, zaklinam ciebie, bo ja sobie tu Bóg wie co wystawiam.

Teofilu kochany, nie posłałem ci kwitu, bo tego uczynić nie mogę bez pójścia tam, gdzie pójść nie jestem w stanie!—bądź jednak pewny, że na wypadek śmierci urządzę wszystko tak, abys przed stryjem zdawać rachunku nie potrzebował.

A ty, Mamo, nie przerażaj się tym wyrażeniem, bo ci ręczę, że nigdy tak zdrów nie byłem jak teraz. Kochany Stryjaszek widząc mnie, pękłby ze złości. Zdrów jestem i czasem mam dnie wesołe—wtenczas idę do panienek wieczór przegawędzić i niestwo-

rzony o sobie—a najczęściej kłamane zręcznie—prawie anekdoty. Lubią mnie wtenczas—i zdaje mi się, że wszystkiemu wierzą. Doktor Hłusz[niewicz] prosił Mamy, abyś mu kilka słów o stanie zdrowia swojego napisała—miło mi było, że pamięta o was. Brat Olędzkiej mówił także przede mną z wdzięcznością o<sup>1</sup> dobru, jakie Mama jej biednej wyrządziła.

Kochana Mamo! Gdyby ludzie o wszystkim nie zapominali, ty, Matko, i mój ojciec zostawilibyście mi na świecie wielu przyjaciół—ja nie powinienem mieć syna, bo nawet dla siebie jednego przyjaciela znaleźć nie mogę—cożbym mu więc zostawił?

Tej zimy, jeżeli będę w dobrym humorze, zamierzam sobie bywać na balach teatralnych. Są to bardzo przyjemne zabawy—na scenie wy[ró]wnanej z parterem uwija się mnóstwo kobiet zamaskowanych, ale najczęściej tylko do połowy. [Balle takie zaczynają się o godzinie 12 w nocy i trwają aż do białego dnia—jest to jedyna zabawa [dla] cudzoziemców—niekosztowna i szalona. Mężczyźni bez masek bywają.— Dzisiaj zabezpieczyłem się od zimna: kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał—a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moją uwagę. Zdaje się, że nam zima tęga zagraża, bo już śnieg mieliśmy, gdy przeszłego roku raz tylko dachy pobielaly. Odebrałem znów list od Zawierskiego. Czy nie macie o jego matce wiadomości? Henryczek zdrów. Człowiek z kutasami u bótów jak entrepreneur w kłopotach traci szacunek u ludzi, bo się ciągle intrygami zajmuje—i w tutejszej babilońskiej wieży pomięszal języki. Smutno jest patrzeć na to, co się tu dzieje, i chciałbym się wyrwać jak najprędzej z Paryża—i jechać na południe. De la Martine popłynął z żoną i z dziećmi do Palestyny—i będzie tam znowu pisał harmonije religijne. Nie znajduę go więc we Florencji—mała szkoda. Kambell, poeta angielski, jest prezesem towarzystwa w Londy[nie], zajmującego się nami. Wychodzą w Albionie dwa pisma perjodyczne, naszej sprawie poświęcone—i Anglicy zaczynają się przekonywać, że my po niemiecku nie gadamy—dotąd bowiem tak o nas sądzili. W Paryżu mamy dwie gazetki polskie

<sup>1</sup> [Przekreślono: przysłudze]

<sup>2</sup> [Przekreślono: Angi]



dosyć dobre, kilku z naszych pisze dzieła po francusku—dziwna się utworzy literatura. X

Przyszlizcie mi o Jasiu wiadomości, gdzie się urodził i kiedy—słowem krótki rys biograficzny. Czy odebraliście list z nagrobkiem dla niego? Nagrobek ten bardzo się tutaj wielu podobał... Przybyło tu znów kilku moich szkolnych kolegów, a każdy goły jak bizun, aż smutno patrzeć.

Adieu, moi mili—adieu, kochana Mamo! Hersylko, stęskniłem się już, nie widząc tak dawno twego obusiecznego charakteru—czyli raczej pisma—bo charakter twój słodki nie zasługuje na takie nazwanie... Fortunatowi podziękujcie za pamięć. Panu Pawłowi moje ukłony, może już zapomniał o mnie—posłałem mu był z napisem exemplarz—czy go odebrał? Do biblioteki nie posłałem—bo kto wie, gdzieby z nią zajechał... Sienkiewicz blisko was będzie. Błotnicki niańką został, bo starszy jego dyscypuł na pensyi, już się wyrwał z pod Jackowej dyscypliny.—Adieu—całuję was wszystkich, Babuni i Dziadunia nóżki ściskam. Winszuję pannie Sabinie zmienionego szczęśliwie stanu. Sierotka wasza niech będzie grzeczna—i niech na mnie czeka z zamążpójściem. Wszak ja za lat 14 nie będę jeszcze bardzo stary... X

Wasz

Juliusz.

[Adres:]

Pour MMurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody en Autriche.

Les priant de renvoyer cette lettre à Mme de Becu.

[Stempel pocztowy:] L. F. Payé, Paris 12 Nov. 1832.

(19.)

D. 8 Grudnia 1832, P a r y ż

Kochana Mamo! Pobyt mój w stolicy nachyla się już do końca—za dni kilkanaście wyjeżdżam do Genewy. Potrzeba zmusza mnie do wyjazdu, więc i dobrze, że mnie przynajmniej w poetyczniejsze krainy posyła... Wiele miałbym pisać o tym miesiącu, ale nie wiem jakimi słowy.—Więc zacznę od podziękowania za list ostatni—list z podarunkiem miłym mi nieskończenie. Wierzę

słowom listu—choć znając Mamy serce, łatwo byłoby wątpić. Matko moja! wierz wdzięczności syna, bo jakżeby on po tylu łaskach śmiał ci obłudę za wdzięczność przysyłać? Porównywał los mój z innych losem—i nieraz mówię sobie, że ty, Matko, jesteś najlepszą z matek. Kiedyż ciebie, Matko, uścisknę, kiedyż rzucę się przed tobą na kolana, i powiem ci, żeś była moim Bogiem—aniołem stróżem życia mojego!

Miałem w tym miesiącu kilka zdarzeń pochlebiających moją dumie, więc miałem kilka chwil szczęścia—wyznajcie, że to nędzne życie, co w tym szczęścia szuka. Jest tu zakon święty, który chciał odlać patynę złotą, [Medal Lafaietowi (S. B.)] świadcząca o męce Chrystusa Pana—i znalazł się w smutnej okoliczności, bo ubogi, jak wszystkie księży zakony, co na ubóstwo przysięgają, nie miał na to funduszków. Chciano go oszukać—stanąłem w obronie, dostałem dlań pieniędzy—i ten co napisał: *Regina Pacis* [Pac Gen. (S. B.)] na kościele, nikomu innemu jak mnie zgodził się pożyczyć 500 fr. Wspomogłem księży, a zysk z odpustów dług zapłaci. Wy, którzy mnie znacie religijnym, dziwić się nie będziecie, że księży pogardzonych we Francyi wspomogłem. Zyskałem przez to opinią podczciwego człowieka . . . Z drugiej strony nie powiodło mi się w romansach—bo pogodziwszy się zupełnie z młodą moją dziewczynką, obiecałem, że pewnej niedzieli przyjdę do kościoła, do którego ona sama ze służącą chodzi. W niedzielę więc—bardzo rano wchodzę do jednego z dalekich kościołów—widzę zdaleka jej ubiór—postać, zbliżam się—ona się odwraca, i poznaję w niej starszą siostrę. Musiała zrozumieć, o co rzecz chodzi, gdy pośród rozmowy głośno zapytałem niegdyś mojej belli, czy chodzi do kościoła, a ta mi z najskromniejszą miną odpowiedziała do którego i o której godzinie. Widzę więc, że starszej siostrze próżno oczy mydlić—nie przekonałem jej nawet, mówiąc, że od jakiegoś czasu zwiedzam kościoły, aby się przypatrzeć obrazom.

W dzień imienin Mamy był wielki wieczór, na którym była porządna kolejna rozmowa—jak zazwyczaj pół po polsku a pół po francusku. Ja nic mówić nie miałem. Wtem Pan Adam, który miał oddać medal staremu Francuzowi—ułamkowi dawnych czasów—Pan Adam, właśnie gdy przyszła kolej na niego, zachorował i wyszedł—więc koledzy do mnie w prośby; próżno szukałem kogo,

X

aby mnie zastąpił. Lelum polelum nie chciał, inni improwizować po francusku nie mogli, musiałem więc się podjąć—i wszyscy kontenci byli z mojej improwizowanej przemowy, a stary Francuz stojący słuchał mnie—i równie ex promptu odpowiedział. Było przytomnych wiele dam—i kilka ładnych. Była to piękna chwila w mojem życiu—jest to jeszcze jeden skarb przydany do moich wspomnień . . .

Wracam właśnie teraz z teatru le Gymnase dramatique—i siadam do pisania dalej listu. Przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd, będę ciągle zwiedzał teatru, bo mi się zdaje, że do Paryża nie prędko—a może nigdy nie powrócę—bo tu przykro, drogo, niespokojnie. Między nami ciągle zwady, a w tych zwadach wykrywają się tak puste głowy, że aż to obraża dumę narodową. A potem, będąc w Genewie, między Paryżem a Florencją, któżby do Paryża wracał? Pisałem już, że interes zmusza mnie do wyjazdu—ale zapewne z własnej woli w Genewie zostanę na mieszkanie—i wiele sobie obiecuję przyjemności—i listy moje może ciekawsze będą, jak wam doniosę o mieszkaniu Roussa, Voltaira— a nadewszystko jak pielgrzymką na Mamy intencją zwiedzę Coppet, gdzie Pani Staël mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad Jeziorem Genewskim, w jakim wiejskim domku—i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowemi—bo ja stworzony jestem do życia mnisiego—spokojnego—i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność—ale nudną—przerywaną hukami powozów, rozmową nudnych znajomych—więc nie obwiniaj mnie, Matko, że cichszej samotności szukać będę. Jak mnie jaka gosposia zacznie karmić nabiałem, to Matuzalowych lat dożyję—tu zaś zatrważa mnie widok mojego przyjaciela (o którego pojedynku pisałem). Suchoty, od których się na czas pobylem w Wersalu uwolnił, wróciły z okropną mocą, skoro znów w paryskich zamknął się murach. Najczęściej przy nim przepędzam godziny. Smutny to widok młodego człowieka na łożu boleści, z którego się ruszyć nie może—bez rodziny—jak Łazarz wyniszczony. Zapadł obłóźnie pozawczoraj, i kiedy sługa hotelu musiał go nieść z kanapy na łóżko—płakał—sługa hotelu płakał! A wczoraj miał niemniej rozrzewniającą scenę—w dzień pił tylko mleko—i nic nie jadł—wieczorem weszła do niego cicho stara kucharka, która wi-

*zj. t. 1. 1. 1.*

dząc, że chory nie brał przez cały dzień nic z kuchni, sądząc, że mu nagle zabrakło pieniędzy i że wstydząc się nędzy, nie jadł— przysunęła się cicho do łóżka i powiedziała: „Pan może potrzebuje czego? Niech Pan mi tylko pozwoli, ja mu przyniosę dobrego rosolu, tak że nikt widzieć tego nie będzie...“ Chory z uśmiechem podziękował starzej kobiecie—ja na jego miejscu dziękowałbym ze łzami. A potem mówiła mu kucharka, ciągle o jego nędzy przekonana: „Niech Pan pozwoli, ja się przy nim położę na kanapie—i noc przepędzę—ale to bez żadnego interesu“—i kilka razy powtórzyła: „bez żadnego interesu...“ Boże mój! czyż w kuchni szukać dobrych ludzi? Ale ty, Matko, nie myśl, gdyby on cierpiał niedostatek—ma pieniądze—a gdyby nie miał... Lecz on nie w niedostatku—ma także matkę. Zły jestem na siebie, żem o nim Mamie napisał, ale cóż robić—piszę o tém, o czem myślę, i mimowolnie on mi się nasunął na oczy. Teraz, Matko, na pamięć ojca mego przysięgam ci, że nigdy tak zdrow nie byłem jak teraz—a znajomi, co mię niegdyś widzieli we Wrocławiu bladego—bo mnie wtenczas niespokojność dręczyła—dziwią się, że tak dobrze wyglądam. Nawet przy wzmocnieniu sił, uczucia moje niegdyś drżące i rozkołysane, teraz tak stwardniały, że mi już nadto zimne dają życie. Nie cieszy mnie to, ale Mamę ucieszyć powinno.

Właśnie w tych dniach przyjechał znów do Paryża z Anglii mój przyjaciel Anglik—śmieszna dosyć figura, z czerwonymi włosami. Ręce jego stężały jak żelazo od boxowania się, i cierpi na tem, że ze mną nie może się dalej w tej szlachetnej sztuce exercytować. Nic nie umie po francusku—wszystkiemu zaś co nosi polerowaną świata cywilizowanego postać dziwi się jak dziecko—i co niedziela chodzi za miasto patrzeć na walkę zwierząt, na którą sam tylko lud najpodlejszy paryski patrzeć może, tak jest przerażającą. Od dawna w Paryżu zapatrywałem się na sztychowane dwie ładne Angielki, które po oknach sklepów wystawione, sprzedają się jako obraz imaginacyi malarza, i noszą podpis: *kwiaty wiosenne*. Czy uwierzycie, że teraz od Polaków z Anglii przybyłych dowiedziałem się, że ładniejsza z tych dwóch panien jest siostrą mego przyjaciela z rudemi włosami, i że ta siostra—jest piękniejszą od obrazu i ma blond włosy—czemubym nie uwierzył

łatwo, patrząc na brata. Widzisz, Mamo, że gdybym ja miał siostrę, mogłaby być ładną—doskonałą pięknocią.

Chcesz, Mamo, abym ci przysłał kopiją listu Ludwisi—długiego by tu miejsca potrzebował ten list, a nic w nim niema tak ciekawego. Ciekawy jestem, czy mi drugi raz odpisze—i czy mi przysze miniaturę swoją, o którą ją prosiłem w ostatnim liście. Ile z listu sądzić mogę, nie gniewa się za pamięć moją—owszem gniewa się za mało pamięci o niej w książkach; oto są słowa jój listu:

„Miło mi było w mojej cichej samotności przebiegać te odcienia myśli i uczuć znajomój mnie duszy. W tych tworach poetę tylko widać—chował się człowiek, nieraz się jednak zdradził, a jam go poznała. Żadnej już nie czytam książki, ale Poezye pana jak przyjaciela dawnego, nie jak książki, przyjęłam i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć będę na ziemi.“ Dając potem zdanie o poezjach, krytykuje wykrzyknik Oh! w tragediach. Najładniejszy kawalek z jej listu jest ten, gdy podczas czytania moich poezyi przez Antosię, pyta się Ludwisia Julki, czy pamięta Julka Sł.—Spodziewam się, że jak wydrukuję *Lambro*, to mnie nie będzie obwiniać, abym się krył z mojými uczuciami—myślę tylko nad tem, że trudno go będzie przesłać.—Już więcej miesiąca, jak wyprawilem do H[lausnera] 63 exemplarze moich książek—chciałbym aby doszły przed kontraktami Kijowskiemi, to może znajdziecie sposób przesłania ich tam. O kuzynki naszej zdrowiu nic pocieszającego donieść nie mogę—smutno! smutno! Mamy tu niektóre zabijające recepty, przez waszych wydawane doktorów—i okropność zdejmuje, widząc, że już trucizn używają.

Jeżeli u was panuje choroba, dla której każą klimat doktorowie odmieniać, to Teof[il] niech wcześniej o sobie zaradzi—może to jest marzenie, ale zdaje mi się, że on będzie skłonny do téj choroby. Czy odebraliście nadgroby, które posłałem? Henryk zdrów—widziałem go dzisiaj na teatrze. Podoba mu się Paryż, ale [coś od jakieg]oś czasu rzadko się ze mną widuje, więc o jego interesach nic nie wiem. Wiem, że starał [się wejść do] szkoły kupieckiej, ale czy mu się udało, nie wiem. List ten zastanie pewno u was [Mianowski]ego, więc przypominam się jego pamięci—inne to były czasy, gdyśmy razem na perekładnych w nocy z Jaszun wracali

Novata  
do G  
77

Dobrze nam w ten czas było—dobrze nam było na kucyi w Jasz-  
nach. Kiedy o tem wspominam, zdaje mi się, żem już stary—praw-  
da, że to już wtenczas miałem siebie za słusznego człowieka, a inni  
mnie za dziecko uważali. Staraj się, kochana Mamo, od Lapièrre  
mój tólmok odpytać—bo mi żal listów Olesi, w ostatnim roku po-  
bytu mego w Wilnie do mnie pisanych, a które w tym tólmoku zo-  
stawilem. Jest tam nieco książek, pościel, i toaletka karlsbadzka—  
te wszystkie rzeczy chciałbym kiedyś w moim pokoju widzieć,  
w tym domku, który Teofil budować zamierza—i gdzie dla mnie  
jak dla starego kawalera dwa pokoiki od wschodu ma urządzić.

Spotkała mnie smutna awantura. Jeden z tutejszych malarzy  
zrobił olejno śmierć *Żmii*—ale tak mu się nie udało, że wszyscy  
z szyderskim uśmiechem donoszą mi o tym obrazie, a ja odpowia-  
dam, że tylko dobre dzieła parodjowane być mogą. Wynagradzając  
mi to, jeden z najslawniejszych sztycharzy w Europie, Oleszczyński.  
dedykował mi sztych piękny, wystawiający Chmielnickiego. Przy-  
szłę go wam kiedyś.

Adieu! Matko najdroższa—do zobaczenia się. Wszak jeżeli  
się mamy kiedyś zobaczyć, to każda chwila przybliża nas do sie-  
bie. Jeżeli się nie mamy zobaczyć, to każda chwila oddala nas od  
siebie. Ale tak nie jest, bo ja z każdym dniem widzę coraz wy-  
raźniej wasze rysy, więc z każdym dniem muszę być was bliższy.  
Adieu—Babuni, Dziadunia rączki całuję—Teofilu drogi! chciał-  
bym, żeby tobie dobrze było—Adieu, Hersylko! Adieu, Mamo  
kochana — — Jul.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

à Krzemieniec.

Nr. 1. Odebrany d. 16 X-bra 832 Radziwiłów J. B. — Paris 28.

(20.)

*Geneva, d. 30 Grudnia 1832 r.*

Kochana Mamo! Niemasz smutniejszej dla mnie chwili jak ta,  
w której przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5-tej wieczór  
przyjechałem do Genewy—wniosłem się do hotelu „pod wielkim  
orłem“, i nie mogąc po nocy włóczyć się po nieznaném mieście, ka-

załem sobie do pokoju przynieść herbaty—i przy ogniu kominka marzę—i piszę list ten do kochanej Mamy.

Nic jeszcze o Genewie powiedzieć nie mogę—ale zamierzam sobie długo bajać o moim pobycie w dniach ostatnich w Paryżu i o mojej podróży.—Jaką mi przykrość robi ten wiatr, co szumi i wyje po jeziorze Genewskim . . . . Otóż powiem ci, kochana Mamo, że mnie kilka osób w Paryżu żalowało. Kora płakała i z drugiego pokoju słychać było łkanie, a kiedy wyszła do salonu, czerwone tak miała oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przede mną, że ma mocny katar mózgowy—nad czém bardzo ubolewałem.

Dwóma dniami przed wyjazdem Michał rano wchodzi do mnie i pośród rozmowy wspomina coś o wróżce sławnej w Paryżu, Pannie Lenormand. Musisz ją Mama znać z reputacyi, bo ona niegdyś Cessarzowi wróżyła . . . Ułożyliśmy więc natychmiast projekt iść do Panny Lenormand. Szczęściem, wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała—dóm zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: *Librairie de Mlle Lenormand*. Wchodzimy do sieni—wita nas stara duguena, pytając, czy przyszliliśmy na konsultacyą. Odpowiadamy, że tak i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umeblowanego, w którym całe ściany okryte obrazami rozmaitych cudów przyrodzenia, i wśród tych malowideł wisi ogromny portret samej wróżki w axamitnej czarnej sukni, ze złotą u dołu frendzlą i w zamyślonej postaci odmalowany. Kilka osób przybyłych przed nami czekało na kabałę. Słychać było w drugim pokoju ciągle mruczenie czarownicy . . . Wpuściła nas nareszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę. Jest to baba stara, lat ma ze 60, otyła—niska—z garbem na plecach—ubrana w szarój sukni—na głowie mnóstwo loków—i na nich na bak[ier] włożony ogromny czarny beret, jak męska czapka—rysy twarzy ma zupełnie polskie, trochę cio[cię] Pałuską przypomina. Siadła na krześle z poręczami, przy biurku z wytartém suknem—na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitej wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. Zapytana odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite; od 6-ściu do 60 franków. Prosiłiśmy o sześć frankową przyszłość. A więc przyznacie sami, że ludziom, co po sześć fr. płacą za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć. Zadała mi pierwszemu następujące pytania:

„W którym miesiącu rodziłeś się?“—„w Augustcie.“ „Którego dnia?“—„23“. „Jaka pierwsza litera imienia?“—„J“. „Pierwsza litera kraju?“—„P“. „Jaki kolor najwięcej lubię w ubiorze?“—„Czarny“. „Jakie zwierze najwięcej lubię?“—„psa“. „Jakie zwierze najbardziej niecierpię?“—„pająka“. „Jaki kwiat najbardziej lubię?“—„różę“. Na tym zakończyła—i wzięwszy talię kart zwyczajnych, ułożyła długie z nich szereg, dwie zawsze karty odrzucając. Potem wzięła ogromne karty z dziwnymi wizerunkami—i kazała mi z nich wybrać 11-scie lewą ręką—inne zaś odrzuciła. Potem z trzeciej, równie ogromnej talii, kazała mi wybrać 23 karty—z wybranych ułożyła ogromny wachlarz—i z wachlarza zaczęła wróżyć—jak excytarz jednym głosem i nieźmiernie prędko. Wróżby zupełnie pospolite: między innymi powiedziała, że będę się dwa razy kochać—że rozpoczynam podróż, której mi rozpocząć nie radzi, aż do odebrania pewnych wiadomości—że dopióro w dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie moim wiadomości—że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował—że między 27 a 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy—że w tych latach wiele dla mnie zajdzie wypadków. Oto są wszystkie prawie przepowiednie, ostatnie tylko dosyć interesujące. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż—i ponieważ jój mówił, że kocha konia, wróżyła mu, że się na polu walki odznaczy. Tumani baba i niczém zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacjentów.

Po tak przepędzonej godzinie wyszliśmy z Michałem do ogrodu Luxembourg. Gadaliśmy długo, drwiąc z siebie nawzajem, a potem mimowolnie wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: „Wiesz, szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków, możeby nam co więcej powiedziała.“ Rozjechałem się śmiechem na te jego słowa—malowały one doskonale łatwowierność człowieka—zdradziły go aż do głębi serca; ale ja także wyznać muszę i jemu to wyznałem, że także przez czas zamyślenia na tę myśl wpadłem. Wiliją mego wyjazdu jeden z moich znajomych żegnał mnie obiadem, który nie był ani smutny ani wesoły . . .

Dnia 26. Grudnia wieczorem z pięciu przyjaciółmi jedliśmy razem obiad w traktyerze przy dyliżansach położonym. Wybiła 7-ma godzina i wsiałem do dyliżansu. Przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mnie czekało, stali wokół, gadając ze mną



przez okno karéty . . . i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika, który się wywlokł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu . . . Widzę go dotąd przed sobą—jak mówi Szekspir—oczyma duszy mojej, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę.—Ruszył dylizans—to ogromne zwierze nadziane różno narodowym tłumem—i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potem przez Pont Neuf, a potem przez ulice, na których nigdy nie byłem, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu, i tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy, nie mogąc rozerwać niczem mojej uwagi, przebiegałem myślą mój pobyt w tém mieście—i nic nie znalazłem przyjemnego—żadnego wspomnienia, oprócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezyi.

Powiem tu ci jeszcze, moja Mamo, że mnie w jednym zgromadzeniu ziomekóv proszono na klęczkach prawie, ażebym został—ale już było za późno—przygotowania do podróży były porobione.—Teraz w Genewie trzeba sobie ułożyć sposób nowego życia—ale póty spokojny nie będę, póki w Genewie od kochanej Mamy listu nie otrzymam—bo list twój ostatni przeraził mnie—on mi zatruł wszystkie myśli, wszystkie marzenia w mojej podróży; tyś znów chora, kochana Mamo—leżysz w łóżku—teraz zima—Boże! zmiłuj się nade mną—

Żądanie Mamy o przysłanie kanwy nie może być spełnione jak przez jadącego w tamte strony, bo kanwy są kontrabandą, zatrzymanoby je więc na granicy jako towar. Wyjazd Michała bardzo niepewny. Cierpię na tem, że żadnego żądania Mamy skutecznie nie mogę—nie posądzajcie mnie jednak o niewdzięczność.

Ale wracam do opisu mojej podróży—przejeżdżałem przez ładną Francją, ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dylizansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą—zacząłem ich naśladować i często po całej mili uchodziłem. Co dziwniejsza, że w towarzystwie naszym znajdował się jeden sławny szybkobiegacz, który się w Paryżu popisował—i któremu dotrzymywałem kroku. Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszem wędrowkami i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jedną górę, spotkałem się po raz pierw-

szy z zimą—murawa cała była szronem okryta. Futro u mego płaszcza obmarzło. Wyprzedziłem zdaleka dyliżans—i stałem sam jeden, a widząc naokoło skały, waszemi imionami próbowałem ich echa. Jechałem przez Tonnèrre—Dijon—Dole—wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie 5 z rana przyjechaliśmy do St. Laurent, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wiaść sanki, aby przebyć śniegi téj góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie się budy zabrało, bo było już nas tylko czterech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem, Szwajcarem, w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzecie spakowano rzeczy, i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz—śnieg dawno niewidziany—tu sanna—tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz—jechać na południe sankami! O siódméj zaczynało się rozjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety—domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę—to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz—a w tym ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi jak srebrna kórtyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarzony obraz. W oberży samotnej na górze Jura jedliśmy obiad—a po obiedzie pokrzepieni zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dostyc wam powiedzieć, że prędkim klusem jechaliśmy z tej góry godzinę—i porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły—tak, że spojrzawszy na otaczający nas wokoło i na spiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wmówić w siebie, aby o tej porze na szczycie góry słońce świeciło.

Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów—w ojczyźnie Wilhelma Teta. Jechałem koło Fernej—widziałem zdaleka zamek Woltera i kościółek, który Bogu postawił. Fernej mniej na mnie zrobiło wrażenia niż sama droga. Przez dwaście godzin widząc śniegi wokoło, o was marzyłem—marzyłem o dawném dzieciństwie—o dniach przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wystawić nie potrafię. O półtóry mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o piątej wieczór wjechaliśmy do miasta. Teraz <sup>1</sup> patrzcie

---

<sup>1</sup> [Przekreślono: *spojrzyjcie.*]

początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w tój mieście przepędziłem.

*Dnia 5 Stycznia 1833 r.* Czekalem z wyslaniem tego listu aż nim pewne nie obiorę sobie mieszkanie, abym wam adres mój mógł napisać. Przyjechawszy do Genewy, na drugi dzień znalazłem tu kilku z moich znajomych, którzy mi obiecali dopomóc w wynalezieniu mieszkania. Genewa jest niezmiernie drogą—i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy, mieszkają w tak nazwanych pensyonach. Pochodziwszy trochę, znalazłem sobie bardzo ładny pensyon, w wiejskim domu o kilkadziesiąt kroków od miasta położony. Kosztuje mnie na miesiąc 130 fr. bez opału. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinią. Gospodyni pensyonu nazywa się Mme Patteg. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego lub Kosielskiego, powiedzcie im, że zaraz na wstępie zapytała mi się panna Patteg, czy ich znam—i od-tąd ciągle mi o nich gada. Oni kiedyś mieszkali u tej samej pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę, ale wtenczas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

Muszę wam opisać pensyon genewski—a najprzód dóm, w którym się mieści—potem gospodarstwa moich portrety skreślę—potem opiszę mój pokój—a potem moich towarzyszy. Dóm leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiej stronie Genewy—bo Genewa mniejsza jest prawie od Krzemieńca—tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest małą, kiedy pomimo największej drogości mieszkań liczy tylko do 24,000. mieszkańców. Otóż dóm, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie za miastem, wysoki na trzy piętra, szary, z zielonemi okienicami. W ogrodzie najwięcej jodeł i sosen—o kilkadziesiąt kroków jezioro Genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów z okien nie widać.

Pani Patteg jest to stara kobiéta, przyjemnej twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuwam, że gdybym kiedy zachorował, w jêj domu nie byłbym jak obcy. Córka jêj, Panna Eglantine Patteg, wszystkiem się w domu trudni. Jest to panna, mająca około lat 30. Ładną być dawniej musiała—teraz pokazują się w niêj wady sta-

X  
rój panny. Z tém wszystkiém bardzo jest przyjemną w konwersacyi—i dobrze gada o wszystkich znajomych. Czule wspomina Groch[olskiego] i Koslielskiego], z uśmiechem mówi o Ilkiewiczzu, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jak gośmy widzieli, bo wystawiła mi go Panna Patteg jako nadzwyczaj wesołego i miłego w towarzystwie.

Przybywszy na pensyon, zastałem w nim familiją francuską—starego pana z żoną i z synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali—jeden mi więc tylko został towarzysz. Jest to Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonarjuszów powiększa się nieskończenie w lecie; wtenczas mnóstwo [przyje]ldza Anglików—często ładne przybywają Angielki—a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt—bawią się—wieczorami pływają po jeziorze—i późno przy księżycu wracają do domu.—Mam pokoik bardzo ładny—zupełnie wiejski—z obbiciem w kraty zielono-karmazynowe—biórko czeczotkowe—ogromny, ale ogromny fotel axamitny, w którym jak siądę, to mnie nie widać—i krzesła i stolik i piec okrągły—okna, jak zwyczajnie w Szwajcarii, z małemi szybami—a przed oknami dwa świerki—sosnę, dąb stary—wiele krzewów—murawę teraz nawet zieloną—i kłąb z róż. Okna moje obrócone są na wschód, będę więc miał w lecie słońce—i w ładny poranek otworzę sobie okna i będę miał słońce—zapach róż—i zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz, Mamo, jak mnie te jodły cieszą—jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mię wkoło otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, aby odpocząć po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają jakbym był za pieniądze, i to mi jest bardzo przyjemnie.

W pensyonie tym wstają wszyscy o 9-tój rano—o 10. schodzą się do wielkiej sali na śniadanie, złożone z jajek miękko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie te dwa napitki przyprowadzają tu doskonale, ale kawa w mieście jest niegodziwa. Potém rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściej do miasta—do salonu lektury—odwiedzam moich znajomych—i znów o czwartój schodzimy się na obiad. Ile razy jém obiad smaczno

zgotowany, dziękuję Bogu, zem się od paryskich traktyerów wyzwolił—i czuję, że mi tu daleko lepiej na zdrowiu. Po obiedzie często ktoś z dam genewskich do Pani Patteg przychodzi z wizytą—i [tam] pozawczoraj wieczór przepędziłem na rozmowie z Panną Liną—jest to ładna z czarnými oczyma Szwajcarka—i we czwartek mam pójść do jej rodziców na wieczór. O 9-tój godzinie pijemy herbatę—i potem przy kominku ciągnie się rozmowa, po której każdy do swego pokoju odchodzi. Wszelka wolność wyjścia prędkiego lub bawienia się z damami w salonie zostawiona jest mieszkającym w tym domu.

Otóż masz, kochana Mamo moja, wszystkie detale mojego pobytu w Genewie, czyli raczej sposobu, jakim tu przebywać będę. Starać się muszę, aby mi tu jak najmniej smutno było. Spodziewam się wejść do kilku polskich domów, a jednak uczynię to z przykrością—ale się trzeba przezwyciężyć.

Pytasz się mnie, kochana Mamo, wiele mi potrzeba po Nowym Roku. Mówiąc otwarcie, abym był na cały rok spokojny, potrzeba mi około 450. rubli—ale jeżeli mi je Mama zdołasz przysłać teraz, to upraszam, abyś mi z 60. egzemplarzy Poezyi odebranych pieniędzy nie odsyłała, bo mi już będą niepotrzebne. Odebrawszy sumę, o którą proszę, będę mógł utrzymać się przez rok cały i nadto wydrukuję *Lambra*—bo czuję konieczną potrzebę nowego ukazania się na literackim świecie.

O! kochani moi—smutno mi, smutno czasem—i często—bo się już przerabiam na obywatela świata—już się ani do miejsc, ani do osób, z którymi żyję, nie przywiązuję, tak silnie jak w dzieciństwie—i to jest jedną z wad, jakiej nabywa serce tułacza.

Starajcie się cokolwiek donieść mi o Grocholskim i Kosielskim, a jeżeli możecie, to proście którego z nich, aby sami do [panny] Patteg napisali—bo tu po nich czule zostało wspomnienie. Spodziewam się na podobne zasłu[żyć]. Piszcie jak najprędzej do mnie, upraszam was o to, adressując list tak: „à Monsieur . . . . Chez Mme Patteg, Campagne de Monthoux aux Paquis près Genève en Suisse“. Słowa podkreślone są koniecznie potrzebne, albowiem Paquis nazywa się wioska, w której mieszkam; zamiast nazwiska damy i Campagne można położyć numer 10, ale lepiej do damy adressować, zawsze jednak kładąc moje nazwisko. Kochana

Mamo, o! jakbym ja chciał przez jakiego gołębia list mieć prędko, abym się o twojem zdrowiu dowiedział! Gdybyś ty zdrowa była, to może i dosyć miło przeszło by mi te lato między górami szwajcarskiemi. Teofilu kochany! myślę często o tobie, patrząc na śliczne góry, na cudowne widoki, które mię otaczają. Gdybyś był kiedyś ze mną posiedział, możebyśmy oba teraz u Pani Patteg biedę ciągnęli—ale i dobrze, że się tak stało, jak się stało. Pomimo niezawisłości życia, jest tu wiele chwil nieprzyjemnych— a najwięcej dręczy niespokojność o los oddalonych osób. Kochana Mamo! Bądź ty zdrowa. Dziś właśnie musicie myśleć trochę o mnie, łamiąc opłatek. Jak was mało przy stole! Cóż robić? z Babunią potwarzam: Niech się dzieje wola Boża. A od Mamy nauczyłem się przysłowia: jakoś to będzie. Powinno być kiedyś dobrze . . . Adieu! Adieu! Adieu! Piszę do H[ausnera] w Brod[ach], посыłając mu także mój adres. Kłaniajcie się wszystkim moim znajomym— i bądźcie zdrowi.

[Adres:] à Madame

Wasz Juliusz Sł.

Madame de Becu

à Krzemieniec.

(21.)

Geneva, 1833 r. Luty 10, n. s.

Odebrałem, najukochańsza Matko, w Genewie twój list, pisany do mnie do Paryża, a przy liście przysłane mię doszły podarunki. Kochana Mamo! już to setny raz dzięki tobie.

Jestem już od 40 dni w Genewie, pisałem do was zaraz po moim tu przyjeździe, list zaś ten, który teraz piszę, opóźniony został o dni kilka, albowiem w tych dniach ostatnich pracowałem nad moim *Lambrem*, i wczoraj go posłałem do druku. Smutno mi, że się z nim rozłączył, smutno mi, kiedy myślę, że ty go, Matko, nieprędko może czytać będziesz. Smutno mi, że tak jak ludzie zupełnie obcy będziesz go musiała od księgarza sprowadzać. Mam teraz bardzo dobrego księgarza. Sławny Korn we Wrocławiu napisał do mnie list grzeczny, prosząc o 100 exempl. moich poezyi i po ich odebraniu ma mi natychmiast wyplatać zaassygnować. Posłałem

mu więc żadaną ilość, i po wydaniu *Lambra* poszlę mu także ze 200 exemplarzy.

Co do mojego terażniejszego położenia, bardzo sobie mile życie prowadzę. Mięszkam na wsi, jak już wam pisałem—u ludzi, którzy kazali mi Mamie napisać, że mnie bardzo kochają—i starają się to samo dla mnie uczynić, co chcą, aby dla ich oddalonego syna czyniono... Stara dama, pani Pattey, ciągle mnie się pyta o moje chęci, gusta—wszystkim chce dogodzić, nad zdrowiem mojem czuwa, słowem, mogę was zaręczyć, że bardzo godna i uczciwa osoba. Jej córka, Panna Eglantyna, która już ma lat około 30, bardzo mnie także lubi, stara się bawić, w kilku domach mnie zapoznała—a w domach tych przyjmują mnie ze znaczną atencją—i rozróżniają od innych. Winien jestem Pannie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na kasyna—i bywam na nich często dosyć... Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki, jak śnieg białe, mieszają się w kołach walca z zamyślonemi [An]gielkami, których tu jest najwięcej. Tańczują zaś tu tylko kontredanse, walce i galopady...

Zaproszony byłem także na kilka balów, przez nieznanome dawanych osoby—dziwny to wcale zwyczaj. Byłem na jednym z nich—i z trudnością wyśledziłem przeczuciem prawie gospodynią, której się trzeba było uklonić. Na takich balach tańczą mazura—i to mi największą sprawia przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w do[mu.] Jestem zupełnie na wsi—z rana po śniadaniu wychodzę z Panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj, chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł—niebo błękitne—a na horyzoncie wysoko wznosi się *Mont blanc* śnieżny, lekko jak chmura skreślony, czasem wiankiem białej chmury okryty... Wyrysuję wam kiedyś i przyszlę widok domu, w którym mięszkam, wzięty z ogrodu. Chodząc tak z rana, często Pannie Egl[antynie] opowiadam różne przypadki mojego życia, zaczynając od lat 4. wieku—i zbieramy fijołki, które już się pokazują.—Kilka dni temu Pani Pattey umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła—i kilka dam było ładnych. Bawiłem towarzystwo jak mogłem—nauczyłem mazura—z trudnością przypomniałem sobie z dziesiątek figur—i bardzo były panny

kontente. Potem ustawiłem wszystkie do Angleza i znów im różne nasze figle pokazywałem. Kręciłem wszystkich w długiego gęsiora i tak się rozhasałem, że im wszystkie tańce pokazywałem, aż do kozaka. W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek—wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy i napelniały puste serce. Miałem jeszcze jedną wielką przyjemność—jednego wieczora przyszła do nas Pani Morin. Jest to żona jednego z pierwszych doktorów—bywam u nich—ona sama Włoszka, trochę sawantka, ale w miarę—ma ładną córkę, która się nazywa Lina—i sama śpiewa prześlicznie metodą włoską.

Otóż Pani Morin przyszła do nas wieczorem i wśród konwersacji powiedziała mi z uśmiechem: „Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuskich czytał długi i pochlebny artykuł o poezjach Juliusza Słowackiego. Czy pan znasz tego poetę?“ Udałem, że mnie ten artykuł mało obchodził, ale nazajutrz z bijącym sercem pobiegłem do *Société de lecture*, w którym znajdują się wszystkie dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezyi w *Revue Européenne*. Bardzo pochlebnie mówią o mnie. Zaczynają od wyjścia na świat *Bogarodzicy*, dają tłumaczenie tego hymnu, potem mówią o *Żmii* z pochwałami, potem przytoczony jest w tłumaczeniu wyjątek wiersza do Skibickiego, rozbiór obszerny dość tragedyi—z cytacyami, pochwała śmierci błazna, i charakteru jego w *Marii Stuart*, nakoniec tłumaczenie całego *Araba*, wcale niezłe. Jest wszędzie trochę ocukrowanej krytyki, ale jest i to, że mam lat 22, i że rzuciłem podstawy literackiej sławy. Widziałem potem w *Société de lecture* czytających artykuł o mnie—widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blisko niego stałem—a to mnie nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w Salonie czytających samego poważnego Pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbiorem moich poezyi siedział... Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać—i wiedzieć, co ja za jeden? Spodziewam się, że Francuz, który ten artykuł pisał, przetłumaczy mego *Lambro*, który jako romans może się podoba Francuzom.

Artykuł twój, kochany Teofilu, o twoim bracie prześlicznie odebrałem. Jeżeli zamierzone dzieło do skutku przyjdzie, to go umieszczę... tak jak jest—boś go ślicznie, z boleścią i oburzeniem



napisał. Okropne to zdarzenie! Kto wie, czy na wiosnę nagrobek się nie spełni choć w części!

Lepiej mi jest w Genewie niż w Paryżu—odbieram mnóstwo listów i wiem, co się tam dzieje—myślą . . .

Pisałem wam o moim wyjeździe. O moim chorym przyjacielu okropną odebrałem wiadomość—w kilka dni po moim wyjeździe mocno zasłabł—i był bez nadziei; siedział nieruchomy na łóżku i ciągle powtarzał: „niéma Julka“, a wymawiając te słowa, płakał. Kilku znajomych ciągle go pilnowało. Kilkoma dniami przed śmiercią odebrał mój list—a list był wesoły, szalony prawie, bo nie wiedziałem, że się tak źle miał. Czytano mu ten list i płakał . . . Dnia 18. w nocy, o 10 godzinie wszyscy go opuścili i został tylko służący. W pół godziny potem—chory otworzył oczy, westchnął trzy razy i skonał . . . Pochowano go na cmentarzu *Père la Chaise*, gdzie tyle razy całe ranki przepędzałem. W kilka dni potem odebrałem list donoszący mi o jego śmierci. Było to rano—ślicznie słońce świeciło—przeczytałem list—płakałem, czytając, że mnie wspominał, bo może już na ziemi nie będę miał przyjaciela, któryby mnie przed śmiercią wołał—częściej niż rodzinę swoją. Po przeczytaniu listu myślałem długo, a potem czułem gwałtowne zachcenie, ale bardzo gwałtowne—oto chciałem być w téj chwili w Paryżu, chciałem pójść do *Père la Chaise* i usiąść na jego grobie . . . bo ranek był tak piękny i cichy—a gdybym siadł milczący na jego mogile, to byłoby to samo jak wizyta, którą choremu co ranka oddawałem. Był to zwyczaj prawie—codnia musiałem u niego z godzinę, najczęściej milczący, przesiedzieć. Matko moja! pomódl się za tego, który kochał do śmierci twojego syna—i któremu twój syn nic wzamian nie dał—tylko łzę po śmierci.

Pisano mi z Paryża, że mnie Kora zawsze wspomina, rumieniąc się, kiedy kto inny wspomni. Druk mego *Lambro* przypomniał jej, jak niegdyś, drukując poezye, chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny. Będzie jej trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie przed oczyma . . . Właśnie rok temu, jak drukowałem poezye.

Pobył w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu, zupełnie inne obrazy i bardzo wydatne odcieniami zostawiły w mojej pamięci. Pobył w Genewie różni się zupełnie i spodziewam się, że utworzy obraz

wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy—bo dóm, w którym mieszkam, latem napelnia się mnóstwem wojażerów, naj[częściej] Anglików. Co roku prawie, jak mi mówi Panna Eglantyna, przyjeżd[żają] i mieszkają u [nich] ładne damy. Bardzo to będzie korzystnie dla mnie, że nie wycho[dząc] z domu, będę się [w różnych towarzystwach ocierał. Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mnie w św[ł]ecie] w dobrym świetle wystawia. Pomaga mi w tem rodzaj małej sławy, która rzuca jak[is] urok na moje rozmowy, a przynajmniej dobrze ludzi o mnie uprzedza i często wyba[czają] mi milczenie nawet, które zgubiłoby w opinii innych—i sam nie czując się w p[otrzel]bie ciągłego gadania, gadam więcej, bo nie doświadczam żadnego przymusu.

Teatr tutejszy szkaradny... albowiem wiele jest metodystów w Arystokracji, którzy teatr za zakazaną i zgubną uważają zabawę. Obyczaj genewskie zadziwiają—nigdzie niema mniej intryg, ale wiele jest plotek, jak zwyczajnie w małym mieście. Zwyczaj tu jest, że Panny same chodzą po ulicach—zwyczaj także, że przed pobraniem się młodzi ludzie kochają się po lat 10; słowem, wiek tu złoty trwa dotąd—i z tego względu miasto dziwną ma postać moralną. Dziwię się jednak, że go tak cudzoziemcy lubią. Arystokracja tutejsza, złożona z kupców i zegarmistrzów, nudna bardzo i płaska. Otóż macie w kilku słowach rys Genewy. Drugi raz obszerniej pisać będę—teraz lękam się ten list spóźniony już długim pisaniem opóźnić. Czekam niecierpliwie wiadomości od was, moi mili—wdzięczny jestem Hersyli za słów kilka. Tobie, kochana Matko, za wszystko wdzięczny jestem—ale bardzo, bardzo! Kochana Mamo! całuję cię serdecznie—pisz mi często, bo tego do mojej spokojności potrzeba.—Adieu!—Teofilu, ściskam cię. Babuni i Dziadunia kochanych rączki całuję... Adieu!

Wasz *Juliusz*.

[Adres:] à Madame

Madame de Recu

à Krzemieniec.

Geneva, 1833 r., d. 15 Marca.

Kochana Mamo moja! odebrałem list od was w Genewie—i ten mi dopióro dozwolił oddać się całemu wiejskiej ciszy, która mnie tu otacza. Matko moja, gdybyś wiedziała, jak mi do szczęścia twoich listów potrzeba, tobyś je częściej wysyłała. Mnie tu listy od was mało kosztują, a zatem niech was nie zatrzymuje bojaźń narażenia mnie na wielkie wydatki. Odebrałem list wasz—i nie uwierzyście, jak Pani Pattey i jej córka cieszyły się, że Mama kontenta jesteście z mojego u nich pobytu. Po waszym liście, we dwa dni potem odebrałem odesłany mi z Paryża Ludwisi list—długi—ogromny, z którego dowiedziałem się, że została dewotką. Pisz do mnie, starając mię się nawrócić—z tej strony niewielki list odniósł skutek. Znalazłem w nim jednak wiele czucia i wiele pokarmu dla mojej dumy. Obiecała mi z Odesy, gdzie na wiosnę jechać zamierza, przysłać swój portret. Napisz więc jej, kochana Mamo, ale nie wyszczególniając powodów, gdzie się ja teraz znajduję, i daj jej mój adres, bo mi pisać zakazała. List ten był wypadkiem w moim wiejskim życiu. Potem przyszedł mi z Paryża pakiet zawierający 10 exemplarzy dzieła p. t. *Notice sur les poésies de Jules Słowacki*. Artykuł, który był osobno w *Revue Européenne*, przedrukowano i zrobiono z niego małą broszurę. Żałuję, że go wam przysłać nie mogę pocztą, albowiem *Hymn* w nim zawarty zahaczyłby się. Rozdałem kilka exemplarzy moim znajomym, a resztę chowam, czekając sposobnej pory do przesłania.

Czy nie wiecie, gdzie się obraca Odyniec—pisałem bowiem do niego do Drezna—i list mój został bez odpowiedzi. W Dreźnie ulokowałem był 50 exemplarzy moich Poezyi, ale z nich ani [grosza] mi nie odesłano. Lękam się, aby 63 egzemplarze, które dla Ciebie, Matko, wyprawilem, nie [zagięły.] Muszę się o nie w Paryżu dopomnieć, jeżeli was nie doszły.—Teraz drukuję tom III. i już [mi] przysłano arkus[ze] pierwszy korekty. Zawierać będzie ten tom: poema w dwóch pieśniach p. t. *Lambro*—następnie różne wiersze, znane w nieszczęściu naszej kuzynki—dumą o ukraińskim panu, co miał arabskie konie\*—na końcu zaś umieszczam

\* Rzewuski (S. B.)

poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo. Dla tego jednego poematu chciałbym, abyście tom III. czytali kiedy—Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąć jaki! Śmieć się ze mnie—ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzeć nie może.

W ostatnim poemacie ukradłem jedną myśl z twego listu—ale ją znacznie osłabiłem w wierszu. Co do książek polskich, przyszlizcie mi je dyliżansem—to jest Kochanowskiego Jana, Kochanowskiego] Piotra *Jerozolimę* gotyckimi literami—jeżeli zaś można, to mi przyszlizcie dykcyonarz sławnych ludzi, służący za materjał do wieku Zygmunta III. Zdaje mi się, że przez Siarczyńskiego—ale niepewny jestem autora. Są to dwa tomy, wydane przez jednego z członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pan Paweł\* powie wam, jakie to jest dzieło—może go w Glucsberga księgarni znajdziecie; to dzieło wielkim byłoby dla mnie skarbem. Ta mała biblioteka polska wiecznie mi będzie towarzyszyć—i będę bogatszym od wszystkich moich kolegów. Co tylko ci, Mamo, wpadnie w ręce ze starych kronik, które się czasem po rękach żydów walają, to mi przyszliz.

U nas tu niedawno graliśmy w domu komedią po francusku. Ja miałem grać także—i znajdowali wszyscy, że wybornym jestem aktorem. Ale po kilku próbach tak mię zajął drukujący się tom poezyi, że abdykowałem moją rolę i cała komedia upadła. Na miejsce tej komedyi wybrano inną, mniejszą—a ja ofiarowałem się być suflerem. Jakoż po wielu próbach stanął Teatr z parawanów i z wazonów i z sosen wybudowany. Bardzo przyjemnie przeszedł ten wieczór. Panna Pattey gra wybornie. Jeden malarz, podobny do Teofila, trochę upudrowawszy włosy, grał wujaszka, dwóch innych młodych chłopców rolę kochanków—a ja suflerem byłem. Potem tańcowaliśmy—i czy wierzycie, że ja tu pierwszy animuję towarzystwo. Kiedy tańczę, młodzież ściga mię oczyma i zgodnie mi pierwszego miejsca ustępuje. Na tym wieczorze zadziwiłem ją walcem, tańczowanym tak jak u nas tańczują wojskowi, to jest uderzając ostrogami. Ja zaczynam mazura—ja prowadzę kotilioną—i pokazuję nowe figury, jako to z szalem, z czterma królami kartowemi

\* Paweł Jarkowski, bibliotekarz. (S. B.)

i t. p. Często gram do tańca na fortepianie—i potem Panna Pattey opowiada mi, co o mnie damy gadają—i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czym wy z trudnością wierzyć możecie, widzieliście mnie bowiem dzieckiem nudnym, teraz zaś umiem czasem grać rolęesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym. Nie odraża ich to ode mnie, bo moje położenie, oddalone od kraju i od was, usprawiedliwia tygodniowe spliny.

Po całych rankach teraz pracuję nad moją nową produkcją literacką—przez kilka dni jednak malowałem *à la guache*, i wiecie co? oto widok Krzemieńca z ławki pod topolą w botanicznym ogrodzie—dalej kościół pojezuicki—dóm, w którym mieszkacie—dalej Zamkowa góra—i księżyc wschodzący z za murów zamku starego. Pejzaż ten udał mi się dosyć ładnie—i darowałem go Pannie Eglantynie na pamiątkę. Ona także rysuje dosyć ładnie. Dobrze z nią żyjemy, zwierza mi się ze wszystkiego [i] mówi, że żadnej ze swoich przyjaciółek tego, co mnie nie wypowiedała. Posyłam tu karteczkę do Grocholskiego pisaną—odeszlijcie mu ją.

Wiecie, jak najczęściej przepędzam wieczory? Oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do pani Lebrun podobna, z żywszą tylko imaginacją. Otoż ta dama, pani Pattey, ja i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona. Gram doskonale w bostona—i nieraz staje mi na myśli moje dzieciństwo, bo pamiętam, jak niegdyś leżąc na sofie w Mianowskiego jeszcze mieszkaniu, widziałem mego ojca, Rustema, Bogatkę przy zielonym stoliku, i mówiono mi, że grają w bostona, że do Słowackiego przyszli na bostona. Od śmierci mego ojca nigdy grających w bostona nie widziałem—a teraz boston jest dla mnie wspomnieniem dzieciństwa. Gra ta nie jest tak trudną, jak mi ją wystawiano, owszem daleko łatwiejsza od wista i ma tysiąc rozmaitości.

Ogród nasz okrył się tysiącami fijołków i pierwsnków, które tu żółtego i różowego są koloru. Drzewa już się zaczynają rozwijać. Piję wszystkimi zmysłami poezją wiosny i szwajcarskiego powietrza. Listy wasze często odczytuję nad Genewskim jeziorem, a po przeczytaniu myślę o was, patrząc na rozległe błękity fali. Nie uwierzycie, ile ten obraz ma smutku i myśli. Szum jeziora za ledwo słyszeć się daje—cicho—cicho—i słyszałbym głos wasz, gdy-

byście mnie wołali. Tu wszystko cichą przybiera barwę—nawet wspomnienia wielkich ludzi są wspomnieniami cichego życia.

Raz wieczorem zapytałem Panny Pattey o Kościuszcę. Opowiedziała mi o nim następujący rys: Po śmierci Kościuszki jeden z obywateli kupił po nim konia, na którym stary K[ościuszek] często jeździł—lecz koń, przeszedłszy do nowego pana, ilekroć zaprzężonym był do woza i wiozł szlachcica drogą, zatrzymywał się i stał przed każdym żebrakiem, tak go dawny pan przyzwyczaił rozdawaniem jałmużny. Nowy nabywca znudził się takim narowem konia i odprzedał go . . . . Nieprawdaż, że ta powieść ślicznie maluje ostatnie chwile życia naszego bohatera? Spokojność i dobroczynność w konia się nawet wcieliły . . . O Matko moja, jakbym ja chciał być dobrym człowiekiem . . .

O Michale S[kibickim] okropną mi wieść doniesiono—splamił się brudnym postępkiem, oszukaństwem pieniężnym, i wyjechał z Paryża, mówią, że do Wiednia. Ten wypadek zachwiał moją wiarę w cnotę ludzi. Zatrzymajcie to w sekrecie przed jego siostrą. Gdym czytał list, donoszący mi o tém, zarumieniłem się wstydem, chciałbym zapomnieć, że go znałem. Ale niestety, piśmienny mi został dowód mojej oszukanéj przyjaźni. W ostatnich czasach rzadko on mnie widywał—widać, że splamiwszy się, nie śmiał mi spojrzeć w oczy. Obwinałem go o niestałość przyjaźni—teraz mu wdzięczny jestem, że mnie pierwszy porzucił.

Rzadko tu bywa[na] teatrze, bo tak zły, że nawet głupstwem nie bawi. Dziś zaproszony jestem [na wieczór—będę tańcował, jeżeli mi się uda być wesolym.

Adieu, kochana M[amo]. Panna [Egla]ntyna chce do ciebie kilka słów napisać; zostawiam jéj miejsce, co zostanie papieru, zapelnię.

Twój syn *Juliusz*.

Madame,

J'ose à peine profiter de la permission que m'a donnée Mr. Jules d'insérer quelques lignes dans sa lettre. Je crains que vous ne me trouviez indiscrete, cependant, Madame, j'ai besoin de vous remercier des choses flatteuses que vous avez écrites pour maman et pour moi. J'ai besoin encore de vous prier de faire parvenir le petit carré de papier ci-joint à Mr. Joseph Grocholski. Veuillez aussi me permettre d'ajouter quelques mots qui vous exprimeront, faiblement sans doute, tout le bonheur que nous procure la présence de Mr. votre fils à la maison.

Chère Madame, combien vous devez être fière de votre enfant, si jeune, si beau

et possédant un tel génie; il y a là des consolations pour des maux et une compensation aux peines que vous éprouvez d'être séparée de lui. Mr. Jules nous a dit avoir toujours été délicat et sujet à bien de petits maux.

Vous pouvez, Madame, être tranquille sur sa santé, elle est excellente et nous croyons fermement que l'air de la Suisse lui convient beaucoup, d'ailleurs s'il devait être souffrant, maman aurait pour lui les soins et les attentions de la plus tendre mère. Je n'ose m'étendre plus au long sur tous le bien que je voudrais vous dire de lui. Je crains sa curiosité et d'ailleurs je dois ménager sa modestie.

Veillez, Madame, ne voir dans ces quelques lignes que le désir que j'avais de vous parler de Mr. votre fils et de vous témoigner ma gratitude pour tout le bien que vous pensez de nous.

Recevez, Madame, avec mes salutations l'assurance du respect que vous porte

*Egl. Pattey.*

Nie zostawiła mi Panna Eglantyna pa[pieru], więc skończę na tym, prosząc ciebie, Matko, abyś w moim liście napisała kilka [wier]szy po francusku do niej, bo prawdziwie, że ich postępowanie ze mną jest nader delikatne i niepospolite. Adieu! adieu! Babuni, Dziadunia rączki całuję. Teofilów ściskam.

[Adres:]

Pour MMeurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody en Autriche.

Les priant de renvoyer la présente à Madame de Beu.

{Stempel pocztowy:] P. P. Genève, 18 Mars. fr. Lindau.

Brody, 1 Apr. 833.

(23.)

*G[e]n[e]w[a], 1833 r. 24 Kwiet[nia].*

O najukochańsza! najmilsza . . . Nie będę ci wyrzucał teraz, co ucierpiałem—bo list odebrany wszystko zatarł radością . . . ale dwa miesiące . . . a raczej cały miesiąc drugi tortury moralne wycierpiałem . . . Co dnia czekałem posłańca poczty od godziny 11-tej do 2-giej, a od drugiej godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mię porywała. Dopióro kładąc się spać, myślałem znów z nadzieją o godzinach nadchodzącej poczty . . . i tak było przez cały miesiąc . . . A ja mógłbym był ten miesiąc, jeżeli nie wesoło, to przynajmniej spokojnie przepędzić . . . ? Kochana Eglantyna cie-

szyla mię jak mogła... często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając pocztmistrza... często, widząc go mijającego dóm, biegła za nim, lękając się, aby nie zapomniał był wstąpić... Nie uwierzysz, Mamo, jaki to jest mój stróż anioł Eglantyna... ale teraz niema jej tutaj—wyjechała do starej i chorej ciotki w Lyonie i dopióro za dni 14 wróci... Jestem sam z jej matką, która mnie kocha i nudzi często, chcąc bawić rozmową—i rozweselić... bo ona myśli, że kiedy nic nie gadam, to smutny jestem—i przy mus gadania jest dla mnie przykrym w terażniejszych czasach... a jednak przymuszam się, bo ona mnie kocha...

25 *Kwiet.* [o] 11 w nocy. Wracam teraz z ogrodu—całą godzinę po herbacie chodziłem po alei sam jeden. Księżyc świecił mi—i w ciszy głębokiej śpiewał jeden słowik smutno, jakby płakał... O Matko moja! myślałem o twoich projektach kupienia domu—mebli—i cichego życia. Niepodobna! niepodobna!... Przebacz mi, Matko, że ja tak niczym jestem dla twego szczęścia—ja nie nawet dla własnego nie robię... Twoje pismo okropne mi przedstawiło obrazy... Wy coraz mniej macie dostatków... zdaje się, że los wziął teraz za cel naszą rodzinę...

Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności; po takich mowach ludzi często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małemi talentami utrzymują całe rodziny, zasłaniają je od niedostatku... a ja jestem jak niepotrzebne ziele... jestem nawet ciężarem dla ciebie, Mamo moja... Przebacz mi, Matko moja, że taką drogę obrałem... Ale wrócić nie mogę. Teofilu! czuwaj tam nad wszystkimi... strzeż i bądź ich aniołem... a ja kiedyś zapłacę za ciebie dług, podczas księżycowej niegdyś nocy zaciągniony.

Nie śmieście się z tego listu, bo ja go ze łzami piszę... Ty mi, Matko, piszesz o ożenieniu—nie chciałbym niszczyć twoich marzeń... a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę... dosyć, że nim jestem dla ciebie... Wierzę w przyszłe życie—bo to niepodobna, aby Bóg ciebie nie nagroził zato, że ci dał takiego syna... Jedna stara dama, przeczytawszy artykuł o mnie w *Revue Européenne*, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach na końcu napisała: *Heureuse votre mère!* Ona jest także matką... więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy



niecio słowa mego sumnienia, które mi powiada, że ty jesteś nie-  
szczęśliwą przeze mnie.

26 Kwiet. Ile razy wieczorem siadam do pisania listu, zawsze  
zły jestem, że piszę smutno—a zatem postanowiłem list ten rano  
dokończyć—inny stylem—wesołym, o ile mi moje usposobienie  
pozwoli. Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie  
słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się tobie, Mamo,  
dla widzenia jednéj miłej osóбки, która mi wczoraj powiedziała, że  
będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla  
przyjemności, gdybym sobie mógł każdéj chwili powiedzieć: „Je-  
żeli zechcę, to Mamę za dwa miesiące zobaczę“, wtenczas obecne  
życie wydawałoby się bardzo przyjemne . . . Panny nie opuszczają  
mnie . . . Dawniej Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach po  
ogrodzie—dziś, gdy jéj niema, stokroć ładniejsza od niéj panienka  
odwiedza nas co dwa dni z matką . . . Dlaczegoż odwiedza? Za-  
pewne nie dla widzenia staréj pani Pattey . . . A zresztą sądz so-  
bie, Mamo, jak chcesz . . . Ale prawdziwie, zdaje mi się, że glina,  
z którój mnie Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu,  
który wiąże do mnie serca panien . . . Eliza—tak się nazywa przy-  
chodząca do nas często panienka—jest to osóбка mała, bardzo po-  
dobna do Kaźmiry Niepokójczyckiej—ma czarne oczy, pełne  
iskier, wiele dowcipu i żywości w mówieniu, wiele prostoty i ma  
lat około 24. Dawniej bywała u nas rzadko—tylko na wieczo-  
rach . . . Wtenczas podobała mi się bardzo—i ubierałem ją zawsze,  
gdy wychodziła . . . a dla tego ubierałem, że podobał mi się jéj  
kapelusz . . . Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kape-  
luszach ogromnych z czarnéj lewantyny, z tak wysokim przodem,  
że nie dotyka kapelusz włosów . . . Kapelusze te nazywają się  
*calèche*, kocze . . . i szpecą niezmiernie wychodzące z balów da-  
my. Otóż kapelusz Panny Elizy—choć do wszystkich innych podo-  
bny—odróżniał się czarną koronką szeroką . . . i spadającą na  
czoło . . . Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżéj róży,  
rozkwitléj na oknie gotyckiém—więc dlatego ubierałem ją, gdy  
z wieczorów odjeżdżała. Matka jej jest wdową i ma córkę przy  
sobie—i syna ładnego w Paryżu. Życie jej matki teraz jest bar-  
dzo piękne. Gdy widzi gdzie dóm osierocony śmiercią . . . dóm,

od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściej z córką przepędza wieczory—u starych—u chorych... Eliza musiała się nauczyć bostona, aby grywać w takich domach ze starcami i z niešťczęśliwymi... dlatego twarz jęj nosi wyraz dobroci i spokojności... Często, chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margeritki... Raz, gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jęj dać do zrozumienia, że mi tęskno bez nięj—więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów. Wróciwszy do domu ułożyłem je, naśladowując twój gust, Mamo, w układaniu bukietów, a potem w ogrodzie zerwałem dwie margeritki małe—i w środek ogromnego bukietu włożyłem... Bukiet ten posłałem Elizie—ale od pani Pattey... Nie zawiodłem się... przypomnienie się było skuteczne. Przyszła z matką wieczorem... i mówiła mi, że zła była na margeritki naszego ogrodu, które jęj nieprzychylny dały wyrok... Widzisz, Mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. I zawsze mnóstwo mam po niej słów cichych—łagodnych—smutnych, z których tak widna miłość, że jęj nie chcę zapytać, czy mnie kocha... Bo mówiła mi, że była smutna przez cztery dni... a ja nie pytałem dlaczego... A gdy chciałem wiedzieć, co wczorajszego wieczora robiła, odpowiedziała: „Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10. i czytałam...“ Jaką książkę? zapytałem. „Nowy testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę...“ i mówiła dalej: „Dziś rano, obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli—i przeczulałam, że dzień ten będzie szczęśliwy“... W tym dniu odebrała bukiet i chodziliśmy wieczorem po ogrodzie... Kochana Mamo, zdaje mi się, że powiesz na nią: Dobra dziewczynka...

Nie wiem, czy ciebie takie detale interessują, ale te detale są całą rozmaitością mojego życia—bardziej mię zajmują niż mój tom III-ci, który za dni 8 wyjdzie z druku... Wydawca dzieł mego Ojca będzie go miał, bo jego korespondent, księgarz paryski, zgłaszał się już do mnie o kilkadziesiąt egzemplarzy, targując się niemilosiernie o cenę. O jakżebym chciał, abyś go, Mamo, czytać mogła—zwłaszcza ostatni poemat o mojem dzieciństwie... Nauczony doświadczeniem, nie będę już go posyłał przyjaciółom

do sprzedania... Drezno zjadło mi 50 exemplarzy... Zapewne wesele Odyńca opędziło się niemi—bo mi od otrzymania ich słowa nie odpisał... Dziwi mnie to jeszcze mocniej, gdy wiem, że list mój z Genewy pisany otrzymał... Mniejsza o to... ma on na sumnieniu bardziej ciężką winę... i dziwię się, że do ciebie, Matko, śmie pisać... Brakowałyby ci jeszcze listu Mickiewicza].

Panna Eglantyna przypisała się do ciebie, Mamo, w poprzedzającym liście—odpisz jej kilka słów po francusku w liście do mnie pisanym... Różne tu wiadomości odbieram o zdr[owiu mojej] kuzynki, ale te mnie nie cieszą... Panna Eglantyna z Lyonu, gdzie teraz bawi, pisuje do mnie długie listy—bardzo mile i sentymentalne. Odpisuję jej w podobnym guście, i tak skracamy sobie czas oddalenia. Raz waryatka mówiła mi, że gdybym ja umarł, toby ona moje serce w urnie srebrnej piechotą do kraju zaniosała... ale ja wolę nie umierać, niż takim sposobem wojażować...

Mało tu znam ziomeków... Niedawno miałem u siebie pierwszą wizytę Hr. Ludwika Jelskiego... Dziwiła mnie bardzo ta nadzwyczajna grzeczność... Nie mogłem mu oddać rewizyty, bo do Drezna wyjechał... Zawsze jednakowy—elegant—włos mu bardzo poszpakowaciał. Niestety! jacy my starzy kiedyś wróciemy do was, ile kłamstw i przesadzonych opowiadań będzie grzmiało pośród towarzystw... Myślę czasem o takiej starości...

U nas tu zimno dosyć, bo śniegi, topniejące na górach, ciepło kradną—słowem, wiosna nie jest przyjemną w Szwajcarji—i dziś nawet od rana deszcz pada. Siedzę więc w domu—i bawię się z wnuczką Pani Pattey. Jest to dziewczynka 4-oletnia, dosyć dowcipna i bardzo mnie kochająca... W dobrej jesteśmy harmonii, ona woli się ze mną bawić niż z<sup>1</sup> siostrą Rozaliją. Siostra Rozalija jest to stara mniszka, która ją czytać uczy... Patrząc na nią, myślę często o biednej Melance...

Adieu, moi kochani! Babuniu, Dziaduniu! całuję z uszanowaniem ręce wasze. Teofilowi życzę szczęśliwej podróży—kto wie, może mu i dobrze będzie w nowem mieście, do którego się przenosi... a kiedyś kupi sobie kawał ziemi—i koniec... Oby wszyst-

---

<sup>1</sup> [Przekreślono: Pann]

kim nam spokojnie skończyć!—Adieu! Hersylko, całuję ciebie.  
Mamo moja, kocham ciebie mocno! mocno! mocno! . . .

Julo.

[Adres:]

Pour MMeurs Hausner et Violland  
Banquiers

fr. Lindau à Brody en Autriche en Gallicie.

Les priant de renvoyer la présente lettre à Mme de Becu.

[Stempel pocztowy:] Genève 29 Avril 1833. fco Lindau.

Brody 14 May 33 P. P.

(24.)

*Geneva, 1833 r. Czerwca 6.*

Kochana Mamo! Czy zaczynasz już zapominać o mnie? Listy Twoje, o dwa miesiące jeden od drugiego odległe, napelniają mię smutkiem i rozpaczą. Matko, koniecznie proszę Ciebie o więcej otwartości w twoich listach—zdaje mi się, że jestem już człowiekiem i mam dosyć mocy do znoszenia nieszczęść . . .

Donoszę ci, kochana Matko, że od dni 20. wyszedł na świat tom III-ci moich poezyi. Wydawca dzieł mego ojca mieć je będzie—spodziewam się więc, że i was kiedyś dojdzie—ale kiedy? Pierwszego dnia po wyjściu zwróciło mi się pół kosztu druku—spodziewam się, że wkrótce cały wyprzedażą pokryję. Przemowa krótka i gryząca trochę—obrazila Mickiewicza. Zemścił się w jedném z małych pisemek—ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo—ale nie wiem, jak o nim u was sądzić będą ludzie. O ten tom bardziej jestem niespokojny niż o dwa pierwsze. Napiszcie mi, jeśli co o nim usłyszycie.—Jeżeli tak dalej płodną będzie moja imaginacya, jeżeli co roku zacznę tomy nowe drukować, to wkrótce w waszój małej szafce będziecie mi musieli poświęcić całą jedną policę—a po mojej śmierci, ten, kto mnie poznać zechce, będzie musiał miesiąc cały ze mną obcować.

Takie są teraz sny moje. Żyję sobie dosyć przyjemnie i spokojnie. Horyzont mój zamknięty drzewami okrył się tysiącem róż—bzy przekwitły—laur największy stojący pod moim oknem usechl,

choć go sam polewałem. Prawda, że to zła wróżba? Są to najważniejsze nowiny.

W domie, w którym mieszkam, uwijają się różne cienie, jak w czarnoksiężskiej latarni... naprzód z jaskółkami przyleciał młody Anglo-Szkot, niezmiernie cichy i nabożny, młody i dziecienny. Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowej łące. Jak mi to boleśnie przypomniało moje dzieciństwo—Mickuny—Wilenkę—lasy sosnowe—i jeszcze coś... To dziwnie, że już teraz nie mogę łowić motylów!—Anglik ten po 2 tygodniach pobytu z nami wyjechał do Lauzanny.

Panna Eglantyna wróciła z Lyonu. Pierwszego dnia po powrocie, przy śniadaniu, oddała mi przywieziony stamtąd prezent, obwinięty starannie w cienki papier. Rozwijam go, i znajduję nóż—czyli raczej scyzoryk, za dwa grosze kupiony. Nic jeszcze bardziej barbarzyńskiego nie widziałem—chowam go i kiedyś w kraju będę pokazywał, dowodząc, że Francuzi od hotentotów mało się różnią cywilizacją. Scyzoryk malowany żółtym pokostem, na którym świecą czerwone kwiatki—z jednej strony w rozszczepioném drewnie nóż, do ćwieka podobny, z drugiej strony flecik, jeden tylko cienki głos wydający... Dar ten przypomniał mi owego staruszka gipsowego z kiwającą się głową, któregoś Mama Jędrzejowi Ś[nia-deckiemu (*S. B.*)] na jmienniny ofiarowała. Ale przy tym nożyku dostałem także śliczną kieszkę do pieniędzy, z największym wytworem haftowaną przez damy lyońskie. Jest to miesiąc podarunków, bo Anglik, o którym pisałem, chcąc się także wyrzyć w mojej pamięci, przy odjeździe dał mi na pamiątkę trybuszon. Nie śmieście się—jest to dar podobny do tabakierki kapucyna ofiarowanej Sternowi.

Dóm po odjeździe Anglika został pustym przez czas niejakiś. Wtem jednego poranku zwała się jak lawina ogromna familija rosyjska—pani Ouwaroff, córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia—teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmiernie grzeczni dla siebie. Pani Ou. sama już jest w dosyć podeszłym wieku—żywa—i krzycząca. Córka najstarsza—dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włochy mało się odbiły na jej imaginacji—została nieociosaną statua. Ma sztambuchy, w których włosy artyści, stosując się do jej gu-

stu, wszystko jaskrawemi kolorami malowali. Spiewa, robiąc zawsze trzy omyłki w każdej ary—nigdy mniej ani więcej. W nutach mnóstwo polskich teraźniejszych spiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójda za powrótem. Młodsza jej siostra żywa i ładna, jeszcze dziecko. Synek mały, w czerwonej huzarce, haftowanej złotem—bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciel syna, karzeł, lat ma 40, łokieć i ćwierć wysokości, twarz pomarszczoną, ale głowę nie nazbyt wielką, uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniej gniewliwy. Przy dzieciach guwerner, ze wszystkiego do z-Szantyra, mierzącego pola w Jaszunach, podobny. Przy pannach guwernantka ze wszystkiego do siostry Pellikanowéj w Wilnie podobna—dwie panny służebne i służący. Oto jest cała familija wojażerów, zdaje mi się, że dostatecznie odmalowana. Całe trzy piętra domu rozlegają się od ich krzyku. Mówią różnemi językami—i nieraz mi się zdaje, że jestem w Babillońskiej wieży . . .

Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karla—doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną—przy herbacie wyciągał z kieszeni małą chusteczkę do nosa i ocierał łzy, które mu mimowolnie płynęły . . . Okropnie było myśleć, że on wracając do kraju, nie znajdzie osoby, któraby go może jedna tylko nie z urąganiem przyjęła . . . Została mu wprawdzie siostra, która w Petersburgu lekcye na fortepiano daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swego pokoju, gdzie spi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za rękę. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia, witając się z rana i odchodząc wieczór, zawsze zbliża się do mnie i biorąc rękę moją w dwie swoje małe rączki, ścisną z całej siły.

Całe ranki przepędzam zawsze w publicznej bibliotece, gdzie się znajdują wszystkie dzienniki i pisma perjodyczne—codnia więc czytam mnóstwo gazet i wiem doskonale, co się dzieje w Europie. Nic nazbyt pocieszającego—dla nas bieda i smutek. Po przeczytaniu gazet siedzę przez kilka godzin w bibliotece, gdzie czytam różne dzieła, a najwięcej dzieł filozoficznych. O czwartej wracam do domu na obiad. Na odgłos donośnego dzwonka schodzi się do salonu całe towarzystwo, a stamtąd udajemy się do jadalnej sali,

dziwnie ozdobionej dwóma gipsowemi posagami, z których jeden wyobraża Apolina Belwederskiego a drugi jakąś Wenerę. Po obiedzie z Pannami gram w wolanta i w obręcze czyli w kółka. W obu tych grach doszedłem do wysokiego stopnia zręczności, choć mi wyższości nad sobą Panny przyznać nie chcą. Często w takich grach przychodzi do walki, wtenczas zrywamy róże i rzucamy na siebie—słowem, wesoło nam czasem...

Pytałaś się Mama, czy gram na fortepianie—otóż donoszę ci, że gram bardzo często, ale tylko fantazye i słyszane aryjki z oper. Największą mi przyjemność robi jeden polonez Sokołowskiego, którego sobie przypomniałem. Żałowałem bardzo, że nie mogłem słyszeć bawiącego teraz w Paryżu Fielda—jest on zawsze ulubieńcem moim w muzyce—lubię wszystko, co się wiąże z wspomnieniami.

Napisz mi, kochana Mamo, czy Ludwisia Ś[niadecka] wyjeżdża do Odessy—i spytaj ją, czy o przyrzeczeniu swoim pamięta? Spodziewam się, że mój tom III. pogodzi ją trochę ze mną. Czy Hersylka trwa w przedsięwzięciu wyjechania do Burkutu?

O Matko moja! Rzadkość Twoich listów przerażające mi [często] nastęrcza myśli. Lękam się nadewszystko kochanego Stryjaszka. Ma [obecnie] pole pokazania się... Czy nie słyszeliście co o Michale S[kibickim]? Obym go nigdy nie spotkał na tej ziemi—

Napada mię czasem chęć czynniejszego życia—marzę o różnych projektach, ale wszystko to napróżno. Nic mi nie pozostaje, jak cicho siedzieć—myśleć i pisać. Gdybym jeszcze mógł wybierać kraj do mieszkania, przeniósłbym się do Niemiec i żył spokojnie i tanio—ale teraz wszystkie kraje zamknięte są przede mną, nawet do Francyi powrócić trudno. Nie możecie sobie wystawić naszego położenia—najsmutniejsze... Ja dziękuję Bogu i Tobie, Matko, bo w porównaniu z innymi jestem zupełnie szczęśliwy—i gdyby nie myśl, że co chwila nieszczęście spaść na mnie może, niezgobym więcéj nie żądał—ale ta myśl jest jak miecz zawieszony na włosku nad głową moją... Zamykam oczy i spuszczam się na opatrność, która prawdziwie cudownie mi dotąd sprzyjała.

Matko moja najukochańsza, najdroższa! Żegnam Ciebie—ale nie na zawsze. Musiemy się kiedyś zobaczyć. Kochanych Dziadunia

i Bábuni z uszanowaniem rączki całują. Teofila i Hersylkę serdecznie ściskam.

Wasz *Julo*.

Dwaj wojażerowie, którzy niegdyś u Pani Pattey mieszkali, gdzie są i co robią? Czy otrzymali karteczkę Panny Eglantyny? Zawsze ich tu mile wspominają . . .

[Adres:]

Pour MMeurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (en Autriche, Gallicie).

Les priant de faire parvenir la présente à Mme de Becu.

[Stempel pocztowy:] Genève 8 Juin 1833. fco. Lindau.

P. P. Brody 22 Jun. 833.

(25.)

*Geneva, 15 Lipca 1833 r.*

Najukochańsza Mamo! Czas ciągle upływa dla mnie bez żadnej zmiany—ani nawet nadziei zmiany. Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora—i myślę o was. Czasem jestem tak odrętwiała, że potrzebowałbym, aby mnie pszczoły twojej, Mamo, pasieki pokąsały. Smutno! smutno! Przez jakiś czas, póki wielka familija Owaroff bawiła w naszym domu, miałem nieco roztargnień. Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowej—zdaje mi się nawet, że te osoby mnie dosyć polubiły, bo po odjeździe, w listach pisanych do Pani Pattey, dały mi długie dowody pamięci—a panna Alex[andra], odjeżdżając, zostawiła mi rysunek, przez siebie zrobiony, domu wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron, bawiąc w Genewie . . .

Kilka razy towarzyszyłem im konno na spacer. Jeden z tych spacerów, najprzyjemniejszy, był na góry otaczające jedną stronę Genewy . . . góry, z których mniejsza równa naszój Zamkowej górze . . . Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapę i tak przybyliśmy aż do stóp *Salève* . . . Tam wszyscy wsiedliśmy na osły. Moje zwierzątko, największe i najmocniejsze, prowadziło cały orszak, orszak wesoly, śmiejący się, błyszczący różnemi kolorami sukien damskich. Na górze czekało



nas wiejskie śniadanie—na długim stole z desek pod gruszami i jabłoniami... Potem oczy nasze rzuci[liśmy] na ogromną dolinę, po której płynie kręty Rodan—jezioro—w końcu jeziora najeżona [dachami] Genewa—i kilkanaście innych miasteczek—łąki—drzewa—słowem, widok ogromny, rozległy, prawdziwie prześlizny... Po górach snuło się mnóstwo dzieci, ubranych fantastycznie w pióra, z chorągwiemi, z muzyką. Były to dzieci Szwajcarów, bawiące się w niedzie[łę, jak przystoi] na potomków Tella. Uformowani w dwa oddziały, snuli się po wąwozach, [strzelali z pistoletów], podobni niegdyś do Julka-Achillesa w zbroi... Kilka razy pływaliśmy w czółnach [na jeziorze. Majtek,] który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona i dlatego często z nim wchodzę] w rozmowę. Stary wiosłarz dotąd o niczym nie gada, tylko o angielskim poecie. [Zdaje] mu się, że jakaś część sławy przy nim została po długim obcowaniu z Lordem. [Między] innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o luidora, kto z [nich] prędzej na drugi brzeg jeziora dopłynie. „Nie dziw, że mnie Lord wyprzedził, powiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czółno—i służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do garła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało.“ Powiada dalej, że przegrawszy zakład, oddał Byronowi luidora, który się długo wzbraniał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron, chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawą nogę, nie większą od jego dłoni... Bardzo czasem wielką przyjemność znajduję w rozmowach majtka—i patrzę na wielkich ludzi z téj saméj strony, z jakiej się na nich lud zapatruje...

Patrząc codnia na szczyt góry Mont-blanc, przychodzi mi często na myśl Malczewski, który po śmierci jednym poematem tak urósł, że prawie głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont Blanc, znalazłem na ostatniej karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia,<sup>1</sup> imię Malczewskiego, ale skaleczone tak, że gdybym skąd innąd o jego wędrowce na górę nie wiedział, tobym się był o tożsamości osoby nie domyślił... Nie wiem dlaczego, ale myśl o Malczewskim

<sup>1</sup> [Przekreślono: *ujrzałem*]

została głęboko w moich dumaniach utkwiona. Zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, ale burza jeszcze mnie nie zła-mała. Wiesz, Matko, że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzeć—bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa—że przyjdzie na mnie nęcza—że mnie duma moja zabije—to prawdziwie, że mię okropność ta-kiego losu przeraża . . .

Pytasz się, Matko droga, co zrobił Michał Skib[icki]. Wzdry-gam się na samo wspomnienie tego człowieka. Przybywszy do Pa-ryża, oczarował wszystkich—w najpierwszych domach najlepsze znalazł przyjęcie, ze mną ciągle obcował, i prawdziwie że był to jeden tylko człowiek, z którym przebywać lubilem. Tęskno mi było, kiedy dzień jaki bez jego wizyty przeminął . . . Kilką miesiącami przed wyjazdem moim zaczął stronić ode mnie. Smutno mi było—przypominam nawet, że mu raz wyrzucąłem zmianę zaszłą w jego postępowaniu. Dziś mu wdzięczny jestem za ten postępek, bo mi dowiódł, że spodlony nie śmiał mnie swoją obecnością kalać . . . Teraz opiszę, jak się rzecz stała. Jeden z obywateli naszych, Ski-b[ickiego]go niegdyś szkolny kolega, wyjeżdżając z Paryża, polecił mi, aby listy z Polski odbierał . . . Między listami przyszedł rewers [wekslowy] na 6000 fr. Skib[icki] za tym rewersem odbiera przy-jaciela swego pieniądze [i następnie] listy przejmuje, aby się z nich właściciel o pieniądzech nie dowiedział. Kopczyński oszukany przy-bywa do Paryża, dowiaduje się z ubocznego listu o przyjściu [re-wersu, idzie] do Skib[ickiego], ten mu powiada, że żadnych nie odebrał i mając już [paszport, bierze] konie pocztowe i zmyka do Austrii. Ale telegraf dogonił [go na granicy] i zatrzymał. Dziś piszą mi, że [na] Skib[ickiego] wyrok zapadł—jako [falszerza] skazuje go na 15 lat więzienia i piętnowanie . . . Mówią także, że niektó[rzy z] jego znajomych, chcąc oszczędzić plamy imieniowi, ofiarowali mu dosyć trucizny, ale nie przyjął daru . . . Okropność . . . Nic mnie tak w życiu nie przerażyło . . . Powiadają, że Kopczyński żałuje teraz swego kroku w pospiechu uczynionego. Zachowajcie to w naj-większej tajemnicy. Prawdziwie, że nie wiem, co w moim sercu się dzieje. Ale zostało mi jeszcze jakieś przywiązanie do Skib[ickiego] i wielebym dał, abym z ust jego mógł jeszcze jakie usprawie-dliwienie się posłyszyć . . .

Odebrałem temi dniami list od Odyńca... Czy prawda to, że [.....] warjuje dla jakiejś awanturnicy... i ma się z nią ożenić?<sup>1</sup> Co też ci ludzie wyrabiają... Matko, przypomnij Lud[wi] jej obietnicę mnie uczynioną. Odyńca list bardzo przyjazny, ale w przypisku odkrywa się powód listu—oto dowiedział się o wyjściu tomu III-go, i prosi, abym mu znów 50 exempl. przysłał...

Czy Teofil zapomniał o mnie? Czekam z niecierpliwością dzieł Kochanowskiego—zastąpią mi one w pewnym względzie obcowanie Polaków—i pomogą wiele w pisaniu nowego poematu, którego pierwszą część pod zmyślonym imieniem wydać sobie zamierzam. Jeżeli was jaka wiadomość o moim tomie trzecim dojdzie, to mi napiszcie, bo bardzo jestem ciekawy, jak mu się powiedzie.

Zamyślam siedzieć w Genewie i nie robię żadnych wędrowek po Szwajcaryi, bo to nieźmiernie kosztuje wiele—tu zaś żyję tak, jak zagranicą najoszczędniej żyć można. Czasem gwałtem chce mi się wioski na Podolu—chce mi się własnego domu—ale o tém już podobno myśleć nie należy. Jak mogę, przypominam sobie moją ziemię—niedawno nauczyłem moich gospodarzy robić chłodnik, ale nie bardzo w nim smakują. Wprowadzenie nowej potrawy jest nieźmiernie trudne u cudzoziemców—zdaje się, jakoby celne komory stały temu na zawadzie.

Jeden z Genewczyków wyklada tu publicznie kurs historii polskiej—mnóstwo dam ucześnie—i uczy się—i polyka nasze dzieje, pełne błędów—i skaleczonych imion. Każdemu tu wolno wleźć na katedrę i uczyć. Bilety na takie kursa płatne są przez uczniów... Panna Eglantyna żadnej [.....] lekcyi nie opuszcza. Przypisek do dam, moich gospodyń, w liście bardzo im był przyjemny, musiałem im go kilka razy odczytywać i żalowały, że go z listu wydrzeć nie mogły.

Wiecie zapewne, że Odyńcowi ojciec umarł, że żona zagraża mu potomkiem, że go zawiodła nadzieja otrzymania placu w Poznaniu.

Czas mamy teraz dosyć chłodny. Podczas dni gorących wstawiałem zawsze o godzinie 6-tój z rana i kąpałem się w jeziorze. Ka-

---

<sup>1</sup> [Całe zdanie przekreślone przez p. Bécu. Nazwiska w miejscu wykropkowanym nie można odczytać.]

piele te bardzo na zdrowie mi były . . . i zdrów jestem do zadziwienia—nigdy mię piersi nie bołą. Nie uwierzycie, jaka to przyjemność kąpać się w jeziorze, pod drze[wami] pięknego ogrodu. Zdaje mi się, że kiedyś będę żałował dni teraz upływających—wy mi może teraz gór szwajcarskich zazdrościcie?

Niedawno byłem przytomny w Genewie obiorowi króla strzelców. W środku jeziora wystawiono żagiel, na którym [odmalowany negr] trzymał białą tarczę. Do téj tarczy strzelali, płynąc na łodziach, s[trzelcy]. Jeden z bogatych obywateli, ogłoszony królem, w orszaku dawnych królów szedł przez ulicę, [odprowa]ldzany do domu. Godność taka kosztuje wiele, bo obrany musi w kilkanaście dni wyprawić wielką fetę—fajerwerk—uczte . . . muzykę na jeziorze. Ma to być bardzo piękne—jak będzie, opiszę . . .

Panna Eglantyna chce się przypisać, zostawiam jej miejsce i całuję ciebie, kochana Matko, i wszystkich serdecznie ściskam.

Wasz Juliusz.

Madame,

Mr. Jules a eu l'obligeance de me réserver une place dans sa lettre. J'en profite avec empressement pour vous remercier de votre aimable souvenir et de toutes les choses flatteuses, que vous pensez de maman et de moi. J'en ai été si touchée, que j'enviais à Mr. votre fils la possession de votre lettre, j'aurais voulu la garder comme un souvenir bien doux pour moi. Je ne vous donne aucun détail sur Mr. Jules, il vous aura sans doute informé de ses pensées et de ses actions. La vie, qu'il mène ici, est tellement monotone, qu'il ne se passe rien, qui puisse vous intéresser, si ce n'est la santé et la tranquillité de celui, qui vous est cher. Nous espérons, Madame, que votre santé est meilleure et que vous voudrez bien croire à notre tendresse dévouée pour votre fils tant, qu'il nous donnera le droit de la lui prodiguer. Maman vous présente ses empressés compliments, elle se joint à moi pour vous dire, combien nous vous aimons et combien nous sentons la peine, que vous cause la séparation de votre enfant.

Je me réjouis de recevoir des nouvelles de Mr. Joseph. Une lettre de lui nous causera un vrai bonheur. Je vous réitère encore mes remerciements pour la peine que vous avez prise de nous donner de ses nouvelles.

Adieu, Madame, nous pensons à vous et nous parlons de vous à chaque instant, je voudrais vous voir afin de mieux vous exprimer toute la part que maman et moi prenons à ce qui vous intéresse. Recevez l'assurance de mon entier dévouement.

Eglantine.

[Adres:]

Pour Messieurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody en Autriche, Gallicie.

Les priant de faire parvenir la présente lettre à Madame de Becu.

[Stempel pocztowy:] Genève 19 Juillet 1833. fco frontière.

P. P. Brody 2 [Aug. 1833].

(26.)

*Geneva, d. 23 Sierpnia 1833 r.*

Najukochańsza Matko moja!... Oto dzień moich urodzin... O Matko! zacząłem rok 25-ty. Jak ten czas płynie! Wczoraj odebrałem list wasz, który był mi najmiłszém wiązaniem, choć smutny—zdaje mi się, że z rozpieczętowanego krople łez się polwały. Dziś moje urodziny. Obudziłem się o godzinie 7-mej i spostrzegłem rękę, która napół odchyliwszy firanki, rzuciła na moje łóżko bukiet kwiatów... zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny. Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużej, choć zazwyczaj do 10, to jest do śniadania łóżko zalegam... ale pomyślałem sobie, że milej mi będzie pierwsze dwie godziny tego dnia tobie, Mamo droga, poświęcić—i oto piszę do ciebie. Wprzód jednak podziękowałem Bogu, że mnie od wszego złego przez ten rok mego życia uchronił... Gdybym miał co do wyznania, uczyniłbym ci tu, kochana Mamo, spowiedź ogólną i szczerą, zacząwszy od mego od was wyjazdu—ale prawdziwie, że nie popełniłem żadnych przekroczeń, nie sobie nie wyrzucam, więc pobłogosław mi, Matko, na moją dalszą wędrówkę... Bukiet dany mi na wiązanie stoi przede mną. W głębi jednej róży spi spokojnie zielony żuk—zdaje mi się, że on ma teraz los podobny do mnie, który spoczywam cicho w głębi pięknego szwajcarskiego ogrodu... Pode mną z salonu dochodzi mię głos pięknej muzyki—jedna z młodych Angielek wstaje co rana, aby, korzystając z samotności, grać na fortepianie—i gra bardzo ładnie. Ta muzyka dziś ma coś dla mnie smutnego.

Dóm nasz pełny jest teraz różnych wojażerów—wiele oryginałów różnej płci i wieku. Opiszę wam pokrótce osoby, z któremi

żyję. Będzie to jakby katalog osób grających razem ze mną tragi-komedią życia. I<sup>o</sup> Naprzód przybyła tu familija Rossyan i na długo w domie naszym osiadła. Jest to, jak u nas nazywają, uczciwa szlachta... Wdowa Potopof—ładna jeszcze kobieta, choć ma w Rossyi córkę dorosłą; bardzo dobrego serca, łagodna jak anioł, i prostoduszna. Kuzynka jej, Panna Aneta, zupełnie ze wzrostu i twarzy do Maryi Kukólnikówny podobna, także bardzo dobra i prosta. Kuzyn obu tych dam, Pan Szaszin, brzydki z twarzy, ale szczery i otwarty, nie mówi po [fran]cuskim, tylko po rusku... Z temi osobami jestem jak można najlepij. Kuzynowi gadam co mi przez głowę przejdzie, z Panią Potopof także często po rossyjsku rozprawiam.

Obok mego pokoju ma mieszkanie la Comtesse Seidwitz, wiek lat 65—z wszelką grzecznością dla dam to piszę—trochę urużowana, codnia w innej sukni, wygorsowana—krzyż dworu wiedeńskiego zawieszony na ogromnej kokardzie nosi przy boku. Za nią zawsze lokaj, Niemiec, z dwoma poduszkami, które kładzie, gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Z tém wszystkim jest to bardzo dobra osoba, wesoła, przyuczona u dworu do grzeczności, każdemu ma coś powiedzieć, bardzo lubi kalambury, wozi z sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy... a oprócz służącego ma służącą, Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wszelkimi pokusami—a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda, i cały dzień śpiewa niuczonym lecz ładnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda... Ta pani la Comtesse siedzi przy mnie u stołu, ciągle mam z nią konwersacye, ciągle wyciąga szklanke, do której wina nalewam, a baba cukru nasypuje, a ja znów trochę wody dolewam, i jestem podobny do Ganimeda.

Z drugiej strony mego pokoju mieszka Anglik, oryginał, łysy z ogromnym nosem, trochę głuchy, ograniczony, całą sławę swoją ufundował na dobrém graniu w wista, i choć tu po 5 sous punkt gramy, on, jakby o wielkie summy chodziło, łaje, jeśli który z grających słowo przemówi. Wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku ubrany. Otóż są osoby, które ze mną zajmują pierwsze piętro domu. Dół zajęty jest przez salony i pokój jadalny. Na drugiem piętrze mieszkają gospodynie, dwie Angielki—matka

z córką. Córka trochę do Julki Michalskiej podobna, naiwna, żywa jak dziecko. Matka ładna jeszcze, tak, że za siostrę córki mogłaby uchodzić. Przyjechały ładną karetą, z dwóma służącymi, widać że bogate; nazywają się Donnellan. Jadą na zimę do Włoch. Nakoniec mięszka z nami Anglik Hamilton, ładny chłopiec, wysoki, zawsze pięknie ubrany, mało mówiący, z powagą i przymusem. Oto jest nasze towarzystwo.

O godzinie 10-tej schodzimy się na śniadanie, potem po kilka osób rozchodzimy się po ogrodzie, potem o godzinie 1. odbieram listy z poczty, które z różnych stron Europy do mnie spływają. potem idę do miasta, czytam gazety, i parę godzin przepędzam w bibliotece *Société de lecture* . . . O 4-tej schodzimy się na obiad, na który dwa razy dzwon domowy zwołuje . . . Wtenczas wypiększona Comtesse Seidwitz, w Salonie siedząc na kanapie i dwóch poduszkach, zaczepia któregoś z kawalerów do rozmowy. A po obiedzie bawimy się razem w salonie, często idziemy nad jezioro. Wieczorem zaś siadamy zazwyczaj do wista, który składają osoby: la Comtesse, Anglik w nankinie, Szaszin, i ja. Dwie Angielki wyszywają na kanwie grube dywany. Panna Egl[antyna] często moje miejsce przy grze zabiera.

*Dnia 24. Sierpnia.* Otóż wczorajszy dzień, dzień moich urodzin, przeszedł bardzo miło dla mnie i smutno. Zszedłem na śniadanie, i zastałem Pannę Eglantynę samą, która mię zniewoliła, abym przyjął od nięj złotą obrączkę—obraczka ta otwiera się, i we środku napis: 23. *Août* 1833. To dziwnie, że tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem, a tego miesiąca zapytywany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę z pierścionkiem, niegdyś od Babuni darowanym, na jednym palcu noszę . . . Po śniadaniu przyszedł mi powinszować jeden z Polaków i Pani Pattey zaprosiła go na obiad. Na obiedzie całe towarzystwo piło zdrowie moje szampanem, a pani Seidwitz, nachyliwszy się, do ucha mi szepnęła: „à la santé de Mme votre mère“. Widzisz więc, Matko, że ciebie nawet nieznanym tobie osoby wspominały w ten dzień—a cóż dopióro twój syn!—Wieczorem przyszło z wizytą kilka panien—i trochę tańcowaliśmy do godziny 11-téj w nocy. Otóż masz, Matko, opisanie dnia tego. Ci, któ-

rzy mię otaczają, starali mi się osłodzić moje położenie—i prawdziwie, że nie byli dla mnie tak jak obcy.

W tym miesiącu miałem jeszcze przyjemną scenę. Wizytator szkółek tutejszych uprosił Panią Pattey, aby mu ogrodu na majówkę pozwoliła. Porobiono więc w ogrodzie wszelkie przygotowania—jako to zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszono były cacka dla dzieci—pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki—pozastawiano stoły—i do tak urządzonego ogrodu o godzinie 1-szej weszły dzieci ordynkiem, z bębнами wojskowemi na czele, i niosąc mnóstwo chorągiewek... Nie uwierzysz, Mamo, jaki to ładny widok 400. dzieci ładnie ubranych—ubogich, bogatych—z jaką wesołością wchodzili do ogrodu, jak mrówki rozsypali się po trawie, potem znów około chorągiewek zasiedli... Pani Potopof, która zostawiła w Rossyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając, czy którego podobnego nie znajdzie—i lzy miała w oczach. Ja także, nie wiem dlaczego, oczy miałem łez pełne—i coś mię duśliło w garle... Prawdziwie, że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym— a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecinnego oddzieliła. Podczas gier cała nasza kompanija domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego—przypomniałem własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na examinach—i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia... Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12-stoletniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas... Wziąłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojej kuzynki—zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy, i dałem mu ładny medal mój... prosząc, aby sobie kiedyś, będąc starszym, przypomniał tę chwilę. Wiedzie, że podczas tej sceny wielu przytomnych lzy miało w oczach... mały chłopczyk ścisnął mię za rękę—i nie znalazł słowa na ustach. Eglantyna mi potem mówiła, że chciała była mię w téj chwili uściskać. — Droga Mamo, są czasem chwile, w których myślę, że tybyś była ze mnie kontenta—i myśl ta będzie mi zawsze przytomną w życiu, bo pewny jestem, że mię do dobrego prowadzi.—Matko moja! Życie moje jest teraz spokojne i bezpieczne—jeżeli się kiedy troszcze,



to tylko o was. W gospodarzach moich mam przyjaciół—mówią mi to sami stokrotnie i okazują szczerą przychyłność . . .

Co do twego pytania o pieniądzech, wyznam ci, Matko, jak się rzecz ma . . . Spodziewałem się dotąd, że do końca tego roku żadnej pomocy potrzebować nie będę . . . aż tu nieprzewidziana okoliczność dotknęła mię. Mój przyjaciel, trudniący się w Paryżu książkami, otrzymał rozkaz opuszczenia Francji. Ministerjum francuskie prawdziwie się pastwi nad nieszczęśliwymi wygnańcami. Kilkaset moich franków, które po kilkakroć chciał mi odesłać, a których dotąd nie potrzebowałem, teraz jemu były gwałtownie potrzebne. [Jest] to *en petit* bankructwo mojego księgarza . . . Korn także nie odsyła mi win[nych] pieniędzy, słowem przekonywam się, że księgarze jest to najgorsza klasa ludzi, [wszyscy do Zawadzkiego podobni. Teraz więc jestem bez pieniędzy . . . i 1000 złotych potrzebowałbym do końca roku, bo przykroby mi było w domu nie płacić, zwłaszcza, że jako wygnaniec płacę mniej od innych. Nadto mam potrzebę sprawienia sobie koszul i bielizny—słowem pieniądze toczą się tu niezmiernie prędko, a w tym roku zapłaciłem jeszcze za druk III-go tomu . . .

Wyobrażam sobie, jak mi kiedyś będzie miło spoczywać na soffie włóczkowej, twoją ręką, kochana Mamo, wyszytą. Dziś najpożądaną od was rzeczą byłaby mi twoja miniatura, Matko kochana. Jeżelibyś, Matko, mogła mi ją przysłać, to w dniu samotne, w dniu pełne wspomnień, patrzyłbym na nią—i byłoby mi lżej i miłej. Żadnej teraz okazji znaleźć nie mogę przesłania wam kanwy—możemy mógł ładne desenie znaleźć w Genewie. Czasem natężam tak moją imaginacją, że was widzę—widzę Krzemieniec—dywaniki rozkwitające pod waszemi rękami—i przez wiele godzin dnia z wami jestem.

O kochani moi! Nie zapominajcie o mnie, niech ja nie przestaję zasiadać w kole waszém rodzinném . . . Adieu! Hersylce za kilka słów wdzięczny jestem—widok sam jej kruczkwatych liter ucieszył mię. Dziaduniowi za błogosławieństwo wdzięczny jestem—i stopy jego i Babuni całuję. Teofil niech przyjmie moje uściskanie. Beaupré i Pan P. Jar[kowski] zawsze są przytomni mojej pamięci. A ty, Matko! ty mój Aniele stróżu! . . . Ludzie wszyscy płyną

jak rzeka do jednego celu—w jedną stronę... zejdziemy się kiedyś, Matko.—Słowa Nicka natracają mi się tutaj:

. . . . . Przyjdę tam — do chaty,  
Odpocznę... ja myślałem zawsze do was wrócić...

Adieu! Adieu!—Twój

Juliusz.

[Adres:]

Pour MMeurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (en Gallicie, Autriche).

Les priant de faire parvenir la présente à Mme de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 26 Août 1833.

P. P. Brody 9 Sept. 833.

(27.)

Genève,<sup>1</sup> dnia 22 Września 1833 r.

Najukochańsza Matko! Otóż masz wizerunek Genewy, ale nie takiej, jaką ją codnia widzę—sztycharz bowiem, jak zwykle, wlaźł na jakiś komin, i stamtąd niewidzianą dla chodzących po ziemi Genewę odmalował. Widzicie zdala góry—jest to *Mont-blanc*. Widzę go codnia lepiej z mojego ogrodu. Woda, która tu odmalowana, jest to rzeka Rhodan. Ja zaś widzę Genewę wyciągającą szyję nad jeziorem... Nie mogłem dostać lepszego wizerunku, więc wam siaki taki posyłam... Piękny to kraj! Patrząc na niego, mimowolnie nieraz myśląc o tobie, Mamo, powtarzam słowa piosnki Goetego:

„Czy znasz ten kraj? znasz go, o moja miła!  
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była...“

Odebrałem nowy dowód twojego przywiązania—tem dziwniejszy, że jak się Mama przekonasz, uprzedził zupełnie moje żądanie... Miłość twoja, Mamo, dała ci zapewne szósty zmysł przecucia... ale list był okropny—Matko! wyrzucasz mi nieszczerłość—kiedy ja nigdy tak daleko od niej nie byłem jak teraz. Wszystko co tylko mogę wyjawiam ci, Mamo... Spokojne i ciche życie jest

<sup>1</sup> [List pisany na papierze z widokiem Genewy. Pod obrazkiem napis drukowany: *Genève*. W dalszym ciągu tego napisu Poeta dodał datę listu.]

teraz moim szczęściem—a tobie je w całości winienem. Wyraz nę-  
dza w moim liście, który cię dotknął tak mocno, potrzebuje uspra-  
wiedliwienia z mojej strony . . . Lękam się tego nieszczęścia, ale  
tylko na przyszłość . . . bo Bóg mi może zabrać mego Anioła stró-  
żę—a wtenczas — stryj — ja zaś zupełnie będę niemy—jest to  
niemoc, która mi nie dopuści mówienia za moją sprawą . . . Mamo—  
oto jest otwartość twojego dziecka—przebacz mu, że on w dobroć  
Boga nie ufa . . . i niech cię odmalowana tu przyszłość moja nie  
zatrważa . . . bo ona mi się tylko taką [wy]daje w godzinach spleenu  
i rozpaczy . . . O mamo, czemuż tobie mój ojciec, umierając, wszy-  
stkiego [nie o]ddał zupełnie. X

Matko, odwróć myśl od tych wyrazów i słuchaj, co twój syn  
robić zamierza przez zimę. Oto naprzód zostaję członkiem tutej-  
szego literackiego towarzystwa. Płacąc 50 fr. na rok, mam prawo  
brać książki do domu z ogromnej biblioteki. Otoczę się więc dzie-  
łami filozoficznymi, historycznymi—dla odpoczynku zaś położę  
przy nich jaki romans—i tak przy trzaskających na kominku  
drzewkach będę ranki zimowe przepędzał . . . Wieczorami mam do-  
mowe towarzystwo, które zimą może będzie bardzo małe, a stąd  
będę jak w familijnem gronie.

Nie uwierzysz, Mamo, jaką mi przychylność okazują pani  
Pattey i jej córka. Dogadzają mi we wszystkim—i starają się cie-  
bie zastąpić. Wszysey moi znajomi zazdroszczą mi mojego poło-  
żenia z tego względu, i gdybym był pewny, że mię w życiu nigdy  
nic mniej dobrego nie spotka, byłbym szczęśliwy, o ile to w mojem  
oddaleniu być może . . . Prawdziwie, moja Mamo, nie mam ja tych  
snów złotych, któreby mi mierne szczęście niedostatecznym ukazy-  
wały—przrzekłem sobie nigdy za znaczeniem i bogactwem nie go-  
nić—a jeżeli sława lechce trochę moją próżność, to prawdziwie, że  
jest to szlachetne uczucie—bo sławy nie dla mnie, lecz dla mojej  
kuzynki biednej pragnę . . . Wierz mi, Matko, że to jest jedyny cel  
w moim życiu. Drogo—i poświęceniem własnego szczęścia—kupuję  
możność<sup>1</sup> służenia temu celowi, bo inaczej byłbym przy was—ale  
powiedzcie mi—bez książek i bez pióra czémże by było moje  
życie . . . X

---

<sup>1</sup> [Przekreślono: wolność]

Tej zimy zamyślam pisać i pisać—jestem jak góra w pologu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami—przepelnia—wylewa—i znów jestem, jak Turek (przez pół roku), po wytrzeźwieniu się z opium, zupełnie zimny i prozaiczny... Mówcie sobie co chcecie, a zdaje mi się, że gdyby mię teraz los Andrzeja Chenier spotkał, gdyby mię na śmierć prowadzono, mógłbym jak on uderzyć się ręką w czoło—i rzec: „A wszakże ja miałem coś tutaj“. Nie, to jest może tylko ów ćwiek Klembowskiego, który nas kiedyś tak ubawił. Cóżkolwiek bądź, ten ćwiek odróżnia mię od ludzi, dla których to życie jest wszystkiem... Gdyby kiedyś systemat Galla wydoskonalono i gdyby, pomacawszy głowę, powiedzieć można było człowiekowi: „będziesz tém a nie innym“, to ludzie nie tłukliby się po téj ziemi—i [nie] wałesali się jak ślepi... A wszakże ja tyle mam guzów, że sam Gall możeby nie odgadł, czy ja pisać wiersze czy kraść będę...

Gawędzę sobie z tobą, Matko moja, jak gdybym siedział na twojej kanwowej poduszce. Otóż opowiem ci ważne w mojem życiu zdarzenie. Jesień nadchodziła—lubię passyami jesień, lepiej niż wszystkie pory roku—aż tu ból zębów napadł mię. Zęby chciały mię pozbawić wszelkiej przyjemności jesiennej... Jednego więc poranku wstałem rano o godzinie 7-mój i poszedłem do dentysty... „Panie Chawane, rzekłem, wyrwij mi ząb trzonowy.“ „Bardzo dobrze,“ odpowiedział. Usiadłem, przysła służąca dla potrzymania głowy, zakręcił mi ząb i złamał... „Cóż teraz będzie?“ zapytałem. „Nic“, odpowiedział, „weźmiemy go z korzenia“. Jakoż rozłamał mi dziąsła i ząb wydobył... zaledwo lekki krzyk wydałem podczas operacyi... Mamo! jak się Julek odmienił—wszak pamiętasz, jak kiedyś płakał, kiedy mu zęby wrywano, choć tyś mi, Matko, trzymała głowę—a dziś służąca doktora!!!...

Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci, kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa, na którém wyrósł... Waham się i do samój godziny pocztowej wahać się będę, czy posłać przy tym liś[cie] mój tom III-ci, czy nie... Zdaje mi się, że go poszlę... O jakby mi było miło, gdybyś, Matko, znała moje trzecie dziecko...

Przybyła tu do naszego miasta nowa trupa aktorów, lepsza od

poprzedzającej—i przez całą zimę, dość niezły będzie teatr. Byłem na pierwszej reprezentacji, na *Fra Diavolo*, operze, którą niegdys we Wrocławiu slyszalem. Dziwne sprawia wrazenie ta sama sztuka w róznych slyszana okolicznościach. Publiczność tutejsza bardzo jest niesforna—wygwizdano kilku aktorów, a między nimi jedną aktorkę—biedaczka w okropnem była położeniu.

Towarzystwo nasze domowe znacznie się umniejszyło. Pani Seidwitz, la Comtesse, o której wam pisałem, że chodzi z ogromnym krzyżem w petlicy, wyjechała do swoich dóbr we Francyi. Możecie czytać wojaż po Anglii, Irlandyi, pisany przez Prince Puchler-Muskau? Otóż ten książę dziwnego imienia jest synem z pierwszego małżeństwa Pani Seidwitz. Zabawiło nas to odkrycie, albowiem dzienniki francuskie niedawno mniemały, że Prince Puchler-Muskau nie exystuje i że jakiś inny autor kryje się pod tém imieniem. Dziś o jego tożsamości żadna nam wątpliwość nie pozostała. Matka nawet skarży się, że jój synalek regularnie pensyi nie wypłaca.

Wczoraj wieczorem byłem na przechadzce z Anglikami. Przepłynęliśmy jezioro i na drugiej stronie widzieliśmy dóm, w którym mieszkał niegdys Byron, bawiąc w Genewie. Dóm ten teraz zamieszkały przez kogo innego, oddalony jest o 3 werstwy od miasta—dóm mały, murowany i wcale pospolity. Nie wchodziliśmy do środka. Dziedzinec nadzwyczaj smutny, otoczony stajniami—z drugiej strony ogród na schodzącej do jeziora płaszczyźnie. Wioska, w której mieszkał, nazywa się Cologny. Wracaliśmy po jeziorze przy świetle księżyca—nie możecie sobie wystawić, co za przepyszne jezioro przy księżycu—z jednej i z drugiej strony błękitniejszą brzegi mgliste, a w końcu jeziora widać migające światła i rzędy oświeconych okien—to Genewa. Z czwartej strony brzegów nie widać przy świetle księżyca. Taki spacer byłby zachwycającym z miłemi osobami—ale wy sobie nie możecie wystawić, co to są Anglicy i Angielki. Jest trzech Anglików w naszym domu, żaden z nich nawet jednej myśli w głowie nie ma. Skrzywione wyobrażenia—stare—*la morgue au lieu de la dignité*. Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem—wcale nie sentymentalne. Nigdy jeszcze z Anglikami nie było w naszym domu interessującej rozmowy—i ciągle muszę odpierać rezonowania głupie pana Wolfa, który, dowiedziawszy się, że jestem autorem, a wysłany z Anglii, aby

ludzi na metodystów nawracał, przedsięwziął mnie metodystą protestanckim zrobić. O, gdybyście widzieli jego tłustą i okrągłą postać—przy chudej żonie—jego uśmiech jezuicki—gdy[byście] widzieli, jak przy stole z jezuicką miną spożywa pokarmy, śmielibyście się [. . . .] jak ci się śmieją, którzy z boku na nas patrzą.

Brat Alexandra Mick[iewicza] był [w Genewie], ale wyjechał, nie mogłem więc mu udzielić otrzymanej wiadomości. Odnieć musiał już zostać ojcem—żadnych od niego nie mam nowin. Zdecydowałem się posłać wam jedno moje trzecie dziecko—polecę je dobrze opiekunowi H[ausnerowi].

U nas tu jesień zaczyna się, ale piękna. Często z Panną Eglantyną siadamy na ziemi w ogrodzie—i słuchając szmeru spadających liści, marzymy o wielu rzeczach. Mamo, twoje imię często jest wtenczas<sup>1</sup> na naszych ustach. Ona chciałaby ciebie znać zupełnie i dopytuje się o wszystkie szczegóły ciebie dotyczące, a mnie miło o tobie, Matko, rozprawiać. Czy przyjdzie ten czas, że z tobą o osobach zagranicą spotkanych mówić będę? To nie podobna, aby moje życie tak młode miało już być bez przyszłości.

Kochanowskiego jeszcze nie otrzymałem—i niecierpliwie czekam. Przeczytawszy treny, odczytam list o zgonie Melanki—i porównam je. Mamo, ten list gasi wszystkie treny—taki śliczny, tak głęboko smutny. . . .

Żadnych niema nowin—ciemno wszędzie, glucho etc. Czy Kosielski wrócił—czy się żeni? Interessują się tu nim bardzo, równie jak Grocholskim. Nie mogą się oni uskarżać na zapomnienie. Adieu, kochani drodzy moi. Niech was Bóg chowa i strzeże—jest to to samo jak gdybym rzekł: Niech mię Bóg chowa i strzeże. . . Czy to egoizm! . . . Nie, Mamo droga, wierz mi, że Julek ma nieco szlachetnych uczuć—że cię kocha najmocniej i najszczerzej. Niegdyś, kilka dni temu przy stole przypominałem sobie pacierz Melanki—i fizy nagle chciały się rzucić z oczu moich. Powiedzianoby, żem oszalał—Któż się teraz za nas modli? . . . Mamo droga, adieu—adieu—Kocham ciebie nad życie, Mamo moja. . . . *Julek.*

[Adres:] à Madame

Madame de Becu.

[Przekreślono: prz]

Geneva, d. 27 Październ. 1833 r.

Droga, najukochańsza Mamo moja! Cóż ci w tym liście opisywać będę? Spojrzawszy na cały miesiąc upłyniony, nie widzę żadnego interesującego wypadku. Anglicy, Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dóm nasz wypełniały, z przyjściem jesieni uniosły się jak jaskółki na południe, i niéma nikogo, oprócz młodego Anglika, który jest doskonale nudny. Wystawcie sobie bowiem młodego chłopca, wysokiego niezmiernie, dość przystojnej twarzy, który nigdy prawie nie gada, a kiedy się wyda z jakim zdaniem, to go i sam diabeł o mylności zdania nie przekona. Wystawcie sobie tę machinę, grającą cały dzień na gitarze pierwszą lekcycę ze szkółki, a będziecie mieli obraz doskonały Pana Speare, co znaczy po polsku *dzida*. Jest to więc ostatni z gości letnich, i ten porzuci nas wkrótce, co uczujemy tylko po ogłuchłej gitarze w murach naszego domu. W takim towarzystwie, dodawszy do tego Anglika moje gospodynie, możebym się nudził szalenie, gdyby nie kraina urojeń i marzeń, która silniej niż kiedykolwiek oddzieliła mię od świata.

Piszę wielkie dzieło, napisałem już 1300 wierszy, ale to jest jeszcze niczem w porównaniu do całej budowy. Cały dzień jestem roztargniony—w nocę piszę—a do 10. godziny rano spię głęboko... Tak zaś jestem roztargniony, że dziś płacąc szewcowi za buty, dałem pieniądze i nie dołożyłem jednego sous, który mu się do okrągłej summy należał—i wyszedłem z jego sklepu. Nie wiem, jakim sposobem przypomniałem sobie o tój pomyłce, i zacząłem się śmiać głośno—bo prawdziwie, że nie wiem, co ten szewc o mnie pomyśli. Płacąc, miałem rękę pełną sous, a nie dodałem mu jednego...

Czemuż z tobą, Mamo droga, nie mogę pogadać o moich piśmach przeszłych i przyszłych—jakie by to było szczęście dla mnie! Pisałem, że posyłam wam moje trzecie dziecko—nie dziwcie się, że nie doszło—odesłali mi go z granicy szwajcarskiej, jako złym sposobem posłane, to jest, nie tyle się zapłaty należało... mogłem je inną drogą posłać, ale wypadek ten uważałem jako przestrożę losu—i wstrzymałem się. Przesądny jestem w niektórych rzeczach.

Pisano mi, że dzieła Kochanowskich już są w drodze—za-

pewne je w tych dniach otrzymam. Pusty dóm nasz, a dla mnie pustynią się wydaje, mówiąc romantycznym czyli raczej klasycznym, idylłowym stylem, od czasu wyjazdu młodej Angielki, która tu mieszkała, przezedrzwiała tylko oddalona ode mnie, i z którą po całych dniach szaleliśmy. Prawdziwie, że dziwno, jak dotąd wiele we mnie dzieciennego—a czasem jak wiele spleenu.

Pan Wolf, minister protestancki, wysłany z Anglii, aby nawracał ludzi, wyjechał już z żoną. Przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbał, a do mnie się przyczepił z wszelkimi argumentami, podobnymi do katechizmu szkół nowych u was . . . Chciałbym wam pokazać próbkę takiego rodzaju ludzi, bo prawdziwie, że ich jeszcze nie widzieliście. Ten pan Wolf, wyjeżdżając, zostawił mi na pamiątkę stary i nowy testament, za co jemu bardzo wdzięczny jestem, bo ta księga każdemu człowiekowi w życiu towarzyszyć powinna. Darował mi także dwie inne książki, których nie czytam i nawet czytać nie będę. Jedną z nich jest kazanie, które miał w kościele protestanckim w Rzymie. Nim się goście stąd rozjechali, przepędzaliśmy często wieczory na czytaniu tragedji. Byłem lektorem towarzystwa—i zdaje się, że byli kontenci ze sposobu, jakim wydałem różne role, przynajmniej widziałem często na ich twarzach, że dobrze czytałem.

Córka Pani Pattey, która jest za jednym bankierem, zamierza tej zimy urządzić teatr i liczy na mnie, że się niektórych ról podejmę. Będzie to więc jedną z moich zimowych zabaw. Będą więc niektóre godziny, w których będę musiał śmiać się szczerze z mu—i rozśmieszać widzów.

Mamo kochana, napisz mi, jaki jest adres do twego kuzyna w Galicyi. Chciałbym poznać się z nim listownie, bo może go będę potrzebował. Jeżeli będziesz kiedy pisać do niego, powiedz mu, aby mię jak krewnego uważał. Gdybyś Ty, Mamo, mogła kiedy osiąść we Lwowie, to możebym po jakim roku otrzymał pozwolenie mieszkania w Galicyi—i dobrze by nam było. Myśl o tem, kochana Mamo—może to żądanie moje jest tylko złotem marzeniem, ale ile razy o takiej przyszłości myślę, to mi lżej na sercu. Niespokojność jakaś dręczy mię ciągle. Często zatrudniony czytaniem lub jaką cichą pracą, wstaję nagle [i] chodzę jak warjat z myślami, od których opędzić się nie mogę. Ta niespokojność prawdziwie ma



jakaś twarz ludzką i bladą, którą widzę nieraz nagle wyrastającą z kart książki, którą czytam, i nie rozumiem książki. Niespokojność ta często jak jakaś gorycz odbiera nagle smak pokarmom, które do ust niosę. I muszę z nią walczyć jak z domowym wrogiem. Mamo—to dziwnie, że imaginacya moja jest jedyném źródłem wszystkich moich nieszczęść—i wszelkiego szczęścia na ziemi... bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków—szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy pi-szę—każdego ranka, kiedy chodzę po suchych liściach w ogrodowej alei.

Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tutejsza jesień. Dotąd czas najpiękniejszy—słońce, świecąc na wpół pożółkłych drzewach, zdaje się być bardziej złociste i piękne, murawy nie tak jak u nas spalone i bez życia; murawy tu dotąd zachowały wiosenną szmaragdową barwę. Kilka dni temu o południu pływałem czółnem po jeziorze. Wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło, tak równe, że kiedy po nim zdaleka przepłynął parowy statek, w kwadrans potem widziałem zbliżający się fałd czarny rozbitej kołem parnego statku wody. Fałd ten posuwał się zwolna, wspaniale, i czółnem moim lekko zakołysał—przeszedł—popłynął dalej—a czółno znów stało nieruchome na zwierciadle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone—nad brzegami w oddaleniu topole pożółkłym liściem okryte jak złote kolumny—wiele drzew zielonych—wiele białych domków i pałacyków—a za tym brzegiem Mont Blanc—biały, świeżym śniegiem z przyległemi mu górami okryty, podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu sybirskiej krainy. Wśród takiej natury trzeba być smutnym—albo trzeba się kochać... Na mnie Bóg rzucił jakieś przekleństwo—na mojej drodze stawia mi lalki—zabawkę—serce moje żywie okruszynami uczuć... i w moich uczuciach nic niema wielkiego—oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności—bez rysów prawie—a którą jednak widzę wszystkiemi zmysłami.

Mamo, nie dziw się stylowi tego listu, ani się lękaj o mnie; jest to prosto jesienne usposobienie duszy, jest to tylko skierowanie wszystkich władz do przemagającej we mnie teraz imaginacyi. Żyjąc od dni kilkunastu tym chlebem, nie mogę się nagle przemie-

nić—nie mogę wam opisywać płaskich, codziennych wypadków—powtarzać słów jakiej panienki, które mi przez jedno ucho weszły a przez drugie wyleciały—opisywać rozmowy w gronie kilku nudnych osób toczone i t. p. Gdybym był nawet z wami, widzielibyście mnie myślącego—i zachmurzonego—patrzcie więc tak na ten list pusty, jak na myślącego Julka. Mamo, wystawiam sobie często, że chodzę po ciemnym pokoju, gdzie nad framugą wisi biały z kości słoniowej Chrystus na czarnym krzyżu. Wystawiam sobie, że ty leżysz, Mamo na małej kanapce w drugim pokoju, oświetlona płomieniem zapalonego pieca. Jak tam cicho i smutno teraz] musi być w waszych pokojach...\*

Matko—list ten może otrzymasz w dzień twoich imienin. Syn Twój zdaleka ręce do [ciebie] wyciąga i prosi cię, Matko, abyś mu przebaczyła, że cię tak samą na świecie zostawił... bez żadnych przyjemności życia, pomiędzy pomnażającymi się codnia grobami rodziny. Mamo moja—czy myśmy starzy, czy my przespali wiele lat, że tak nam wiele osób brakuje? Czy nas Bóg złączy kiedyś dlatego, abyśmy przed śmiercią mogli sobie powiedzieć, żeśmy żyli... abyśmy na zmienionych twarzach naszych wyczytać mogli tę samą słowo... żyliśmy... Matko moja—uśmiechnij się—niech ci przyjdą wesołe myśli, wesołe marzenia. Wrócę kiedyś, a jeżeli nie,<sup>1</sup> to znajdę sobie za granicą ładną—dobrą—nawet może bogatą żonę... Będę miał synów, córki—wybiorę ci najpiękniejszego z synów—aniółka—przyszłę ci go, Mamo—wpełźnie na twoje kolana—tylko, Matko, odpędzaj go od książek—niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza Iliady zmarszczeniem brwi świat wstrząsać. Daj mu zimną Enejdę, której Julek częstym czytaniem nie podarł, niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszen unosić Boga—matkę—żonę—dzieci—niech nic nie zostawia po sobie, czego by mógł żałować...

Babuniu, Dziaduniu, drodzy moi—Teofilu, Hersylko—otoczcie wszyscy Mamę moją tak ścisłym kołem, aby nie widziała, że jej kogo jeszcze brakuje.

Bądźcie zdrowi! Bądźcie zdrowi, moi mili i najukochańsi—Ja

\* 11/23. Matka moja a Babka Julka umarła we wspomnianych pokojach i po śmierci ciało jej tam złożone do czasu pogrzebu było. (S. B.)

<sup>1</sup> [Przekreślono: to]

zdrów jestem jak ryba, powietrze tutejsze bardzo mi służy, albowiem nigdy nie doświadczamy wielkiego zimna, a góry śniegiem okryte chłodzą nas w wielkie upały. Prawdziwie, że ta ziemia, to raj dla szczęśliwych . . . Mamo droga, całuję ciebie po tysiąc razy.  
Twój

Juliusz.

[Adres:]

Aux Messieurs  
MMeurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autrichienne).

Les priant de renvoyer la présente à Mme de Becu.

[Stempel pocztowy:] Genève, 29 8bre 833 fco frontière.

Brody. 15 Nov. 833

(29.)

[Geneva] 30 Listop. 1833 r. (S. B.)

Najukochańsza, biédna Mamo moja! Chciałbym cię pocieszyć w boleści twojej i czuję, że jedno moje uściśnienie byłoby ci miłsze nad wszystkie listów wyrazy—a ja ciebie, Mamo, uściśnąć nie mogę . . . Widząc tak mraçe osoby kochane i drogie, czasem krzyczę całą mocą duszy mojej: czekajcie! czekajcie na mnie—może jedna chwila uplynie, a wrócę—i uściśnę was jeszcze . . . Ale ty, Mamo moja, nie będziesz sobie smutkiem życia ukracać . . . boś ty wszystkim dla mnie, bo ci przysięgam, że żadne inne przywiązanie nie dzieli mego serca na dwoje—i żadnej jego części nie odrywa od ciebie . . .

Przez dwa miesiące oczekiwałem z największą niespokojnością jakiej wiadomości. Odebrałem książki Kochanowskiego, list od tych, którzy mi je przesyłali, a od was ani słowa. To niespokojność moją okropnie zwiększyło—domowi moi podzielali ją . . . Nakoniec ranka jednego przybiega do mnie ze łzami radości w oczach Panna Eglantyna—i wyciąga do mnie rękę z listem. Porwałem go . . . niespokojny . . . i przeczytałem—a potem padłem w moim pokoju na kolana i modliłem się ze łzami . . . a tak rzadko się modłę . . . więc Bóg musiał łzy i modlitwę przyjąć jak łzę i modlitwę grzesznika . . . Na drugi dzień rozczytałem się w liście i znalazłem jeszcze inne

powody smutku... Więc wiecie o Adamie... oh! teraz dopióro powiem [wam], ile mię kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy... Skorom przeczy[ta]... chciałem się koniecznie strzelać z nim—i natychmiast posłałem [list... do Miłchała [Ski-bickiego], przyjaciela mego niegdyś, aby mi pomocy swojej uży-[czył]. Przyszedł [...] Michał wieczorem—i różnemi radami odwiódł mię od zamiaru. Była to [jedna] z przyczyn, dla której do Genewy wyjechałem... i teraz nie uwierzycie, ile męki [...] cierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie słyszeć. Nienawidzę go... Wyjątek z mojej przedmowy on obciął i umieścił w pisemku, ale tak obciął, że mu dał zupełnie inne znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości—a przemowa moja jest raczej moim usprawiedliwieniem—i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił—on albowiem o dziełach literackich w pi-semku pisał.—Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, Matko moja, promieniami takięj sławy, aby cię inne ludzi pociski dojsć nie mogły... I muszę tego dokonać—Bóg mię sam natchnął—bo rozwi-  
nął w myśli mojęj wielkie dzieło. Część pierwszą za kilka dni po-  
syłam do druku i teraz przepisuję.—Wierz mi, Matko droga, że się nie zaślepiam—zem te dzieło osądził po napisaniu obcego czło-  
wieka rozwągą... I drukuję bezimiennie—będzie tak równiejsza  
walka z Adamem.—Jeżeli przygotujecie się na to, to zaraz poszlę  
kilka<sup>1</sup> exemplarzy. Napiszcie tylko czy?—Bo całe jest o chorobie  
kuzynki...

O Mamo moja! Jakżebym chciał zawrócić list mój ostatni z po-  
winszowaniem imienin tobie pisany—myślę teraz, o ile on będzie  
bolesny dla ciebie. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślę, jak kiedyś  
na staręj, czarnej Znajdzie wjeżdżałem na mały, spokojny Dzia-  
dostwa dziedziniec. Imieniny twoje, Mamo, musiałem wczoraj ob-  
chodzić ze znajomemi. Chłopcy młode przyjechali po mnie o go-  
dzinie 10. z rana i powieźli z sobą na obiad—na wieś, pod góry  
Genewskie. Było nas kilkunastu—kiedyśmy jechali, chmury czarne  
snuły się po niebie, sam tylko Mont Blanc biały świecił od słońca  
jak posąg Sybiru. Potém deszcz lunął rześisty, ale po deszczu naj-  
śliczniejsza tęcza rozwinęła się nad nami. Wszystko to—poruszyło

<sup>1</sup> [Na miejscu przekreślonego, nieczytelnego wyrazu.]

aż do głębi nasze serca. W tej tęczy widzieliśmy jakąś wróżkę. Zasiadliśmy do stołu—jeść niewiele znaleźć mogliśmy w wiejskiej oberży, ale szampan wszystko wynagrodził. Na prośbę kolegów pierwszy raz improwizowałem—i domyślicie się, że ta tęcza była treścią mojej ody. Koledzy klaskali w ręce, a potem ściskali mię ze łzami, a potem pili moje zdrowie—a kiedy im powiedziałem, iż ty, Mamo, nazywasz się Salomea, pili twoje zdrowie... Najbardziej rozczulająca była chwila, kiedy po różnych pieśniach zaintonowaliśmy wszyscy [pieśń]: Święty Boże! święty mocny! o święty nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami.

[Ten hymn] kościoła naszego nieraz mię do płaczu pobudzał, a w tej chwili coś [miał w sobie] [ogro]mnego... Młodzi, około stołu, oparci na dłoniach, podobni byliśmy [do dawnych... n]aszyc... Wystawcie sobie tę garstkę na obcej ziemi, a pewno uczucie [wrażenie, jakim nas natchnęła ta pieśń] pobożna... Nasze uczty połączone są [..... ze] smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach—i kielichy są pełne goryczy [..... do]póki Bóg ich od nas nie odwróci.

W tym miesiącu miałem kilka wieczorów. [Wprow]adzony byłem do domu Pani Wodzińskiej, która tu mieszka z synami i z dwóma córkami. Starsza dorosła już panna, ale bardzo brzydka—gra ślicznie na fortepianie. Field, będąc tu, dawał jej lekcye, i gra zupełnie Fielda metodą... więc jej graniu bardzo mi było miłe... Dwunastu młodych Polaków, uczących się tu na jednej pensyi, chcąc mię poznać, dawali dla mnie wieczór, na którym tylko sami chłopcy znajdowali się. Bawiliśmy się dosyć dobrze i gdyby nie zapytanie, które mi ciągle robili: „co ja myślę o Adamie?“ byłoby mi zupełnie miło między nimi. Tańcowaliśmy szalonego mazura. Te kilka wieczorów rozerwało mię trochę, zwłaszcza, że jeszcze nie o naszym nieszczęściu nie wiedział.

Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 2200 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie stracona dla dobra ojczyzny mojej—przynajmniej tak sobie powiadam—i słodzę tém wszystko. Spokojne teraz wiodę życie. Sam jestem w domu z Matką i córką Pattey. Kochają mię—jak syna i brata—podzielają wszystko ze mną; słowem, że mię Bóg do ich domu przyprowadził. Kiedyś, wró-

ciwszy do mojej krainy, nieraz będę tęsknił może za tém cichem terażniejszym życiem... Prawdziwie, że źle ulepione serce człowieka—przeszłość nie powinna się nam piękniejszą wydawać niż była.

X  
Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki ojca i twoje kilka wyrazów, Mamo, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła naprzemiany—i znajduję, że *Treny* są niezrównanej piękności. Uwagi ojca mego po większej części znajduję słuszne—w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczasowy klasyczny a raczej francuski troche obłąkał. W terażniejszej poezyi Brodziński najwięcej się do Kochanowskiego zbliża, ale jest od niego niższy o 3 wieki. Oprócz tych dzieł nic więcej teraz nie czytam, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się *Kordjan*. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka [znalazłem... O! Mamo, czemuż nie jestem z tobą!

Teofilu, Hersylko, dzięki wam za wasze słowa w liście—dzielię z wami całą boleść, bo uważam się jak wasz brat—i brata prawdziwie mam do was przywiązanie. [Chcę,] abyście spokojnie na wsi osiedli—i pozbyli się wszelkich trosk i nieprzyjemności]. Niech się wam kłosa żółte do nóg kłaniają, niech w waszym ogrodzie [rośnie... ] a przyjdzie jeszcze z nieba między was jaki aniołek z błękitnemi oczyma—[i usiądzie] wam na kolana i uśmiechnie się do was. A w domu waszym wiejskim, [tak jakeście] mi przyrzekli, zbudujcie mały pokoik z oknami dwoma na wschód—i w ogrodzie zasadźcie aleję, z kasztanów i jodeł naprzemiany, aby mi przypominała aleję, po której teraz chodzę. O gdybyście mogli górę Mont Blanc zdaleka w perspektywie postawić!—Dziadunia mego rączki ode mnie ucałujcie...

Mamo moja kochana! bądź ty spokojna—i znoś nieszczęście z mocą całą duszy. Bo cóż się ze mną stanie, jeżeli ty, Mamo, boleścią zbytnią usuniesz się z tej ziemi. Matko moja! kiedyś wezmę cię za rękę i pójdziemy na cichy smentarz płakać i modlić się.—Matko moja! Pani i Panna Pattey kilka razy, wiedząc, że list piszę, przychodziły pod moje drzwi i wołały, abym nie zapomniał od nich tysiąc ci rzeczy powiedzieć. Panna Eglantyna płakała, dowiedziawszy się o nieszczęściu, które na was spadło... One także,

Matka wdowa i córka sierota, mają tysiąc zmartwień i nieprzyjemności—one także nieszczęśliwe!—Mamo moja, całuję cię z całej duszy, z całego serca mojego!

Dnia 30. List. 1833 r.

Twój Juliusz.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

à Krzemieniec.

Stempel pocztowy: 5. D. kr. 6. Grud. 833.

(30.)

Gene[wa] 1834, d. 3. Stycznia n. s.

Najdroższa Mamo moja!

Otóż znów dożyliśmy, czyli raczej przeżyliśmy rok cały. Nie wiem dlaczego, ale lata galopem przede mną uciekają. Może to dlatego, że terazniejszość uważam za czas czyścowej próby—i odkładam do szczęśliwszych czasów używanie tego świata; dlatego nic mi teraz nie bawi, nie cieszy, zdaje mi się, że sobie przygotowuję przyszłość— a ta przyszłość może nigdy dla mnie nie nadejść. Bo nie wszystkie moje przeczucia tak się sprawdzają, jak przeczucia nieszczęścia. Kiedym pisał list w dzień exportacji ciała mojej babuni, zalewałem się łzami i Panna Eglantyna po oczach moich czerwonych odgadła, że płakał... Zdaje się, że mój anioł stróż przelatuje ciągle ode mnie do was—i wracając znów do mnie, opowiada mi nieszczęścia... Mamo najdroższa, obiecujesz mi przysłać jaką pamiątkę—pozwól, że ci powiem, co by mi największą rozkosz sprawiło... Oto każ komu zrobić miniaturę z portretu, który niegdyś odmalował Klembowski—i przyslij mi ją. Niechaj w smutnych godzinach patrzę na twarz twoją, niech sobie przypominam szczęśliwe lata cichego dzieciństwa. Czy pamiętasz, matko, że kiedy raz, jeszcze w pokoikach Matematyków, służąca pytała mnie, która z dam znajomych wydaje mi się najpiękniejszą, odpowiedziałem, że ty, Mamo, jesteś najpiękniejszą z wszystkich dam znajomych... Wiesz, Mamo, że we wspomnieniach moich znów jesteś taką, jaką byłaś w oczach dziecinnych. Panna Eglantyna śniła raz o tobie, Mamo, i potem opisywała mi twoją postać. Były niektóre rysy podobieństwa, ale co mię najbardziej zadziwiło, to jedna okoliczność jej

snu; „Weszłam, mówiła, do pokoju twojej Mamy, który był nieco ciemny, tak jak zwykle bywają pokoje na *rez-de-chaussée*“. Zdziwiło mię bardzo, że osoba nieświadoma<sup>1</sup> twoich pokoików, odgadła je; kto wie? może we śnie zupełnie rzeczywistość widziała.

Kochana Mamo! żądasz, abym ci radził względem naszych interesów; jedną tylko radę dać mogę: żyj, Matko droga!—żyj dla mnie—i zachowuj twoje zdrowie! Chciej żyć—bo przekonany jestem, że wola robi cuda—przekonany jestem, że kiedy w dzieciństwie chorowałem śmiertelnie, nie lekarstwa, ale wola silna twoja i ojca mego wyrwały mię śmierci... Jeżeli zaś, matko, robić będziesz rozporządzenia, wszystko twoje zostaw Teofilowi—bez żadnych na piśmie warunków... Teofila uważałem zawsze jako najlepszego mego przyjaciela; on łagodnością i dobrocią swoją był dla mnie bratem; ani mię odepchnął od siebie wymaganiem uszanowania, więc zyskał przez to, że go szanuję i kocham... Ufam jemu zupełnie, że mi z głodu umrzeć nie dopuści. Skoro zaś fundusze moje uszczuplą się, rzucę Genewę i pójdę gdzie żyć w wieśniaka szwajcarskiego domu — byle piękną naturą otoczony, nie dbam o zwierzęce wygody życia... Dziś nawet, Mamo moja, gdybyś mi szczerze napisała, że interessa nasze wymagają tego, dziś nawet skutecznym ten projekt cichego życia w górach... Albowiem nie widzę w tém ani upodlenia ani śmieszności... Wierz mi, Mamo! że nie odbierając długo listu od ciebie, kiedy najokropniejsza niepokojność mną miotala, ułożyłem ten projekt i mówiłem o nim Pannie Eglantynie—a ona ani się śmiała z niego ani go potępiała jak szaleństwo... i tylko prosiła, abym nie zapomniał, że ona mię uważa za brata, a matka jej za syna...

„Dzień pierwszy Bożego Narodzenia przepędziłem smutno. Wszyscy domowi wyjechali na wieczór—zostałem sam w domu—ale nie sam zupełnie, bo właśnie w tym dniu odebrałem do poprawy l. arkusz druku nowego poematu, który wydaję na świat. Na drugi dzień po nowym roku przysłano mi drugi arkusz; wkrótce spodziewam się, że wszystko mi wydrukują. Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką... Pracuję teraz ciągle—czytam bardzo wiele, rzuciłem się cały w filozofiją nie-

<sup>1</sup> [Poprawione z: *nieznajoma*]



miecką—pomimo wielu czczych marzeń idealizmu, karmi ona moją imaginacją. O, gdybyście wiedzieli, jak mi się nasz kraj pięknym teraz wydaje! szczególnie Litwa—do niej kiedyś świętą zrobię pielgrzymkę.

Ledwo wierzyć mogę wieści o Ludwisi—niepodobną mi się wydaje. Jeśli Teofil kupi Hawryszówkę, będzie mi kiedyś miło odwiedzić go w tej wiosce, która tak pełna dla mnie smutnych wspomnień. Czasem marzę, że kupię u Michalskich Julinki i mieszkać w nich będę jak Kochanowski w Czarnolesiu. Prawdziwie, że gdyby taki domek i 2000 zlot. dochodu, byłbym zupełnie szczęśliwy. Dziwisz się czasem Mama, że siedzę na jednym miejscu i różnych krajów nie zwiedzam. Otóż napiszę ci, że robię to z przymusu. Oprócz Szwajcaryi, wszystkie kraje są dla nas zamknięte; z sąsiednich wam miejsc łapią nas, pakują na okręta i wysyłają niechętnych do Ameryki. Pomimo chęci wojażowania, nie chciałbym z przymusu odbywać téj dalekiej podróży, zwłaszcza, że Ameryka nie jest tak miłym pobytym, jak nam się zdawało. Wielu wojażerów teraz pisało o niéj, a z tych opisów pokazuje się, że jest to kraj pełny egoistów, spekulantów, ludzi, którzy nie mają żadnej imaginacji, i nieznośni są w pożyciu. Takimi są przynajmniej Stany Zjednoczone. [Z D]rewna wszystkich Polaków do Anglii wysłano. Nie wiem, co się z Odyńcem stało, bo przerwałem z nim wszelką korespondencją. Mickie[wicz] przetłómaczył *Giaura* Byrona i wydaje go. Ukazał się był na chwilę nowy talent poetyczny: Garczyński. Wydał dwa tomiki poezyi, w których było wiele pięknych rzeczy, a więcéj jeszcze nadziei—ale nieszczęściem suchoty zniszczyły go—i umarł... Ciągłe wzdychał do Neapolu—i miał nadzieję, że tam dojechawszy, uzdrowi się, ale nieborak w drodze, w Avignonie, życie zakończył.

To dziwnie, że ci, którzy w kraju żadnej skłonności do suchot nie mieli, tutaj zagranicą dostają ich—inni zaś, którym w kraju niebezpieczeństwo groziło, tu są zupełnie zdrowi... Przykładem ostatnich jestem ja sam... piersi moje wzmocniły się zupełnie, nawet oddech stał się dłuższym i pełniejszym... Prawdziwie ręka Boga jest nad każdym stworzeniem. Śliczny klimat tutejszy zachwyca mię; dotąd raz tylko śnieg padał, ale tak lekki, że śladów na ziemi nie zostawił—dzisiaj najpiękniejsze świeci słońce, w ogro-

dzie zbierałem bukiet fijałków—szron rannego przymrozku stópniał na nich, i zamienił się w brylantową rosę.

Na nowy rok było u nas kilka osób. Zwyczaj tu jest na nowy rok dawać różne podarunki damom—najczęściej dają się cukierki. Ładne panny odbierają ich tyle, że potém przez kilka miesięcy karmią się niemi jak kanarki. Odebrałem jeden prezent tylko—i to od Panny Eglantyny. Dała mi wyszyte przez siebie włóczką pantofle, na czarném dnie dwie gałązki koralowe. Mężczyźni tutejsi często także haftują włóczkami—takie jest najulubieńsze zajęcie męża młodszej córki Pani Pattey, bankiera tutejszego. Córka Pani Pattey z czworgiem dzieci i z mężem mieszka z nami przez zimę, i co wieczora albo oni do nas albo my do nich schodziemy na wista; dosyć dobrze gram teraz, i grając po 3 sous punkt, nie mogę się ani z bogacić, ani zrujnować przez jeden wieczór, ani nawet przez całą zimę. Wist, czytanie i dumanie zapełniają wszystkie godziny mego życia, i mogę powiedzieć, że taka cisza koło mnie, że słyszałbym głos od was...

Nie dziw się więc, Mamo droga, że listy moje nudne i puste; biała karta papieru mogłaby być godłem moim—i tłumaczem—i najlepszym dziennikiem. Adieu, droga Mamo! do zobaczenia się—Adieu! Twój syn, który cię za wszystkich kocha.

*Juliusz.*

Panna Eglantyna zapisała ćwiartkę osobną, którą w liście posyłam.

Madame,

Permettez à une maussade enrhumée de venir vous offrir ses souhaits pour l'année dans laquelle nous entrons, souhaits, qui s'ils se réalisaient tous, vous prouveraient combien nous pensons à vous, Madame, et de quelle manière votre cher Jules vous a fait connaître et chérir par nous. Nous partageons ses peines qui sont les vôtres et, s'il dépendait de nous d'en supporter une partie, nous le ferions de grand coeur pour vous en décharger l'un et l'autre. Chère Madame, quelle joie pour nous, si un jour nous pouvions vous posséder en Suisse, ne fut-ce que quelques moments; notre climat, plus doux que le vôtre, améliorerait sans doute votre santé et la joie de voir votre Jules acheverait de vous retablir; faut-il renoncer à une si douce espérance?

Voilà un an, que maman a fait l'acquisition d'un fils et moi d'un frère, c'est vous dire, Madame, que nous savons apprécier et aimer votre fils. Cette année s'est écoulée pour lui sans plaisir, mais non sans gloire, car il a su mettre à profit

et son génie est ses talens. Il pourra bien jeune encore jouir d'une gloire que d'autres n'ont atteinte que sur les vieux jours. Cette perspective doit le consoler des privations qu'il éprouve et vous, Madame, vous faire supporter avec résignation la peine de vivre loin de lui.

Voyez quelquefois de 6 à 9 du soir une table de jeu autour de laquelle sont rangées 4 personnes, entendez les se disputer sur les fautes que le partner reproche à son partner, et vous aurez une idée des discussions qui s'élèvent entre Mr. Jules et Mlle Eglantine et où tous deux veulent avoir raison. Le raccommodement se fait en prenant le thé; on promet de ne plus se quereller et le lendemain le frère et la soeur recommencent.

Dans trois semaines vous pourrez rire de nos querelles, à pareille époque nous parlerons de vous. De cette manière nous pourrons franchir la distance en nous identifiant aux pensées des uns et des autres.

Mon papier finit, je ne puis que vous assurer de nouveau du respect et de l'attachement que je vous ai vouée depuis longtemps. *Eglantine.*

Maman ne veut pas que je l'oublie auprès de vous, Madame, et vous salue de coeur.

[Adres:]

Pour Messieurs

MMurs Hausner et Violland

Banquiers

à Brody (Gallicie Autrichienne).

Les priant de remettre la présente à Mme de Becu.

[Stempel pocztowy:] Genève 7 Janvier 1834. fco frontières.

P. P. Brody 208 Jan. odebrany 9 Januar 834.

(31.)

Geneva d. 20 Lutego n. s. 1834.

Najukochańsza Mamo moja!

Od dnia do dnia ociągałem się z tym listem, albowiem co chwila spodziewałem się od was jakiego słowa. Od dwóch miesięcy tak czekam w wielkiej niespokojności i myślą rozbiegam różne prawdopodobieństwa—a czasem jak talizman jaki powtarzam Mammy przysłowie: *jakoś to będzie*. Smutne to życie przepędzane w tak ciągłej niespokojności. Jakiś autor angielski powiedział żartobliwie, że człowiek, oddawszy się ciągłej samotności, zamienia się w ostrzygę; otóż ja wkrótce, jak mi się zdaje, dam przykład takiej metamorfozy—oby przynajmniej nie w ostrzygę, ale w perłową zamienić się konchę. Przez całą tę zimę nie przyjąłem żadnego zapro-

szenia na bale, bo mię nudzą; byłem tylko na kilku małych wieczorach, na których główną zabawą jadło i picie. O godzinie 7-mej zaczyna się kolacya, zasiadają damy i mężczyźni około stołu pełnego szynek, jendyków zimnych z truflami, i ciast cukrowych, któremi Szwajcarowie nad innymi narody celują, i przy takiej kollacyi trzeba siedzieć aż do godziny 11-stej czasem. Potem tańce; dwadzieścia już z górą osób płci obojój uczyłem z różnym skutkiem tańcować mazura, ale za[den] mężczyzna nie umie ani w takt biegać, ani à propos uderzyć w podków[ki]—widać więc, że do mazura trzeba wrodzonej skłonności, to jest geniuszu, nie zaś talentu. Na jednym z tych wieczorów, gdzie było wiele starych tatusiów, wzięto się do dawnych szwajcarskich tańców—i te bardzo by się może niektórym z waszych podobały. Oto jedna osoba staje pośród sali, inne zaś biorą się za ręce i kołem kręcą się koło niej, śpiewając starą piosenkę, najczęściej śmieszłą. Stojący w kole wybiera jaką damę i całuje ją w twarz—a dama, taki tryumf odniosłszy, idzie do środka i znów czeka póki kręcące się koło nie skończy drugiej strofy piosenki, a po skończoniu jej całuje mężczyznę i t. d. Taniec ten wybornie maluje dawną prostotę Szwajcarów. Otóż i ja byłem w takim kole, ale nie lękajcie się—zwyczajem naszym damy w rękę tylko całowałem, a to podobno po głębszém rozważeniu rzeczy czyniłem dlatego, że między damami żadnej dosyć ładnej nie było.

Spojrzałem przez okno—wnuczki Pani Pattey, <sup>1</sup> bawiące się na dziedzińcu, krzyczą na mnie: *Lulli méchant*. Lulli jest to moje imię, dawane mi przez dzieci. Najstarsza córeczka, 6 lata mająca, jest moją żoną; w wieczór kładąc się spać, biegnie do drzwi mego pokoju i krzyczy: *bon soir, Lulli*, a czasem przynosi mi bukiet fijałków. Spodziewam się, że Mama pobłogosławisz temu związkowi. Staram się różnemi talentami umebłować głowę mojej żony—i uczyć ją rysować. Już stawi kółka na papierze, używam bowiem metody krzemienieckiej. Co do innych nauk, opowiadam jej o stworzeniu świata, i już doszedłem aż do potopu. Widzicie więc, że wkrótce całą historią powszechną przejdziemy. Co do kobiecych robót, donoszę wam, że mi żona moja obrąbiła całą chustkę do nosa.

---

<sup>1</sup> [Przekreślono: krzyczą]

Chociaż smutne są okoliczności, niedawno śmiałem się do rozpuku. Przesłano mi bowiem z Paryża wiersze poety z muzyką poety, z tłumaczeniem francuskim poety—a tym poetą jest pewien xiądz Praniewicz, Baka naszych czasów. Na karcie 72 i na karcie 73 znajduje się o mnie strofa po polsku i po francusku do muzyki zastosowana, która brzmi w obu językach jak następuje:

Pięknie S. . . w swym kwiecie	S... dans sa jeunesse
Już za krajem się ujmował,	Défend déjà son pays.
Gdy rzekł: masz i medal Lafaj[ecie].	De médaille il fait largesse
[Byś] tylko P[olskę] ratował.	A qui bat ses ennemis.
[Cn]y Czacki za krajem wylany	Czacki le sage aurait pour la patrie.
[Do]chodził tegoż losu bez odmiany.	Sacrifié ses biens comme sa vie.

[Up]ewniają mnie korespondenci, że ta strofa jest jedną z najlepszych w całym dziele, i że Homer w niej nie śpi. Piszę ją dlatego, aby ciebie, moja Mamo, choć na chwilę rozśmieszyć. . . . Co do mego poematu, dotąd jeszcze nie wyszedł na świat, ale za kilka dni dopióro ukaże się. . . .

Niepewność o was wprawia mię w taką otrętwiałość względem innych celów mego życia, że o niczym myśleć, niczym się cały zająć nie mogę. O mamó droga, czyż dla nas żadnej już niema nadziei?—Odbierając takie próżne listy, pomyślisz może, Mamó moja, że ci szczegółów życia nie piszę. Wierz mi, moja droga, że od dwóch miesięcy nie było dnia, któryby się od innych dni w życiu mojem odróżnił. Kolorem głównym dni moich jest teraz ciągle wzrastająca niespokojność z powodu długiego waszego milczenia. Niespokojność ta budzi się razem ze mną, i czarniejsza jest, ile razy czas mglisty i smutny dopomaga splinowi.

Dzięki Bogu śliczne tu dnie mamy. Ledwo raz śnieg się pokazał. Murawa ogrodu ciągle zielona jak szmaragdy, ogród pełny małych jodeł ciągle ma przyjemną postać. Fijolki zawsze kwitną. W takim czarującym kraju potrzeba mieć tylko serce napelnione i spokojne; ani jednego ani drugiego nigdy w życiu nie miałem; braknie mi wiele, a nadewszysko braknie mi przyjaźni; ostatnia próba, *Michał*, odstręczył mię od niej na zawsze, a co dziwniejsza, że zostawił mi w sercu jakieś przywiązanie do siebie, którego nawet brakiem szacunku zatrzeć nie mogę.—Jaki on musi być nieszczęśliwy w swoim więzieniu? Tyle talentów, i tyle wspomnień skalanych! Czy rodzina wie o tem?

Jakże się Teofilowi powodzi z nabyciem Hawryszówki? Powinien tak postąpić, jak zamierzył. Niech będzie podporą naszą— a zato niech mu Bóg błogosławi we wszystkim. O gdybyście wiedzieli, jak tu ludzie są szczęśliwi, jak spokojni! Nędzy nigdzie nie widać, nigdzie uciemnienia, wszyscy w pokoju spożywają kawałek chleba. Plakać powinniście, myśląc o tém.

Jest tu teraz w Genewie Regner—ten sam, który był guwernerem przy Ogińskim młodym. Samo imie jego przypomniało mi wiele rzeczy—tyle razy słyszałem je powtarzane w mojem dzieciństwie]. Z nikim tu nie żyję, nie mam siły poszukiwać zabaw—bo mi trzeba szczęścia]. Prawdziwie gotów bym, jak żydzi, co sobota zapalać mnóstwo świec i str[oić] pokój, czekając na zjawienie się szczęścia . . . Zdaje mi się zawsze, że musi kiedyś nadejść.

Pani Pattey i Panna Eglantyna ciągle mi dają dowody swojej przyjaźni—jestem z niemi, jak z krewnemi—największa delikatność pokazuje się w ich postępowaniu ze mną. Z tego wszystkiego wnosię, że Bóg dotąd mną się opiekuje, i dzięki mu za to składam, ale nie codziennie; wtenczas tylko, kiedy do łez jestem wzruszony—czy to przez nadszpodziewane szczęście, czy przez spodziewane oddawna nieszczęścia . . . O moi mili, uspokójcie mnie—każda pewność znośniejszą mi będzie od tego stanu, w jakim teraz zostaje.

Zbliża się wiosna, znów mnóstwo nowych figur podróżujących przesunie się przez nasz dóm. Wszystkie te chwilowe znajomości podobne są do widm we śnie widzianych—zaledwo myśl zatrzymuje pamięć ich rysów. A ja zaś dla nich muszę być podobny do kamiennego słupa na drodze, przy którym zatrzymują się, starają się wyczytać niezrozumiany często napis—ruszają w dalszą drogę.

Adieu, Matko droga! Całuję ciebie i was wszystkich po tysiąc razy.

Juliusz.

[Adres:]

Pour Messieurs

MMurs Hausner et Violland

Banquiers

à Brody (Gallicie Autrichienne).

Les priant de faire passer la présente à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 20 Fev. 1834 fco frontières.

Brody 7 März 1834. P. P. 24 Febr. 8 Mars.

Gen[ewa], 24 Marca 1834 r. n. s.

Kochana Mamo! List mój uprzedni pisałem w niepewności i niespokojny o was—wina to była tutejszych ludzi, którzy czekając na zgłoszenie się moje, znać mi nie dali—i tak miesiąc mię trzymali w zawieszeniu. Nazajurz po odebraniu daru twojego doszedł mię list drugi. Wystawcie sobie radość moją; zdawało mi się, że o kilka mil tylko od was jestem, że codzień piszemy do siebie, i takie omamienie było rozkoszne—jak rozkoszne, to wystawić sobie nie możecie. Pierwszy list—rozpacający—napenił mię także rozpaczą... Prawdziwie chyba głową bić o mury—tak trudno żyć, tak niepodobne do przewyciężenia trudności w życiu... O gdybyś Mama, tak jak mówisz, mogła się zabrać ze wszystkim, to żylibyśmy gdzie spokojni—w jakim taniem miasteczku Szwajcaryi—spokojni o siebie—i o przyszłość. Mówisz, Mamo, że mię nie chcesz pozbawiać swobody. Czyż ty mię zawsze, Mamo, bierzesz za owe marzące i kapryśne dziecko, które ciebie tyle razy udręczało? Dawniej—byłem jak mały ptaszek niespokojny w gnieździe—chciało mi się spróbować skrzydeł—dziś przeleciałem wiele drogi—i prawdziwie, że jestem znużony.

Czwarte dziecko moje wyszło na świat. Nie wiem jeszcze nic o zdaniach—ani go wam posłać mogę, a to dla wydarzeń, jakie tu zaszły, do których się nie mięszałem, a które zwracają uwagę na to, co z tej ziemi wychodzi. O Mamo, wierz, że najszcześniejsza chwila dla mnie była ta, gdyś pierwsze moje książki otrzymała—teraz tylko rozwaga hamuje mię.

Ponieważ o wszystkich moich czynnościach donosić ci zamierzylem, otóż donoszę ci, Mamo, że teraz zajęty jestem pisaniem nowej tragedyi—o Wallasie, Szkoockim rycerzu... Wiesz co mię do niej przywiodło... Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą. Przypomniało mi się, że kiedyś w dzieciństwie, kiedyś mię Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz Wallassa żyćie.“ Samo imie Wallas uderzyło magnetycznie na moją imagina-

---

[Przekreślono: ważne]

cyą... Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy, która wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potem czytałem romans: *Les Chefs Ecossais*. Mama wtenczas grała na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle... Teraz w różnych Historych poznałem się z rzeczywistym Wallassem. Już w tragedji nie romansowie, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka, ale układając tragedję—i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika, i idę do fortepianu i gram tego samego walca—aby koloryt wspomnień smutkiem napelił moje karty. Tragedję tę poświęcę pamięci Jasia—napisz o tem, Mamo, kochanemu Teofilowi. Zobaczycie, że będzie, jeżeli nie dobra, to przynajmniej niepospolita.

Otóż widzisz, Mamo, że ja zawsze taki sam—ciągle układam kamyki na własny grobowiec—a życie puszczam mimo siebie. Wszystkie przyjemności życia mijają mię—i obchodzą kołem, mówiąc: nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości grobowej marzy. O Mamo! ale ja jestem szczęśliwy—tak jak jestem—i czasem nie mogę zrozumieć, jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą—zdaje mi się, że chléb, który spożywają, musi pachnąć nicością. Piszę i chodzę po ogrodzie i tak całe długie dni mi upływają. Śliczny czas mamy—słońce—listki na drzewach pokazują się—a murawa już okryta białymi kwiatkami wiosny. Sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą—i zdaje mi się, że czuję ją do głębi jej duszy.

Ostatnich tych dni mieliśmy wielki wieczór w domu, salony dwa otwarte—oświetlone—napelnione kwiatami—piękny przedstawiały obraz. Było wiele dam, i trzech moich ziomków—młode chłopcy zgrabnie się wydają przy ciężkich tutejszych tancerzach. Szal mazarcka opanował wszystkich, wszyscy się uczą mazarcka, i wszyscy prawie już tańczą, ale niektórzy dosyć śmiesznie się wydają. Bawiliśmy się do dwunastej, bo jest prawo zabraniające dłuższych nad północ zabaw. Dziwne prawo, które pokazuje, jak tu jeszcze patryarchalne życie. Weselne tylko gody mogą się dłużej w noc przeciągnąć—inaczej za przestąpienie prawa trzeba pięniężną dosyć znaczną karę płacić. Matko moja! mam ci wielką wdzięczność,



żeś czuwała nad mojem światowem łożeniem, że nie tańczę jak niedźwiedź, że mogę zagrać tańczącym na fortepianie. Ach! za wszystko, Mamo droga, mam tobie wdzięczność. Dotąd wszystko mam od ciebie tylko, a nie od ludzi. Dotąd jeszcze w rzeczach najpotrzebniejszych widzę twoją rękę—dotąd chodziłem w koszulach, które miałem od ciebie, i dopióro teraz, gdy się podarły, sprawiam sobie nowe za pośrednictwem Pani Pattey, która zna się na tym. Mała to rzecz, ale wiesz, Mamo, że mię smuci rozłączenie się z dawnymi mojemu koszulami. Wszystko, co otacza człowieka, odmienia się jak liście na drzewie; wkrótce oprócz kilku książek nie będę miał z kraju, nic dawnego przy mnie nie zostanie—a jeszcze za jakich lat kilka nie oprócz kilku książek nie zostanie po mnie.

Teofil prosi mię, abym kiedyś pamiętał o synie Jasia, jeżeli pomocy mojej potrzebować będzie;<sup>1</sup> bądźcie pewni, że nigdy nie zapomnę o tym świętym długu, który rodzina nasza względem Stasia sieroty zaciągnęła, i jeżeli będę w stanie, to roję sobie często—że Stasia małego wezmę do siebie, dam mu wychowanie pozbawione wszelkich przesądów i obrębów—aby kiedyś mógł być chwałą kraju... Z jakąż rozkoszą—miałbym go przy sobie. Zdaje się, że wkrótce przywiązanie do tego dziecka napęłniłoby serce moje. Często rozmyślam, jakbym w jego głowie wiązał nauki w jedną budowę—nie tak jak one u nas pomieszane kładą w głowę przepelnioną dziecka.

Mamo kochana! Oto u nas w niedzielę wielkanoc—u nas święto największe pamiętek, tu w protestanckiej ziemi ledwo uważane. Otóż mam do ciebie prośbę, Mamo! prośbę dosyć śmieszna—oto, abyś mi przysłała przepis *bab* naszych, ale przepis bab prawdziwych, z szafranem i bez szafranu, z opisem, jak ma być piec gorący, kiedy je kłaść do pieca i t. p. Mają tu doskonale cukierki i ciasta, ale ja zawsze o babach gadam, tak jak niegdyś Jan Śniadecki (S. B.) o paryskich brzoskwiniach—więc się babom zachciało widzieć baby, wiedzą albowiem, że te ciasto żeńskiej płci nosi nazwisko.

Byłem temi czasy na wieczorze u Pani Wodzyńskiej, o której

---

<sup>1</sup> [Przekreślono: ch]

już podobno raz wam pisałem. Ta chciała koniecznie na stole swoim mieć babę, ale jej zrobić nie umiano. Kossielski, kiedy tu był, wyćwiczony w kulinaryjnej sztuce, uczył pasztetników tutejszych różne ciasta robić—dotąd go kuchci z uwielbieniem wspominają. Jadłem w lecie melszpais, który on robić nauczył—a jeżeli sława przyjemna, to niech wie, że jedno ciasto nazywają u Warasza, pierwszego pasztetnika, *Le baba de Kossielski*. Żaden wieczór u Panny Eglant[yn] nie obejdzie się bez tego *baba de Ko*.

Panna Eglantyna i jej matka kazały mi tysiąc i tysiąc miłych rzeczy powiedzieć tobie, Mamo. Prawdziwie, że szczerze interesują się twojem zdrowiem i powodzeniem. Co do mnie, ledwo nie powiem, że już musiały prosić Boga, abym ja zachorował, a to, aby mi dać dowody swojej troskliwości i przywiązania, które w innych okolicznościach nie w wielu miejscach na scenę wystąpić mogą z równym blaskiem. Ale ja żartuję—a oni szczerze mię kochają.

Byłem tego miesiąca kilka razy na teatrze. Dziwię się, że mię teatr teraz nie hawi. Chciałbym usłyszeć na nim ludzi mówiących po polsku—zdaje się, że rozmowy innym językiem prowadzone nie interesują mię—a potym, tragedyi tu nie grają, opery tylko i wodwille. Pierwsze źle dosyć mi się wydają po paryskich, i aktorki trudnem przełamywaniem trudności dręczą zawieszoną uwagę. Co do drugich, to jest wodwilów, uważam je za najgłupsze wynalezienie Francuzów—ani w nich sensu, ani wesołości, ani muzyki dobrej niema—wolę proste i szczeré farsy, takie jak nasze *Damy i huzary*.

Wiesz, Mamo, że we Francyi jest teraz nowa autorka, która wkrótce panią Staël zaćmi—jest to rodzaj Byrona w spodnicy, to jest Byrona w prozie. Niewiadomo dotychczas z pewnością, jak się nazywa, bo się ukrywa pod męskim imieniem Georges Sand—ale pewnie jest kobietą. Niektóre dzienniki pisały, że się nazywa Pani Dudevant. Napisała trzy romanse prześlizczne: *Indiana*, drugi *Valentine* i teraz rzeci *Lélia*. Pierwsze dwa prześlizczne, ostatni dziwny—i bardziej do poematu niż do romansu podobny.—Otóż to jest literacka wiadomość, która damy powinna interessować.—Staraj się, Mamo, przeczytać który z jej romansów, a mianowicie który z dwu pierwszych.

Donieś mi nieco, Mamo kochana, o osobach znanych mi

w szkolnym czasie mojego życia. Fortunata uściskaj ode mnie i powiedz, że dotąd wspominam nasze niegdyś rozmowy. Teofilów w liście pisanym do nich pozdrów, Mamo—niech cierpliwie znoszą dolegliwości tego świata... Adieu, droga! najukochańsza Matko moja—niechaj wiosna owieje ciebie miłym powiewem zdrowia—niechaj topola botanicznego ogrodu szemrze listkami, kiedy spocznieś na wzgórzu, gdzieśmy razem siadali... O jakże to być [musi]<sup>1</sup> smutnie, patrzeć z góry na te miasto—ciche i nieszczęśliwe...

Całuję ciebie, droga—najdroższa. Włosy twoje i babuni chowam święcie i wdzięczny ci jestem, Matko droga, za ich przysłanie. Adieu.

Juliusz.

[Adres:]

Pour lès Messieurs  
Messieurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie, en Autriche).

Les priant de faire parvenir la présente à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 26 Mars 1834.

P. P. fco frontières Brody 10 April.

(33.)

Gen[e wa], 1834 r. 27 Kwiet.

Najukochańsza! Najdroższa!

Wiosna—dziś w nocy spadł deszcz wiosenny—wszystkie drzewa rozwinęły się—chodziłem po ogrodzie i piłem ustami pachnące powietrze. Czy to deszcz wiosenny—czy jakiś stróż anioł—przyniósł mi tej nocy sen o was. Śniło mi się, że byłem w dawnym dziadostwa mieszkaniu—przy tobie, Mamo droga—układaliśmy sobie rodzaj życia—ponieważ nie mogłaś mi dać osobnego pokoiku, postanowiłem być nająć mieszkanie blisko—w innym domu. Kiedym się do mego apartamentu wynosił, Mama mi powiedziałaś, że mi przyszesz służącą—nie służącego. Długo we śnie zastanawiałem się i ciekawy byłem, czy mi też Mama ładną przyszesz dziewczynę—i nie

<sup>1</sup> [Wyraz w autografie opuszczony.]

wiem jak się skończyło. Dzięki temu snowi, że mi wasze twarze pokazał—chciałbym być, obudziwszy się, znaleźć ten sen odmalowany na firankach łóżka—i schować—a przynajmniej drugi raz obaczyć. A propos firanek—wiedźcie, że wszędzie tu i w innych stronach spią pod firankami ludzie—i dziwią się, jak my barbarzyńcy inaczej spać możemy. Zrazu firanki były mi obojętne—teraz przyzwyczajłem się do nich—lubię—i kiedyś, wróciwszy starym kawalerem, będę miał łożę z firankami i fontaziami, jak niegdyś Jan Astronom.

Chciałem téj wiosny pojechać do Clarens—i w miejscu gdzie Heloiza żyła, przeżyć kilka miesięcy—zwłaszcza, że byłoby to dobre na moją kieszeń—w Clarens bowiem trzeba mieszkać u wieśniaków, więc można mieszkać tanio. Nieszczęśliwe polityczne wypadki, do których się bynajmniej nie mieszałem, nie pozwalają mi ani w prawo ani w lewo. Miejsce, gdzie teraz jestem, mogę w pewnym względzie za rozległe uważać więzienie. Nie pojmiecie tego, jak nam źle, jak nigdzie przytulku niéma. Spiewajmy—ja więc spiewam, mój śpiew ostatni jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jednym z pism po francusku wydawanych czytałem o nim zdanie i rozbiór pochlebne, o tyle, ile przeciwna partija ganić nie może— a ta przeciwna mi partija są nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam—od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem.—Wielu jednakże w Paryżu przypisują pieśń moją Adamowi—oto wyjątek z listu do mnie pisanego: „byłem przytomny, jak Ogiński attakował Adama i kiedy ten się wypierał, że nie jest autorem dzieła i że nie wie o niczem, Og[liński] rzekł: to przynajmniej wiemy, że Pan chce to mieć tajemnicą.“ W drugim liście pisze mi jeden ze znajomych: „Z Memla, dokąd exemplarze posłałem, piszą mi o K[ordjanie] z wielkim uniesieniem i biorą to za pracę Adama.“ Z tych dwóch doniesień widać, że w wielu miejscach bezimiennie wydaną moją pracę przypisują innemu—znając uprzedzenie naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka. Ach, kiedyż będę wiedział wasze zdanie!

Prawdziwą rozkoszą dla mnie są oba Kochanowscy. Codziennie odczytuję ich dzieła. Jak ten Jan K[ochanowski] był spokojny i szczęśliwy w swojej chacie—z żoną, z dziećmi. Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać—i do tej lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroszczę jego chaty—

lipy—żony—dzieci—i czasów szczęśliwych, w których żył... Ja teraz zmierzam do spokojności—i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego, abym w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył. Dotąd już tyle w nauce tej postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniętą przez godność natury człowieka. Zawsza widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności—próżno się o zewnętrzną starają.

Moja gospodyni, którą miałem za dosyć szczęśliwą, Pani Pattey, ma tysiąc nieprzyjemności, i nawet proces miała tej zimy z właścicielem domu, w którym mieszka. Proces ten, przez wielkiego łajdaka wytoczony—i bez żadnej słuszności—wygrała Pani Pattey, ale zdrowie jej pogorszyło się znacznie skutkiem ciągłych frasunków.—Dobra to bardzo kobieta. Kilka słów Mamy przyjęła z niejakimś obruszeniem, ale tylko z tej przyczyny, że smutno jej było, żeś ją Mama z moich listów lepiej nie poznała—i żeś sądziła potrzebnem prosić ją o przychyłność dla mnie. Zawsze jednak twój listek był jej miłym. Możesz, Mamó kochana, odtąd nie do mnie, ale do niej pisywać—to jest początek, zapisanie do niej odsyłać. Będzie mi to bardzo miło—bo imię moje trudne do wyczytania, i niepewne.

Żadnych tu prawie od was nie mamy wiadomości. Niedawnemi X  
czasami w jednej z gazet czytałem, że Kukolnik, Paweł zapewne, wystawił na teatrze stolicy swoją tragedią, i że ją z oklaskami przyjęto... Zapewne to nie ta sama, którą mi niegdyś z takim zapalem, skacząc po pokoju, opowiadał. Widzicie więc, że nie poznaliśmy się na wielkim poecie—a dalibóg, może on i miał talent... To naucza, aby nigdy z uprzedzeniem nie potępiać.

Moje życie tutaj zawsze jednostajne i spokojne—cały tydzień jest niedzielą. Lecz jeżeli nie mam przymuszonych zatrudnień, to mam dobrowolne, i nie nudzę się nigdy... Czasem w dzień dzdzy-sty wyjmuję z szuflady dawne moje korespondencye—a małe różne świstki papieru wiele mi przypominają. Żałuję zawsze listków Olesi, które zostały w moim tlómoku, w którym była szkatuleczka Pawła... Między innymi lży wyciskającami relikwiami chowam małą książeczkę Ludwika Szpitznagla, pełną dziecinnych rysunków i wierszy. W sztambuchu moim dziecinnym mam was wszystkich—połowa napisów w tym sztambuchu już do umarłych należy—jak wcześniej... X

Kochana Mamo! jak mi smutno, że nie mogę sobie wystawić twojego nowego pomieszkania. Nie wiem nawet, na której leży ulicy—czy tam, gdzie Beaupré mieszkał za mego pobytu w Krzemieńcu? Czy z okien twoich widać zawsze górę zamkową—ową górę, do której nieraz przystosowywałem owe zdanie Sienkiewicza, że *ściga ludzi jak summienie*. Powiedział on to o górze Mont Blanc—i prawdziwie powiedział, choć takie naciągane porównania są tylko wyskokiem dowcipu, ale nie mają w sobie nic pięknego . . . Górę Mont Blanc widzę co dnia z moich okien. Przez te kilka dni księżyc w pełni wschodził za tą górą. Nie możecie sobie wystawić, jak to smutno i pięknie, kiedy noc czarna, kiedy samotny w moim pokoju, otwieram okno, i czuję zapach wiosenny liści, i słyszę słowika w alei ogrodowej, a potem widzę zwolna wschodzący za górą księżyc. Uczucia, których wtenczas doznaję, w tych dwóch wyrazach można zamknąć—*Smutno i cicho*. Dziś księżyc wschodzi około 2. w nocy, więc go czekać nie będę. Lubię bardzo teraz kwiaty—i teraz bukiet żółtych pełnych fijołków i lewkonii mam przed sobą na trójnożnym stoliku, na którym piszę do ciebie, Mamo! O! jak my kiedyś będziemy z tobą sadzili kwiaty i drzewa, Matko moja. Po wygranej procesie ogród będzie należał do Pani Pattey—robiemy więc już projekta z Panną Eglantyną, aby się zająć sadzeniem i zbieraniem kwiatów. Będę chował nasiona—to kiedyś może w naszej ziemi zasieje.

Chcieliśmy tu bardzo o wielkiejnocy zrobić babę potężną—ale napróżno tłómaczyłem im sposób pieczenia bab naszych—napróżno rozkładałem całą mocą imaginacji części, z których się składa—nie śmieli się za moim sternikowstwem puszczać na morze doświadczeń—i baba dotąd w Szwajcaryi nie zakwitła . . . Przyszlizcie mi opis tych piramid egipsko-polskich, abym mógł je postawić na złość górze Mont Blanc—oko w oko z tą górą . . . Ludzi tutejszych tak góry znudziły, że na półmiskach zawsze kładą równiny placków. Zdaje się, że w charakterze każdego narodu takie są kontrasta. Uważaj to, Mamo, za głębokie psychologiczne postrzeżenie—jedno z tych, które zebrałem na wojażach, ku oświeceniu ludzi.

Piszesz mi, Mama, żeś smutno przepędziła karnawał. Ja także nie byłem na żadnym wieczorze—ale też zrozumieć nie mogę, aby się kto teraz bawił. Trzeba Bogu dziękować, ilekroć w łasce swojej

nie rozpacz, ale tylko smutek zsyła na nas... O, byleś ty, Mamo, była spokojna, zdrowa, to moje życie, wyznam, prawdziwą łaską Boga...

Droga Mamo, muszę w tym liście zostawić miejsce Pannie Eglantynie, bo chce koniecznie odpisać tobie na twoje słów kilka. Kocha cię ona bardzo—i nieraz mówi, że do ciebie pojedzie—i będzie ci się starała syna zastąpić, a przynajmniej ulżyć ci, mówiąc o twoim synie... Droga Mamo, całuję ciebie z całej duszy, z całego serca mego. Matko moja, ty nie wiesz, ile przez to oddalenie zebrało się w moim sercu łez i miłości dla ciebie—tak, że serce mi cięży—że chciałbym gwałtownie upaść na kolana u nóg twoich i płakać... Adieu.—

Chère et bonne Madame,

Nous étions presque fâchées contre votre Jules après la réception de votre billet, nous pensions que vous n'auriez pas été si tourmentée, s'il vous eut écrit, combien nous l'aimons et comme il peut compter sur nous; il le sait cependant, aussi maman et moi espérons que quoiqu'il arrive à l'avenir vous voudrez bien, chère Madame, penser que votre fils n'est pas abandonné ici et n'est pas entièrement misérable, il fait partie de notre famille et nous permet de le traiter comme un des membres, la seule chose qui ne soit pas en notre pouvoir est de lui donner de vos nouvelles aussi souvent qu'il en désirerait. Enfin il ne faut plus songer aux angoisses passées, votre cher Jules se porte bien, il est tranquille sur vous, Madame, puisse-t-il conserver longtemps cette sécurité; il est assez à plaindre d'être loin de son pays sans avoir encore à craindre pour les êtres chéris qu'il y a laissés.

Je voudrais bien vous donner une idée de la campagne que nous habitons et du jardin qui en fait partie. Vous pouriez vous y promener en pensée avec nous comme nous le faisons d'ici avec vous. Les nombreux sapins qui nous entourent rappellent à votre Jules sa chère patrie, nous en parlons ensemble, il fait des plans pour un meilleur avenir et vous êtes, chère Madame, le bon génie qui embellissez ses espérances et ses souhaits, car il vous aime bien tendrement.

Maman me charge d'être son interprète auprès de vous. Elle vous supplie d'être tranquille sur votre enfant; elle veillera sur lui comme sur les siens et malgré que nous ne soyons pas placées de manière à être pour lui des amis puissants, nous lui prodiguerons tout ce qui sera en notre pouvoir.

J'espère, Madame, si vous voyez quelquefois Mr. Joseph [Grocholski], veuillez, s'il est auprès de vous, lui faire nos amitiés; je serais bien tentée de l'accuser de paresse ou d'oubli envers nous, mais la difficulté de faire parvenir les lettres le retient peut-être, aussi je l'excuse tout en le priant de ne pas nous oublier. Veuillez recevoir, Madame, avec les salutations dévouées de maman l'assurance de mon respectueux attachement.

Eglantine.

[Adres:]

Pour Messieurs  
MMurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie, Autriche).

Pour remettre à Mme de Bécu.

Stempel pocztowy: Genève 1 Mai 1834.

P. P. fco frontières. Brody 15 May.

(34.)

Gen[ewa], d. 6. Czerwca 1834 r.

Najdroższa! Najukochańsza! Odebrałem dwa pisma—pierwsze napelnione wyciągiem z listu wieśniaczego Fortunata, który mi się wydawał prawdziwym fortunatem, skoro żyje tak spokojnie i cicho w małym glinianym domku; drugi twój list, Mamo droga, trzy razy łzami oblałem—rzewnymi łzami—po których doznałem jakiegoś uczucia, które mię przeniosło do dawnych lat dziecinnych. O! jak często zasypiałem wtenczas znużony płaczem—dziś smutek mój ma jakąś twarz i zimność brązową—i trzeba mi chyba tak mocnego wzruszenia, jakie na mnie twój list wywiera, abym odmłodził płaczem. Kiedym twój list, Matko droga, czytał, zdawało mi się, że chodzę z tobą po botanicznym ogrodzie—że widzę księżyc i słyszę głos twój—i słyszę imię Julka. Powtarzałem po kilkakroć do siebie imię moje własne, próbując, czy go twoim matczynym głosem nie wymówię. Mamo droga, jaki twój list piękny i smutny! Przechodziłem z tobą koło pustej furtki naszego dawnego mieszkania—patrzałem twojemi oczami na kościół pusty pojezuicki—i szukałem myślą osieroconej ławki babuni.... Mamo moja, co raz mocniej wierzę w przyszłe życie—bo cała rodzina nie może się tak rozejść po samotnych grobach, bez pożegnania, i bez nadziei zobaczenia się.

Jestem teraz samotniejszy niż kiedykolwiek. Panna Eglantyna wyjechała przed 5 dniami do Paryża, gdzie na nią jój wuj czeka—i dziwy paryskie jój chce pokazać... Odjazd jej bardzo mi smutny, bo ona szczerze do mnie przywiązana—jak siostra—i bardziej może niż siostra. Nie uwierzysz, Mamo, jak smutny mi był ranek jej wyjazdu. Miała odjechać o godzinie 4. z rana—przyrzekłem więc, że ją o trzeciej obudzę. Jakoż nie położyłem się spać i czytałem, leżąc



na kanapie do godziny 3. Srebrne jakieś światło porankowe oblało drzewa i murawy ogrodu—cicho przeszedłem przez pokoje—i stukaniem do jej drzwi obudziłem ją... Ty wiesz, Mamo, jaką posępną ma w sobie chwila odjazdu. Ubrała się—wyszliśmy z domu—przez rozwidniający się ogród. Wschód nieba cały złocił się bliskim słońcem—ptaszki śpiewały po drzewach—i zimno poranku napełniało jakimś dziwnym, elektrycznym drzeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórkach, na którym staliśmy, czekając pówozu. Z tego wzgórków widać było całe błękitne jezioro—za niem śnieżne góry, nad którymi wstawał ze snu biały Mont-Blanc... Eglantyna płakała jak dziecko. Ja byłem takim, jakim mię często Mama widziałaś... z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia—każda chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którym całe moje smutne życie widzę w zmieszanych kolorach... Zaszedł wreszcie powóz—wsiadła do niego—a ja zostałem sam jeden—jak słup na zielonej murawie—patrząc na ozłocone niebo... W kilka chwil potem weszło słońce—naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi—i wahały się, przelewały się, aż cały krąg słońca wyszedł na niebo... Smutno—smutno... O godzinie 5. wróciłem do siebie—pozamykałem okienice—i dziwnie posępnego wrażenia doznałem, widząc na kanapie rozrzucone książki, które chwilą pierwej czytałem i które porzuciłem w nieładzie, idąc zbudzić p. Eglantynę. Zdaje mi się, Mamo kochana, że ty pojdziesz, co było smutnego w tym powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin. Po wyjeździe Eglantyny—smutno mi bardzo. Ona miała nade mną jakąś panującą władzę siostry. Kiedy mię list jaki zasmucił—jaka wiadomość zła zgryzła—ona umiała z twarzy mojej wyczytać smutek—i zawsze się jej musiałem wypowiadać—a po spowiedzi lżej mi było.

Teraz po ostatnim twoim liście, Mamo droga, już od trzech dni jestem ponury. Ten list gryzie mi serce—i nikt się ze mną nie smuci, nikt mię o nic nie zapyta... Nie mogę sobie wybić z głowy tego pieska, który się przy twoich nogach, Mamo moja, kładzie i tuli się do ciebie... on zabiera miejsce syna twego... O mamo! gdybym kiedy mógł usiąść przy twoich stopach—i położyć czoło na twoich kolanach—i pomyśleć o tym świecie, który teraz przebiegam.

Wiele zamorskich figur przemija teraz koło mnie. Jaskółki

angielskie rozpoczęły swój przelot na południe, i teraz dwie damy i jeden Anglik mieszkają w domu Monthoux. Nie możecie sobie wystawić, jak ci wszyscy wojażerowie są głupi—jak wszystkim czegoś nie dostaje . . . Jeszcze nie widziałem w domu naszym do rzeczy człowieka, ani przyjemnej kobiety. Z żadnym nie można mieć rozmowy interessującej—wielu Anglików nie czytało Byrona, inni o nim jak przez sen gadają. Cóż dopióro zapytać się ich o europejskiej literaturze. Damy dwie, które są w naszym domu, prześliczne z twarzy—i z urody, ale już mię ich piękność gipsowa doskonale znudziła. Chciałbym, aby przez dzisiejszą noc zbrzydły, a nabrały dowcipu i przyjemności—ale one zapewne nie chciałyby takiej metamorfozy.

W Genewie od mojego pobytu przybyło dwa cuda—postawiono długi most przez jezioro—i wybudowano ogromny hotel, czyli dóm zajezdny przy moście. Hotel ten ma 140 pokojów i 40. służących—śliczne salony—i doskonałe obiady. Dwóch moich znajomych zaprosiło mię przed kilką dniami na obiad do tego hotelu. W jednym z salonów postrzegłem nowego rodzaju krzesła poręczowe, a ponieważ zawsze myśl moja o dalekim powrocie marzy, co tylko widzę nowego, myślę zaraz, że za powrotem u siebie taką nowość wprowadzę. Krzesła te z dwóch stron mają poręcze jak dwa boki trójkąta—tak, że siedzący grzbiet w trójkąt poręczowy wsuwa. Dwa takie krzesła przystawione do siebie stanowią małą berzerkę—kanapkę dla dwóch osób . . . Czyli, aby wam lepiej wytłomaczyć, kanapka, rozcięta na dwoje pośrodku, daje dwa takie poręczowe krzesła . . . Nic ładniej nie wygląda w salonie!—Most nowo wybudowany jest teraz modnym wieczornym spacerem tutejszych mieszkańców.

Do mojego regularnego życia przybyła jedna rozmaitość. O ćwierć mili od tutejszego miasta płynie rzeka Arwa. Woda jej z roztopionych śniegów—niesie z sobą cząstki mineralne gór—i jest nadzwyczaj zimna. Z różnych stron przyjeżdżają tu ludzie osłabionych nerwów, aby się w tej rzece branemi kąpielami wzmocnić—więc i ja od dni sześciu chodzę do tej rzeki—a w wodzie Arwy nie można siedzieć długo—trzeba tylko skoczyć, zanurzyć się i wybiec. Są ładne lazienki, w których abonując się, płacę 5 fr. na miesiąc . . . od sześciu dni kąpiąc się, czuję już bardzo znaczną

odmianę w sobie. Mówią mi ludzie, że jak się w tej rzece pokąpie, to moje spliny ode mnie uciekną—i będę wesoly. Jeżeliby tak było, to prawdziwie Arwa musi być Letejską wodą... Cożkolwiek bądź, będę chodził codnia do Arwy. O godzinie 2. w południe jestem w łaźniach—rozbieram się—i leżąc na ławce, czytam przyniesioną z sobą książkę, aż póki nie ochłodzę się—potem po trzykroć skacząc do wody—i rzeski powracam do domu na obiad.—O tej samej godzinie niegdyś kąpałem się w Elbie pod Dreznem—i pamiętam, że mi te kąpiele nadzwyczaj wiele dobrego zrządziły. Widzisz więc, Mamo, że musi mi być znośne życie, kiedy o zdrowiu swoim nie zapominaam. Prawdziwie, że Bóg czuwa nade mną—i od wyjazdu mego od was odwraca ode mnie wszystkie choroby—oprócz bólu zębów, który czasem dręczy mię—nie tak jednak, aby go wytrzymać nie można było.

Co do moich brzęczących interessów, przyznam ci się, kochana Mamo, że mi dosyć źle idzie. Do druku nowych dwóch książek musiałem coś ze swojej kieszeni dopłacić—a ci, którzy je wyprzedają, tacy są hołszy, że mi przychody moje kręcą—i długo zatajają. Dzięki ci więc, Matko, za obietnicę twoją przysłania mi pomocy... musiałem teraz sprawić sobie koszulę i inne części bielizny... Wierz mi, Mamo droga, że się oszczędzam ile mogę, ale tutejszy frank, to tyle prawie co wasz złoty—a nie można nam tańszego wybierać kraju. Jakoś to będzie, droga Matko moja. Tyle tutaj biedaków, że aż smutno pomyśleć... Wielu wypędzono do Anglii i tam prawdziwie, że] głodu doznają—co drugi dzień tylko obiad jedzą—i jaki obiad!!! Kiedyś może [Bóg] zlituje się nad nami. Niech wasze dzieci proszą o to w pacierzach.—Czekam z niecierpliwością] tej chwili, w której Mama poznasz moje ostatnie dzieci. Nie wiem, czy prędko nowe urodzę, bo teraz nie ma jak ich w świat puszczać... Wszystko zamknięte.

Przepis twój na baby odebrałem—i już przetłómaczony na francuski język. Pani Pattey ma go wkrótce spróbować—ale wątpię, aby się jej udał, bo pamiętam, jakich trosk doznawałaś, piekąc baby wielkanocne, z jakim drzeniem odmykaliście piec, w którym się rumieniły.

Nie wiem, gdzie się teraz obraca Odyniec. Musiał wrócić, bo nic o nim nie słyhać, ani o moich 50 exemplarzach.

Wiecie zapewne, że stary wielki człowiek [Lafaiet (S. B.)], któremu niegdyś ofiarowałem patynę [medal (S. B.)], umarł. Ogromne to zdarzenie—i smutne dla nas. Fortunatowi kłaniaj się, Mamo. Przeczulem, że go znudzi gospodarstwo. Podobny jest on do Renego Chateaubriana. Niech się tym pociesza, że jest człowiekiem wieku. Nuda i zniechęcenie są dwoma głównymi charakterami ludzi teraźniejszych. Bo też nienawidzę z drugiej strony tych ludzi, którzy mówią: niech będzie tak jak jest. Jest to chrześcijańskie bluźnierstwo—Chińczyków prawidło.

Mamo droga, czy posadziliście śliwkę na grobie Babuni? \* Prawdziwie, że jej by potrzeba posadzić sad cały, aby jeszcze po śmierci była dobroczynną... Teofilów uściskaj, Mamo, w listach ode mnie. Smutno mi, że nie znam miasta, w którym żyją i nawet sobie wystawić nie mogę. Dziadunia rączki z uszanowaniem całuję. A ty, Matko droga—ciebie po tysiąc razy ściskam—całuję. Cierpię z tobą. Myślę o tobie—zawsze! zawsze! i będę twoim—jedynie twoim—póki będę żył na tej nędznej ziemi—a potem! Będziemy spoczywali w Bogu. Adieu, droga moja!

Twój *Julo*.

[Adres:]

Pour Messieurs  
MMurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autrichienne).

Pour remettre à Madame de Bécu.

Stempel pocztowy: Genève 7 Juin 1834.

P. P. fco frontières. Brody 21 Jun.

(35.)

*D. 13 Lipca 1834 r. Genew [a].*

Najukochańsza Matko moja!

Znów nowy miesiąc upłynął—spokojnie—bez najmniejszych wydarzeń. Żyję jak kwiat na jedném miejscu—tą samą rosą—i tem

\* Przechodząc około cmentarza ślicznie położonego pomiędzy górami krzemienieckimi, gdzie lud na grobach swoich rodzin zasadzał drzewa fruktowe, a najwięcej śliwki najłatwiej się krzewiące, mówiła [babunia] do starego sługi: „Pamiętaj, Ambroży, posadzić i na moim grobie śliwkę“. (S. B.)

Samem słońcem—dzisiaj jak wczoraj—jutro jak dzisiaj. Jednostajność tę przerywa czasem smutna myśl o tobie, Mamo moja, czasem gorące zachcenie obaczenia ciebie—czasem mimowolne drzenie, przeczucie jakby nieszczęścia. Ile razy zdołam odpędzić od siebie te natrętne trzy mary, wtenczas spokojny jestem i z zamkniętymi oczyma pozwalam płynąć czasowi. Nie mogę jednak zataić przed sobą samym, że mi jest dosyć znośnie na tym świecie. Uskarżanie się na mój los byłoby ciężkim bluźnierstwem; ale też z drugiej strony przyznać trzeba, że tak się teraz ograniczyłem w moich żądaniach, że żadne błyszczące marzenia nie śmieją kłócić mojej spokojności. Inaczej to było, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Pamiętam, że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia—bogactw i sławy obrazy. Niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojej bujającej myśli. Żal mi teraz nieraz, że ta władza marzeń zagasła we mnie. Jedyna myśl mię pociesza teraz w życiu—oto zdaje mi się, że jestem tym czym być powinienem—zdaje mi się, że nie minął mojego powołania—że wypełniam sobą jedną małą kratkę na świecie. Tak nienawidzę czczo żyjących ludzi, że gdybym dziś w sobie odkrył szczególną skłonność do robienia butów lub zegarków, jutro przystałbym do szewca lub zegarmistrza na naukę.

Słyszę zegar bijący głośno jedynastą w nocy godzinę. Nie uwierzysz, Mamo, jak coś dziwnego jest w głosie tutejszych zegarów. Niektóre dzwonią zwolna i ponuro—inne wybijają coś nakształt uciętego kuranta—ulubioną zapewne piosnkę jakiegoś zegarmistrza, który przed stu laty ją spiewał, i potem spiew swój wszczepił w starą wieżę kościelną. Więc dziś zegarmistrz w grobie spoczywa, a wieża powtarza co godzinę jego ulubioną piosnkę... Ludzie, którzy się tutaj urodzili, muszą być smutni, ile razy oddalą się tak daleko, że już tej pieśni nie słyhać... Takie same wrażenie sprawia na was dzwonek szkolny, rozbity [krzemieniecki (S. B.)]—niestety, dzwonek ten ogłuchł... głos i śmiechy żaków grających w piłkę nie rozlegają się więcej po pustej galerii waszego kościoła. Widzę stąd umarłą twarz waszej miłośnicy i z większym smutkiem patrzyłbym na nią dzisiaj, niż na marmurową i umarłą Wenecyą.

Panna Eglantyna po 5-tygodniowym pobycie w Paryżu wróciła nakoniec do nas. Podczas swego wojażu pisywała mi czasem długie

i miłe listy, które mi trochę jednostajność życia urozmaicały. Przy najmniej w godzinę nadejścia poczty oczekiwałem czegoś, gniewałem się, kiedy postylion z pustemi rękoma przeszedł koło domu—i znów nadzieję obracałem na jutro. Nie myśl, Mamo kochana, aby te listy przynosiły mi nadzwyczajne szczęście—oczekiwałem każdego jak małej jakiej nowości. Karmię się teraz ułamkami czyli obłamkami uczuć i szczęścia.

Dziś właśnie tydzień, jak Panna Eglantyna powróciła do domu. Wyjeżdżałem na jej spotkanie o pół mili stąd, do wioski, w której mam znajome damy—żonę i ładną córkę Doktora Morin. Nie chciałem jednak oddać im wizyty—i kazałem powozikowi mojemu schować się do oberży—sam zaś usiadłszy na trawie, zapaliłem cygaro—i rozłożyłem dzieło Herschla—o *Fizyce, Chemii, Astronomii etc.* Niestety, ledwom zaczął czytać, los—czy bies—sprowadził w stronę, gdzie byłem, żonę i córkę doktora. Musiałem się różnemi sposobami wykręcać z zarzutu, dlaczego, będąc w ich wiosce, wolałem dzieło o fizyce niż ich towarzystwo—i nakoniec ze spuszczoną głową udałem się z niemi do domu. W drodze spostrzegłem żeńców zbierających zboże—to mi tak mój kraj przypomniało, że mi się łzy zakręciły w oczach; rzadko tu bowiem widać zbierających zboże—wszędzie winnice okrywają wzgorki, a pejzaże tracą na tym bardzo wiele. Nic nudniejszego dla wzroku jak winnice—całe jezioro genew[skie] zbrzydło obsadzone winnicami. Fasola nasza stokroć piękniejsza, bo na wyższych rośnie kijach i kwitnie czerwono—a któż z nas lubi pod oknami w ogrodzie fasolę? Widok żeńców przypomniał mi jakiś tłum obrazów—począwszy od Mickun do Wierszhówki... Żeńce, chociaż porządniej trochę ubrani, podobni byli naszym, toż samo mieli ujęcie, takież kapelusze słomiane. Ekonomia tylko strzegącego nie było, ani becзки z piwem ze dworu, ani dworskiego panicza na koniku. Wkrótce potem nadjechała Panna Eglantyna—i galopem odwiozłem ją do domu—matce. Paryż podobał się jęj bardzo—i nie dziw, bo tyle zadziwiających i pięknych rzeczy jest w Paryżu. Nie chciałbym jednak wrócić do tej stolicy—chyba gdybym miał 20.000 fr. na rok dochodu. Wolę moją cichą Gen[ewę] z błękitnym jeziorem—wolę moje mieszkanie w ogrodzie—wolę moje kąpiele codzienne w Arwie.

Pisałem ci już, Mamo kochana, że co dnia po południu idę się

kąpać do zimno-lodowej rzeczki, płynącej stąd o ćwierć mili. Kąpiele te znaczny już skutek wywarły na moje zdrowie—a nawet na mój humor. Spokojniejszy jestem i weselszy. Gdybym był zabo-  
bonny, powiedziałbym, że Arwa cudowną płynie wodą. Doktorowie tutejsi mówią, że woda Arwy ten sam wpływ ma na zdrowie co kąpiele morskie. Łazienka, w której się kąpię, stoi w małym ogródku, pełnym kwiatów. Często po kąpieli odpoczywam sobie w altance winną macią osłonionej. Malwy, moje ulubione kwiaty, zagląдают do altanki. To dziwnie, że ja tak lubię malwy, które nie mają zapachu. Sądziłoby z tego ludzie, że jestem zupełnie nie czuły. Mamo moja, kiedyś mały nasz domek—biały jak śnieg—z zielonemi okienicami, z czerwonym dachem—obsadzimy różnofarbnemi malwami. Ztyłu będzie rosło kilka jodeł i kilka brzoź drzących... i ścieżki wysypane będą żółtym piaskiem—i jaskółki będą nad gankiem się gnieździły—O, jakieby to szczęście było!

Panna Eglantyna przywiozła mi z Paryża ładny kryształowy kielich—moda tu jest bowiem, aby każdy miał przy stole swoją ulubioną i różniącą się od innych szklanekę. Ja wolę jednak ten kielich kwiatami napełniony trzymać w moim pokoju—bo lubię kwiaty tak jak ty, Mamo. Tak jak ty jeszcze powziąłem zwyczaj chodzenia długiego w kółko po pokoju. Śmieją się nieraz domowi, widząc mię krążącego jak gwiazdę około marmurowego stołu w salonie. Jedni myślą, że agitacyi używam dla zdrowia, inni, że wiersze składam i komponuję—a to jest tylko familijny mój nałóg. Tak chodząc, najczęściej nie myślę o niczym—dogadzam tylko niespokojności nerwów moich. Salonik naszego przyszłego domku, Mamo moja, obszernym dosyć być powinien, abyśmy oboje mogli krążyć i mijać się łatwo—ale wszakże nas życie nauczy dobrze ciągłego rozmijania się.

Mamo droga! co się z tobą dzieje? Od jakiegoś czasu sny mi nawet ciebie nie pokazują. Naprawdę, zasypiając, staram się, myśląc o tobie, sny takie przywołać.

Z wiadomości nic nowego oddawna nie zaszło. Świat idzie jak może—ziemia się obraca i nie dostaje zawrótu głowy—przeklęta...

Wkrótce będzie w naszej mieścinie wielki koncert narodowy, z kilku tysięcy osób złożony, a po koncercie różne zabawy na je-  
ziorze.

X  
Z wiadomości literackich to tylko słyhać, że Adam wydał poemata nowe pod tytułem *Pan Tadeusz*. Nie znam jeszcze tego dzieła, bo w kurs nie puszczono—wiem tylko, że *Pan Tadeusz* jest to szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811. a 1812. rokiem.

Donieś mi, Mamo, jeżeli co wiesz o Ed. Antonim Odyńcu, bo ja nic o nim nie wiem.

Do mojej polskiej biblioteki przybyła mi Biblia w naszym języku, którą często z rozkoszą czytam. Dzieła Kochanowskich są także dla mnie niewyczerpanym źródłem pociechy.—Na fortepianie gram prawie codzień, ale niestety bez nut . . . mam jednak dosyć łatwości w improwizowaniu—i fortepian mi uprzyjemnia wiele chwil szarej godziny. Anielki mieszkające u nas dosyć nudne zawsze, choć bardzo ładne. Z ich towarzystwa odnoszę tę korzyść, że codzień większą mam łatwość w tłumaczeniu się ich językiem. Myślę nieraz, że może kiedyś wróciwszy do was, kiedy mi zabraknie innych sposobów, będę mógł dawać lekcy angielskiego języka. Oby nigdy do tego nie przyszło . . . Droga, najukochańsza Matko moja, żegnam ciebie—jeszcze zapewne na długo . . . ale nie na zawsze. Mam jakąś tajemną nadzieję w głębi serca, że nie na zawsze. Panna Eglantyna chciałaby ciebie pozdrowić, ale chora po powrocie z Paryża, od kilku dni leży w łóżku. Prosiła mię, abym ci od niej, Mamo, tysiąc, tysiąc rzeczy przyjaznych napisał. O droga Mamo! całuję ciebie z duszy całej—Całuję ręce Dziada. Kochanym Teofilostwu zasyłam także wiele uścisków—ubolewam nad niemi—i kocham ich—ale co czuję dla ciebie, Mamo—ile przywiązania, ile smutku, to tego nigdy nie wyrażę, chyba milczeniem i łzami, jak się zobaczymy . . .

Twój Juliusz.

[Adres:]

Pour Messieurs  
Murs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie, Autriche).

Pour remettre à Mme de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 14 Juillet 1834.

Fco frontières. P. P. Brody 28 Jul. 834.

Kol. d. 17/29 Lip. 834 r.



Najdroższa Matko moja! List ten kilka dniami opóźnił się, a to z przyczyny mego wojażu po górach. Podróż ta była prawie nadepodziewana. Pani Wodzińska, bawiąca tu, wyjeżdżając z familiją, namówiła mię, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje przydały do mojej wypróżnionej kassy potrzebne pieniądze—i wzięwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem na statek parowy—i ruszyłem przez błękitne jezioro... Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów jak te, które przez dwadzieścia dni przemijały przed moimi oczyma... Nim przystąpię do opisanja podróży mojej, muszę, Matko droga, rzucić się do nóg twoich i podziękować ci za to, że wróciwszy do domu, zastałem od ciebie przyslaną mi spokojność. Niepewność o ciebie dręczyła mię podczas całej wędrówki—myśl o tobie nie odstępowała mię. Ileż razy chciałbym był trzymać ciebie za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami—

Zmiana ciągła miejsc sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnymi miejscami podobieństwa. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przede mną. Różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię jak wierne przyjaciele... różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich. Było mi i smutno i miło... Abyś mię sobie, mamó, dobrze wystawić mogła, muszę ci opisać mój fantastyczny ubior. Miałem płócienną *blouse*, haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką—do tego na grubej podeszwie trzewiki—i kij wyższy ode mnie, biały z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9. osób—Pani Wodzińska, dwie jej córki—panna Marjanna, młoda ale nieładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów—druga córka jeszcze dziecko... Przy pannach była guwernantka francuska, Panna Malet, trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech sy-

nów pani Wodz[ínskiej]—i jeszcze jeden młody żmudzin—i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne—owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmoniją. Najmłodszy z synów P. Wodzińskiej był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił . . . Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie z suchot umarłą kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa—ja zaś, chociaż nie straciłem z suchot kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa—nie zawsze jednak. Rano 31. Lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi—pożegnałem oczyma Paquis—i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora: Coppet, gdzie pani Stael mieszkała—potem Lausanne—za Lausanną Vevay—z drugiej zaś strony skały Meilleries, sławne skały, skąd kochanek Heloisy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon—i nakoniec wylądowaliśmy w końcu jeziora Villeneuve. Tam najęty powóz zawioził nas do Bex—miasteczka sławnego solną fabryką i minami. Nazajutrz rano zwiedzaliśmyminy solne—pół mili prawie szliśmy podziemnymi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w tej podziemnej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacją . . . Zwłaszcza prochem rozsadać skały—

Nie będzie ciebie, Mamo moja, interessował wojaż, wyszcze-gólniający tylko miejsce popasu i noclegu—opiszę ci więc tylko niektóre bardziej zajmujące miejsca . . . Trzeciego dnia naszej podróży wędrowaliśmy do klasztoru St. Bernarda.—Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały drogą przez Napoleona wykutą. Z obu stron ogromne góry—rzeka płynie przepaścią pod nogami—chaty nędzne—ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb ubogiego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków . . . Mamo moja, jak mi się ludzie wydawali mrówkami! O godzinie 5. wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów—potém między skałami w ciemném i mglistém powietrzu ukazał się klasztor . . . Ksiądz Gwardjan w czarnym habicie stał na ganku . . . pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty—za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarne, ołowianego koloru jezioro. Klasztor ten, gdyby był

przez mnichów zamieszkaną, byłby prawdziwie zachwycającym. Niestety ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz Gwardjan, świecki i światowy, uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nieźle by się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Spalimy w celach zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy—a siedzące towarzystwo około kominka śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok. W różnych pozycjach zmarli siedzą—leżą—jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni... okropny widok!... Mamo moja, stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny. Po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Ghemi. Trzy godziny iść na nią trzeba na mułach—a tak jest stercząca, że nie do góry, ale do muru gładkiego podobna. Droga w zig-zag wykuta ciągle wisi nad przepaścią. Kto na tę górę nie wszedł, to stojąc u jej stóp wierzyć nie może, aby wejść można było... Na zielonej równinie pod tą górą leży miasteczko sławne wodami Luèche... Żadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie—tych domów białych, które po niej są rozsypane—tej góry żółtego koloru—tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach. A ja—to wszystko—*widziałem*. I znów po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzie nigdzie śniegami pokrytych... i znów nic nie widać było, tylko skały—śnieg—czarne jezioro i niebo. Po zejściu z tej góry, na drugiej stronie znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę—jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty—i kaskady srebrne z gór spadające—i prześliczne szalety. O Matko! ileż razy w tych pięknych miejscach myślałem o tobie, ileż razy cisnął się do moich ust *refrain* Götego piosnki:

Czy znasz ten kraj? znasz go, o moja miła?  
Tam byłby raj — gdybyś ty ze mną była.

Po trudach pieszej podróży przyjemnie nam było sięść do łódki i przepływać jeziora Thoune—Brienz—do sławnej kaskady Giesbach. Patrząc na nią, przychodziła mi na myśl Zofijówka—a potem łańcuch myśli rozciągał się dalej—do Wierszchówki—byłem w Julinkach—i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu. Po

odwiedzeniu kaskady Giesbach, damy nasze zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Luzern—my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej wolności, poszliśmy pieszo przez góry. Tu dopióro wojaż nasz zachwycającemi nas zaczął karmić dolinami. Lauterbrun i Grindelwald nic podobnego nie mogą mieć w naturze... W Lauterbrun spada ze skał wysoka na 800 stóp kaskada Staubach—woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej—i leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały... Druga dolina Grindelwald jeszcze piękniejsza—bo do niej wpływają dwie rzeki lodów. Lody te aż do jej głębi dochodzą—i promienna ich białość ślicznie odbija pośród muraw, drzew i kwiatów... Nigdy mi się nic podobnego nie śniło. Tam widziałem z gór spadające awalansze. Huk podobny do piorunu rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór. Matko moja, wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko... że wstawaliśmy o wschodzie—że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów... Mamo moja, jakie by to były czarujące wspomnienia, gdybym kiedyś między wami mógł przypominać i o przeszłości marzyć!

Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróżnych. Oberza na tej górze jest najwyższém mieszkaniem w Europie. Wojażerowie, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci. Mróz nam dopiekał... ale też jaki widok... O zachodzie słońca mgły nas obwiała—i staliśmy na szczycie góry jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu. Słońce czerwone było od nas niżej na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia nim zaśzło... Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych—niktby w godzinę nie zliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca—ogniste. Nocowaliśmy w oberży—i z rana widzieliśmy wschód słońca—czysty—żadnej mgły—przepaście [...]—błyszczące jeziora—cała Szwajcaria pod nami—widna—jasna—i jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Righi. Na tę górę wchodzi wszyscy podróżni—widok z niej rozleglejszy, ale mniej piękny. Góry śniegowe w oddaleniu nie przerażają wielkością swoją rozumu a nawet imaginacyi człowieka. Można z niej patrzeć

na Szwajcarię bez przerażenia—a ja, patrząc o wschodzie słońca, mimowolnie płakałem—nie wiem dlaczego, ale mi żal było ludzi... Z góry Faulhorn przechodziliśmy znów do czarujących dolin Oberhassli. Byłem w Rosenlauen, prześliczne widziałem *glaciers*, byłem w lodowych gmachach—pod sklepieniami błękitnego kryształu. U nóg moich ogromne przepaście—i potok lody podrywał. Ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze.

Jak to smutno pomyśleć, że ty, Mamo, z tych krótkich opisów nie będziesz sobie mogła wystawić miejsc, gdzie twój syn był—gdzie myślał o tobie. Obrazy, które sobie twoja imaginacya utworzy, będą może piękne, ale nie będą temi samemi obrazami, które teraz ja widzę we wspomnieniach. Czyż ludzie nie wynajdą kiedy jakiego środka, któryby lepiej niż pismo i malarstwo wystawiał przedmioty! Dziwna i głupia myśl. Byłem po raz czwarty jeszcze na śniegach Grimsel—po raz czwarty nocowałem w zimnej oberży—przechodziłem śliczną drogę Świętego Gotarda... widziałem na niej sławny most diabła—Nakoniec po 9-dniowej podróży przybyliśmy do Luzern, gdzie na nas nasze damy od 7. dni czekały. A przybyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro *Czterech kantonów*. Byłem w kaplicy Will. Tella—łódka nasza zatrzymała się na skale, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnawszy. Kaplica ta, tylekroć rysowana, znajomą ci, Mamo, być musi... Wreszcie przez Bern wróciłem do domu. Zostałem dom pełny cudzoziemców—i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę... bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi—gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata—rozmowa ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie. Jedna Panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością. Stara jej matka także mię po macierzyńsku uścisnęła... więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że na mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia...

O Matko moja! Dziś dzień moich urodzin. Gospodynie moje pamiętają o nim—a ty, Matko, ty także musisz pamiętać, żeś ty kiedyś cierpiała tak mocno w ten dzień, dając życie twemu biednemu dziecku. Biedna Matko moja! dziękuję ci dziś ze łzami, żeś przez lat 25 czuwała nade mną, jak anioł stróż—Bóg ci jeszcze za to nie zapłacił—niczém... Ale, Matko moja, po 25. latach, dzi-

siaj mógłbym ci zrobić spowiedź ogólną życia mojego—i nie skalałem się żadną ciężką zmasą. Mogłabyś się może, Mamo, uśmiechnąć i pocałować mię w czoło . . . Błogosław mi, Mamo droga. Panna Eglantyna zajrzała do drzwi moich, wiedząc, że do ciebie piszę—i prosiła, abym od niej zasłał ci czule pozdrowienie. Ona się o tobie, Mamo, zawsze z najczulszą troskliwością dowiadyuje. Ona ciebie kocha, Mamo, i przyjmij tę miłość—wszakże mię tyle osób kochało niegdyś—dlatego, że ciebie kochały.

Napisz, kochana Mamo, Teofilom o mojej podróży. Teofil mi także najczęściej w zamyśleniach moich stawał w pamięci. Jakby on był szczęśliwy, gdyby zamiast nudnych rachunków, mógł liczyć wierszcholki śnieżne gór, albo leżące pod stopami jeziora. Często zdaje mi się, że kradnę przyjemności, które się całej mojej rodzinie należą—ale wierzcie mi, że chętniebym się niemi z wami podzielił . . . o! nawet oddałbym je wam wszystkie za jeden wasz uścisk. To dziwnie, Mamo moja, że ja, który widziałem tyle miejsc i krajów, który zebrałem w pamięci tyle obrazów świata, spać będę może kiedyś cicho na cmentarzu krzemienieckim—pod cieniem tej czerseńki, która ocieni grób Babuni . . . O gdyby tak było! . . .

Adieu, droga, najukochańsza Mamo . . . boję się dłużej pisać i nowe brać kartki, abym nie opóźnił bardziej i tak już opóźnionego listu. Ale z gór pisać nie mogłem, bo codnia byłem pieszą podróżą zmęczony, bo codnia około 6. lub 7. mil drogi robiłem, i to z góry na górę . . . Do tego dodajcie i to, że na górach nigdzie poczty niema, to uniewinnicie mnie . . . Całuję rączki kochanego Dziadunia—niech pomyśli o wnuku i spojrzy na Zamkową górę. Mamo, a ty przy księżycu wystaw sobie, że na waszych górach stoją inne góry ze śniegu—że na tych białych imaginacyjnych górach ja jestem—i że stamtąd patrzę na mały domek, który jest twoim mieszkaniem.

Adieu, Matko moja.

Twój Juliusz.

[Adres:]

Pour les Messieurs  
Messieurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autriche).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 23 Août 1834.

Fco frontières P. P. Brody 6 Sep. 834.

Najukochańsza Mamo moja! Wróciłem znów od miesiąca do cichego mojego życia. Jesień, ulubiona moja pora roku, zachwyca mnie bardziej teraz niż kiedykolwiek. Kąpię się w złotych promieniach słońca, chodzę po ogrodzie, słuchając z rozkoszą lekkiego szelestu spadających liści. Niedosyć jeszcze opadło—jeszcze nie wydają smutnego szumu pod moimi stopami. W tej ciszy usypiającej natury marzę często o twoich projektach ostatnich. Mamo droga, nie uwierzysz, ile mi zrobiły rozkoszy. O bogdajby je można kiedyś do skutku przyprowadzić! Wierz mi, Mamo droga, że gdybyś ty ze mną była, nie by do szczęścia mego nie brakowało—prócz zdrowia kuzynki\*—ale więcej miałbym cierpliwości czekać z tobą razem na polepszenie się jej zdrowia—a gdyby nawet ozdrowieć nie miała przed moją śmiercią, to przynajmniej my bylibyśmy dwoje wyjęci z zarazy, jaką jej choroba osobom przy niej będącym może udzielać. Mamo droga! myśląc o zdrowiu twojem, widzę, że ci najlepiej byłoby mieszkać w południowych Włoszech, ale ja nie mógłbym ci tam towarzyszyć. Tu, gdzie jestem, nadto drogie życie—tak, że oboje utrzymałbyśmy się nie mogli—chyba ciągle zarywając co z naszego kapitału—a jednak życie tutaj na pensyi najwygodniejsze by było dla nas. Płacąc 270 fr. na miesiąc, nie potrzebowalibyśmy myśleć o niczem—o nas by się troskano. Muszę się jeszcze o Nicei dowiedzieć—ale te wiadomości, jakie o niej zebrałem dotychczas, niebardzo są zachęcające. Ma być tam niezmiernie gorąco w lecie—tak, że prawie niepodobna wytrzymać. Zawsze jednak, kochana Mamo moja, potrzebowalibyśmy najmniej 4500 fr., aby się porządnie gdziekolwiek bądź utrzymać. Mniej zapewna potrzeba byłoby w Niemczech, ale tam nie dla mnie jest miejsce. Jeszcze gorszy dla mego zdrowia byłby klimat Kraka. Pewny jestem—i wielu mi mówiło—że tam choćbym największe ostrożności około mego zdrowia przedsiębrał, dłużej nad miesiąc nie mógłbym wytrzymać.—Tak więc się rzeczy mają—i często, kiedy o tem myślę, rozpacz mię porywa.

---

\* Ojczyzny. (S. B.)

X

Tego roku wcześniej niż kiedykolwiek goście z naszego domu rozjechali się. Zostałem sam z Włochem wojażerem i z mojami gospodyniami. Ten Włoch korzystnym jest dla mnie, bo gadam z nim często po włosku i wprawiam się. Tego lata było wiele wojażerów i z różnych narodów—z wszystkimi mniej więcej dobrze mogłem rozmawiać—i Anglicy, którzy z taką trudnością uczą się języków, uważali mnie za cudowne prawie zwierze. Nie uwierzycie, jak tu łatwo uchodzić za uczonego—albo za przyjemnego człowieka. Tutejsza młodzież tak jest ciężka, tak mało ma ressursów, że dosyć jest przez pół godziny prowadzić w towarzystwie rozmowę, aby dokazać tego, czego inni dokazać nie mogą. Nie tylko rozmową—pokazując nawet sztuki z kart, można zabawić towarzystwo, i potem rozchodzi się sława po mieście. Często przychodzi mi na myśl opis Renego w Chateaubriand, który powiada, że musiał się zmniejszać uczuciami—i zmaleć—ile razy chciał, aby ludzie z nim obcowali. Towarzystwa nasze tysiąc razy są przyjemniejsze—oświeceni nasi ziomkowie są daleko więcej oświeceni niż tutejsi.

Bardzo kontent jestem, że odbyłem podróż po górach tego roku. Obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci—imaginacya moja jak salon pałacowy ustrojona jest nowemi<sup>1</sup> malowidłami. Od powrotu mego do Genewy nie często widuję się z towarzyszami podróży. Pani Wodzińska zaprosiła nas raz na podwieczorek do swojej małej córeczki, za miasto. Tam ułożyliśmy, że kiedyś, jeżeli wszyscy razem będziemy w Warszawie, Pani W[odzińska] wyda bal kostiumowy, na który każdy z nas przywdzieje swój podróżny ubior, a nawet owe grube trzewiki, w których laził po skalach. Projekt ten bardzo mi się podoba. Jakie by to było smutne i zachwycające uczucie, po 10. lub 20. latach ubrać się tak, jak się człowiek ubierał młody, będąc na obcej ziemi—jak miłoby było powinszować sobie wtenczas przebytych bied—i młodym ludziom o przeszłości rozpowiadać... Starość musi mieć także wielkie przyjemności—jako pora roku jesienna. I ty, Mamo droga, przyjdiesz na ten bal kostiumowy i dasz mi czerwoną wstążkę do mego słomianego kapelusza, bo ta, którą nosiłem po górach, zblakowała od słońca i deszczu.

<sup>1</sup> [Przekreślono: obraz]



Przyjechał znów na zimę teatr do naszego miasteczka i rozpoczął widowiska. Mało to mię obchodzi, bo nie lubię złych komedyj i wodewilów. Oszczędność także każe mi jak najrzadziej bywać na teatrze. Włoch, z którym mieszkam, prawi mi cuda o włoskich operach—a kiedy słucham jego opowiadania, myślę o tobie, Mamo moja. We Włoszech teatr bardzo tani—najdroższe miejsca są 2 złote nasze, na innych teatrach 1 złoty tylko, to jest pół franka. Życie we Włoszech także nadzwyczaj tanie. Oswojony z cenami tutejszemi, nie mogę nawet pojąć tej różnicy—i zły jestem na los, który mię przykuł do drogiego i nudnego kraju, wtenczas kiedy gdzieś indziej mógłbym żyć taniej i przyjemniej. Mamo moja, chyba<sup>1</sup> głową mury tłuc—tak wszędzie opór wielki na tym świecie, taka ciasnota, jak gdyby ludzi było zanadto wiele. Niektórzy mówią mi, że ze znajomością kilku języków mógłbym korzystnie mieć miejsce w dyplomacyi kraju Inez de Castro. Ale ja do dyplomacyi nie stworzony—mało mam talentu do przewidywania politycznych wypadków. Wreszcie puszczając się do tak zamieszanego kraju, trzeba byłoby wiele pieniędzy—i może podróż napróżno bym odbył. Nakoniec krótkie to życie nie warte jest tylu zachodów.

Zapomniałem zapewne donieść ci, kochana Mamo, że przed miesiącem odebrałem był list od Odyńca przez jedną panią przejeżdżającą tu z Drezna. Dziecie, które miał, umarło, czyli też niez żywe urodziło się. Może też to i dobrze dla niego, bo nie wiele ma funduszów. List jego dosyć wesoly—zdaje się jednak, że mu niedługo w Dreźnie siedzieć dozwolą, a wtenczas zapewne powróci.

Adam w Paryżu wydał nowy poemat w dwóch tomach p. t. *Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Liwie w 1811. r. powieść szlachcka*. Nie czytałem jeszcze tego nowego utworu, bo mi go jeszcze nie przysłano. Cieszę się zawsze, ile razy nowego co wychodzi, bo dla literatury naszej nietylko trzeba, aby było dobre, ale też aby i wiele było—inaczej zawsze francuszczyzna będzie w modzie.

Piękna literatura francuska mało mię teraz obchodzi. Zjawila się we Francyi nowa Pani de Staël, którą ja przekładam nad dawniejszą. Nowa ta autorka kryje się pod nazwiskiem George Sand i pod tem imieniem wydała cztery romanse, z których dwa pierwsze

<sup>1</sup> [Przekreślono: murem]

są prawdziwie zachwycające. Staraj się, Mamo, dostać *Indiana* i drugi romans *Valentine* przez G. Sand, a przepędzisz kilka godzin rozkosznie. Ta nowa autorka nazywa się prawdziwie Pani Du Devant. O ile mogłem się o niej dowiedzieć, nie wiele zważa na opinią publiczną. Rzuciła męża i żyje z uczniem Uniwersytetu Paryskiego—ze studentem prawa. Dotąd jednak jakaś tajemnica ją okrywa, nikt jej nie zna osobiście, nikt nie może z pewnością wiedzieć, kto jest autorem tych zachwycających romansów.

Śmiałem się kiedyś z Jasia, kiedy go widziałem w Wierszchówce, siedzącego przy stoliku i ciągnącego kabały czyli *patience*. Otóż gdybym miał teraz siostrzeńca, śmiałby się mógł ze mnie, bo co wieczór—wyjawszy wtenczas, kiedy są goście—ciągnę *passians* w salonie, przy okrągłym stoliku. Skoro mój *patience* skonczę, Włoch drugi zaczyna—i tak cicho wieczór przychodzi aż do godziny 9, o której pijemy herbatę. Zdaje mi się, że Mama ciągniesz tę samą kabałę—jeżeli nie, to prawdziwie chciałbym cię, Mamo, nauczyć, abym mógł czasem pomyśleć sobie, że o tej samej godzinie, temi samymi sposobami staramy się dowiedzieć o naszej przyszłości. I tak: trzeba wziąć dwie talie kart—zmieszać. Potem trzeba zamysłu sobie rzecz jaką—wszak ci, Kochana Mamo, nie będzie brakowało pytań, które przyszłość ma spełnić, a których spełnienie kabała obiecać może. Potem kładzie się kart 9 jedna na drugiej—w miarę wychodzenia asów i królów. 4 asy kładną się po jednej stronie, 4 królowie odmienni po drugiej. Od królów karty zstępują, od asów kładą się karty coraz wstępujące, jako to: as, dwójka, trójka itd. król, dama, walet itd., zachowując zawsze kolory—słowem *pasians* ma taki kształt:

#### karty

as	♥	.	.	.	.	.	♥	król
"	♦	.	.	.	.	.	♣	"
"	♣	.	.	.	.	.	♦	"
"	♥	.	.	.	.	.	♥	"

itd.

Z wierszchu i z dołu wolne karty można brać tylko. Karta, która jest pomiędzy dwoma kartami na górze i na dole, nie może być

wziętą . . . Mama, która umiesz kilka pasiansów, z tego opisu może dojdiesz ładu. Jeżeli nie, to mi napisz, abym ciemne punkta wyjaśnił. Co też ty, kochana Mamo, pomyślisz sobie, czytając tę receptę kabaliczną . . . powiesz może, że m zdziecimiał—czyli, że jeszcze na człowieka nie wyszedł. Wiesz, Mamo, że wszystkie twoje projekta przeszły przez wyrocznię kabały.

*Dnia 30.* Obudziłem się dziś rano, aby ten list skończyć—i odebrałem wizytę syna Pani Wodzińskiej, który w imieniu swojej Matki zaprosił mię na wieczór. Na tym wieczorze mają się znajdować wszystkie damy polskie, znajdujące się w Gen[ewie]; jedna z nich jest nawet sławna nieszczęściami. Poznam więc je wszystkie. Jeżeli ich towarzystwo jest przyjemne, to rozszerzę koło moich znajomości—i przez tę zimę nie będę siedział jak wilk w morze. Ty mi, droga Mamo, zawsze słusznie wyrzucasz, że nie żyję z ludźmi. Czuję sam sprawiedliwość twoich wyrzutów i co zimy staram się poprawić—zaczynam wizyty—i znów odpadam w dawny grzech samotności. Widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzystkiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą—jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie. Szczęście to dla ludzi, że nie jestem niczym.

Kochana, droga Mamo! jeżeli będziesz pisać do Teofilów, napisz im o mnie—napisz, że ich zawsze kocham, a ich oddalenie czuję tu nawet, bo już nie mam tej przyjemności, jaką miałem dawniej, czytając ich przypiski listowe. Nie mogę sobie wystawić teraz waszej napół wyludnionej mieściny. Trawa musi rosnąć na ulicach—i zawiasy drzwi waszych muszą rdzawieć. Projekt twój względem małego Stasia bardzo dobry—koniecznie go trzeba wychować na człowieka pożytecznego, a zdaje mi się, że on nawet niepospolitym będzie człowiekiem. Nie uczcie go tylko czytać na bajkach Krasickiego, ale na starej biblii Wujka. Dziadunia mego rączki z uszanowaniem całuję—nie zapominam nigdy, że widziałem łzy w jego oczach, kiedym raz ostatni żegnał się z wami. Jakie to było pożegnanie! Droga, luba moja Mamo! całuję oczy twoje, jedno oko po drugim—pocałowanie tak dalekie, tak lekkie, że snu by cię nawet, Mamo, nie zbudziło . . . Adieu! Odebrałem 200 . . . Adieu—droga, miła Mamo moja . . . Fortunatowi, jeżeli kiedy zjedzie do was, powiedz, że często wspominam o nim, ale wspominam

sobie samemu. Beaupré niech także przyjmie moje pozdrowienie przyjacielskie. Bądź zdrowa i szczęśliwa, kochana Mamo moja.

Twój Jul.

[Adres:]

Pour les Messieurs  
Messieurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie, Autriche).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 1 8bre 1834.

Fco frontières. Brody 10 Oct.

(38.)

D. 7 Listop[ada] 1834 r. Gen[ewa].

Najukochańsza Mamo moja!

Oto znów nadchodzi dzień twoich imienin. Któryż to dzień od czasu mego z tobą rozłączenia się? Liczbę straciłem—smutno—smutno.—Czegoż ci będę życzyć, Mamo, w tym roku? Ach, gdybym mógł u Boga dla ciebie szczęście uprosić, tobym je i dla siebie samego uzyskał—bo nasze losy ściśle teraz powiązane. Ale tobie, Mamo, połączonej z Teofilami, przyjemniej upłynie ten dzień, niż gdybyś sama była. Nie uwierzysz, Mamo, jak powrót Teofilów ucieszył mię. Chciałbym was wszystkich miłych w jednym zgromadzić miejscu—w okolicy dobrze znajomej—a to dlatego, aby myśl moja łatwo was wszystkich znaleźć mogła—jak osoby chodzące po scenie w teatrze, który mi ciągle moje wspomnienia grają. A chciałbym widzieć—i aktorów i kulisy—inaczej illuzya nie jest doskonałą—bo też prawdziwie, że teraz myśląc o was, muszę was zgromadzać i łączyć i kłaść wam w usta słowa, jak osobom mojej imaginacyi—moje własne słowa, te słowa, które chciałbym od was słyszeć. Więc Teofil nie wróci więcej do tego wyszczerbionego miasta,\* o którym myśleć nie mogę bez wstrętu. O jakże mu zazdroszczę! Jeśli osiadzie na wsi, jeśli będzie sobie siać szerokie łąny, i sam będzie je zbierać, a żonie odda bławatki, bo Hersylka zawsze trochę senty-

\* Kijów. (S. B.)

mentalna być musi—a zatem niech zbiór wszystkich bławatków Teofil przeznaczy jej *na szpilki*—tak to się podobno nazywa u was każdy dar od kupca zakupującego zboże, dla żony sprzedającego przeznaczony.

Bredzę—bredzę, bredzę—bo nie mam o czym ważnym rozprawić. A propos—ostatni list zakończyłem, donosząc wam, że jestem zaproszony do Pani Wodzyńskiej na wieczor. Otoż na tym wieczorze naprzód zrobiono mi komplement taki (a bardzo ładne i różowe usta mówiły jak następuje): „Znaczno, że Pan z *Wołynia* wołyniak—wołynianin, bo po wołyńsku tancujesz mazurka.“ Nie chciałem Wołyniowi ujmować sławy, jaką z mego tancu odnosi i ukłoniwszy się, powiedziałem: „Ha prawda, że my wołyniacy, to dziarskie chłopcy...“ Trzeba widzieć moją teraz cienką postawę, aby sobie wystawić, jak mi te junackie słowa były do twarzy. Otoż potem siedziałem przy stole przy jednej grubej i świeżej matuli z dwóma różowemi córkami, która mię nagle zapytała o Mamę, pytając, czy jestem synem Mamy. Pani ta, jak mi powiedziała, знаła Mamę w Wilnie, a potem w Karlsbad u wód. Jest to P. Jezierska. Nie uwierzysz, Mamo, jak mi miło się zrobiło, razem słysząc Mamy imię, patrząc na kogoś co był kiedyś z tobą, co jeszcze może kiedyś będzie razem. Przez całą wieczernę nadskakiwałem jej i ciąglą prowadziłem rozmowę.

Otoż wytancowawszy się na tym wieczorze, wróciłem do domu i jak na nieszczęście, ponieważ to zwykła pora roku (jesień), w której mię napada poetyczna kanikuła, już od lat czterech bez wyjątku—ponieważ w tej porze rodzę zwykle, nazajutrz po wieczorze przyszła mi do głowy myśl jakaś. Myśl ta galopowała tak przez cztery godziny, że stała się długa na pięć łokciowych aktów. I niedziw, że galopowała, bo też myślałem o galopującym Mazepie. Jakoż we dni kilkanaście napisałem Tragedyą, na której płakałabyś Mama, jeśli nie po Mazepie, to po Julku. Mazepa ten jednak nie wygalopuje na świat tego roku, bo handel przecięty i z książkami źle idzie. Więc będę cierpliwy, poczekam rok jeden, czy się spusty bibliotekarskie nie otworzą... Tym czasem niech *Mazepa* leży w tece—a jeżeliby mię wicher jaki zmiotł z tego świata niż go wydam, to proszę was i zaklinam, abyście się o ten plód (w żywocie matki) u Pani Pattey dopomnieli i wydali kiedyś na świat. Nie za-

pomnijcie... Ale co ja bzdurzę o wichrach zmiatających ludzi ze świata, kiedym zdrów jak ryba—kiedy nawet krew, co mi nieco do głowy biła po napisaniu gwałtowno-krwawej tragedyi, Bóg łaskawy nie pijawkami, ale prosto krwotokiem z nosa sprowadził na dół—i nawet od lekkiego zapalenia takim prostym sposobem mię ochronił.

Co też się dzieje Fortunatowi, że tak melancholiczne listy pisze? co się jemu dzieje? Dlaczego żaluje szkła zielonego młodości, kiedy ma teraz koło siebie zielone łąki i drzewa? Nie piszę tego moim piórem, ale piórem świata, zwykłym gęsiowym piórem, które potępia wszystko, czego zrozumieć nie może. Co do mnie, pojmuję Fortunata. Gdybym sam osiadł na wsi, której tak pragnę, zrobiłbym się do niego podobnym—słowem, kilka jego słów tak mi go dobrze odmalowały, że czułem to co on czuje. Biada tym, którzy zasmakują w błędnym życiu na świecie i przywykną do nadziei znalezienia czegoś dobrego na końcu wędrówki. W oczekiwaniu takim wszystko terazniejsze niesmaczne. Z tego względu już się bardzo poprawilem—Pan *Dziś* lepszy od Hrabiego *Jutro*. Biada wielka, że mój ojciec, kiedy mi dał życie, zajęty był nadto swoją tragedją *Mindowe* i tobie, kochana Mamo, musiał nią głowę nabić. Bez tego nieszczęśliwego wydarzenia byłbym wcale do rzeczy człowiekiem—nie lunatykiem—nie pośmiertno-chodzącym. Przebacz mi, Mamo, te tworzenie wyrazów—są to drożdże, które po napisaniu tragedyi osiadły w mojej głowie. Czekalby, aby wyfermentowały i napisałbym potem list rozsądny, ale ten list, czekając na rozsądek leniwo nadchodzący, spóźniłby się może tygodniem, a stąd niespokojność. Wolę tak fatalaszkami szastać po papierze, aż póki nie wpadnę w ton smutniejszy—czego nie daj Boże, bo zaraz zejść do nieszczęśliwych interesów naszych.

Niedawno uczyniłem filozoficzną uwagę, że Bóg, tworząc człowieka, jeden tylko błąd popełnił—to jest ten, że człowiek bez jedzenia żyć nie może. O, gdyby nie to, jacyby ludzie byli podczeiwi, jak rzadko człowiek przedałby swoje sumnienie, swoją godność za misę soczewicy! Jedną by tylko miał wadę—leniwość—ale ja leniwość do grzechów śmiertelnych nie liczę. Najpiękniejszą religiją na świecie byłaby sekta bezjedzących.—Otóż z tych uwag filozoficznych przyjdziem do tego, że gdyby można za cokolwiek prze-

dać [kawaleczek]<sup>1</sup> chatki—i ćwierć karczy—to byłaby rzecz święta. Bo muszę ci, Mamo, uczynić wyznanie mojej kieszeni ustami. I tak, bardzo sobie wyrzucam podróż po górach—bardziej jeszcze mój pobyt w Genewie—bo prawdziwie, że tu dosyć nudno a niezmiernie drogo—prawie tak jak w Anglii. Teraz już z Genewy wyjechać nie mogę, bo jak mi nadleci 100 #, będę musiał za przeszłość zapłacić około 80. i znów pozostawszyszy z 20 # w kieszeni, nie można szukać na świecie nowego gniazda. W Genewie nie mogłbym porzucić domu, w którym mię za syna uważają i dogadzają we wszystkim—uważaliby to za niewdzięczność. I cienia tej nie mogę przyjąć na siebie. A więc jedyną moją ucieczką byłoby wyjechanie do południowej Francyi. Inne miasta tutejsze tak są pozbawione wszystkiego, takie mieściny nudne i bezksiążkowe, że mieszkać w nich niepodobna. Pozostawszyszy w Genewie, po zapłaceniu moim gospodyniom długu 900 fr., znów mogę u nich mieszkać przez rok nawet. Ale cóż z tego stanu nieszczęsnego, w którym będę miał zawsze coś do płacenia! Wypadnie jednak tak zrobić, jeśli jakim sposobem [twa miłość]<sup>2</sup> nie pożywi mię. Wtenczas odjadę aż nad Pireneje, gdzie jest małe miasteczko Pau, bardzo ładnie położone—wśród łąk i gór. Będę tanio i spokojnie mieszkał—i będę pewniejszy na dłużej mojego losu. Nie myślćcie, żeby mi pozostanie w Genewie nie smakowało. Nigdzie może tak mi dobrze nie będzie jak tutaj—mam wszystko, jestem spokojny, prawie szczęśliwy—ale cóż, gdy na takie życie potrzeba najmniej 2400 fr. na rok, a ja tego nawet wymagać nie mogę—i czuję, że półową powinienem się obchodzić, zwłaszcza, gdy w innym kraju uczynić to bez wielkiego uszczerbku w przyjemnościach można.

Otoż takie jest moje położenie. Dopóki miałem nadzieję, że mię prędko z tej ziemi poetyczna konsumpcya albo langory zabiorą, to nie myślałem tak o przyszłości—ale teraz, kiedy widzę, że mi może długo na tej ziemi bazgrać wypadnie, to muszę szerszym cyrklem rozmierzyć, aby kiedyś innej i nie piersiowej nie doznać konsumpcyi... Bodaj to umieć sobie zaradzić! Oto Joaś, co chodził

<sup>1</sup> [Wyraz w autografie starannie zamazany ręką, zdaje się, pani Bécu. Przyjęta tu za Méyetem, lekcja: *kawaleczek* nie jest pewna.]

<sup>2</sup> [Wyraży w autografie silnie zamazane.]

X  
Z kutasami u butów aż do roku 1827 Chr. Pana, został professorem w Bruxelli, professorem historii. I spokojny sobie na przyszłość. Znow będzie zbierał numizmata i zasuszy się jak kwiatek między książkami. Oto drugi z naszych—Pan Adam. Zamiast profesury, pojął w małżeństwo córkę muzyczki Szymanowskiej. Widać, że to był dawny romans, jeszcze w stolicy waszej zaczęty. Nie wiem, którą to Marysię capnął, czy dobrą, czy piękną. Prawdziwie, że nie mogłem wierzyć zrazu, gdy mi o tém powiedziano—bo ten Adam, to czysty szczerp suchy—minę ma lokaja najczęściej—czasem szalonego od bonifratrów—i nie lubi nosić guzików rzędami usadzonych na sukni, ale je obrywa, gdy są do pary. Otóż to są najświeższe wypadki: małżeństwo poety—i professura professora.

X  
Przypomnijcie dawnemu guwernerowi memu, a teraz Achillesowi bitnemu, aby nie zapomniał obietnicy. Pan Józef obiecał mi dać swoje stare kroniki—nieoceniony byłby to dar dla mnie. Przesłanie bardzo mało kosztuje.

X  
Zmiłuj się, Mamo droga, dopomnij się o te kroniki. Czegobym także bardzo żądał, to dzieła Czackiego, ale tego dzieła bardzo trudno u was dostać... Tytuł *O lit[ewskich] i polsk[ich] prawach*.—Droga Mamo, czy ty przynajmniej masz jakiegokolwiek książki? Napisz mi, co czytasz, co ci się podoba, abym mógł to samo tu odczytać—i przez kilka godzin przynajmniej mieć oczy zwrócone na takie same karty i myśli.—Zmiłuj się, Mamo, staraj się czytać romans *Indiana* i drugi *Valentine*, a [zo]baczysz, co to za śliczne romanse. Zresztą mało teraz nowego w literaturze tutejszej [...]. Cała literatura krwawa i nienaturalna.

Kochani Teofilowie! wy już pewno będziecie czytali mój list, a w następnej odpowiedzi spodziewam się od was przypisku. Jakże mi nie zazdrościć, że już jedną nogą wchodzicie w wiejskie wrota—już wam widać gołębnik waszego domu—już słycać zapach lip waszej alei. Niech wam sady obradzają—niechaj pszczoły miód dawają. Jak mówi mój Kochanowski—skaczcie jak Faunowie leśni—a jeżeli potrzeba, to ja wam na fujarzy będę grał proste pieśni. Widzicie, jakie to częstochowskie wiersze—takiemi niegdyś winszowałem wam Bożego Narodzenia. Dziś chciałbym znaleźć moją wenę, abym kochanej Mamie rozweselającą na jej imieniny napisał kalendarę—ale napróżno. Nie winszować z nas żadnemu, ale wszystkim



nam trzeba wołać do głuchego nieba: „Szczęścia! szczęścia! trochę szczęścia!“ tak jak tu dzieci żebrzą po drogach i wołają za powozami: „Litości! litości! trochę litości nad nami biednymi!“

Bądźcie zdrowi, najukochańsi, najmilsi! Matko—Mamo! Mamuniu! wszystkimi imionami, jakie ci dawałem w życiu, wołam ciebie—i zaklinam, abys mi nie płakała, Mamo moja—bo trzeba cierpieć co się Bogu podoba—i póki się mu podoba . . . Kiedyś zleciemy się jak liście jesienne, które wiatr w jeden tuman zbija i pędzi—nie wiem, gdzie? Całuję oczki twoje, Mamo. Was całuję, Teofilowie drodzy. Dziadunowi posyłam pełne uszanowaniem wnukowe pozdrowienie. Fortunata ściskam i całuję w żółte okulary, które włożył na nos, kiedy mu jego szkło zielone Rouss[el] rozłukł . . . Adieu, kochani, mili. Adieu, droga Matko.

Twój Juliusz.

[Adres:]

Pour les Messieurs,  
Messieurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autrichienne).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève, 8 9bre 1834.

Fco frontières. Brody.

(39.)

D. 18. Grudn[ia] Gen [e w a] 1834 r.

Najukochańsza Mamo moja!

Jakie znów długie milczenie twoje, Mamo droga, zwłaszcza, kiedy ja taki ciekawy jestem o wiadomość, czy jesteś Mama już z Teofilowstwem, czy dotąd sama przepędzasz długie zimowe wieczory? Co do mnie, nigdy jeszcze tak smutno nie przepędzałem zimy. Nie wiem dlaczego, ale głębsza niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie. Całe dni przepędzam w domu przy moim kominku, całe długie wieczory przez te dwa miesiące trawiłem na pisaniu—od kilku dni dopióro skończyłem moje prace . . . i teraz czuję jakąś otrętwiałość . . . Zdaje się, że przez ten czas natężone władze myślenia rozkręcają się teraz jak struny jakiego instrumentu—i za kilka dni powrócę do zupełnej ciszy zwyczaj-

nego życia. To—smutno! . . . Już wieczorem żadne mary nie przyjdą mi nawiedzać, żadna idealna piękność nie uśmiechnie się do mnie—a tyle idealnych figur przeszło przez mój pokój w ciągu tych dwóch miesięcy. Niektóre wyszły przez okna, inne spaliły się w żarze kominka, inne nareszcie zostały zasuszone w papierze jak bratki albo inne kwiatki niepełne.

Panna Eglantyna, wiedząc że do Mamy piszę, przerwała mi ciąg listu i, myśląc że się chwale Mamie z mojej dobroci, napisała na boku zaprzeczenie—a to stąd pochodzi, że we mnie dotychczas jest wiele dzieciństw. Często zamysłony wobec tych pań ubolewam nad sobą jak dziecko, mówiąc głośno: *pauvre Lulli!* często chwale sam siebie, mówiąc: *bon Lulli*. Sam sobie nadałem takie spieszczenie mojego imienia, i Damy już przywykły i często mię Lulli nazywają . . . Ale zaprawdę nikt mniej do dziecka niepodobny niż ja . . . i dlatego sprzeczność nazwiska z moją zachmurzoną postacią przez zbytek przesady, jak powiada Kochanowski, uchodzi. Panna Eglantyna myślała, że mój cały list do Mamy napelniony będzie wykrzyknikami: *bon* albo *pauvre Lulli*—i dlatego pierwszemu zaprzeczyła, drugiemu by zaprzeczyć nie mogła, bo też ja prawdziwie biedny jestem! Ani terażniejszości dobrej, ani złotej nadziei. Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami mojemu podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jednym miejscu, nakoniec znużony wywraca się i zasypia przed kominkiem.

Tego roku imieniny twoje, Mamo, samotnie przepędziłem . . . Złe dosyć nowiny wyczytałem z rana w pismach—potem z różnych innych przyczyn tak mi smutno było, że natychmiast po obiedzie uciekłem do mego pokoju. Tam, jak Mama zwykłaś czynić, zagasiłem świecę . . . mały ogień na kominku słabo mi przyświecał—samotny, milczący, myślałem o różnych czasach—o różnych wieczorach—a kiedy na zegarze uderzyła głośno nad moją głową 7. godzina—ogromna niegdyś godzina—łyzy rzuciły mi się z oczu potokiem—i chodziłem po pokoju—i modliłem się—i płakałem . . . Tego wieczora nie było we mnie ani iskry nadziei . . . Cóż ty, kochana Mamo, robiłaś o 7. godzinie wieczór w dniu twoich imienin?—Wieczór ten imienin twoich przerwał mi wątek myśli—i uczułem, że już przyszedłem do tego wieku, w którym łyzy szkodzą—bo

nazajutrz byłem bardziej jeszcze ponury . . . . Towarzystwo moje domowe także ma różne smutki—i processa—słowem, że wszyscy w naszym domu mamy zachmurzone czoła. Prawdziwie zdziwaczć trzeba—gdzie stąpię, wszyscy martwią się, płaczą. Bądź pewna, Mamo droga, że pod żadnym niebem ludzię nie są szczęśliwsi, niż pod naszymi chmurami . . . ale czy to nas ma cieszyć? Trzeba koniecznie jakiegoś poetycznego świata—trzeba koniecznie włożyć na nos inne okulary, niż te nasze oczu soczewki.

Od ostatniego mego listu, w przeciągu miesiąca upłynionego, napisałem nową sztukę teatralną—niby tragedją, pod tytułem: *Balladina*. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła, ta tragedia jest najlepszą—zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina—i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwemi i aby w sercu mieli nasze serca . . . Nie mogę tu dać ci, kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności w mojej tragiedyi. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z *Królem Learem* Szekspira. O, gdyby stanęła kiedy przy królu Learze! Szekspir i Dant są teraz mojem i kochankami—i już tak jest od dwóch lat. Im więcej w obydwóch się wczytuję, tym więcej widzę piękności. Mamo moja, jaki ja byłbym szczęśliwy, gdybym mógł z temi dwoma umarłemi usiąść pod jaką lipą—albo dębem, przed moją własną chatą—w mojej rodzinnej ziemi—i marzyć—i pisać marzenia—i gwarzyć z tobą, kochana Mamo—i opowiadać ci z zapalem plany moje poetyczne, tak jak niegdyś bywało. Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń. Jak dobrze Szekspir maluje ten stan w *Ryszardzie II*. Rycerz skazany na wygnanie ubolewa nad swoim losem i mówi: „Język mój będzie mi odtąd niepotrzebnym, tak właśnie jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Uwięziłeś język w ustach moich . . . Zanadto już jestem stary, abym jak dziecię wziął znowu mamkę—zanadto jestem podeszły wiekiem na pia-

stuna—wyrokiem twoim skazałeś mię na bezmówną i niemą śmierć.“ Te słowa zawsze czytam z głębokim smutkiem, chociaż wyznaję, że szczęśliwszy jestem niż rycerz Szekspira, bo nie potrzebuję mamki dla nauczenia mię po francusku—i mogę się rozmówić z ludźmi—ale to jednak zawsze smutno.

Miasteczko nasze tej zimy dosyć nudne dla tych, co się chcą bawić. Teatr taki zły, że raz będąc na nim, nasyciłem się zupełnie. Mieszkając za miastem, nie chce mi się w chłodne i wietrzne wieczory włóczyć tak daleko, szukając nudy. Przeszłoroczny teatr, trochę lepszy od dzisiejszego, zbankrutował—albowiem tu zaraza metodyzmu tak owładła najbogatsze familie, że uważając teatr za grzech i za djabła pokusę, usiłują wszelkimi sposobami wygnąć aktorów i nie bywając nigdy na teatrze, ujmują zysku. Kilka famillii na tak małe miasteczko, to bardzo wiele znaczy. Co za dziwactwa na świecie. Podług mnie, ludzie ci obrażają Boga, nie korzystając z przyjemności niewinnych życia, których on im żadnym nie zatrul piolunem, oprócz nieodstępnych od natury ludzkiej dolegliwości. Niech mię Bóg zrobi bogatym bankierem w naszej stolicy, a obaczy, jak się ja będę bawił . . .

Zimę mamy tęgą tego roku w porównaniu z innemi latami. Przed trzema dniami upadł śnieg—cieszyłem się jak dziecko widokiem białej ziemi i oprószonych jodeł przed mojami oknami, i razem doznawałem jakiegoś smutnego uczucia. Różne wspomnienia cisnęły mi się do głowy, a nadewszystko wspomnienie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy byłem w Uniwersytecie. Patrząc na śnieg zdawało mi się, że zajeżdżam z dzwonkiem przed ganek jasuński . . . potym wyszedłem do ogrodu i robiłem śnieżki i rzucałem je na wiatr północy jak na imaginacyjną osobę przeszłości. Chciałem ją śnieżkami zasypać . . .

Codnia prawie, patrząc na mój ogień na kominku, staje mi w oczach postać Mamy, leżącej wieczorem na małej kanapce pod oknem w średnim pokoju, naprzeciw palącego się pieca. Teraz przy zbliżającym się nowym Bożem Narodzeniu chciałbym, żeby mi tu kto mógł zaśpiewać kolendę taką, jaką słyszałem ostatniego roku, będąc w Krzemieńcu. Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos.

Adama nowy poemat obudził we mnie także wiele dźwięków przeszłości. Bardzo piękny poemat—podobny do romansu W.Scotta, wierszem napisanego. Dóm szlachezca—maluje się wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świeżość dawnych opisów—coś dziwnie zachwycającego prostotą... Wiele opisów miejsc—nieba—stawów—lasów jest mistrzowską ręką skreślonych. Natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy niż smutny— a jednak często z najweselszych napozor miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poema zupełnie innego rodzaju niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca dmącego w róg myśliwski, cudowny opis—trochę mi przypomniał Pana Jakóba trąbiącego w lesie, i drugi opis żyda grającego na cymbałach także prześliczny.... Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli... Co do samego autora, piszą mi z P[aryża], że żyje dobrze z młodą żoną—a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepiano. Niedziw, bo córka Szymanowskiej. Co wieczora mnóstwo naszych braci schodzi się do mieszkania poety— i bawią go—a on, ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z mojami samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną jak Bóg chce w tej smutnej wędrownicy życia.

Droga, kochana Mamo! tylko ty nie opuszczaj mię myślą swoją, bo tak, to mniej jestem samotny niż wielu ludzi, bo wiem, że posiadam coś, czego mi ludzie zazdrościć mogą—twoje przywiązanie. Kiedy myślę przed zaśnieniem o mojem położeniu, to mi nieraz włosy na głowie wstają. Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie. Jakoś to będzie.... Życzę ci, Mamo droga, dobrego roku. A kto wie? a może?... te dziwne słowo *może* ma czarujący dźwięk lutni Eola. Każdy najmniejszy wietrzyk wygrywa na naszych myślach te słowo *może* i zawsze tylko *może*.... Te słowo musiało istnieć przed stworzeniem świata. Ostrzeż mię, kochana Mamo, jeżeli już w mizantropiją wpadam, ale zdaje mi się, że nie—to smutek tylko właściwy mojemu usposobieniu i czasowi, w którym Bóg kazał myśleć mojej machinie. Droga Mamo moja, co ty powiesz na tak pusty list—napelniony samą gawędą? Prawdziwie, że zbiwszy mię całego młotem w jeden list ten, list nie byłby ciekawszym niż ten kawał papieru. Myślę—marzę—a czasem czekam i mam nadzieję. Droga Mamo,

miej ty także nadzieję i proś Boga mocno—mocno—a[by nas] do brzegu cichego doprowadził.

[Twój] przywiązany *Juliusz*.

[Adres:]

Pour Messieurs  
MM. Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Autriche-Galicie).

Les priant de remettre la présente à Madame de Becu.

[Stempel pocztowy:] Genève 22 Xbre 1834.

Fco frontières P. P. Brody 7 Jan 1835.

[Na marginesie listu popisek Eglantyny:]

Si Mr. Jules vous dit qu'il est bon, ne le croyez pas, Madame, car il est diabolique au superlatif.

(40.)

*G [e n e w a]*, d. 5 Lutego 1835 r.

Najukochańsza Matko moja... Po długiej niespokojności—po długim oczekiwaniu—odebrałem nakoniec wiadomość o tobie... O! jaka ty, Matko, jesteś łaskawa! Co ja biedny zrobię na świecie, żebym cię, Mamo, o mojej wdzięczności i o mojem przywiązaniu przekonał... Czasem mi się marzy, że do Indyi pojadę, zrobię ogromny majątek, wrócę jak Nabab milionowy—a to wszystko dlatego, abym kupił piękny pałac, ciebie w nim, Mamo droga posadził, i służył tobie na kolanach. Marząc o tobie, wracają mi czasem sny szalone mojego dzieciństwa. Ale ty, moja Mamo, jesteś tych snów zakończeniem—w dzieciństwie zaś moim nieraz inne mary mieszkwały w Nababa pałacach... Dziś wszystko przeszło! Muszę już być tym dziwnym stworzeniem, co się nazywa *człowiekiem*.

Miło mi bardzo było dowiedzieć się, że w waszych stronach pamiętają o mnie. Wizyta Zenona zabawiła mię—widzę go przed sobą—z hajdukiem... słyszę tarkot pańskiego powozu. Kto wie, czy ja bym tak nie jeździł, gdybym mógł—ale nie jeździłbym, mając długi....

Mamo moja, ostrożnie obchódź się z moim czwartym dzieckiem, choć to dziecko nie nosi mego imienia. Ile razy nie mam od ciebie długo listu, to mi się zdaje, że to dziecko temu winne—i stąd

milczenie twoje jeszcze jest dla mnie okropniejsze . . . Zaufanym tylko powierzam zdrowie jego doktorom . . . Co do mnie, zdrow jestem, i uśmiecham się do wiosennego słońca, bo już u nas błyskają czasem dni piękne. Zima ta jednak była nadzwyczaj ostra w porównaniu z innymi zimami. Mieliliśmy kilka dni śnieżnych, i niektóre kanały zamarzyły. Cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że nigdy nauczyć się latać po lodzie nie mogłem. Dzisiaj pierwszy raz tego-rocznego słyszałem skowronka—gdzieś daleko w niebie błękitnym śpiewał nade mną—a u was jeszcze wrony czarne muszą skakać po ulicach. Zakończyłem moje zimowe prace i z dwóch tragedyi jedna mi tylko została, bo jedną spaliłem w moim kominku. *Mazepę* taki smutny los spotkał. Druga zaś, pod tytułem *Balladina*, jest moją faworytką—i będzie czekała, aż będę miał czym posmarować prasy drukarskie. Zdaje mi się, że mię moi księgarze haniebnie oszukują, bo mi przestali przysyłać rachunków i milczą jak krety w norze, czekając zapewne mojej osobistej wizyty. Prawdziwie, że nikomu na świecie zaufać nie można, a mniej niż innym ufać trzeba ludziom, którzy nie mają pieniędzy. W tym położeniu jest jego-mość, który się trudni mojemu książkami. Cóż więc robić—trzeba się spuścić na jego grzeczność i sumnienie.

Dziwię się, że o Henryku Chłońskim] nie macie wiadomości. Jest on zawsze w stolicy—i wiem niedawno, że drukiem sprzeczał się z jakimś ziomkiem o pieniądze zarzuty. Nie wiem, jaki koniec tój kłótni . . .

Wyszedł w P[aryżu] *Korsarz* tłómaczony przez Edwarda Antoniego—i *Giaur* przez Adama. Jeszcze tych dwóch tłómaczeń nie czytałem. Zresztą nic nowego. Czy też znasz, Mamo, romanse przez G. Sand, o którym ci pisałem? Jest to pod męskim nazwiskiem ukryta autorka bardzo sławna—nowa pani Staël.

Jak tam u was zakątnie i cicho—prawdziwie, że życie jak święci. Jakże to być może, aby kabala przeze mnie opisana nie udawała się, dwóma talijami kart ciągniona? Tego miesiąca byłem na dwóch wieczorach—na jednym u Pani Wodzińskiej bardzo się dobrze bawiłem. Graliśmy w szarady—i ciągle mi przytomne były w pamięci nasze wieczory wileńskie, kiedy układaliśmy żywe obrazy, kiedy Olesia była Judytą, a Masalski Holofernesem, kiedy Teofil

na czterech nogach wchodził do salonu, wioząc na grzbiecie ciebie, Mamo, i małego Ferdusia, udając niby ucieczkę do Egiptu. Szarady przypomniały mi to wszystko. Ubieraliśmy się dziwnie w różnej szale i kapelusze. W jednej wystawiałem *czas* czyli Saturna. Kij z kijem związany, jeżeli nie kosę, to cep przewybornie udawał— w zębach trzymałem ogromną lalkę—i pożerałem jej głowę. Jeśli nie do Saturna, to do Ugolina byłem podobny, bo lalka była ogromna i straszliwa. Nakoniec chciałem skosić razem stojących w kącie trzech głupców towarzystwa, mówiąc im bardzo grzecznie, że są nadzieją przyszłości, ale że *czas* na nic, nawet na rozum nie [ma] względu. Przyjęli ten komplement z grzecznym uśmiechem.

Jedna szarada bardzo piękna była—*Nonchalance*. *Non*, rycerz zazdrośny, wyjeżdżający do Palestyny, żonie swojej rozkazał, aby nikomu zamku nie otwierała, aby na każdą prośbę rycerza odpowiadała *non* i zawsze *non*. Rycerz odjechał. Wielu rycerzy przyjeżdżało do zamku, prosząc, aby im wolno było wejść do bramy. Żona wierna na wszystko i wszystkim odpowiadała *non*. Nakoniec jeden rycerz, przewąchawszy rzecz, prosił pani, aby mu do zamku wejść zabroniła. Żona swoim zwyczajem odpowiedziała *non*—i rycerz zdobył fortecę; a mąż zginął w Palestynie.—Druga sylłaba *chat*. Stare damy miały kochanego kota—i kot zginął; więc damy opis jego dokładny umieszczają w pismach publicznych, i wnet tysiące kotów różnych znoszą do ich domu, a koty—byli to kawalerowie naszego towarzystwa—a damy między nimi szukały swojej zguby. Nie wiem, czy która znalazła.—*Lance*: Wystawiliśmy ogromne szranki—i królowę rozdającą wieńce—i dwóch rycerzy z poduszkami zamiast tarcz, z papierowemi od głów cukru szyszakami na głowach. Tłukli się o wieniec zielony z rąk piękności i kruszyli dla niej lance.—Otóż tak bawiliśmy się na wieczorze naszym prawie familijnym. Sama Pani W[odzińska] bardzo dobra dama. Córka jej nieładna, ale ma także wiele wdzięku dobrego serca. Zajęty pisaniem, długo u nich nie byłem i wymawiali mi te zaniedbanie, które jako w towarzystwie podróży po górach było dosyć niegrzeczne i dziwne. Lecz ja zawsze w takich razach tłómaczę się chorobą splinu—i wolę uchodzić za dziwaka mglistego, niż za niegrzeczności.

Na drugim wieczorze, w domu jednego z panów włoskich, tań-



cowaliśmy. Widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły, na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już się nigdy kochać nie będę. W mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości niepodobne do osiągnięcia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami jak wróble i bawią się. Czasem im zazdroszczę—czasem, chodząc po alei ogrodu przy świetle księżycy, mam jakieś uczucie samotnej dumy, które mię pociesza. Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie—a kiedy przyszłą tutaj wygrzebywać popioły leżące po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zainoszą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrocie. Chateaubriand chce być pochowany nad brzegiem morza, aby słyszał po śmierci szum bijącej fali. W zachceniu takim musi coś być prawdziwego! Podziękuj, Mamo, metrowi memu niegdyś angielskiego języka za jego pamięć. Gdybym się teraz z nim spotkał, moglibyśmy rozmawiać jego rodzinną mową, zawsze jednak znalazłby błędy do poprawiania. Angielski język jest tak trudny, że coraz więcej w nim odkrywa się kruczków, im dalej człowiek w nauce postępuje. Jakbym ja chciał być o tej godzinie w małym pokoiku Teofilów—jak niegdyś.

Na jednym z wieczorów spotkałem Pana Sismondego, autora wielu sławnych dzieł historycznych. Na wejrzenie dziwną i śmieszoną dosyć wydaje się figurą—twarz ma zupełnie pospolitą, a zmarszczki na twarzy jakiś śmieszący nadają jej wyraz. Wielki ten historyk i ekonomista ma żonę Angielkę, która dzieła swego męża na angielski język tłómaczy i przyczynia się do upowszechnienia sławy. Szczęśliwe małżeństwo, ocienione jedną laurową koroną. Mówiąc o sławnych ludziach, zapytam o jednego, który ma do sławy prawo. Co się dzieje z autorem *Prób dramatycznych*? *Aniela* jego często mi przychodzi na pamięć jak sen jakiś smutny i miły. Chciałbym bardzo wiedzieć, czy zawsze pracuje, czy może pracować, i nad czym pracuje. Jest to jeden z tych ludzi, którym dotąd nie oddano słuszności. Potrzeboby mniej być skąpemi w pochwałach i w zachęcaniu.

Michał, o którym wiecie, wkrótce zapewne zakończy swoje trzy lata więzienia. Nie chciałbym się z nim spotkać na ziemi, bo

on wiele zaszkodził moim wylewającym się przyjaźni uczuciom. Lubilem z nim rozmawiać—i długo rozmawialiśmy, do późna w nocy, nieraz ze łzami w oczach. Raz tak zapomnieliśmy się, że portier paryski spać się położył i zamknął był bramę, a portiery paryskie nie kładą się spać z kurami.

Prawdziwie, że jakiś zły duch musi czuwać nad każdym z nas z osobna i czeka na najmniejsze potknięcie się stopy, aby nas na zawsze zabił . . . Teraz nie mam nikogo, co by mi najmniejszą chwilę życia przyjazną rozmową skrócił—nikogo, co by mię przyjaźnie za rękę ścisnął. Wina to mego odludnego życia, wina miejsca, w którym żyję—nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego—i znaleźć nie mogę. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakim cichym klasztorze—dlaczegoż nie dał mi tej misticznej pochodni, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności? O! gdybym raz usłyszał jeszcze dziadunia mego, śpiewającego prostą kolendę w dzień Bożego Narodzenia, razem ze służącymi domu, zdaje mi się, że bym do dziecinnej wiary przeszłości mojej powrócił, bo czuję koło siebie jakąś dziwną czczość i samotność.

Prawda, moja Mamo, że to niepodobna, abyśmy się my kiedyś nie zobaczyli. Familijami zapewne Bóg postawi dusze na Jozefata dolinie, tak, żeby rodzice mogli zobaczyć, co się stało z ich biednymi dziećmi. Mamo moja! tobie Bóg nagrodzi za miłość twoją dla syna jakimś dziwnym i niewymówionym szczęściem.

Musiałem uspokoić i zatrzymać pióro, bo zaczęło pisać łzami— a może tobie te słowa, zimno przeczytane, wydadzą się jakąś nienaturalną exaltacją. Bije dwunasta godzina w nocy—zawsze się lękam odczytywać rano nocą pisanego listu. W nocy nieraz zdolny bym był zginąć jak Agis, król spartański. Kilka godzin snu dziwnie zmieniają człowieka—ciało bierze przewagę nad duszą i myślą. Rano nieraz przedałbym moje pierworodzeństwo za misę soczewicy. Mamo moja droga, pisz mi obszerniej niż dotąd o stanie twego zdrowia. Czy sypiasz dobrze nocami? Możeś ty uprosiła Boga, żeby snu twego cząstkę do mojej przyłączył, bo ja sypiam jak zabity— i długo, długo. O dziesiątej godzinie budzić mię muszą na śniadanie—i zawsze mię ze snu głębokiego budzą. A co dziwniejsza, że

im więcej pracuję umysłem, tym lepiej śpię. Imaginacya tak mię morzy i morduje jak całodniowe chodzenie po górach. Są jednak noce, w których zasnąć nie mogę—i tak było, kiedym przez miesiąc był niespokojny z powodu twego, Mamo, milezenia. Moje dziecię lęka mię.

List ten zapewne Teofila zastanie, a może go powita. Miło mi będzie odebrać od niego wiadomość, jak też on przeżył te lata—pod złocistemi dachami kościołów—przy ciemnych pieczarach świętych.

Jak się ma mały Stasio? czy już szczebioce? Chciałbym bardzo kiedyś zająć się jego wychowaniem, bo zdaje mi się, że to dziecko będzie kiedyś zaszczytem naszej rodziny. Pamiętajcie, że od pierwszego wychowania wszystko zależy . . . Teofil zapewne przez Wierszchówkę powracać będzie. Jaki ten dóm musi być teraz smutny, jak mury jego muszą mieć wiele wspomnień dla biednej Pani Michalskiej! A kiedy wiosna przyjdzie, kiedy ogród zakwitnie, kiedy na drugiej stronie stawu Julinki ożyją—jaka boleść wtenczas . . . jakby się chciało cofnąć nazad przeszłość i wskrzesić umarłych! Przynajmniej, że mi otaczające góry nic nie przypominają—nie patrzałem na nie nigdy weselszemi oczyma.

Bądźcie mi zdrowi, moi najmils! Kiedy Mniszeczka mię porzuciła, przypomnijcie mię mojej narzeczonej Julce w Jaszunach—niech się przynajmniej nie bardzo spieszy z wyborem. Mamo droga, ty mię swataj—i zalecaj jak możesz twój zły towar. Adieu, Mamo. Całuję ciebie w oba oczka twoje. Hersylko, Teofilu, ściskam was, moi wujowstwo. Chciałbym, żebyście wszyscy mogli żyć razem, w jednym gronie, pod jedną jaką wiejską lipą—nie w ruinie mądrego miasteczka . . . Dziadunia kochanego z uszanowaniem rączki całuję. Adieu—Mamo droga, do zobaczenia—

**Twój Juliusz.**

[Adres:]

Pour les Messieurs  
Messieurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autriche).

Pour être envoyé à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 7 Fev. 1835.

Fco frontières. P. P. Brody 20 Febr.

Najukochańsza Mamo! Otóż znów mam za co nowe ci składać dzięki. Doniesiono mi, abym się zgłosił po twój nowy upominek—nie wiem jeszcze, czy znajdę przy nim list, bo dziś niedziela i bióro zamknięte. Do wdzięczności, jaką ci niosę, Mamo moja, łączy się zawsze okropna myśl, że ja jestem ciężarem dla ciebie—i chciałbym się gdzie rzucić w jezioro. O, jak ja sobie inaczej wystawiałem przyszłość! Ale zaradzić temu nie jest w mojej mocy—Trzeba cierpliwości—i odwagi.

Robię teraz różne projekta na wiosnę. Chciałbym bowiem nieco wyrwać się z tego nudnego miasteczka, gdzie pleśniej jak ostrzyga nad jeziorem. Może więc schronię się na to lato do jakiej pobliskiej wsi—może pojedę do Clarens, gdzie kiedyś była Heloiza. Tam będą mi dosyłać książki—będę chodził po trawach—kąpał się—i marzył... Muszę tylko zaczekać, aby się wiosna pokazała, bo tego roku niesłychane tu mamy zimna—dziś nawet śnieg pada. Nudzi mię ta białość—zimno—odwykłem już od marcowego śniegu—i wyznaję, że wolę południowe zimy—ozłoczone pięknym słońcem—i ciągle pachnące fijołkami. Taka była przeszła zima.

Mieliśmy wielką uroczystość w naszym mieście. Oto na pięknej wysepce, połączonej małym mostkiem z wielkim mostem jeziora, zrobiono prześliczny ogródek—przechadzkę—i postawiono statwę Russa. Odkrycie tej statuy było wielkiem świętem—cała ludność wyszła na brzegi; na wysepce znajdowali się tylko urzędnicy—i komitet—i wojskowi—i harmaty. Odkryto posąg, włożono mu na głowę złoty wieniec, harmaty były na wszystkie strony jeziora, ktoś powiedział krótką mowę—potym wszyscy ci ludzie w mundurach wojskowych wzięli się za ręce i zaczęli około posągu tańcować. Muzyka grała taniec wyjęty z opery przez Roussa napisanej. Patrzałem na to z okna domu, gdzie mię zaproszono—i ten taniec, ta weselość, widok tego posągu, który nieruchomy siedział nad trzecią generacją ludzi, wszystko to razem wzruszyło mię nadzwyczajnie. Ferney samo milczało, kiedy Genewa się cieszyła, ale słyhać aż tam było huk całodzienny dział, słyhać było w Coppet. Arystokracya gen[ewska] dotychczas Roussa za wielkiego człowieka nie

uznaje—i niecierpi go. Lud wymógł statuetę, komitet ją kazał odlać, zrobił ją zaś Genewczyk Pradhier, jeden z pierwszych snycerzy tegoczesnych. Widzicie stąd, co to sława... Ludzie starzy tańczą jak dzieci koło posągu człowieka umarłego dawno. Gdyby to można wiedzieć, czy ten człowiek wie o tém po śmierci? Wszyscy przytomni robili sobie takie zapytania, a nie pomyśleli, że ten człowiek wiedział przed śmiercią o tém, że mu kiedyś posąg wystawionym będzie.—Wieczorem na teatrze grano operę *Wieszczek wiejski*, i małą komedyjkę z życia Russa napisaną, i znów na teatrze biust autora uwieńczono laurem. Wieczorem na wysepce pomimo deszczu były fajerwerki—i cała ulica, nosząca imię Roussa, rześście oświecona. „Rześście oświecona“ są to wyrazy ulubione jednookiego gazeciarza w grodzie Giedymina—jak on często musi ich teraz używać!

Główném zatrudnieniem mojem teraz są marzenia, ale marzenia te ograniczają się do bardzo małej rzeczy—oto do własnego byle gdzie domku. Chciałbym mieć coś swojego na tej ziemi—coś bardzo maleńkiego—coś bardzo pełnego kwiatów, i drzew i zieleności. Mówiono mi o jednym domku w Dauphiné we Francyi, o kilka mil od Genewy. Domek ładnie umeblowany, maleńki, wśród łąk, otoczony małą błękitną rzeczką, z ogrodem—słowem, ładna mała pustelnia na pustyni. O 3 i  $\frac{1}{2}$  mile od niej Lyon, miasto wielkie, największe po Paryżu we Francyi. Domek ten możnaby, jak powiadają, mieć za 10.000 fr., to jest za 18.000 zł. pol. Prawda, że ziemia przyłączona do niego nic prawie nie przynosi, bo mały kawał tej ziemi, ale życie w tym domku byłoby wcale niedrogie... Jakby mi tam dobrze było z Mamą! Na zimę moglibyśmy jechać do Lyo[nu] albo do Genew[ly], a skoro tylko słońeczko dogrzeje, uciekalibyśmy do naszej chaty. Wokoło najpiękniejsze okolice—śliczne góry—po górach zamki dawne—i odnowione—w tych zamkach na lato często przyjeżdżają i mieszkają panowie. Powiedz mi, Mamo, czy ci się nie podoba ten projekt—czy może myślisz, że ja tak jak Fortunat zniechęciłbym się prędko cichém i samotném życiem?

Tobie się może, Mamo kochana, wszystkie takie projekta wydają romansowe i niepodobne do skutecznienia—ale prawdziwie, że w tym wieku, gdzie tyle jest oschłości, i rzeczywistości

zimnej w wypadkach, ludzie szukają cichych schronień, jak dawniej ludzie szli do klasztorów. Gdybym wiedział, że jest jaki sposób zgromadzenia i zebrania naszych fundusików, to mówiłbym ci, Mamo, o tym domku z jak najusilniejszym naleganiem. Kiedyś możebym pomyślał o ożenieniu się—jeżelibym miał syna, byłby obywatelem szczęśliwego kraju. Widzisz, Mamo, że ja aż do dalszych pokoleń sięgam oczyma marzeń. Jeżeli się te marzenia nigdy nie zamieniają w rzeczywistość, to przynajmniej służą do zapelnienia pustych godzin mojego życia. Wieczory moje często teraz przepędzam w gronie moich kolegów i ziomeków. Gawędzimy, gramy na fortepiano—i czasem tańczujemy mazurka. Wszyscy moi koledzy chorzy na epidemiczną chorobę—wszyscy się kochają w jednej Angielce, a miłość różnie ubarwia ich charaktery. Jedni ciągle śpią, drudzy ciągle piją, inni ciągle wzdychają—słowem, że to dla mnie prawdziwa komedia. Chcą koniecznie zaprowadzić mię do domu tej Armidy, ale ja się wzbraniam jak mogę, lękając się, abym także w jakie nie wpadł szaleństwo. Jestem wszakże i bez tego dosyć sentymentalną figurą—mam czasem dziwne przecucia. I tak: Panna Wodzińska zaatakowała mię niedawno, abym jej w sztambuchu kartkę białą zabazgrał—zaraz przy stole usiadłem, umoczyłem pióro, i te płaczliwe wiersze napisałem mojej towarzyszce podróżnej po alpejskich górach... Muszę ci tu, Mamo, te wiersze napisać, abyś miała wyobrażenie, jak ja dziwnie czasem marzę....

Byli tam kędy śnieżnych gór błyszczą korony,  
Gdzie w cieniu sosen — Bożym strzeżone napisem —  
Stoją białe szalety wiązane cyprysem;  
Gdzie w<sup>1</sup> łąkach smutnie biją trzód zblakanych dzwony,  
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali,  
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:  
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.

A po latach — wróconym ojczyźnie pielgrzymom  
Bławatkami gwiazdziste kłaniały się żyta.  
Jechali — błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,  
Wszyscy pod jeden ganek... Matka, siostra wita  
Synów, braci, przyjaciół — są wszyscy! są wszyscy!  
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych;

<sup>1</sup> [Przekreślono: gorac(h).]

A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak bliscy.  
I nikogo nie braknie oprócz zapomnianych.

Młoda Marja do tańcu każe stroić lutnie,  
I usiadła — spoczywa... Nagle do sąsiada  
Rzekła: „Ach, kogoś braknie?“ — tu podkówka utnie  
W takt mazurka — „On umarł“ — sąsiad odpowiada.

— „Cichoż na jego grobie?“ —

— „Słowików gromada

Spiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,  
Że brzoza płacze.“

Miałem także dziwną komedią z powodu tej panny, której napisałem owe wiersze—oto dwie baby z naszej krainy przypomniały sobie, jak to jest miłym zatrudnieniem swatać i żenić, a zwłaszcza pannę dobrą, niewinną i posażną—z głupcem i hołyszem. Otóż użyły tu owe dwie baby wszystkich sposobów, aby tę panienkę wydać za mąż i kuzyna swego podsunęły jej. Zdaje się, że rzecz przyjdzie do skutku... Nic śmieszniejszego jak te manewry—zdaje się, że jestem w jednym z naszych miasteczek.<sup>1</sup>

Z różnych stron dochodzą mi wieści, że moje czwarte dziecko z wielkim zapalem przyjęte zostało w Krakowie. Jedna z tych wieści—i pierwsza—doszła mi właśnie w dzień, kiedy ze Izami patrzałem na stawienie posągu Roussa. Okoliczność ta miłe mi zrobiła wrażenie.

Nie odpisałem na zapytanie o zegarek. Za 15 # można mieć ładny i dobry zegarek w naszych stronach, ale przesłać do H[ausnera] niepodobna—chybaby kto jadący w wasze strony mógł go zabrać. Ale któż jedzie w wasze strony?

Czekam wizyty wiosną zapowiedzianej—czekam owej poduszeczki haftowanej na kanwie. Chciałbym spać kiedyś na niej we własnej mojej chacie. A choćby ta chata była jak w piosence o Hryciu złożona z czterech dębowych desek, to każę sobie tę poduszkę pod głowę włożyć... Wystawiam sobie, nie wiem dlaczego, że dno musi być błękitne. Szkoda, że nie umiem nót pisać—skomponowałem wcale niezłego walca do tańca, który możebyś ty, Mamo, grała na fortepiano—dosyć jednak trudny.

<sup>1</sup> [Cały ten ustęp w autografie przekreślony — zapewne przez p. Bécu.]

Nic teraz nie maluję—trzeba bowiem wiele do tego przybo-  
rów—i przestałem na wymalowaniu widoku Krzemieńca. Patrząc  
na ten rysunek, nieraz głęboko dumam. Przybyła mi także jedna  
ozdoba do mego pokoiku—oto wygrzebałem w domu cztery wielkie  
sztuchy z *Heloizy* Russa, w starych złoconych ramach, i tego dnia,  
kiedy statuę odkryto, w moim pokoju powisiłem te obrazy. W jed-  
nym z nich Klara, przyjaciółka Julii, zupełnie podobna do pa-  
nienki, u której mieszkałem w Dreźnie, więc ten obraz miłem jest  
dla mnie wspomnieniem.

Mało teraz czytam—i często wieczorem przed zaśnieniem czy-  
tam głośno rozdział Biblii. Mam ją po polsku... Przedwczoraj tak  
mocno wraziła mi się w imaginacją męka Chrystusa, że we śnie  
unęczenie całe widziałem. Obudziłem się okropnie przerażony.—  
Czy ty, Mamo, widzisz mię kiedy przez sen?

Pani Pattey i córka jej przypominają mi po raz dziesiąty, abym  
nie zapomniał kłaniać się od nich. Nie uwierzysz, Mamo, jak się te  
Damy interessują twojém zdrowiem i powodzeniem. Z listu tego  
przekonasz się, Mamo, jak moje życie niezamożne w wypadki—co  
dnia to samo, jak w zegarku: wstaję o 10., czytam w mieście ga-  
zety, jem obiad, wieczorem w domu abo u kolegów bawię się roz-  
mową, nudną rozmową głów pustych, o godzinie 12. kładę się  
spać—i tak zawsze—i tak co dnia.—Jeżeli na lato pojedę do Cla-  
rens albo do Bex, to będę jeszcze samotniejszy.

Z niecierpliwością czekam listu od ciebie, Mamo, i od Teofila.  
Chciałbym ich widzieć szczęśliwie osiadłych na wsi, bo przekony-  
wam się, że w wiejskim pożyciu tylko prawdziwie dobrze być może.  
Nieraz myślę sobie, coby to było dziś ze mną, gdybyśmy byli ku-  
pili ową wioszczynę blisko nieboszki cioci Franusi—możebym te-  
raz siał hreczkę—i patrzył, jak jaskółki lepią nowe gniazdeczka  
pod belkami mojego ganku... Adieu, droga, kochana Mamo  
moja—moja opatrności! kochana Mamo moja!—Co się dzieje  
z Grocholskim? czy osiadł gdzie, czy się ożenił?—Jak się ma ma-  
leńki Stasio? czy rośnie—czy już mówi—czy dowcipny?—Adieu!  
Dziadunia mojego z uszanowaniem pozdrawiam... Teofilostwa  
ściskam serdecznie. Wszystkim znajomym kłaniam... Adieu,  
droga Mamo moja!

Twój *Juliusz*.



[Adres:]

Pour les Messieurs  
MMurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autriche).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève, 11 Mars 1835.

Feo frontières. P. P. Brody 26 Mar.

(42.)

4. Kwiet. 1835. (S. B.) <sup>1</sup>

Moja najukochańsza Mamo!

List twój—zadziwił mię—uszcześliwił—i zostawił po sobie takie uczucie smutku, jakie zwykle zostaje po zapowiedzeniu nazbyt wielkiego szczęścia. Jakże ja mogę ci radzić, Mamo moja, kiedy serce moje mówi jedno tylko słowo: przyjeźdź—przyjeźdź! Niech się wam wojaż nie wydaje tak trudną i zatrważającą rzeczą—obaczycie sami, że mała różnica tłuc się po pińskich groblach czy po makademizowanych jeździć gościńcach—w koncie poźycia także nie wielka różnica—będziecie tylko frank jako wasz złoty uważać. Oto jest najpewniejsza miara kosztów. Wreszcie we Włoszech życie tańsze niż w moich stronach, ale trzeba się o wszystko targować. W Rzymie mieszkania drogie nadzwyczaj. Teraz pozwólcie mi wam radzić . . . . Oto naprzód, wyjechawszy z kraju, jeżeli jedziecie do Pizy, nie tłuczcie się po niemieckich miasteczkach. Jest to główna przyczyna wielkich kosztów owo zygzakowate jeżdżenie po krajach—w każdym bowiem mieście osiadłszy na długo, można miesiąc opędzić pieniędzmi, które przez tydzień dorywczowego mieszkania w hotelach wydają się . . . . doświadczyłem ja tego. Więc jeżeli we troje wyjedziecie, mogę wam wywróżyć, że droga do Pizy będzie 1600 fran. kosztowała—mieszkanie i życie w Pizie<sup>2</sup> z 500 fr. na miesiąc od trzech osób—na rok więc trzeba 6000 fr., to jest około 11000 zł. pol. Gdybym ja z wami mieszkał, mało drożej

<sup>1</sup> [Jest to data otrzymania listu przez p. Bécu (podług starego stylu). Datę napisania umieścił Poeta na końcu listu.]

<sup>2</sup> [Przekreślono: po]

wypadnie. Ale to wszystko tak zależy od targowania się i od sposobu życia, że nigdy zupełnie wyrachować nie można. Jeżeli Teofil z Włochami będzie się umiał rozmówić, to za 400 fr. na miesiąc żyć będziecie mogli—Piza bowiem jest miasteczko bezładne i pieniędzy w nim rzadki. Spodziewam się więc, że słuchając rady mojej, zamiast włóczenia się do Baden i do innych wód, pojedziecie prosto do Wiednia, z Wiednia do Tryestu, z Tryestu do Wenecyi, z Wenecyi do Pizy. W Pizie osiądźcie spokojnie—i czekajcie na przybycie cudzoziemca—waszego niegdyś gubernera, to jest gubernera dzieci waszych. Nie gadajcie nikomu o jego przybyciu—zwłaszcza ani słowa przed najlepszym waszym przyjacielem—a nade wszystko strzeżcie się sług—bo to wszystko nie dobre . . . inaczej cudzoziemiec nie będzie mógł ani was widzieć, ani mieszkać z wami . . . Pisałem do Marsylii do tego gubernera, aby się w Marsylii na okręt parowy embarkował i płynął do Liwurny—a z Liwurny do Pizy bardzo blisko. Zapewne miło wam będzie go zobaczyć . . . Skoro będziecie we Włoszech, piszcie pod adresem siostry jego, Eglantyny—a listy go dojdą . . . Co zaś się tyczy miejsca, w którym macie przepędzić zimę, to jest Nicei, niepodobna mu będzie tam pojechać z wami—ale dlaczegoż wy zimę w Nicei przepędzać macie? Daleko lepiej jechać do Hyères, miasta w południowej Francyi, które zupełnie taki sam ma klimat jak Nicea, a mniej smutne, mniej nudne—i dogodniejsze dla nas wszystkich. O, co za szczęście byłoby pod pięknym, błękitnym niebem przechadzać się—oddychać świeżym powietrzem—mówić o przeszłości—i na przyszłość zabezpieczać się. Gdybyście się na miasto owe zgodzili, pośpieszyłbym przed wami w miesiącu sierpniu, najalbym małe pokoiki—i czekałbym was, mili moi. Zaręczam was, że nic smutniejszego jak Nicea. Od wielu podróży wiem o tém.—Jacy my biedni, że nigdzie zupełnie spokojni w kraju Włoch, nigdzie razem i długo być nie możemy. Do Genewy was ani myślę sprowadzać—ciemno—nudno—drogo—dosyć zimno—słowem, zupełnie nie miejsce dla jaskółek przelotnych. Proszę was także, niech was towarzystwo Balińskiej nie ciągnie—skoro raz z zamożnemi i hulającami rodakami spotkacie się, będą was wszyscy niemiłosiernie obdzierać. Żeby żyć zagranicą, trzeba się zupełnie otrząsnąć z naszych przywyknień—trzeba nade wszystko wielkiego porządku w wy-

datkach. O, gdybym ja mógł być waszym sługą—ręczę wam, że nie poczulibyście wielkiej zmiany w ciężarze waszej kieski—i wszystko by szło jak należy... Nie potrzeba nato być skąpym—ale porządnym....

Więc, Mamo moja, ty co jesteś na miejscu, dobrze tylko rozważ, czy przerwa w zwyczajnych naszych interesach nie zabije nas zupełnie. Jeżeli wszyscy nasi debitorowie są honorowemi ludźmi, jeżeli w kiesce z Teofilem będziesz mogła złożyć 4000 fr., to jest trzecią<sup>1</sup> część wydatków, jeżeli na rok drugi popłacą ci procenta, jeżeli pewna jesteś, że powróciwszy, znajdziesz wszystko nieodmienione—jedź—przyjeżdżaj. Nadewszystko chciałbym, abyście się zdecydowali na przepędzenie zimy w Hyères.<sup>2</sup> Przyjechawszy latem do Pizy, starajcie się wziąć mieszkanie nad brzegiem Arno—inaczej pomrzecie z gorąca. Letni pobyt w Pizie będzie za bezcen, albowiem miasto puste—a ci, co w nim żyją, potnieją. Zdaje mi się, że takie poty będą dla was najlepszą kuracją—przez poty trzeba wyprowadzić z ciała wszystkie złe pryncypia, a potem może człowiek żyły czystsza i lepszą krwią napęlić. Nie lękajcie się jednak nazbyt wielkich skwarów. Ja, przebywszy kilka lat w dosyć ciepłych klimatach, nigdy nie doznałem takiego gorąca jak u nas. We Włoszech musi być goręcej niż we Francyi, nie tak jednak, abym o tem sądzić nie mógł....

Najbardziej jednak zalecam wam i proszę was: obierzcie sobie pewny cel podróży i drogą jak najprostszą zmierzajcie do niego—inaczej podróż zje wasze fundusze i będziecie zadziwieni, że wam tak kieska schudła. Jeżeli będziecie na moją przestrogę pamiętać, podróż wasza bynajmniej mnie nie zatrzyma pieniężnemi skutkami. Za powrotem będziecie mogli mniej o różnych i rozlicznych miastach rozprawić, ale cel waszej podróży—zdrowie—zyska na tem, i pieniądze oszczędzą się, i nawet przyjemniej czas upłynie, niżby upłynął w ciągłych targach, przemianach miejsca, nieprzyjemnościach i nudach.

Ostatecznie taki skutek mego listu: jeżeli pojedziecie do Pizy, guwerner niegdyś dzieci waszych przyjedzie do was—i zabawi

---

[Wyraz *trzecią* napisany na pierwotnym: *czwartą*.]

[Poprawione z: *Hyères*.]

z wami dłużej lub krócej, jak będzie można. Jeżeli stamtąd pojedziecie do Nicei na zimę, gubernierz wróci do Francji. Jeżeli ty, Mamo kochana, nie przyjedziesz, będę się starał również z Teofilami spotkać się. Może się zgodzą w Hyères zimę przepędzić.

Wszystko, co mię spotyka, zdaje mi się podobne do jakiegoś czarodziejskiego zdarzenia. Nie śmiem wierzyć jeszcze w rzeczywistość waszego wojażu. Teofilu kochany, ciebie nadewszystko proszę, abyś dobrze miał wzgląd na to, czy zdrowie Mamy, której doktorowie niegdyś zabraniali małego nawet ruchu, nie pogorszy się teraz wojażem dalekim. Radź o tém razem z doktorami, a jeżeli by było jakie niebezpieczeństwo, opieraj się jej podróży. Wzgląd na zdrowie Mamy sprawia to, że nie nalegam na nią tak usilnie, i tak gorąco jak serce moje dyktuje. Dziwną tak mam naturę, że zawsze ogląda się na przeszłość i przyszłość, a terażniejszość lekko waży.

Skoro tylko ostateczna decyzja zapadnie, napiszcie mi obszernie o wszystkim—dzień, w którym wyjedziecie, miejsca, przez które wędrować macie, i cel podróży. W oczekiwaniu tego listu będę niepokojnie zasypiał i budził się. Kto wie, jak się zjedziemy razem, jak się rozmówimy obszernie, może gdzie osiądziemy razem—i będziemy spokojni.

Już u nas prawdziwa wiosna. Wczoraj cały dzień kopałem i sadziłem kwiaty. Przypomniało mi to twoje ulubione zatrudnienie niegdyś. Robiemy z Panną Eglantyną w ogrodzie małą altankę—i ubieramy ją w piękne kwiaty. Podczas upałów tam będę czytał—i myślał o was. Będę was widział, jak maleńkie biedne mrówki wędrujące po tej obszernej ziemi—pomiędzy aktorami grającymi smutną i głupią komedią życia. W domu, gdzie mieszkam, będzie teraz mieszkała cała rodzina Wodzińskich—będę więc miał nieco roztargnienia, i huku nad głową. Wszystko mi teraz miłsze, oświecone tą myślą, że was zobaczę—że pożyję trochę z wami. Jeżeli będziecie mogli, przywieźcie mi dzieła mego ojca, bo nie mam ich—ale to, jeżeli miejsce wam w pakach zostanie. Bierzcie mało pakunków, a broń Boże kołder, poduszek i prześcieradeł—to wszystko niepotrzebne zagranicą. Ale wy zapewne musicie od wojażerów wiedzieć o wszystkim, co się do podróży ściąga. Pakować się zaś trzeba nie w polskich tłumokach, ale w walizach skórzanych.

Ufam w Bogu, że szczęśliwie wszystko pójdzie. Mamo moja,

rób wszystko z rozważą, ale staraj się przyjechać. Do widzenia, moi najmilsi. Kończę ten list, aby go dziś jeszcze wyprawić, aby was dniem prędzej doszedł. Zdaje się, że znajdziecie w nim odpowiedzi na wszystkie wasze zapytania. O kuzynie Idalki będę się starał dowiedzieć—i posłać mu list—dotąd nie wiem, gdzie się on obraca. Adieu. Całuję was wszystkich serdecznie—i z wielkim szczęściem piszę słowo do widzenia.

Wasz Juliusz.

Gen[ew]a], d. 1 Kwiet. 1835 r.

[Adres:]

Pour les Messieurs  
Messieurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autriche).

Pour remettre à Madame de Becu.

[Stemple pocztowe:] Genève 2 Avril. P. P. fco frontières.

Brody 16 April 1835.

(43.)

Gen[ew]a], d. 24 Maja 1835 r.

Najukochańsza Mamo moja... Nie będę ci pisał tutaj, ile zasmucony jestem twoim postanowieniem niewyjechania z Teofilami. Stało się... Niech więc Opatrzność obróci to na dobre, niech ręka Boga złączy nas kiedy później... Krótki twój list pokazał mi, jak musiałaś cierpieć, Mamo, widząc odjeżdżających Teofilów. Wszak ja cierpię nieraz, widząc jaskółki lecące na północ.

Teofilowie dziwnie mi donieśli o swoim wojażu. Naprzód napisali te kilka słów tak bladym atramentem, że śladu ledwo wyrazów dojrzeć można było—a potem i te ślady, z wielką trudnością odkryte, o żadnych szczegółach nie doniosły. Chcą, żeby guwerner ich dzieci przyjechał do Pizy—nie piszą, kiedy? Adres ich ma być guwernerowi dany we Florencyi!!! przez jakiegoś Zeidlera. Nie piszą, kto jest ten Zeidler... Donoszą o jakimś zasilku, nie wymieniając ilości. Słowem, że biedny ten jegomość, otrzymawszy taki list—i nie mając obietnicy listu drugiego, nie wie co począć—i ruszać się z miejsca nie może. Chcą także, aby im kupił zegarek i przywiózł, nie myśląc o tem, że to może wyczerpie ostatnie fun-

dusze jego—i że bez grosza nie będzie mógł z zegarkiem ani na zegarku jak na koniu wędrować.

Otrzymałem także list O[dyńca] pełny ognia i mizantropii. Zasmucił mnie—i odpiszę znów niezwłocznie, skoro uzbieram wiadomości o nowych osadach . . . . Chciej go, Mamo droga, upewnić, że zajmę się tém pilnie. Brata Idalki pobyt odkryłem z wielką trudnością i posłałem list. Odpowiedzi jeszcze nie mam.

Ja teraz w licznym towarzystwie domowym wesoło dosyć czas przepędzam—przynajmniej mam z kim pogadać a czasem potańcować . . .

Miałem bardzo przyjemną scenę. Oto damy miały tu u siebie dzieła mojego ojca—i raz położyły je na stoliku otwarte na portret mego ojca. Nie mogę ci opisać, Mamo, jakiego doznałem wrażenia, spostrzegłszy nagle jego wesołą, pogodną i uśmiechającą się twarz . . . . Zdawało mi się, że przyszedł do mnie pytać się o moje życie—i zostawić mi naukę spokojności—jeżeli nie szczęścia . . . . Mamo! droga moja Mamo, on cię z taką przyjmie twarzą w drugiej krainie duszy, bo ty byłaś dobrą dla jego syna—i nie opuściłaś go—i nie zapomniałaś o nim . . . . i jeszcze raz poświęciłaś się dla niego, skazując siebie dobrowolnie na samotne życie—na kłopoty interessowe. O, jak ja się zawiodłem, myśląc kiedyś, że pisząc, zrobię sobie pewny dochód niezależny od okoliczności—że kiedyś będę w stanie ofiarować ci, Mamo, przynajmniej na rok gościnny pokój zagranicą—że kiedyś będę ci służył do stołu—i całował ręce twoje i klękał przed tobą—i dziękował za wszystko, coś uczyniła dla mnie. Nie! Bóg mię zapisał w księdze przeznaczenia w wielkiej rodzinie tych ludzi, o których po śmierci powiadają księgi, że . . . . Nie chcę dokończyć, bo już cię raz, droga Mamo, nieuważne słowo w liście moim przeraziło . . . . Ale nie jeden ja nie mogę wylamać z głowy chleba. Oto Adam—ożenił się, w rok dwa wydał dzieła, i teraz musiał odprawić służbę, a żona jego sama trudni się kuchnią . . . . Czy tam u was kalendarze zajmują miejsca na policach biblijotek? Trzeba jednak nie upadać . . . . Walka z obojętnością ludzi podobną jest do walki tytanów . . . . rzuca mi na czoło wielkie światło piorunu—będę pięknym kiedyś . . .

Pisałem ci, Mamo, że tej wiosny sadziłem kwiaty. Otóż napiszę ci dziś, że mój ogródek coś nie rośnie, choć na słońcu, choć często

polewany . . . widać, że, jak mówią perukarze, ciężką mam rękę . . . Posiałem rezedę i nie weszła—a już to przecie więcej jak sześć tygodni upłynęło . . . więc nie wejdzie . . . Dlaczego? dlaczego? . . . Człowiek rozsądny odpowie, że źle były nasiona.—W altance mojej nieocienionej piekę się na słońcu.

Kilka dni temu odbyła się w naszym domu loterya dla naszych ziomków. Z 500. biletów sto było wygrywających. Miałem biletów 5 i żaden nie wygrał . . . Z powodu tej loteryi był świetny wieczór, dany przez P[anią] Wodzińską. Chcieliśmy tancować aż do wschodu słońca, ale się nie udało. O godzinie 2-giej wszystkie się damy rozjechały i zostało tylko kilku chłopców, którzy dla zamkniętych bram miasta do domów odejść nie mogli—z temi doczekałem poranka . . . Wieczór był dosyć wesoly. Trzy salony nasze, ubrane kwiatami, dosyć ładnie wyglądały—było kilka ładnych Angielek—a ja, przypomniawszy sobie zwyczaj Teofila, tancowałem tylko prawie z temi pannami, których nikt nie chciał wziąć do tańca. O, młodość moja! Jakby to miło między swoimi bawić się—i tańcować . . .

Dlaczego żaden wieczór teraz nie przypomni mi tego zachwycającego uczucia rozwijającej się nadziei—i słodkiej melancholii, z jakimi niegdyś suwałem się po wileńskich posadzkach? Teraz wszystko mi obojętne. Znużony tym wieczorem, zaduchem salonów, blaskami lamp . . . wyszedłem przed wschodem słońca na brzeg jeziora. Ciche były wody jak błękitne zwierciadło—rybki wyskakiwały na wierzch. Tak mi się zdawały wesole te rybki, które noc całą przepędziły w cichej wodzie—i nad rankiem pluszczą się i szukają świeżego powiewu . . . Coś w tym życiu rybek było bardzo sprzecznego z huczną nocą człowieka.—Marzyłem, patrząc na czerwieniące się niebo. Jakieś biedne kobiety przyszły prać bieliznę nad jezioro—grabłami naprzód odgarnęły muł brzegowy i kamyki, a potem rozrzuciły kosz cały prostej, czarnej bielizny. Nie wiem dlaczego, ale te prozaiczne zatrudnienie ludzi dziwnie mię wzruszyło, mnie, ubranego w balowym stroju. Zmysły moje rozigrane zdolne były do przyjmowania najmniejszych wrażeń . . . Spostrzegalem okiem prawie łzawym sprzeczności między chwilami życia, między celami życia różnych ludzi—myć bieliznę albo patrzeć na wschód słońca i topić się w marzeniach . . . Po jakiej ogromnej

drabinie te zatrudnienia musiałyby wchodzić i schodzić, aby się spotkać na środkowym szczyble. Prawda, Mamo, że najszcześniejsze rybki, które połyskały srebrną skrzela w chłodnej wodzie.

Widziałem wschodzące słońce, stanęły mi w oczach te poranki,<sup>1</sup> które przepędziłem na szczycie gór alpejskich, patrząc na te same słońce wschodzące niżej ode mnie. Ty sobie, Mamo, wystawić nie możesz, co to jest patrzeć ze szczytu Rygi albo Faulhorn na wschód słońca . . . Świat zdaje się pod nogami . . . ten sam chłód, który przenika na szczycie gór, rodzi w umysłach jakąś drażliwość . . . Plakałem na Righi. Rozczuliła mnie cichość i małość chat rozsianych po górach i dolinach, między zwierciadelkami kilkunastu jezior.—Widziałem rzutem oka cały kawał ziemi, który się nazywa krajem . . . i jest ojczyzną innych . . . Gdyby nie było na świecie poezji, to ta sama myśl, że człowiek, który chodząc po ziemi, zebrał tyle jasnych i zachwycających obrazów i z nimi do grobu pójść musi, urodziłaby ją.—Znów mię napada moja domownica zwyczajna—melancholija . . . Nie lękaj się, Mamo, tej mgły przeletnej, która się znów rozprysnie jak zazwyczaj . . .

Piszę teraz więcej niż kiedykolwiek, a co dziwniejsza, że piszę prozą. Aby ci dowiódł, Mamo, jak ty jesteś zawsze przytomna moim myślom, jak chciałbym wspomnienie twoje ze wszystkimi marzeniami nawet poetycznymi połączyć, muszę Ci donieść, że jedna z heroin mojej nowej tragedji nazywa się Sallomeą. Zobaczysz kiedyś, że piękna jak lilia . . . i nieszczęśliwa prawie tak jak ty . . . tylko z innych przyczyn . . . Bóg wie dla kogo piszę i kiedy wydrukuję. Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie i stąd więcej może będzie naturalności—i bardziej rozwiane zarisy . . . Kiedyś to wszystko—ktoś—wyda na świat—może mały Stasio, jak dorośnie. Teofilowie powieźli z sobą kronikę Kromera i dzieła mego ojca. Nie wiedząc prawdziwie, czy się z nimi zobaczę, nie wiem kiedy i jak dójdą mię te książki.

Nim napiszę do O[dyńca] z podziękowaniem i z żądaniami szczegółami, podziękuj mu, Matko droga, bardzo pięknie. Chciałbym czasem bardzo pojechać znów do Paryża—i nawet mam potrzebę tego dla sprawdzenia trochę zawitych rachunków z księga-

<sup>1</sup> [Przekreślono: gdzie]



rzami. Oszukują mnie i mam prawie oczewiste dowody, że mnie zbywają niczem... ale muszę ich zostawić wyrzutom sumnienia, jeżeli jeszcze cokolwiek mają podściwości... Prawdziwie, że klasa ta ludzi jest jedną z najgorszych—drą najbiedniejszych ludzi na świecie—i mają do czynienia z ludźmi najgłupszemi do interesów—z pisarzami.

Poznałem się z Panem Sobańskim, który mówił, że mnie znał dzieckiem. Jest to człowiek dosyć bogaty—kupił sobie obywatelstwo w Szwajcaryi i żyje spokojny z ładną i przyjemną żoną w Vevey—nad brzegiem jeziora. Poznałem także kilka dam polskich, między innymi Panią Potocką, właścicielkę Starego Konstantynowa, która wraca niezadługo do siebie. Dzisiaj była u Pani Wodz[iańskiej]. Jest to bardzo nabożna kobieta—w wielkiej komitywie z Xiędzem Proboszczem tutejszym. Ubolewała bardzo, słysząc z moich ust, że nic teraz nowego nie piszę—albowiem tak odpowiadam zawsze na zapytania pół litośne, pół uwielbiające naszych dam... Dziwiła się, że nie wstaję o 3. godzinie rano, aby widzieć wschód słońca—i musiałem ją zaspokoić, uręczając, że się nie kładę do 2. godziny w nocy... I teraz, Matko moja, spojrzalem na zegar i widzę, że jest właśnie godzina spania... Muszę więc zakończyć na kropce—albo na słowie dobranoc! Ty spiszesz już dawno, kochana Matko... a może, może bezsenna przewracasz głowę na zmiętej poduszce i myślisz o tej ciemnej przyszłości, w której nic dla nas nie widać... Matko, jak ja bym nie chciał dla cie[bie] bezsennych nocy... jakbym ci chętnie półowę snu mego ustąpił... a co do życia—chciałbym, aby Bóg zmieszał nasze przyszłe lata w jednej urnie i rozdzielił je na dwie równe połowy... ale to niepodobna umrzeć o jednej godzinie.

Jeżeli będziesz, kochana Mamo, pisać do Teofilów, proś ich, aby mi z większemi szczegółami o swojej podróży donieśli—bo niepewno nie mogę się puścić....

Muszę ten list skończyć, aby go odnieść dzisiaj na pocztę... Wyczytałem z gazet, że podobno 500 domów w Brodach spaliło się—spodziewam się, że to nic nie wpłynie na naszego H[ausnera].

Adieu, kochana, najdroższa Mamo moja... Uściskaj ode mnie Dziadunia i pokłoń się wszystkim. A propos... na Wielkanoc podług twojej recepty zrobione baby nie bardzo się udały—winien

temu piec nie dobrze napalony. Ciasto było ciężkie—zawsze jednak jadłem je z wielką przyjemnością . . . Całuję ciebie, najukochańsza Mamo, najserdeczniej . . .

Twój *Juliusz*.

[Adres:]

Pour les Messieurs  
MMurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autriche).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 26 Mai 1835.

Fco frontières. P. P. Brody 8 Jun. 1835.

(44.)

*Gen[e w a], d. 30 Czerwca 1835 r.*

Najukochańsza Mamo moja!

Od tak dawna żadnej wiadomości od ciebie—a ostatnie słów kilka, które mi napisałaś, Mamo droga, nie mogą się nawet za list policzyć. Bardzo mi smutno—bardzo jestem niespokojny. Teofilowie także nic nie piszą—nie wiem, gdzie są—i co mam robić, aby się z nimi zobaczyć? Pytałem się o to ciebie, Mamo droga, w ostatnim liście—i czekając odpowiedzi, długo się spóźniłem z pisaniem—ale ty wiesz teraz, Mamo, że ja zdrow, że mi żadne nie grozi nieszczęście, więc powinnaś być o mnie spokojna. Dobrze mi dosyć teraz na świecie. Jestem w domu pełnym dźwięku mojej rodzinnej mowy. Jeżeli sercami nie lgną do mego serca, jeżeli nie znajdują pomiędzy niemi takiego towarzystwa, jakiegobym duszą żądał, to przynajmniej często znajduję roztargnienie i cichą wesolość. Słucham ładnej muzyki—i słuchając, kryję się do muszli serca mego jak ślimak—odbywam powoli jak ślimak moją drogę w krainie myśli—i staram się jak ślimak oślinić łzami ślad jakiś na ziemi, któryby po mnie pozostał. Zabawy nasze są teraz dosyć rozmaite. Raz przejechaliśmy wszyscy czółnami na drugi brzeg jeziora—na obiad wiejski. Całe towarzystwo ziomków moich zasiadło pod wielkimi platanami u drewnianego stołu—i ja z niemi. Sami widzieliśmy i wybieraliśmy w sadzawce żywe szczupaki—i te przez nas zostawały skazywane na śmierć i autodafé ogniste. Przywiezione

w butelkach wino ciekło jak w Kanie Galilejskiej. Kamyki płaskie, ciskane naszemi dłońmi, skakały wesoło po jeziorze—graliśmy w zającą jak dzieci—w obliczu dam pozrzucawszy surduty i fraki. A kiedy przyszło do powrotu, niebo okryło się chmurami—jezioro kołysane burzą starało się nas ukołysać i zadowolnić jak dzieci—błyskawice wężami biegały po śnieżnych górach, a kropla deszczu nie śmiała nas uderzyć i zmoczyć... Słowem, ładny był spacer, wesoły dzień—nikt nie zasmucił się i nie stetryczał bolem głowy, jak się to często zdarza—nikt nie lękał się gromu Boga—wszyscy byli razem aż do wieczora... Szczęśliwi ludzie, jeżeli w terażniejszym czasie mogą razem doczekać wieczora. Wicher rozmiata żółte liście—i spotykającym się tumanom śpiewa zawczasu piosenkę pożegnania.

Mąż Pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi—wracają—wracają—ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia—usunąć sobie domowe szczęście—żenić synów—wydawać za mąż córki—zasadzać ogrody—siać zboże—budować i przybudowywać domy—patrzeć na zachód słońca—wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciółmi, z wiejskim sąsiedztwem... Zazdroszczę—choć takie szczęście podobne mi się czasem zdaje do kwiatowego cmentarza—bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć jak Luter, patrząc na groby Worms: *Invideo, quia quiescunt*. (Zazdroszczę, bo cicho spoczywają.) Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz, Mamo, te węży, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych—i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, Matko moja. Lilija wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą duszkę, a zrozumiesz moje żądanie... O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragediach... z takim długim westchnieniem kona moja nadzieja... Byłem u Panny Lenormand—obrywałem tyle razy margeritki—zdmuchiwałem cykorie—wiązałem trawy—szukałem czterolistnej koniczyny—i dotąd nie wiem, co mnie na świecie czeka... Zdaje się jednak, że musi coś czekać.

Jeżeliby moje widzenie się z Teofilami dla różnych przeszkód spełzło na niczem, to myślę za miesiąc wyjechać w góry—i usiąść

X  
na kilka miesięcy w jakiej chacie—oberży—aby widzieć chmury jesienne, łamiące się po skałach—aby się napoić pięknością natury—i mieć na długo serce pełne myśli, rozplywających się w Bogu... Nie uwierzysz, Mamo, jak podróż przeszloroczna wpłynęła wiele na wewnętrzznego mnie, a jak ja często mówię: na wewnętrzznego we mnie anioła. Zdaje się, że myśli moje odmłodziły. Jeden z tutejszych pierwszych malarzy ofiarował mi się być towarzyszem podróży. Miło mi będzie siedzieć przy nim na ułamku skały i patrząc na odbicie się natury w niedoskonałym sztuki zwierciadle. A kiedy tak będziemy cicho siedzieli między drzewami, wiewiórki przyjdą igrać koło nas, ptaszki będą pić krople rosy na listkach brzoźowych. Tak przynajmniej malarz Guigon wystawia mi te ciche godziny, które przepędza na rysowaniu szwajcarskich skał i dolin. Czasem mówię sobie, że Bóg dobrze zrobił, zaprowadzając mnie w te kraje—i gdybyś ty, Mamo, ze mną była!

Koszono siano w naszym ogrodzie. Dziwna i interesująca nowina, że koszono siano—ale wystaw sobie, Mamo, jak to miło czuć woń przeszłości... Pamiętam, że raz w Mickunach, stojąc na łące przy koszących ludziach, wyjąłem jakiś srebrny pieniążek, zdaje mi się, że złotówkę, i dałem ją chłopowi, który wszystkich innych wyprzedził... O laur! o nagroda!—Nie byłże ze mnie mały Czacki?... Otóż, kiedy tutaj skoszono siano, wyszliśmy wszyscy po śniadaniu i położyliśmy się na kopach rozrzuconych—panie i chłopcy i panienki—i tak leżeliśmy całą niedzielę, święcąc dzień Boży, nie myśląc o niczem, odurzeni zapachem umarłej i zabitej trawy, odrzucając tę myśl, że człowiek przechodzi jak trawa i kwiat polny... Bo to nieprawda—bo trawę i kwiat polny już skoszono—wywieziono—przedano—już konie zjadły, a my jeszcze nie przeszliśmy—i ja zabieram się na Matuzalowe lata. Szanowne zdrowie!... jak mówi Kochanowski. Co do mnie, ja czasem z przerażeniem patrzę na zdrowie i na przyszłość... Dlaczego?... Zwykła niespokojność jaskółki co się boi, aby się dom z jej gniazdami nie spalił, nim dzieci się wychowają... Jeszcze mistycyzm, czyli raczej ciemność porównania—trzeba wyjaśnić. Jaskółki, to moje szacowne dzieła dokonane i w przyszłości zamierzone... moje literackie gniazda—papiery, które można lepiej przyrównać do gniazd szczurów niż do gniazd jaskółczych. Ale co robić? Piszę, jak gdyby mię kto go-

nil, przekonany, że taki list, nosząc cechę mego terażniejszego usposobienia, najlepiej ci, Mamo, przedstawi mnie w takim humorze, w jakim teraz żyję. Atmosfera imaginacyi, kraj przenośni, wyspa ideału, przerżnięta rzeką łez—o! jakie to niemieckie! Ale dalibóg prawdziwe . . .

Panna Marya W[odzińska], która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału—i o niczem nie marzy, jak o pustelnicznym domku—nad rzeczką—o czarnej sukience, o lekarstwach dla chłopów, o topolach szumiących nad pustelnią—i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem . . . kiedyś . . . Tym mnichem-kartuzem mam być ja *en personne*—nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki Pan Podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczny domek—a ja nie będę mógł kartuzowym wspomnieniem zdobyć lilijowej duszy dla Aniołów . . . Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej rzeczywistości. Ty, Matko moja, zdaje mi się, że przeciwnie. Położenie twoje—umysł—ile razy wystawiam to sobie, zdaje mi się, że twoje serce musi być pełne wzniosłej poezyi. Poświęcenie się twoje!—Chciałbym być w sercu twojem, Mamo, w godzinę, kiedy siedzisz sama wieczorem—tak samotna na ziemi, jak ludzie przeszłych wieków—kiedy księżyc wschodzi nad górą zamkową, i mówi tobie o wielu rzeczach, i o tej róży, z którą posyłałaś mnie kiedyś—małe dziecko—do biednego . . . M . . . Widzisz, Matko, że ja teraz pamiętam każde słowo rzucone kiedyś w duszę twojego syna. Przypomniałem sobie wiele rzeczy, o których jużem był zapomniał przed laty . . . Zdaje mi się czasem, że przypominam sobie coś z przeszłego życia na tej ziemi . . .

A propos—zapomniałem z wszelką szczerością donieść ci, Mamo, że przed kilkoma dniami miałem trochę gorączki i fluxyą. Cały dzień przesiedziałem w pokoju—i natychmiast dobry doktor tu-tejszy przyszedł do mnie—i nic nie zapisał, ale na drugi dzień znów przyszedł . . . i nie zastał mnie, bom był na spacerze. Ta troskliwość doktora rozczuliła mnie—i pokazała mi dobroć serca ludzkiego—i mówiłem temu doktorowi, że mu wdzięczny jestem z głębi serca mojego. A trzeba wiedzieć, że to człowiek bardzo zimny i nie-

czułą, twardą, ślimakową obdarty skorupą... Magnes lgnie do żelaza... Jeszcze porównanie i niezrozumiane—Trzeba ci wiedzieć, Mamo, że mnie ludzie mają za żelazo—bardzo zimne. Wszak pamiętasz, Mamo, że jeszcze na Julka-dziecko mówiono, że dumny... to wina mojej twarzy—i Boga... Zdaje mi się, że Bóg miał włożyć kiedyś moją duszę w orla, co śpi na igłach śniegu—nie budząc się, kiedy wichur obrywa mu pióra—co nie ma przyjaciół—i szczęśliwy, że sam... patrzy na słońce... Szkoda, że nie poszedł Stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic... Takby mi dobrze było ze skrzydłami—i z jękiem ptaka w piersiach... Trzeba zniżyć lot—trzeba... Przymomniało mi to gęsie pióro, którym piszę... gęsie pióro—narzędzie nieśmiertelności, a teraz słodsze daleko narzędzie przelewających się myśli w myśli Matki. Trzeba zniżyć lot i napelnić koniec papieru wiadomościami małemi. Oto przyjechała tu aktorka z Paryża, którą widziałem w Paryżu—i teraz zobaczyłem nie podstarzałą i nie zmienioną. Z tego wnoszę, że ja także nie musiałem podstarzeć się. Może się trochę zmienilem na duszy—ale też gdyby i tej aktorce zajrzeć do głębi duszy, kto wie, jakie tam przemiany! To dziwnie, że ja ludzi uważam jak termometra, pokazujące ciepło żywotne mojego *Ja*.

Odebrałem list z Paryża, z którego zaczynam wierzyć w cudy—a cudem jest, że Panna Kora, o której pisałem Mamie, pamięta o mnie. Trzy blisko lat pamięci—O! o! o! z takim jękiem konają osoby w moich Tragedyach...

Adieu, droga Mamo. Zawsze nazywam ciebie Mamą, bo ci, co się oddalili i rozłączyli dziećmi, nie starzeją—i wszystkimi siłami chcą się zbliżyć do chwili pożegnania, aby rozłączenia się czas krótszym się wydawał—i nie przerażał myśli odbiegającej w przeszłość... Bądź zdrowa i szczęśliwa, Mamo moja...

Twój *Juliusz*.

[Adres:]

Pour les Messieurs  
Messieurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody, Autriche.

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 3 Juillet 1835.

Fco frontières. P. P. Brody 17 Jul. 835.

Najukochańsza kuzynko!<sup>1</sup>

Od dwóch miesięcy prawie już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem, nad jeziorem Lem[an]—w najpiękniejszym miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mnie w dzikie strony. Ludzie różnie o tym sądzą—jedni mówią, że się był zakochał szalenie w Pannie Wodz[iańskiej] i uciekłem... Niema w tym za grosz prawdy. Ponieważ z tobą, najdroższa kuzynko, mówię otwarcie, otóż wyznam ci, że uciekłem—a to dlatego, że biedna córka domu, widząc mię dosyć zajętego panią młodszą od niej—i widząc tę panią dosyć mi sprzyjającą—zaczęła schnąć—i zachorowała niebezpiecznie—i matka domyśliła się o co rzecz idzie i musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać... chociaż żal mi było domu, gdzie przez 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> lata mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dni było bardzo wesoło. Otóż przeniosłem się do wioski Veytoux, nająłem śliczny pokoik, błękitny—z okna widać winnicę—za winnicą jezioro, jak pół nieba wywróconego na ziemię—za jeziorem góry *Meillerie*, sławne w *Heloizie* Russa—słowem, trudny do opisania widok. Ludzie, którzy Neapol i Helespont widzieli, mówią, że ten im wyrówna... W dzień pokój mój, jezioro, niebo, góry, wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przezroczyste—jaskółki przylatują do pokoju, i tłuką się czasem piersią o zwierciadło... Pokój mój prześlicznie umeblowany. Chodzę na obiad do pobliskiej wioski Montreux, ale jestem bardzo samotny—bardzo samotny. Na dole w domu mieszka minister protestancki, dobry, do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci—z nim czasem gawędzę, ale smutny jestem...

Pani Wodz[iańska] z familiją wyjechała do Drezna; odprowadzała ją wiele osób. Panna Eglantyna umyślnie ją odprowadzała, aby potem mnie odwiedzić—i była u mnie—i płakała—i tysiąc prośb, abym wrócił... i matka jej ciągle mię zaklina—ale tak mi znudniało to, że com porzucił, że wolę samotność nad jeziorem.

<sup>1</sup> [W autografie wyraz *kuzynko* — tutaj i w dalszym ciągu listu — p. Bécu przekreśliła i dodała nad nim słowo: *matko*.]

Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mnie karmili i kochali przez dwa lata i dlatego jutro wyjeżdżam, a przejazd do nich bardzo łatwy i krótki. O godzinie 7. siadam rano na statek parowy, a o 4. po obiedzie będę w moim dawnym mieszkaniu. Ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleilo . . . Nudzi mię dóm, gdzie mieszkałem—i zasmuca mnie ta myśl, że ten dóm ma mi być obcym. Znów szukać nowych ludzi, oswajać się z nowymi twarzami—a tam byłem jak synem—i płakałem, wyjeżdżając, płakany.

Odebrałem list od Filów. Koniecznie chcą, abym przyjechał do nich. Teraz pokazało się, że nie mogę . . . Odebrałem i twój list, droga kuzynko, list, który mnie rozczulił, i pocieszył. Sąd o moich dzieciach jest moim sądem . . . Ale to, co po tych dzieciach narodzi się, będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze ciebie, moja droga kuzynko. Nawet zamyślałam ci ofiarować na pierwszej stronnicy nowe, zapewne tej zimy wylęgłe dzieciątko . . . Dopióro to, zaręczam ci, kuzynko, będzie twoim wnukiem . . . Powiedz, czy ci to nie zaszkodzi?

Wracając do Filów . . . nie mogę jechać do kraju, gdzie oni przebywają, żadnym sposobem . . . jednak jeden z moich przyjaciół otwiera mi jeszcze drogę niespodziewaną. Piszę list do Par[yz]a, do wielkiej osoby—może jako chorego upoważni do jechania, a wtenczas nie będzie żadnych przeszkód . . . ale o takie upoważnienie bardzo trudno . . . słowem, robię to przez znaczne figury— a robię, co mogę . . . jednak nie chciałabyś, kuzynko, aby mi się w podróży przytrafiło jakie nieszczęście . . . Filowie zrozumieć tego nie mogą—i w liście dają mi uczuć, że ja to muszę robić przez skąpstwo. Boże! gdybym ja mógł zobaczyć te kraje, gdzie oni są, przebyć z nimi zimę—cożbym ja za to nie dał! Ale mam dosyć rozsądku, że muszę sobie wyperswadować rzecz, która, jeżeli ostatnia moja staranina nie uda się, stanie się wtenczas niepodobną. Czy wrócę do domu Pani Pattey, czy gdzie indziej zimę przepędzę, jeszcze nie wiem—listy mię zawsze pod dawnym adresem dojdą. O moja kuzynko! kiedy patrzę na ten ładny domek, w którym mieszkam, jakby mi się chciało ciebie tutaj sprowadzić—i oddać ci mój pokoik błękitny, który zjadłabyś—taki ładny—jasny—i tylko



dla samotnego smutny. Jaskółki biorą go za kawałek nieba... Życie trochę mi taniej kosztuje, a taniej kosztowałoby jeszcze, gdybym nie był przymuszonym obiadu za domem szukać. Przy wyjeździe taki smutek, taka mnie nuda opadła, że zakazałem, aby mi nie przysyłano książek—wziąłem tylko kilka moich ulubionych autorów i z temi, jako to z Szekspirem i z Byronem, chodzę po górach, kładnę się pod drzewami i czytam... Śliczne trawy—śliczne kwiaty—woń wiejska przypomina mi dziecinne czasy—myślę o Mickunach i o Wierszchówce.

Prześliczne miałem księżycowe noce—wtenczas wychodziłem nad jezioro, siadałem na małym przylądku wchodzącym do wody, z jednej strony miałem księżyc, z drugiej strony zamek Chillon (który z okna o 200 kroków widzę). Pierwszy raz słyszałem w starej więzi śpiewanie puszczyka. Co mi w takich nocach przechodziło przez głowę, trudno wypowiedzieć. Czasem żałowałem ludzi i rycerzy, którzy ginęli niegdyś w tym zamku, a dziś zapomniani, i zamek ich tak cichy stoi w księżycowym blasku. Potem pytałem siebie, za co ci ludzie ginęli—i odpowiedź była napisana we świąteczkach chat wieśniaczych. Nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach. Otóż ci rycerze, którzy dawniej ginęli, zapewnili zgonem swoim szczęście przyszłych pokoleń... Widziałem więzienie pyszne Chillonu, widziałem filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźni. Czytałem Byrona, patrząc zbliska na mury zamku—i więzień Chillonu piękniejszym mi się wydał... Ale okolice zamku nie są moją najulubieńszą przechadzką. Co dnia, idąc na obiad, przechodzę około ślicznego kościołka. Otoczony kwiatami—bluszcz się wije po szarych gotyckich ścianach—pełno róż i jasmину pięknego wokoło—ławki, mur kościelnego dziedzińca porosły błękitnymi dzwoneczkami—a z muru najpiękniejszy widok. Oko biegnie po zaroślach i zielonej spadzistości na zwierciadło jeziora... Jak dobrze modlić się w takim kościółku—jak dobrze ludziom, którzy w nim<sup>1</sup> modlą się od kołyski aż do grobu!

Byłem raz na wiejskim balu na górze. Wieśniaczki i wieśniacy ubrani dobrze, kręcili się walca—a tak, że złudzonemu oku zda-

<sup>1</sup> [Przekreślono: żyją]

wało się, że cały taniec mijał nad brzegiem przepaści—i zawsze jezioro było tłem obrazu—widać je z każdej ścieżki, z każdej doliny, z każdej góry. Nic piękniejszego jak okolica, w której żyję—ludzie wszyscy pięknie zbudowani, mnóstwo kobiet prześlicznych, zgrabnych, a wszyscy zdają się szczęśliwi. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie...

Filowie przysłali mi 200 rs. Książek mi jeszcze nie odesłali. Ja zaś list twój, moja droga kuzynko, zaraz im posłałem do Liwurny. Spodziewam się, że go odbiorą. Nudzą ich bardzo Włochy, a szczególnie Hersylkę...

Anglik jeden, który znał Pana Okr[aszewskiego], chcąc mu podziękować za przysłanie łacińskiej kroniki, napisał do mnie list, prosząc, abym mały bilecik z podziękowaniem do mojego załączył... Ofiarowałem się chętnie to uczynić.—Piszę ten listek dzisiaj, bo jutro w mieście otoczony osobami, co mnie dosyć lubią, nie będę miał może spokojnej godziny na pogawędzenie z tobą, droga moja kuzynko... Milsza to stokroć gawęda niż z moim ministrem protestanckim, który mi dowodzi, że tańcować jest grzechem i wszelkimi sposobami stara się ten grzech z pomiędzy śmiejących się ludzi wygnać. Tak to ludzie sami znajdują sposoby dręczenia siebie, gdzie Bóg każe się cieszyć...

Gospodarzami mojami są wieśniacy, którzy dóm ładny wybudowali i drą jak mogą cudzoziemców, którzy dla kuracyi winogronowej i dziwnie ciepłego klimatu zjeżdżają się na zimę. Tego roku wiele familli wielkich chciało się tu usadowić, ale nie znaleźli dość wielkich domów.—Jakbym ja chciał, abyś mi, kuzynko, poradziła, czy mam wrócić do Pani Pattey, czy ich usilnym naleganiom odmówić? Listy ich rozdzierają mi serce. Jutro będę musiał obecnych nalegań słuchać, i opierać się im, a czuję, że samotność tak zupełna, jaką mam teraz, złą jest dla człowieka... Nadto myślę, i nadto zachmurzam się, a potem—tam mnie kochano, i zdaje się, że bardzo i szczerze. Nie wiem sam, czy wrócę, czy nie. Widzenie się z Teofilami położyłoby koniec wymówkom. Myślą, że się gniewam, że mi ich dom nie miły. Dobrze mi u nich było—spokojne wiodłem życie, jak we własnej rodzinie.

Od dwóch dni jestem w Genewie, gdzie mię przyjęto jak syna. Szwędam się i robię wszelkie starania dla uzyskania paszportu—do

Teofilów—i mam nadzieję, że go mieć będę za kilka tygodni. O, jakieby to było szczęście! Jutro wracam znów do Veytoux—do mojego wiejskiego mieszkania—i będę czekał rezultatu moich zachodów. W domu Pani Pattey znalazłem ładne Francuzki, które tu uciekają od cholery, bo słabość ta na umyśle Francuzów wielkie sprawia wrażenie.

Był tu teraz jubileusz protestancki, obchodzony z wielką pompą—właśnie przyjechałem statkiem parowym w sam dzień iluminacji.

Kto wie, może przysły list razem z Teofilami pisać będziemy. Oby tak było!

Moja kochana kuzynko! pisz zawsze do mnie pod dawnym adresem, to listy mię pewnie dojdą. Muszę zakończyć moją bazgranię, bo właśnie o godzinie pół do pierwszej muszę iść do doktora po otrzymanie świadectwa potrzebnego do wydania paszportu. Nie lękaj się jednak, moja kuzynko, o moje zdrowie—czerstwo wyglądam—i piersi moje nigdy z taką mocą nie oddychały. Adieu, najdroższa kuzynko! Odbieram właśnie w tej chwili list od Teofilów, w którym mi donoszą o przysłaniu książek, i znów nalegają o wyjazd. Adieu. Całuję rączki—oczki—ściskam ciebie serdecznie—i żegniam—

Twój *Juliusz*.

[Adres:]

Pour les Messieurs  
MMurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autriche).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 23 Août. [1835].

Eco frontières. P. P. Brody 11 Sep. 835.

(46.)

*Gen[e wa], d. 20 Paździer[nika] 1835 r.*

Moja najdroższa! Po trzech miesiącach pustelniczego życia nad jeziorem, wróciłem do mego dawnego mieszkania, i z przyjemnością osiadłem w moim dawnym pokoju—przed kominkiem, bo takie mamy zimna, że już się drwa palą w kominie. Pisałem ci już, droga

moja, jak żyłem samotny w górach, jak odbierałem tylko wizyty jaskółek wlatujących przez okno, albo rozmawiałem o przyszłości drugiego życia z ministrem protestanckim . . . Mgły i deszcze wypędziły mnie<sup>1</sup> z zaciszy, która przy złych niepogodach stawała się nadto ponurą i do mizantropii zaczynała nakłaniać moje władze umysłowe. Patrząc na jezioro, napisałem kilka lirycznych kawałków, które malują stan mojego umysłu przez te kilka miesięcy i dlatego może kiedyś podobają ci się, moja droga. Postąpiłem także w moim w nowym poemacie, i chciałbym bardzo tej zimy coś wydać. Zależyć to będzie od okoliczności, i od projektowanego ciągle wyjazdu do Włoch, który się nie udaje. Czekam do dziś dnia odpowiedzi na podaną do P[aryża] prośbę—o paszport—i ani odmówienia, ani paszportu nie jestem pewny. Te oczekiwanie przykre mi jest, i dręczy mię. Chciałbym widzieć się z Teofilami i ciągle nadzieja truje mi spokójność cichego zimowego życia. Oni także, nie wiedząc jak się mają rzeczy, obwiniają mnie o nieczułość, i o skępstwo, a tu zaprawdę niepodobna wyruszyć . . . Odebrałem list od nich przed kilką dniami—odebrałem pierwej jeszcze r. s. 200, na których miałem straty 55 fr.—przysłali mi nareszcie i książki, ale tak źle postąpili i nierozważnie, że mi za tę paczkę każą zapłacić tutaj 40 fr., co jest niesłychaną ceną—zdzierstwem, jakie tylko we Włoszech może się popęlić, bo za taką paczkę z P[aryża] płaci się fr. 4, a za książki Kochanowskich z Brodów zapłaciłem fr. 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub>. Odpowiedziałem więc Włochom, co mię teraz chcą zdzierać, że jeśli z ceny nie spuszcza, wyrzeknę się książek, i zdaje mi się, że to ich do ustąpienia połowy przynajmniej ceny skłoni.

Odebrałem także jeszcze na pustyni list twój—miły twój list, moja droga—i odczytywałem go z wielkim szczęściem po kilka i kilkanaście razy. Miło mi było sądzić twój szczegółowy o moich dzieciach znać. Zgadzam się zupełnie na wszystko, i wyznam ci, najdroższa, że list ten zapalił mię, abym podwoił usiłowań—abym cię, kochana kuzynko, czém lepszem uradował. Bo wyznam ci, że zniecierliłem moje pierwsze utwory. Czuję potrzebę większej doskonałości—rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się

<sup>1</sup> [W autografie: mi]

będę, aby coś jasnego napelniało moje karty, aby więcej lez było w słowach. Mam lat 25, trzeba, abym już był tym, czem być mam, i dlatego może nienawidzę moje pierwsze dziełka. Lubię jednak wszakże więcej nad inne *Godzinę myśli*. Coś w niej jest, co mię samego kołysze przeszłości dźwiękiem—jakaś cichą dawną piosenką.

Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmoniją, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego. Zastanawiałem się długo—nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnemi dźwiękami natury—widziałem ją zbliska błękitną, albo chmurną. Raz, wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerźnięty potokiem. Było to w niedzielę rano. Dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napelniał całe powietrze. Cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu—jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga.

Nie wiem dlaczego opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że ty sobie, moja droga, lepiej mnie wystawisz w takim obrazie. Jest to niby wizerunek symboliczny tego co czuję teraz. Nie idę do kościoła, ale słucham zdaleka między skałami dzwonu co zwołuje spokojnych ludzi na modlitwę. Dlaczego ty, droga moja, pisząc mi o twoich zamysłach przyszłych, opisując mi starania, któremi starasz się zabezpieczyć mi ciche, spokojne i miłe życie, myślisz, że ja oddalony, innemi może projektami zajęty, uśmiechać się na to będę jak na próżne marzenia? Nie, moja droga—jeżeli się uśmiechnę, to może tylko z niedowiarstwa w szczęście—czyli raczej z nieufności w ten los co mi kiedyś mógłby pozwolić używać—i być jak inni ludzie szczęśliwym. Za nic Bogu nie dziękowałbym tak, jakl za cichy mały domek przy Teofilach—domek biały z ogrodem, z jednym sługą—skromny codzienny obiad, mała szafa z książkami—oto jest zakres ograniczający moje marzenia. Przyrzekam ci tu, moja droga, że za niczém więcej nie gonilbym—chciałbym tylko mieć zupełną wolność głośnych marzeń. Bo czémże ja byłbym, gdybym stracił te okienko, przez które na świat patrzę, i odzywam się do przechodzących pod domkiem moim ludzi? Teraz zdaje mi się, że jestem na cós potrzebny—gdyby mi powiedziano, że nie, to

okryłbym się moim płaszczem, i położyłbym się spokojny do snu, pytając Boga, naco mi kazał grać rolę waryata na tym świecie. Bo już teraz byłoby za późno rozsądniejszą zaczynać wędrówkę—ani moje nauki ani myśli nie przydałyby się na co rozsądniejszego, i pożyteczniejszego dla mnie. Zrobiłem z mojej głowy narzędzie na nic innego, jak na to, do czego mi teraz służy, nieprzydatne. Zdaje mi się nawet, że ciągłym usiłowaniem w drodze wyższych marzeń—zabiłem w sobie ten dowcip towarzyski, który w życiu popłaca. Są osoby, z którymi nigdy nic nie mam do powiedzenia—mimo tortury umysłowej, jaką sobie zadają. Są zaś ludzie prostoduszni, jak np. ów minister protestancki, z którymi po całych dniach gadam i nie nudzę się, ani słuchacza dręcę. Co do płci pięknej—nieraz miło mi rozmawiać z młodemi panienkami, których wyobrażenia zupełnie są ograniczone, nieraz zaś znalazłem czczość w osobach okrzyczanych za dowcipne. Słowem, nie znam jeszcze głęboko serca ludzi, bo zdaje mi się, że moje ku nim pociągi są instynktami, i wytłómaczyć sobie charakterów miłych mi albo niemiłych nie umiem. Zdaje mi się także, że umysł mój dojrzał, bo nie znajduję już żadnej przyjemności w romansach czytanych, ani w tłumie tych dzieł lekkich, jakimi dotychczas mniej więcej otaczałem mój rozum. Słowem, usposobiony już jestem do cichego, wiejskiego życia.

Gdyby można przez kupienie małego kawałeczka ziemi otrzymać pozwolenie zamieszkania w stronach, gdzie Teofilowie osiąść zamyślają, bardzo byłbym szczęśliwy. Ale to trudne i może bez zmiany okoliczności niepodobne. — Genew[a] nudzi mię już bardzo z wielu przyczyn. Nie wszedłem w towarzystwa i chociaż bardzo by to łatwym teraz było dla mnie, lenistwo jakieś ciągle mię wstrzymuje—a najbardziej do tego lenistwa przyczynia się mieszkanie za miastem, trzeba by bowiem w zimne noce długą drogą powracać do domu. Fijaków tu niema i na każdy wieczór trzeba brać powóz, kosztujący fr. 6 na raz. Taki wydatek przy drogości życia jest niepodobny, policzywszy bowiem rękawiczki, każdy wieczór z 8 fr. kosztuje—a kto się na wieczorach nudzi, to nudy tak drogo kupować nie powinien. Przenieść się do miasta na mieszkanie niepodobna, bo i więcej bym stracił, i domu, w którym mieszkam, porzucić nie mogę—po tylu dowodach przyjaźni ze strony Pań Pattey. Wyjazd do Włoch przeniósłby mię w nowe strony i może potem

wybrałbym inne, przyjemniejsze i tańsze miasto na mieszkanie. Modłę się więc o paszport, ale mało mam nadziei. Robię projekt więc, jeżeli z Teofil[ami] nie połączę się, aby wyjechać po nowym roku do Bruxeli—piszą mi bowiem, że tam życie nadzwyczaj tanie i przyjemne. Znalazłbym tam znajomych i może dobrze by mi było. Ale projekt ten zapewne do skutku także nie przyjdzie, a to z powodu kosztu, jaki podróż pociągnęłaby za sobą.

Myślę nieraz, że mając ciągle i na długo gdzie się usadowić, trzeba niewiele tracić, aby na dłużej wystarczyło do życia. Nie uwierzysz, kuzyno droga, jak nie pozwalałam sobie żadnych przyjemności, a jednak wyznaję ci, że wyjeżdżając nad jezioro, winien byłam Pani P[attey] 400 fr. Przysłane przez Teofila fr. 750 poszły na zapłacenie tego długu, i teraz zostaje mi tylko fr. 200. Przymuszony sprawić sobie co na zimę, około Nowego roku, winien będę P[ani] Pattey blisko 400 fr., i jeżeli otrzymam zwykły zasiłek, to mi 800 zostanie, z którymi pojechawszy do Bruxelli, prędko byłbym bez grosza—a w nieznanym mieście trudno byłoby się załatwić.

Piszę ci, droga moja, otwarcie cały stan mojej kassy, boś mi kazała, abym tak czynił. Książki moje mało mi przynoszą, bo daleki od P[aryża], wystawiony jestem na wszelkie szachrajstwa księgarzy. Ci mi przysyłają rachunki, których [sprawdzić] nie mogę, i czasem po kilkadziesiąt fr. dają, kiedy im się podoba.—Przychód dwóch pierwszych tomów poszedł na druk następnych, a te zaledwo się teraz oplacają. Jeżeli co będę drukował, będę się starał przedać księgarzom z góry. Pfe—jak to niegodne łączyć pisanie z pieniędzmi! Lepiej jednak nic nie zyskiwać, jak przedawać za pieniądze opinię i imaginację.—Ty, moja droga, nie będziesz mną pogardzać za to, że ja na moje pióro wielkiego odbytu znaleźć nie mogę—ty nie będziesz z szyderską litością innych obcych ludzi patrzeć na mnie kopiącego się w ziemi jak biedna mrówka. Idę nieznany, i smutny, ale kiedyś może powiedzą ludzie, że wart byłam—własnego domku, ogrodu, i kilku przyjaciół. Dlaczego takie zniechęcenie? —zapytasz, moja droga. Dlaczego? Oto z bardzo małej przyczyny. Dziś widziałem jednego z moich ziomków, który po kilka razy nazywał mnie poetą, a nakoniec wyznał, że nic jeszcze nie czytał mojego. Prawda, że to był handlarz winny, który z próbkami jeździ

po świecie i interessa domu swojego załatwia. Bierze kilka tysięcy fr. na rok pensyi i zamyśla się ożenić ze starą wdową kupca i hand-  
del winny wzięść w posagu . . . Rozsądny człowiek!

Adieu, najdroższa, najukochańsza! Będę jutro pisał do Teofi-  
[łów]; jeżelibym wyjeżdżał do Włoch, to przed wyjazdem listem za-  
wiadomię. Jak się miewa kochany Dziadunio—jakie teraz, moja  
droga, ma towarzystwo—kto najmilszy—kto najbardziej gawędką  
skraca godziny? Wzięłem się teraz do czytania nót na fortepiano.  
Dosyć mi ciężko idzie, bom odwykl, ale kilka miesięcy nauki po-  
mogą. Grywam po kilka godzin co ranka. Czasem wieczorem gram  
wista—nie drogo—ale zawsze przegrywam. Adieu! Całuję rączki  
i oczy po kilka set razy—moja droga—moja najmilsza!

Twój *Juliusz*.

Chociaż, jak się spodziewam, list ten przed imieninami two-  
jemi dojdzie, droga moja, życzę ci tu szczęścia—ciszy—i spokoj-  
ności. Będę o tym dniu pamiętał—i przepędzę go jak wielkie święto  
wspomnień—i żalu—

[Adres:]

Pour les Messieurs  
MMurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autrichienne).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] P. P. Genève 21. 8bre 1835.

Fco frontières. Brody 5 Nov. 1835.

(47.)

[Geneva], 17/29 Listop. 1835. (S. B.)

Najdroższa moja!

W dzień smutny twoich imienin biorę tę ćwiartkę papieru,  
lecz po tak długim rozstaniu nie wiem, czego ci mam życzyć—nie  
wiem, czy w twoim biednym życiu jest jaki mały wypadek, którego  
mógłbym ci wieszować. Niech Bóg czuwa nad nami!—Stanąłem  
w oknie moim, patrząc na dwa małe koty, które się uganiają po  
dziedzińcu za suchymi liśćmi klonu, wesole jak dzieciątka, i my-  
ślałem o malowanych kotkach Melanki, które ci niegdyś dała na



powinszowanie imienia. Biedny aniołek—śnieg biały leży teraz na jej malej mogiłce.

Otworzyłem książkę Kochanowskiego i threny dwa, naznaczone twoim bladym ołówkiem, przywołały nowy łańcuch uczuć i pamiątek. Pomyślałem, że gdzieś w innej stronie Teofilowie myślą o nas—także smutni w ziemi obcej, i niemilej. Z listów ich widzę, że są dziwnie znudzeni światem. Staralem się, jak mogłem, aby się z nimi połączyć—i pomimo nadzwyczajnych zabiegów, tracę nadzieję, aby się to kiedy stać mogło—chyba będę ich czekał powracających na drodze, a oni także nieco z drogi zjadą, aby się ze mną zobaczyć. Wielka przyjemność w życiu moim ubyla przez to, że z nimi zimy nie przepędzam. Jużem marzył z rozkoszą o tych kilku miesiącach wędrówki w nowym kraju, z dawno kochanymi osobami—już nawet przeczuciem doznawałem nowych wrażeń—smutku na dawnych ruinach. I dopióro dwa tygodnie temu, jak list ostatni pozbawił mię prawie ostatniej nadziei. Osoby, które się podjęły były wyrobienia pasz[portu], tak opieszale chodziły koło tego, że rzecz zadawniała, i prośby moje bez żadnego skutku zostały. Muszę więc siedzieć na miejscu. Pisałem do Teofilów niedawno, aby ich przekonać, że jeżeli nie jadę do nich, to nie przez opieszłość to czynię. Nie wiem czy uwierzą temu, bo im się zdaje, że to wszystko łatwo w moim położeniu—a nie wiedzą, że przeciwnie... W listach, wzajemnie pisanych, wzdychamy wszyscy troje do cichego kąta w naszej rodzinnej ziemi, i do spokojnego wiejskiego życia. Oni szczęśliwi zapewne to mieć będą—co do mnie, niech się dzieje wola Boża.

Zimę tę nie wiedzieć jak przepędzam. Ciągła nadzieja wyjechania stąd do Teofilów—porwała łańcuch moich marzeń. Ja, co zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu, tego roku głowę mam podobną do niezapalanej latarni—więc nudzę się—czegoś myśli jest największą dla mnie męką—nie wiem, o czym marzyć—a nie mając w głowie żadnego zmysłowego obrazu, muszę myśleć o nudnej rzeczywistości. Czas mamy bardzo brzydki—śnieg padał—teraz ciągle mgły i wilgoć. Dolina, w której leży nasze miasteczko, skoro się raz mgłami napelni, mgły te kręcą się, i wyjść nie mogą dla otaczających gór—trzeba więc czekać aż się wyplaczą. Poeta, który robi sentymentalne porówna-

nia, przyrównałby miasteczko do serca, które się samo w sobie zaklepa—i raz napelnione mgłami, nie wypogodzi się tak prędko jak serca na wszystkie cztery wiatry otwarte. Ale ja, co kiedyś lubilem takie naciągane porównania, znajduję teraz je smutnie śmiesznymi.

Dóm nasz dosyć teraz wesoły. Mięszka w nim jeden Francuz, jeden Anglik, i jeden z moich ziomeków—ale nie z liczby tych niedźwiedzi, co liżą łapę przez całą zimę. Jest to ziomek wojażer, bogaty, lubi bawić się, trzyma powóz i konie, daje co tydzień wieczory, ma wszystko oprócz zdrowia. Lubię go, bo dobry chłopiec—znałem go z widzenia na uniwersytecie, gadamy więc często o dawnych czasach. Nazywa się Rajocki. Od niego dowiedziałem się, że biedna Julka Sanders umarła. Ze smutkiem wspomina o niej, bo się kiedyś w niej kochał i nosił jej na wieczory jabłka w kieszeni, bardzo bowiem lubiła ten owoc. Mamy więc co poniedziałku mały wieczorek. Pani Pattey zaprasza damy, mój ziomek chłopców, i tańczymy. Wojażer nasz, choć tyle lat (bo od sześciu roków) zagranicą, nie zapomniał polskich zwyczajów i zawsze zimną zastawia kolacją—i podług twego przepisu, moja droga, kazaliśmy piec baby, które się dosyć dobrze udały. Ostatniego poniedziałku nietylko mazura, ale tańcowaliśmy nawet nigdy niewidzianego tu poloneza. Wieczorki nasze, bez żadnej etykiety, bardzo wesołe.

Najdroższa moja! oddano mi w tej chwili twój list z zasłaniem—list okropny dla mnie! Gdybym mógł się w ziemię żywy zakopać—i jeść ziemię—tobym zrobił to w tej chwili. Najukochańsza, powiedz mi, co ja mam robić, abym nie był ciężarem na tej ziemi! Ty chodzisz w podartym szlafroku, ale ja—także—od czterech lat jeden frak mam czarny—i tylko sobie co lata jeden tużurek robić każę, aby między ludźmi dziurami nie świecić. Kilka dni temu kazałem sobie frak robić, bo już w dawnym paryskim nie mogłem nawet na domowych wieczorach pokazywać się. Wyrzucam sobie tylko stół mój domowy, który dla mnie zanadto drogi, i przyrzekam ci, najdroższa, że przed Nowym Rokiem wyjadę—albo do Brux[elii], albo do południowej Fr[ancji], albo do jakiej innej miejsciny kraiku, w którym teraz mięszkam . . . i będę żył jak można najoszczędniej. Droga moja! od dwóch lat nic nie

drukowałem i nie myślę drukować; a jako mi radzisz, jeżeli co mieć będę—przedam (ale kto kupi? . . .).

Więc ciebie obsiadają i objadają goście! Biedna ty! biedna ty . . . Gdybym ja był przy tobie, tobym pracował—bo ja teraz nie dumny—ale tu, czego się ja chwycę . . . Teraz, kiedy przebiegam wszystkie użyteczne zdolności, sława literacka czczą mi się wydaje—ckliwo mi, myśląc o niej. I znów czytam list twój do Teofilów i płaczę jak dziecko. Biedna ty—tobie zimno w twoich pokojach, a ja mam ogień na kominku. Ty wiesz, droga moja, że ja, nic nie zrobiwszy dla naszej kuzynki, nie mam prawa upominać się o szczupły zasilek, jaki mają jej synowie z szcudrośliwości tutejszych. Ty wiesz o tem—ty wiesz, że ja mam na sumieniu, że za mało czuwałem nad nią, kiedy chora leżała. Ja mam także sumienie—a jeżeli stetryczniał, to niemało się do tego przyczyniła ta myśl, że nieużyteczny byłem jak chwast. A każdy smutek w moim życiu zdaje się być słuszną karą Boga . . . Ale czemu ty nie opalasz wszystkich pokojów—dlaczego ty zimno cierpisz? Pomyśl, jeżeli ty siebie oszczędnością taką zabijesz, co się ze mną stanie? Zawołaj zaraz Ambrożego, niech zapali we wszystkich piecach. Zaklinam ciebie—bierz z kapitałów, i nie oszczędzaj się tak, że oszczędność do nędzy podobna . . . Ja wiem, droga moja, że ty mi odpiszesz list uspokajający—ale cóż, kiedy ja stąd widzę ciebie, i dawno przeczuciem widziałem biedny twój stan. Owszem, bądźmy szczerzy nawzajem. Ja wyznaję ci, że abym się mógł zżenować, muszę odmienić miejsce pobytu, bo to jest nadto gorzko, i prawie niepodobnem tutaj w domu, w którym mieszkam, wyprowadzić się do jakiej małej stancyjki. Nareszcie gospodynie moje nie pozwoliłyby na to—ofiarowałyby mi zmniejszenie ceny, która i tak mniejsza jest o wiele dla mnie niż dla innych. Już mi nawet o tém przebaknęły, ale ja, widząc, że ich interesa także źle idą, nie mogę się zgodzić, abym zostawszy u nich, mniej płacił niż utrzymanie moje kosztuje. Pojadę więc, jak mi się zdaje, do Brux[eli], a tam może mi się uda stać się jakim sposobem użytecznym sobie. Ale jak tu wyjechać przed Nowym rokiem, kiedy w ostatnim liście pisałem do Teofilów, że będę ich czekał, powracających wiosną, na południowo-wschodniej granicy Alp? Widzenie się ich ze mną będzie takim sposobem bardzo łatwe, mało bowiem z drogi zбочę. Wy-

jazd więc mój, lub pozostanie tutaj, jeszcze od ich listów zależą— jeżeli mi napiszą, że będą wracać drogą, którą im wskazałem, już mi, serce moje, ani żadne widoki oszczędności nie pozwolą stąd wyjeżdżać przed widzeniem się z niemi. Będę musiał czekać do wiosny, a wiosną pojechać na ich spotkanie na drugą stronę naszego małego kraiku.

List ten pełny nieporządných projektów i przedsięwzięć pokazuje ci, moja droga, jak ja pracuję głową, aby coś z niej dobrego wycisnąć. Nakoniec, ty sama życzysz sobie, abym się z Teofilami widział. Odebrałem także dziś list, w którym mi donoszą, że pewna Xiężna Pani chce za mną pisać do tego Pana, który mi widzenie się z Teofilami, tam gdzie są oni teraz, ułatwić może. Może więc jeszcze za tygodni kilka pojedę do nich—ale mało mam zaufania w tym ostatnim błysnieniu nadziei.

30 List. Wczoraj wieczorem gadałem do 1. godziny w nocy z Panną Eglantyną otwarcie o moim przedsięwzięciu wyjechania do Brux[eli]. Płakała—płakała—i płakała... Widzisz, droga, że ja mam teraz dosyć rozsądku i nie wstydzę się powiedzieć ludziom, że muszę się oszczędzić, i szukać tańszego miejsca pobytu... Co przewidziałem, nastąpiło. Chciała koniecznie, abym za połowę ceny teraz płaconej żył w ich domu. Odpowiedziałem stale i z uporem, że się na to nie zgodzę—że nie jestem przyprowadzony do tego, abym nadużywał przyjaźni biednej wdowy, która pracuje na kawałek chleba, i z takim go zarabia kłopotem... Nie prawdaż, moja najdroższa, że ty sama nie chcesz po mnie takiego egoizmu? Wyjechałbym zaraz, gdyby nie to widzenie się z Teofilami, gdyby nie ten list, w którym mi dają nową nadzieję. Jakoś to będzie. Może, czekając na nich, przepędzę lato w jakim tanim domku szwajcarskim, a na drugą jesień wyjadę—z uzbieranym nieco groszem. Może co napiszę i przedam, jeżeli uda mi się co interessującego napisać. Słowem, będę się starał z mojej strony, aby nam obojgu lżej było na sercu. Ja wiem, droga moja, że ty mi z rozkoszą ostatnie oddajesz, ale ja, co na własnej spokojności szczęście moje zasadzam, smucę się, myśląc, jakim jestem ciężarem. Często nie mogę pojąć, skąd ty wydobywasz nowe grosze, i myślę, że może ci anioł jaki sypie do twojej mahoniowej szkatułki. Bądź zdrowa, najdroż-

sza, najukochańsza! Mam nadzieję, że ci z powrotem Filów lżej i lepiej będzie. Adieu...

Twój *Juliusz*.

Pisz zawsze, droga moja, pod ostatnim a terazniejszym adresem, a listy i przesyłki dojdą.

[Adres:]

Pour les Messieurs  
MMurs Hausner et Violland  
Banquiers

à Brody (Gallicie Autrichienne).

Pour remettre à Mme de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Genève 3 Xbre 1835.

Fco frontières. P. P. Brody 17 Dec. 1835.

---

... (faint, mostly illegible text at the top of the page)

... (faint, mostly illegible text in the middle section)

... (faint, mostly illegible text in the lower section)



[Jako uzupełnienie poprzednich listów dajemy wielokrotnie wspomniany cytowany w nich pamiętnik Słowackiego. Zachował się on tylko fragmentarycznie. Ocalało 18 kartek nieliczbowanych, a mianowicie: (1) dwie kartki obejmujące początek i koniec Rozdziału IV (pomiędzy 1 a 2 kartką luka niewiadomej objętości; dolny prawy róg 2 kartki urwany); (2) cztery kartki z tekstem Rozdz. X; (3) cztery z tekstem Rozdz. XIII; (4) cztery z tekstem Rozdz. XIV i (5) cztery z urywkami któregoś z dalszych rozdziałów. Kartki te obecnie są oprawione razem z autografem I Rapsodu *Króla-Ducha* i znajdują się w Bibliotece Ord. Krasieńskich w Warszawie (Rękopis Nr. 5218). Po raz pierwszy fragmenty pamiętnika ogłoszone były przez W. Gasztowtta w *Przeglądzie Polskim*, w numerze lipcowym z 1879 r. — Wydanie niniejsze opiera się na autografie i prostuje liczne błędy i niedokładności wydań dotychczasowych.]



D. 17. Lipca 1831 r. D r e z n o.

#### ROZDZIAŁ IV.

*Wyjazd do Wilna. — Wiérsze znalezione na grobie mego Ojca. — Pierwsze poezyi próby. — Iliada. — Bitwy moje w zbrojach. — Książki, które mi najpierw upadły w ręce. — Eneida Wirgiliusza. — Zmieniam sposób pisania pamiętników.*

1817. r. W sierpniu przyjechał do Kamieńca Professor Becu w zamiarze ożenienia się z moją matką. Zdecydowali ją rodzice—jużto, żeby na przypadek ich śmierci miała opiekuna, jużto dla mojej edukacyi, która w Wilnie mogła daleko lepiej być przedsięwziętą. Trzema dniami przed ślubem dowiedziałem się o tem. Myśl wyjazdu do Wilna bardzo mnie ucieszyła. Pamiętam ślub mojej matki o godzinie 9-tej wieczorem w kościele Licealnym. Mała liczba przyjaciół była przytomna. Widząc moją matkę płaczącą serdecznie, także płakałem. Przy końcu sierpnia wyjechaliśmy do Wilna. Miałem wtenczas lat 8. Wilna nie pamiętałem zupełnie. Panny Becu, Olesię i Hersylkę, a teraz siostry moje, zastałem w Dąbrowni—ledwo mogły dostrzec małego swojego przyjaciela, tak byłem mały i szczupły. Obrazilem zaraz jedną z nich zgryźliwą jakąś uwagą. Przy wieczery opowiadałem w zapale jakąś komedya, tak, że aż wstałem od stołu, łącząc do opowiadania dziwaczne gesta.—Przybywszy do Wilna, zaraz pobiegłem do mego małego ogródka. Potem z Matką odwiedziłem grób mego Ojca na Rossie—klęcząc na kamieniu, zmówiłem pacierz i płakałem, bo o łzy u mnie nie było trudno. Grób mego Ojca jest jednym z najpiękniejszych na Rossy cmentarzu. W skale, ułożonej sztucznie z kamieni, wprawiona tablica ukośna, marmurowa, na niej skromny nap[is]

[Liczba książek zamkniętych w szafce mojej Matki wyczerpała się. Brałem się do najnudniejszych—a lubilem małe książeczki. Pochlebiali mi to, gdy całą przez dzień mogłem przeczytać. Maxymy de la Rochefoucauld winne są małemu swojemu formatowi, iż je kilka razy przeczytałem.—Dowiadywałem się ciągle, czy niema jeszcze innego takiego dzieła jak Iliada. Matka moja obiecała mi dać Eneidę Wirgiliusza. Z jakąż niecierpliwością czekałem téj książki—dostałem ją nakoniec—lecz mamże wyznać? Znudzila mnie okropnie i dotąd jeszcze usypiające ma dla mnie [skutki,] gdy Iliada Homera [dotąd mnie] zachwyca, już nie jako [obraz woljen, ale jako wzór p[oezyi(?) . . . . .]kości . . . . .]

— W następującym Rozdziale zmienię sposób pisania moich pamiętników—będzie to dziennik niektórych dni mego życia, tak pisany, jakby był wtenczas, kiedy się one przytrafiały—bo nie chodzi mi o wystawienie wypadków tak, jak mi się one przez prizma dalekich wspomnień ukazują, ale chciałbym je opisać tak, jak wtenczas wzruszały moje uczucia. O jakżeby wszystkie zbladły, gdybym im dał koloryt zimny i błady uczuć moich terażniejszych. [Nie] byłem zawsze taki jak jestem. [Przyczy]na z dziennika się okaże.

Par y ż, 20. Lipca 1832 r.

Od 1826 do 1827.

## ROZDZIAŁ X.

*Samobójstwo Ludwika Szpitznagla. — Wiersz jego w sztambuchu. — Sonet mój. — Choroba matki. — Chrzest mój. — Wyjazd do Krzemieńca. — Podróż do Odessy. — Starzyński. — Tulczyn. — Trębeckiego wspomnienie.*

Początek roku był dla mnie nadzwyczaj smutny, ale nareszcie przywykłem do życia prostego i pozbawionego wypadków serca... Z Lud[wisia] w mieście byłem zupełnie inaczej niż na wsi... byliśmy zawsze grzecznie, aleśmy się tylko przy ludziach widywali... Tak, że tylko kilka razy jeździłem z nią konno do Zakretu.

Okropny w tym czasie zdarzył się wypadek. — Ludwik Szpitznagiel przyjechał do Wilna, z Petersburga, gdzie wchodząc do instytutu wschodnich języków, otrzymał miejsce dragomana przy konsulu rossyjskim w Alexandryi, w Egipcie. Gdy przejeżdżał przez Wilno, znów odnowiła się nasza przyjaźń... Napisałem mu do sztambucha wiersze, które go zachwyciły, i z tych cztery tylko [pamiętam]:

Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje —  
Myśl, która nie zna tamy, i za sercem płynie;  
Ona ciebie przeniesie w twe rodzinne kraje,  
A mnie na brzegi Nilu, w Afryki pustynie.  
etc.

Odjechał nareszcie wesół z otwierających się przed nim nadziei. Wojaż ten był jak początek romansu dla niego—ale myśl samobójstwa ulatywała nad nim... Przyjechał do Snowia, gdzie

się kochał zapamiętałe w 12stoletniej dziewczynie . . . kilka dni przy tém dziecku przepędził . . . nakoniec przyszedł dzień odjazdu, zaszyły konie pocztowe. Ludwik pożegnał się z kochanką, z ojcem kochanki—i żartując niby, rzekł do tego ostatniego: „Czy wiesz, że ja podług Galla mam organ samobójstwa.“—„Być może, odpowiedział R[dułtowski], ale się pewno nie zabijesz.“ Ludwik wyszedł—do pokoju, w którym mieszkał—po chwili usłyszano strzał z pistoletu. Wpadłszy do pokoju, ludzie znaleźli go bez życia, nieżywego. Strzelił w serce . . . Mogiła jego na polu. O nim teraz wspominałem, kiedy mi lzy popłynęły, czytając Cambella wiersze na samobójcy grobie:

Ah! once, perhaps, the social passions glow'd  
In thy devoted bosom — and the hand  
That smote its kindred heart might yet be prone  
To deeds of mercy. Who may understand  
Thy many woes, poor suicide unknown?  
He who thy being gave shall judge of the[e] alone.

Zostało mi po Ludwiku Szpitznaglu smutne wspomnienie. Mam i chowam religijnie jego tłumaczenie poematu arabskiego pod tytułem Szanfary, lepsze daleko od tłumaczenia Mickiewicza. Kiedyś może napiszę życie tego młodego człowieka. Był to kwiat piękny, który nie dał owocu . . . Wiersze jego w moim dzieciennym sztambuchu napisane, są piękne przecuciem i smutkiem . . . Oto są:

Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,  
Gdy będziesz myślą w drogiej przeszłości się stawiał,  
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,  
Jak przeszłość zniknął — jak przeszłość nie wróci...

Jaki pośepny dźwięk tych wierszy! Czytając je, cały nachylałam się w przeszłość i chcę uchem łowić dźwięk przeszłości . . . i słucham zamyślony . . . I ona także jak przeszłość nie wróci . . .

Tej zimy—w nocy—napisałem sonet, który między pannami uważany był jako najpiękniejsza poezya. Wypisuję go tu dla zachowania go sobie na przyszłość . . .

Już północ — cień ponury pół świata okrywa,  
A jeszcze serce zmysłem spoczynku nie daje,  
Myśl za mniomem szczęściem gonić nie przestaje;  
Westchnienie po westchnieniu z piersi się wyrывa.

A choć znużone ciało we śnie odpoczywa,  
To myśl, znów ulatując w snów i marzeń kraje,  
Goni za marą, której szczęściu nie dostaje,  
A dusza przez sen nawet drugiej duszy wzywa.

Jest kwiat, co się otwiera pośród nocy cienia,  
I spogląda na księżyc i miłe tchnie wonie,  
Aż póki nie obaczy jutrzeńki promienia.

Jest serce, co się kryjąc w zakrwawioném łonie,  
W nocy tylko oddycha, w nocy we łzach tonie,  
A w dzień pilnie ukrywa głębokie cierpienia. —

Wiersze te prawdziwie noszą na sobie cechę sentymentalizmu kobiecego, pachną myszką; ale wtenczas zdawały mi się bardzo pięknymi... Napisałem jeszcze jedno w podobnym guście pod tytułem: Nowy Rok, ale tych już nie pamiętam.

Tej zimy, w zapusty, matka moja w okropną wpadła chorobę. Boleści jej powracały co dnia, tak, że krzykiem napelniała pokoje. Często ten krzyk przeraźliwy budził mnie w nocy, i wtenczas miał jakąś rozdzierającą okropność. Doktorowie zwątpili o życiu mojej matki, ja jednak o tak bliskim końcu, jak zapowiadali, nie myślałem... Nie mogłem przypuścić, aby matka moja mogła umrzeć... Doktorowie kazali kuzynkom moim napisać o bliskim zgonie mojej matki do familii na Wołyn... Jan Januszewski, jój brat, natychmiast przyjechał... Po dłuższej chorobie i boleściach polepszyło się matce mojej... Jasio, brat niegdyś bawiącego w Wilnie Teofila, odkrył, że miłość dla tego ostatniego w Hersylii zawsze trwała, i napisał o tem do Teofila. Widząc stan mojej matki, Jasio przyspieszył między niemi małżeństwo. —

Wkrótce przyjechał Teofil z Babunią na wesele. Chrzciłem się razem z Hersylią z oleju, bo dotąd z wody tylko byłem chrzczony; dziwna jest, że ten chrzest otrzymywałem wtenczas, kiedy już zaczynałem tracić wiarę...

Po tym chrzcie i weselu matka moja i wszyscy pojechali do Krzemieńca, ja zaś zostałem sam jeden w Wilnie dla dokończenia nauk rocznych, i na wakacye miałem za niemi pośpieszyć.

Skończyłem wreszcie nudne examina i pocztą wyjechałem z Wilna... Zawsze tę drogę odtąd odbywałem pocztą, w dni cztery

robilem mil 100 i bawiło mnie gdy widziałem odmieniającą się prawie klimatem ziemię w przeciągu tak krótkiej lecz szybkiej podróży. Ale przejeżdżając przez Jaszuny, kiedy widziałem drogę do wsi, gdzie mieszkała Lud[wisia], drogę, którą ona przejeżdżała niedawno, serce moje ścisnęło się—wszystko bym poświęcił, gdyby mnie tylko pozwolono pojechać tą drogą. Ale nie byłem sam—jechałem z Grocholskim, inaczej możeby mnie był Krzemieniec nie obaczył.—Wtenczas spodziewałem się z Krzemieńca jechać do Odessy i ta podróż była dla mnie tak pożądaną, że wszystko dla niej poświęciłem...

W Krzemieńcu zabawiłem dwa tygodnie i z matką pojechaliśmy do Wierszchówki do Michalskich... Tam było mi dobrze—znów Julka oczarowała mnie, ale zdawało mi się, że nikt tego zakochania się nie widzi. Wkrótce z Zenonem M[ichalskim] przedsięwzięliśmy podróż do Odessy. Prawdziwie, że jak warjaci wyjechaliśmy z Wierszchówki—jechałiśmy jak na spacer—ładnym Zenona kabryoletem—cztery konie w krakowskiej ładnej uprzęży—furman jego także po krakowsku bogato ubrany, i kozak za nami... Tak jadąc, zdawało się, że jedziemy szukać awantur.

Pierwsza jednak źle się nam udała, bo Zenon z kochanką swoją, dla będących u niej wtenczas gości, nie mógł się widzieć... Śmiałem się z zawodu, którego doznał, i cały ten wieczór wesolo nam zszedł... Na drugi czy na trzeci dzień, pamiętam, żeśmy spotkali konno jadącego żyda. Dowiedziawszy się od niego, że był karczmarzem Stanisława Starzyńskiego (niegdyś wielkiego przyjaciela mego Ojca), powiedzieliśmy żydowi, żeby spieszył do pana i powiedział mu, że dwaj znajomi jego przyjadą, żeby więc ich na obiad czekał... Żyd, widząc nas jadących elegancko, uwierzył, że jeździmy z wizytami i popędził naprzód swego konia—i Starzyński może do późna czekał swoich przyjaciół z obiadem i dziwił się, że nie przyjeżdżają... Jeżeli go kiedy spotkam w życiu, bo on często wojażuje, to mu powiem o całej awanturze.

Trzeciego dnia wieczorem przyjechaliśmy do pięknego Tulczyzna Potockich... Chorosze, ogród i pałac zachwycił mnie... Długo chodziliśmy po ogrodzie, aż doczekaliśmy pięknego księcia. Długo jeszcze stojąc na dziedzińcu pałacu, patrzaliśmy na ten gmach, po którym księżyc białym splotał promieniem—i wi-

dząc go pustym i cichym, zdawało się nam, że nad nim cięży przekleństwo Boga za zdradzenie Ojczyzny—i mimowolnie дума ludu, przeklinająca Potockiego, cisnęła się do naszych ust... Wystawiałem sobie, jak kiedyś Trembecki wpuszczał przez okna ulubione wróble do swego pokoju... jak patrzył na tę samą okolicę, na którą patrzymy... Przekłete czasy, kiedy mieszkanie zdrajcy było mieszkaniem pierwszego poety. Romantyczność, pochodząc z duszy, to ma za sobą, iż gasi iskrę poezji, skoro tylko własny szacunek siebie zgaśnie. Życie romantycznego poety powinno być romantyczne, i choć nie potrzebuje wielu wypadków, chce, aby te wypadki były czyste i wznoszące duszę...

Par y ż, 22 Lipca 1832 r.

Od 1827 do 1828.

### ROZDZIAŁ XIII.

*Marzę o tragediach. — Wyjazd ze wsi. — Praemium. — Żegnam ją na zawsze. — Dzień piekielny. — Porzucam Wilno. — Obiad w Jaszunach. — Jan Śniadecki. — Powrót do Matki. — Poemat wschodni. — Koniec I-szej części wspomnień. — Przymierze z Szatanem.*

Jeszcze mi kilka dni na wsi pozostało... W tę samą grę grając, przegrałem kilkanaście sonetów... ale wypłacić je trudno mi było zaraz, więc mi pozwolono długi termin do wypłaty naznaczyć—lecz i tak nigdy długu nie oddałem... Pamiętam, jak siedząc raz w ciemnym pokoju na kanapie i słysząc czytającą w przyległym pokoju stryjowi Ludwisę (czytała życie Drydena), marzyłem o tragediach, jakie w przyszłości pisać będę... marzyłem o różnych bohaterach, wziętych z nowogreckiego powstania... Teraz pisałem już tragedye, ale te nie są ani o Grekach, ani tak złote i iskrzące się, jak mi się przedstawiały w przeszłości...

Mróz nakoniec zelżał nieco i powróciliśmy do Wilna. Przez całą drogę ciągle i mimowolnie, powracając samotny, powtarzałem sobie te wiersze Lamartina:

Ainsi tout fuit — ainsi tout passe,  
Ainsi nous mêmes nous passons,  
Hélas! sans laisser [plus] de trace  
Que cette barque où nous glissons  
Sur la mer où tout s'efface.

Te wiersze tak mi z myśli wyjść nie mogły, jak czasem jaka piosneczka, która już nas samych nudzi, a którą mimowolnie powtarzamy...



Do Wilna wróciwszy, zachorowałem. Widać, że krew moja rozruszona z trudnością do stanu spokojnego przejść mogła... Olesia odwiedziła mnie... Wkrótce mogłem sam wyjść i poszedłem prosto do Lud[wisi], ale miasto zawsze robiło mnie etykietalnym— inaczej z nią się bawiłem niż na wsi... rozmowy były zimniejsze... Widziałem, że się mocniej kochać zaczęła w W., który był w Wilnie... dręczyło mnie to... tem bardziej, kiedy Lud[wisia] pierwszy raz jednego wieczora mówiąc do mnie, zamiast Julku, jak dotychczas, nazwała mnie panem. Wtenczas zbliżyłem się do Olesi i powiedziałem: „Proś Lud[wisię], żeby mnie jeszcze przez kilka miesięcy nazywała Julkiem... wszak za kilka miesięcy ja odjadę... na zawsze.“ Prośba moja naprzód była przyjęta, lecz potem zabijające mnie słowo pan wróciło...

Zacząłem bywać rzadziej. Gdy Teofil przyjechał do Wilna i mówił mi, dlaczego tak rzadko bywam u Śn[iadeckich], odpowiedziałem, że zajęty jestem examina. Jakoż examina się zbliżały i przepowiadano powszechnie w Uniwersytecie, że wezmę praemium...

W dniu, kiedy przysądzono praemium, zdarzyło się tak, że Lud[wisia] z ojcem już na wieś na całe lato odjeżdżała... zostawiłem więc myśl o praemium, którego przysądzenia pewny byłem i poszedłem ją pożegnać... Dzień ten był dla mnie dniem piekielnym—zapewne w życiu drugiego takiego nie będzie... Przyszedłem o trzeciej po południu do Śn[iadeckich], zastałem ją razem z innymi osobami... Powiedziałem sobie, że na twarzy żadnego wzruszenia nie ukazę... Pamiętam, jak dano lody—z filiżanką w rękę oboje staliśmy w oknie—wszyscy byli daleko... Milcząc, oboje patrzyliśmy na ulicę... potem kilka słów obojętnych... chciała mi wmówić, że się zobaczymy...

I już zajęchały powozy... pocałowałem ją lekko w rękę... i powiedziałem: nie zobaczymy się nigdy może... i czułem, że zachwiałem się na nogach... Wkrótce odzyskałem zmysły—rozsądek—dumę—i nie podałem jej nawet ręki, kiedy wsiadała do koczka. Konie ruszyły—wyszedłem na ulicę i patrzyłem za odchodzącym powozem. Widziałem jeszcze voile od jej kapelusza. Po tem powóz się na chwilę zatrzymał, zapewne dla poprawienia uprzęży... i znów ruszył dalej... zniknął... i wszystko...

Wracalem do domu ponury—w oknie zobaczylem Domańskich... gdybym wziął praemium, wybiegliby, uśmiechaliby się do mnie... oni siedzieli nieruchomi... Któż wziął praemium? zapytałem, wchodząc, obojętnie. Powiedzieli mi, że Korewickiego i innych niższych profesorów intrygi zrobiły to, że się nagroda komu innemu dostała—ja zaś wziąłem pierwszy *accessit*. Nic nie odpowiedziałem Domańskim i wybiegłem na Bulwary... chodziłem długo—byłem aż pod Antokolem... z rozszarżoną twarzą... a kiedy wróciłem do domu, zamknąłem się w pokoju—i wtenczas płakałem. Wtenczas przysięgłem, że do Wilna nigdy więcej nie wrócę.....

Lecz może dobrze, iż te drugie nieszczęście uwagę moją nieco od pierwszego odwróciło... inaczej... możebym był nie został na świecie—ale myśl, że śmierć moją przypisywanoby zawiedzionej nadziei szkolnej, wstrzymała mnie...

W kilka dni potem wyjechałem do Krzemieńca z Beaupré doktorem, moim kolegą... Miała mnie siostra czekać w Jaszunach, ale tak się stało, że przed kilką godzinami wyjechała z Balińską—zastałem jej list i kilka słów od Balińskiej, która mię prosiła,<sup>1</sup> jeśli się kiedy spotkamy w życiu, żebyśmy nie byli dla siebie obcemi... W Jaszunach zastaliśmy tylko Balińskiego i Jana Śniadeckiego. Cieszyło mnie, że ten ostatni traktował mnie już jako człowieka—był grzecznym—i u stołu mnie pierwszemu podawano półmiski. Jest to rzecz mało znacząca, ale to tak charakteryzowało moje wyjście z dzieciństwa, że mi się wraziło w pamięć...

Lecz te Jaszuny—ten sam stół, gdzie miesiącami trzema wprzód przy niej siedziałem—teraz pusty i tylko przy nim nas czterech... Było to tak smutne... Oglądałem się mimowolnie na ściany... potem wszedłem do pokoju, gdzieśmy z nią tyle razy gadali lub czytali... usiadłem na tej samej białej sofie. Potem wróciłem do ludzi—pożegnałem się czule z Janem Śniadeckim i z Balińskim i pojechaliśmy..... Każdy idzie w swoją drogę... jak mówi Mickiewicz. Moja otwierała się przede mną smutna—i pozbawiona wszystkiego...

W kilka dni potem byłem w objęciach mojej Matki. —

<sup>1</sup> [Przekreślone: aby]

Winienem tu jeszcze dodać, że w tym ostatnim roku mego pobytu w Wilnie zrobiłem jeszcze krok jeden naprzód w poezyi. Śnił mi się prawie w rożarzonej immaginacyi jakiś poemat wschodni i ten, choć zbladły przeszedł na papier, jednak zawsze wiele w nim jest kawalków, które i teraz, w *Arabie* umieszczone, są najpiękniejszymi stronicami mojej poezyi... Taką jest strofa o muszli morskiej—strofa o koralu—i koniec, gdzie Arab raj dla siebie opisuje... Pamiętam, że ten poemat tak mocno zajmował moją immaginacyą, że często na lekcjach Capellego całą godzinę o nim przemarzyłem.

Tak się kończy pierwsza część mojego życia. Mam dopióro przy wyjściu z Uniwersytetu rok 19., a jednak zdaje mi się, że już tak długo żyłem... Świat uczuć zniknął dla mnie i przez kilka następujących lat żyłem w innym świecie poezyi... w przeszłości—i tych czasów pamiętnik będzie tylko prawie historją rozwijania się i formowania poezyi, które pisałem. —

Pamiętnik ten tak mi wszystkie obrazy przeszłości przywiódł na pamięć, że zdaje mi się, że ją raz drugi porzucam. Obcy, czytając te karty, znajdzie je może napelnionemi blahemi wypadkami dzieciństwa, ale dla mnie—słowo tam jedne napisane przywodzi mi na myśl cały obraz. Karty te są teraz dla mnie talizmanem chroniącym od rozpacz—będę je odczytywał i może jeszcze łyż dziecinne powrócą... Lecz myśl o niej jest rozdzierającą... Obląkana.... wpadła w czarną melancholiją.... nikt ją nie przywiązuje do świata... ona może teraz w ciemnym pokoju, z oczyma zwróconemi na jedno miejsce z obląkaniem, szuka nadaremnie obrazów przeszłości... Gdybym mógł tak stanąć przed nią—blady i milczący—przycisnąłbym ją do serca i może mój głos obudziłby w niej jakie miłsze wspomnienie... O gdyby ona wyjechała zagranicę... szedłbym za nią jak cień, jak anioł strzegący ją od nieszczęścia—a jeżeliby chciała, nigdybym się jęj nie pokazał... byłaby zawsze dla mnie jak święty obraz wspomnień...

Nie, ja skazany jestem żyć już bez uczuć—skazany, abym przez całe życie czekał sławy, która może przyjdzie pierwszego dnia mojej śmierci... bo pamiętam, że będąc małym dzieckiem i zapalenie nabożny, modliłem się nieraz: O Boże! daj mi sławę choć po śmierci, a za to niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym,

i niepoznanym w mojem życiu. Tak się modliłem—przekonany jestem, że zły duch pochwycił moje przymierze—to co ma być w życiu, już się spełnia... to co ma być po śmierci... być musi... Czuję... że ja umrzeć wiecznie nie mogę... jestem posągiem Memnona, postawionym na grobie mojej ojczyzny—i długo, długo dźwięk mój będzie budził niktących na tej ziemi Polaków—i może jeszcze ostatni Polak, co będzie umiał swój język narodowy, obleje łzami moje karty... i przedsięwzięmie pielgrzymkę do popiołów spoczywających w dalekiej ziemi....

*My epitaph shall be my name alone. —*

Paryz, 24. Lipca 1832 r.

Od 1828 do 1829.

#### ROZDZIAŁ XIV.

*Pół roku w Krzemieńcu. — Charakter mojej Matki. — Tragedya Mahomet. — Przyjazd do Warszawy. — Przypadek z końmi. — Bióro Ministeryum Skarbu. — Fébra. — Marzenia gorączkowe. — Stary sluga. — Towarzystwa stolicy.*

Mieszkałem przy matce mojej w Krzemieńcu, jakoby dla odpocznienia po pracach uniwersyteckich... Prace te były bardzo lekkie dla mnie, i można powiedzieć, że dopióro po wyjściu z Uniwersytetu zacząłem pracować—zacząłem czytać dla nabrania wiadomości. Mackdonnald w Krzemieńcu zaczął mi dawać lekcyje angielskiego języka, bo w całym Wilnie nikogo nie było, od którego by się po angielsku nauczyć. Profesor, dający ten język w Uniwersytecie, tak je dawał, że sami Anglicy nie poznaliby jakim on mówił językiem. Mackdonnald dziwił się nad moim postępem—we trzy miesiące już dosyć rozumiałem Byrona. Wzięłem się także do malarstwa i olejno po całych dniach malowałem pejzaże. Pierwsza z tych prac, poranek mglisty na morzu, znajduje się u mojej matki. Ile razy jednak wstawałem od tych zatrudnień, byłem smutny i posępny—dręczyła mnie nadewszystko moja matka—zawsze płacząca. Było to skutkiem jej ciągle trwającej słabości—ta, osłabiwszy jej fizyczne siły, dała nad niemi przewagę immaginacyi, karmionej ciągle czytaniem romansami... Matka moja od dzieciństwa nigdy się nie zajmowała żadną kobięcą pracą... i nauczywszy się po francusku, znalazła w tym języku mnóstwo dzieł, które

czytała ciągle... stąd miała wiele wiadomości—w towarzystwie jęj rozmowa była interesująca, lecz nie tchnęła sawanterją—bo matka zapominała książki, które czytała, nie mogła więc robić cytacyi, ale koloryt tych książek różnych, smutnych lub wesolych, przydawał ciągle nowy wdzięk do jej rozmów... Tworzyła nieznacznie sobie z tysiąca myśli przeczytanych i zapomnianych nową myśl. Miała dar bawienia zebranego u siebie towarzystwa i postawienia każdęj osoby w jak najkorzystniejszém świetle—stąd każdy z naszego domu kontent z siebie wychodził... Matka moja exaltowana roiła sobie ciągle, że skoro ja skończę nauki, to ze mną na wojaż wyjedzie. Ta myśl jęj była dla mnie niemiłą, bo jak mówilem już, kochając się w Ludwisi, utworzyłem sobie charakter podobny do ciemnego charakteru bohaterów powieści Byrona—stąd, myśląc o wojażu, myślałem o nim zawsze jako o poetycznej pustyni, na którą sam jako poetyczna i ciemna osoba rzuconym będę... Wszystka zaś poetyczność znikala, skorom pomyślał, że mam podróżować z matką—bylbym wtenczas jak dobroduszna osoba, odprawiająca świętą pielgrzymkę—nic nadspodziewanego, nic dzikiego w mojem życiu... Matka wymagała ode mnie ciągłęj otwartości i zwierzania się... to być nie mogło... Wymagała tego ode mnie wtenczas, kiedy się właśnie uczyłem wszystko w sobie zamykać—i lzy pożerać w milczeniu—stąd ciągle jej skargi—i nudzący mnie płacz. I wychowany między kobietami, pragnąłem jak najprędzej z rąk ich się wyrwać—i być samotnym.—Matkom trzeba by wmówić tę prawdziwą maxymę, że wszystko, co oni starań dają swoim dzieciom, dzieci nie im samym, ale swoim kiedyś dzieciom oddawać powinny. Jest to dług zaciągniony od rodziców, a dzieciom wypłacony. Stąd uważałem, że kochani niedyś przez rodziców ludzie najwięcej dzieci swoje kochają...

Nudzilem się bardzo przez te całe pół roku w Krzemieńcu—przez całe wieczory chodziłem po osobnym pokoju—i myślałem... Marzyła mi się wtenczas jakaś tragedia o Mahomecie. Chciałem go wystawić zakochanego w córce swojęj Fatymie, tak, jak to nam historia opowiada—zazdrość Aishy, jego żony, przywiązanie Alego do Fatymy miało stanowić intrygę... Mahometa miałem wystawić w guście Fausta lub Manfreda—rozmawiającego z duchami... miałem go wystawić w paroxyźmie słabości czyli choroby, którą

cierpiał—i udawał, że z duchami rozmawia. O takiej to tragedyi, niepodobnej do wykonania dla 19-letniego chłopca, marzyłem—i wszystkie jej części rozwijały się w mojej imaginacyi.—

Matka moja żądała, abym robił cywilną karierę w Warszawie, w którym z biór... Czulem, że ja nigdy nie stanę na wysokim stopniu hierarchii cywilnej, a jednak dla dogodzenia matce w myśl jej wchodziłem i wkrótce wyjazd mój do Warszawy został postanowionym.

W dniu 15 Lutego 1829 roku wyjechałem z Krzemieńca sankami, pocztą—i we dwa dni stanąłem w Warszawie. Jak tylko zjechałem do oficera Stejn, mieszkającego za miastem, przebrałem się, wziąłem list do znajomego mi dobrze Odyńca i wyszedłem na miasto. Spotkawszy sanki, wsiadłem w nie i kazałem się wieźć do pałacu Zamojskich, gdzie Odyniec mieszkał... Jechałem przez Nowy Świat i oglądałem się wkoło... Zdaleka ujrzałem konie unoszące, lecz w przeciwną stronę leciały... mało na to dawałem uwagi. Wtem sanki, w których jechałem, zatrzymują się—powoźnika, obróciwszy się, już nie ujrzałem za sankami—a nade mną tuż, tuż, leciały rozhukane dwa konie—schyliłem się w sankach i w téjże chwili oba konie przeskoczyły przeze mnie—i tuż przy moich sankach, które z ich sankami zaczęły się, upadły. Przyszedszy do przytomności, wyskoczyłem i znalazłem się wśród leżących na ziemi koni—jakaś stara kobieta za rękę mnie wyrwała z poplątanych szlei... i wkrótce ujrzałem się wśród tłumu zebranych ludzi, z którego z trudnością wymknąłem się... Przypadek ten uważałem jak za jaką wróżbę mego pobytu w tém mieście.

Wsiadwszy do innych sanek, szczęśliwie zajechałem do Odyńca—poznał mnie z Hrehorowiczem, urzędnikiem Kommissyi Skarbu, litwinem, i u tego przez dwa miesiące mieszkałem... Wszedłem do Bióra... zająłem się nudną finansową pracą—i przy zielonym stoliku Kommissyi Skarbu większą część dnia przepędzałem... Pamiętam, że mnie wtenczas jakaś rozpacz ogarnęła... zdawało mi się, że jestem skazany aż do śmierci w tém biórze pracować...

Miniewski, sekretarz, odróżnił mnie zaraz od moich towarzyszy. Byłem w oddziale Sekretarjatu Jeneralnego, gdzie najbogatsza młodzież i krewni ministra pracowali. Miniewski okazywał mi

wielką przychylność—i dawał mi uczuć, że mnie jako najzdolniejszego uważał. Interessowałem go może cichym smutkiem, z jakim przez całe godziny milczący przy mojej pracy siedziałem. Zdarzyło się, że kiedy przyszły dwie bulle papieskie, rozsądające dycecyze pruskie, ja jeden z pomiędzy moich kolegów zdolny byłem do przetłumaczenia ich na język polski... łacina więc nawet przydała mi się w Biórze...

Coraz smutniejszy, czułem potrzebę samotności—przeniosłem się więc na ulicę Miodową do domu Paca. Tu już byłem sam—żadnych nie miałem znajomości. Odyniec wyjechał na wojaż, Hrehorowicz do Litwy. Do mego melancholicznego usposobienia przyłączyła się okropna febra, która co dwa tygodnie nowym nawrotem i coraz mocniejsza wracała—ta wyniszczyła wszystkie moje siły, okropne gorączki paliły mnie po każdym paroxyzmie, a wtenczas leżąc twarzą na sofie, marzyłem o różnych poematach—i te marzenia były trudzące. Z rozpaczą chciałem je odpędzić i wracały zawsze—i krew bijąca w skronie coraz okropniejsze przynosiła mi obrazy.—Powieść moja *Mnich* jest utworem jednej z takich gorączek, ale napisana prawie w 8 miesięcy później.—Tak przebyłem całe lato. Siedziałem samotny—trawiony piekielną gorączką—i czasami myślą wracałem do Litwy... czasem bawiłem się opowiadaniem oryginalnym mego starego służącego, który podróżował kiedyś z wojskowym panem po odległych krajach—i nic z tych wojażów nie pamiętał oprócz błahych zdarzeń. Nie wiedział gdzie leży Hiszpania, chociaż w niej był kiedyś—o Węgrach nie pamiętał i nic z nich nie przypominał, tylko jedną olbrzymią kufę wina, która go kiedyś wielkością zadziwiła...

Łatwo pojąć, jak takie nudne życie wróciło mnie do kraju immaginacyi. Siły wyobraźni wzięły przewagę nad wyniszczonemi fizycznemi siłami. W immaginacyi zacząłem słyszeć głosy, którym się oprzeć nie mogłem—i raz zacząwszy pisać, utworzyłem wszystkie prawie zawarte w dwóch tomach moich poezyje, w przeciągu pół roku.

Zajmował mnie świat poetyczny, ale nie tak silnie, aby mi zasłonił zupełnie nudną i smutną rzeczywistość... Zrobiłem kilka znajomości... bywałem na *routach* u panny Kickiej—wieczory to były nudne, nieożywione, i zwyczaj był w Warszawie w towa-



rzystwach wielkiego tonu, że się mężczyźni do dam młodych prawie nie zbliżali, albowiem te krótkie tylko odpowiedzi w rozmowie dawały, i nigdy do niej chętnie nie wdawały się... Inaczej było u Węgrzeczki—trzy panny dały mi zupełne wyobrażenie o Warszawiankach—rodzice byli niczém w domu, one bawiły towarzystwo, jedna najładniejsza na sawantkę wyglądała,—średnia najmniej ładna, była najlepsza,—najmłodsza, ładniejsza od średniej, w tańcu rej wodziła jako najweselsza... W domu tym jednak nie znajdowałem przyjemności.—

... czytaj Natchezów Chataubriana i opowiadaj o sobie awanturę dwóch wiernych przyjaciół z drugiego tomu, którzy się palą w ogniu, i topią się razem... Zdaje mi się, że uczułem sens tych słów, bo mi nic nie odpowiedział... i zamyślił się... Po kawie szliśmy dalej i znów nas zastanowił teatrzyk: na nim dwie marionetki były się i gadały, ale popiersia ich tylko widać było ze skrzyni... Stanęliśmy, a Skibicki rzekł: „czy wiesz, że to są dwie ręce tego, co pokazuje i siedzi w skrzyni, które są tak ubrane...“ Znów kładliśmy się od śmiechu, patrząc na tłum ludzi, który stał około skrzyni i na dwoje rąk będących bohaterami tragedii... „Jeden z tych bohaterów, rzekłem, pewnie mocno drugiego nie uderzy...“ Idziemy dalej, aż namiot, w którym na tablicy wisi malowany afisz, obwieszczający, że w namiocie znajduje się dziecko 6-letnie, mające na lalce oka napisane *exergue: Napoleon Empe-reur*, białymi literami... Radziłem Skibickiemu, patrząc na *mat de cocagne*, stojący blisko, aby kiedyś w kraju opowiadał, że my dwaj przyprowadzeni do głodu, po wycierpieniu okropnej nędzy, leżliśmy z rozpaczą na taki maszt i zdobyliśmy: on łyżkę, a ja zegarek—zalecałem jemu, aby nędzę naszą uprzednią straszniemi kolorami malował, a tak każdy o eskaladowaniu masztu uwierzy. O godzinie 9-tój wróciłem do domu...

Odebrałem list od Zawierskiego, gdzie mi najczarniejszemi kolorami maluje południową Francją.

D. 20. Lipca 1832 r. P a r y ż. Piątek.

Wracam z wieczoru muzycznego od Panien Pinard. Bardzo mnie tam dobrze wszyscy uważają. Widziałem, że będące tam panielki patrzyły na mnie z ciekawością, tak jakby już im kto o mnie uprzednio gadał. Najwięcej rozmawiałem z Korą. Siedzieliśmy

przez największą część wieczoru trochę opodał od koła, bliżej fortepianu... W ciągu jednej ary, obróciła się do mnie i powiedziała... „przyjdź we czwartek“, „dlaczego we czwartek?“ zapytałam ciekawie... Zarumieniła się i potem dodała „będę samą... Nelly jedzie na lekcję śpiewania“ a potem zapytała „czy przyjdiesz?...“ Tak mnie zdziwiło to rendez-vous, na które się młoda dziewczyna odważyła, że odpowiedziałem jej obojętnie „nie wiem“... Potem przyrzekłem przyjść... Biedna dziewczynka nie chciała mnie pocałować, kiedy byłam ostatni i teraz tego żałuje... Widzę, że o jej miłości wszyscy domowi i nawet obcy wiedzą... —

Odebrałem list od Zienkowicza; skończył go słowami—twój do śmierci... te słowa przez Zienkowicza, tak bliskiego śmierci, napisane, rozczuliły mnie.

Przed wyjściem na wieczór miałem wizytę Lomana.

#### *D. 21. Lipca 1832 r. P[aryż], Sobota.*

Dzień zwyczajny—wieczorem Skibicki był u mnie, prosił abym napisał poemat drwiący o luminarzach naszych... dobra rada!... zrobiłbym sobie tylko nieprzyjaciół.—

#### *D. 22. Lipca—Niedziela.*

Z rana długo u mnie siedział Rymgajło—potem Januszkiewicz—wieczorem byłem u Podczaszyńskiego—chciałem aby nie drukował Ody i natomiast dawałem mu kilka strof o Paryżu, ale te zdawały mu się nie patryotycznymi... więc prędko cofnąłem się z niemi. Mickiewicz przyjeżdża—już jest w Chalons... Mówił mi Podczaszyński, że Bohdan Zalewski przyjeżdża także... Więc Parnas polski będzie w Paryżu; jeżeli nazbyt huczny, to ja z niego ucieknę... Wieczorem Kora w ogrodzie—nie widziała mnie...

#### *D. 23. Lipca 1832. P a r. Poniedziałek.*

O godzinie 11-tej z rana wyjechałem do Wersalu... Droga dosyć nudna... zatrzymałem się jak raz przed ulicą, gdzie mieszka Zienkowicz, i nie zastałem go w domu—wyszedł na moje

spotkanie. Przebiegłem więc przez Wersal—Zaszedłem do kawiarni i w pół godziny potem wróciłem do Zienkowicza—zobaczyłem go na ulicy: daleko zdrowszy, chodził przędszym krokiem niż w Paryżu. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie, przed domem, czyli raczej ztyłu, jest ogródek, zarosły wprawdzie chwastami, ale miły dla mnie nieskończenie—bo właśnie pisząc w tych dniach moje dziecinne pamiętniki, tak się rozmarzyłem w przeszłości, że ten ogródek zdawał mi się zupełnie do wileńskiego podobny. Winogrona rozpięte na murze—morel owocem okryty—kilka kwitnących róż—groszki pachnące... a wkoło mur szary—i w kącie usiedliśmy na prostej ławeczce. Tam dziewczynka, córka gospodyni, musi co dzień szyć i pracować, bo koło ławeczki widać dwie zachowane na pniu róże—blade i już osypujące się z liści.—Taka cisza wokoło... I potem jedliśmy z Zienkowiczem domowy obiad; jak zwykle u chłopców było dobre wino, porter, i rozmowa miła, bo niewymuszona, przyjacielska. Usługiwała nam mała dziewczynka do Hersylki podobna... Dano omlette soufflée, zupełnie opadły—Zienkowicz powstał na nią, zarumieniła się i wtenczas ja omlet bardzo chwalić zacząłem—a potem poprosiłem ją o pachnący groszek zatknięty w jej białej pelerynce... Wybiegła natychmiast i narwała mi mnóstwo groszków—ale w przyniesionym bukiecie poznałem groszek, o który prosiłem, bo wszystkie inne były ciemniejszego koloru—i przy pelerynce kwiatka widać nie było... Powiedziałem do niej: ja nie o te kwiaty, ale o twój groszek różowy prosiłem—uśmiechnęła się, zarumieniła i powiedziała: *il est là, ah! vous le connaissez bien*... pokazując na bukiet... była to zupełnie scena Sterna... A potem Zienkowicz sporządził kaliszan litewski, taki jakeśmy go w Wilnie pijali... był tam porter, wino, piwo, syrop—cukier, cynamon, cytryna, słowem był doskonały... Dziewczynce dałem filiżankę tego mocno utajonego cukrem napoju—podał się jój... Chciałem, aby była weselsza—chciałem, żeby mnie pocałowała—prosiłem jednak o to skromnie, i prawie nieśmiało—wtenczas kiedy wyszedł Zienkowicz... ale nie chciała mnie pocałować... Wdzięczny jój za to jestem—że nie zniszczyła uroku téj delikatnej sceny... O godzinie pół do ósmej wyszliśmy—dziewczynka wyszła za nami—zdawało mi się, że nieco smutna—odwróciłem się do niej i dwa razy uśmiechnąłem się, lekko schy-

liwszy głowę... Potem poszliśmy do ogrodu królewskiego... Śliczny wieczór—słońce czerwone i napół zakryte chmurą zachodziło tak, że można było patrzeć na jego krąg czerwony... Potem Zienkowicz zaprowadził mię w ustronne miejsce, ocienione dzikimi drzewami, gdzie miał dzień przedtem schadzkę z poznaną dniem wprzódy panienką. Poznał ją na balu—gadał—ustąpił miejsca—i dała mu rendez-vous. Sama wybrała miejsce, ale nie powiedziała gdzie mieszka i prosiła, aby się jej nie kłaniał, ile ją razy w towarzystwie spotka chodzącą po ogrodzie... O Francuzki! kiedy Zienkowicz przez jeden wieczór, blady i wynędzniały, i z tak zgasłemi oczyma może pozyskać od was wszystko... prócz serca... O godzinie 9tej wyjechałem z Wersalu i całą drogę marzyłem o dziewczynce... Dzięki ci, Boże, zem się nie wyzuł z dziecinnego wstydu—że nie jestem rozwiązły—że, kiedy inny nie miałby do wspomnienia jak słowa, które tę dziewczynkę wstydem by rumieniły—ja wspominał tylko rumieniec, z jakim mi dawała ukryty w bukicie lecz od serca odpięty groszek... i takie marzenie może mię przez dwie godzin kołysać lekko—jak piosnka niewinna, śpiewana nad dzieckiem. Wróciłem do miasta z czystszeń i lepszeń sercem... Idąc przez ulicę, patrzę—aż w bramie stoi starzec w surducie porządnym, z siwą głową tak schyloną na piersi, że twarzy dojrzyć nie można było... i ciemność nadawała temu milczącemu starcowi jakąś wielkość nieszczęścia, niepodobną do opisania... wrzuciłem mu do kapelusza pieniądz miedziany... bo mi jakaś myśl przyszła, że to może być udana rozpaczy i wstydzając się nędzy postać... Lekko uchylił głowy... i milczał... Odszedłem... zastanowiłem się... wstydem mi było myśli krzywdzącej starca... wróciłem i włożyłem mu w rękę pieniądz srebrny. Milczał... Odszedłem prędko—i lzy jakieś miłe stanęły mi w oczach—lzy mi stanęły, bo przekonany jestem, że każda jałmużna i dobry uczynek nieszczęście nam na ziemi w zapłatę przynosi... Szaleni ci, co się tu spodziewają nagrody—i dają, aby im kiedyś potrzebującym oddanem było...

*D. 24. Lipiec 1832. P a r y ż. Wtorek.*

Nic nowego.—U Januszewskiego widziałem Klimaszewskiego, profesora niegdyś w wileńskim gimnazyum; wzięty z bronią w rękę

i trzykrotnie sądzony na śmierć, umknął od Rossyan... Z Lomaniem obiad, potem spacer. Pochmurno.—

D. 25. Lipca 1832 r. P a r. Środa.

W ogrodzie spotkałem Panny Pinard—siadłem przy nich, ale daleko od Kory... potem przyszła jakaś dama z bratem, i usiadła... Słyszałem jak panna Anaïs powiedziała do niej: *c'est un poète polonais très célèbre qui est assis derrière votre chaise*—i na te słowa dama odwróciła się spojrzeć na mnie, a ja umyślnie odwróciłem oczy, żeby się dobrze dziwnemu zwierzowi przypatrzeć mogła. Potem podałem rękę Pannie Anaïs i przeszliśmy przez ogród. Potem odprowadziłem je do domu i wszedłem na chwilę do nich. Pan Barateau wrócił był właśnie z jakiegoś wesela—i opowiadał z przycinkami złośliwymi cały obraz czterdziestoletniego doktora, żeniącego się z 19letnią panną. Kora zdawała się słuchać z uwagą—i gryzłem wargi, że tak mało na mnie, siedzącego przy niej, uważała. Wtem słyszę ją cicho mówiącą: „*Ne venez pas demain.*“—„*Non, je ne viendrais pas*“ odpowiedziałem i potem usłyszałem ją mówiącą znów cicho: „*Venez vendredi soir.*“ Schyliłem głowę... zaśmiałem się... Potem zaczęła wypytywać się pana Barateau o różne szczegóły i kiedy ten jęj odpowiadał, rzekła znów cicho do mnie: „*L'hiver vous viendrez avec nous aux bals. N'est-ce pas?*“—„*Qu'est-ce que j'y ferais?*“ odpowiedziałem, „*je ne danse pas la contredanse*“—„*Qu'est-ce que cela fait*“

SPIS RZECZY TOMU PIERWSZEGO.

LISTY DO MATKI: CZĘŚĆ PIERWSZA (1830—1835):

	Str.
1. Warszawa, 15 września 1830 r. . . . .	1
2. Wrocław, 17 marca 1831 r. . . . .	4
3. Drezno, 12 kwietnia 1831 r. . . . .	7
4. Drezno, 23 maja 1831 r. . . . .	9
5. Drezno, 6 lipca 1831 r. . . . .	11
6. Londyn, 6 sierpnia 1831 r. . . . .	15
7. Paryż, 10 września 1831 r. . . . .	18
8. Paryż, 20 października 1831 r. . . . .	22
9. Paryż, 10 grudnia 1831 r. . . . .	27
10. Paryż, 24 stycznia 1832 r. . . . .	31
11. Paryż, 7 marca 1832 r. . . . .	36
12. Paryż, 13 kwietnia 1832 r. . . . .	43
13. Paryż, 26 maja 1832 r. . . . .	50
14. Paryż, 4 lipca 1832 r. . . . .	55
15. Paryż, 30 lipca 1832 r. . . . .	59
16. Paryż, 3 września 1832 r. . . . .	66
17. Paryż, 4 października 1832 r. . . . .	72
18. Paryż, 9 listopada 1832 r. . . . .	79
19. Paryż, 8 grudnia 1832 r. . . . .	85
20. Genewa, 30 grudnia 1832 r. . . . .	90
21. Genewa, 10 lutego 1833 r. . . . .	98
22. Genewa, 15 marca 1833 r. . . . .	103
23. Genewa, 24 kwietnia 1833 r. . . . .	107
24. Genewa, 6 czerwca 1833 r. . . . .	112
25. Genewa, 15 lipca 1833 r. . . . .	116
26. Genewa, 23 sierpnia 1833 r. . . . .	121
27. Genewa, 22 września 1833 r. . . . .	126
28. Genewa, 27 października 1833 r. . . . .	131
29. Genewa, 30 listopada 1833 r. . . . .	135
30. Genewa, 3 stycznia 1834 r. . . . .	139
31. Genewa, 20 lutego 1834 r. . . . .	143
32. Genewa, 24 marca 1834 r. . . . .	147
33. Genewa, 27 kwietnia 1834 r. . . . .	151
34. Genewa, 6 czerwca 1834 r. . . . .	156
35. Genewa, 13 lipca 1834 r. . . . .	160
36. Genewa, 21 sierpnia 1834 r. . . . .	165
37. Genewa, 28 września 1834 r. . . . .	171
38. Genewa, 7 listopada 1834 r. . . . .	176
39. Genewa, 18 grudnia 1834 r. . . . .	181
40. Genewa, 5 lutego 1835 r. . . . .	186

41. Genewa, 7 marca 1835 r. . . . .	Str. 192
42. Genewa, 1 kwietnia 1835 r. . . . .	197
43. Genewa, 24 maja 1835 r. . . . .	201
44. Genewa, 30 czerwca 1835 r. . . . .	206
45. Veytoux, 23 sierpnia 1835 r. . . . .	211
46. Genewa, 20 października 1835. r . . . . .	215
47. Genewa, 29 listopada 1835 r. . . . .	220
<b>FRAGMENTY PAMIĘTNIKA (1817—1832):</b>	

<b>Rozdział IV</b> . . . . .	229
<b>Rozdział X</b> . . . . .	231
<b>Rozdział XIII</b> . . . . .	236
<b>Rozdział XIV</b> . . . . .	241
[Urywki jednego z następnych rozdziałów] . . . . .	246

**INSTYTUT**  
**BADAŃ LITERACKICH PAN**  
**BIBLIOTEKA**  
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
 Tel. 26-68-63



ERRATA.

Str.	16, w. 18 od góry	<i>zamiast:</i>	<i>powinno być:</i>
"	19, w. 1 od dołu	piękniejszymi	piękniejszymi
"	20, w. 13 od dołu	mostu	mostu
"	29, w. 4 od góry	miała	mała
		uważaia	uważają













K  
612  
1